



erica james

jedna z najlepszych
brytyjskich autorek

plan_{na}
szczęście

nie da się zaplanować miłości

Erica James

Plan
na
szczęście

Przełożyła Anna Błasiak

Podziękowania

Wielkie dzięki dla Big G za wiarę i dla wszystkich tych, którzy odpowiedzieli na moje pytania, nawet te osobiste.

Jestem też ogromnie wdzięczna Jonathanowi z Curtis Brown za chwilę szczerości.

Dziękuję Jane z Orioną za jej łagodną zachętę i za to, że prawie mnie przekonała, że dam radę.

I, jak zawsze, ogromne podziękowania dla Heleny i Maureen, za ich bezgraniczną przyjaźń i za świetną, wspólną zabawę.

Specjalne wyrazy wdzięczności kieruję do Alwyna, za ogromną odwagę, jaką się wykazał na drogach M25 i A3, a także za to, że miał pod ręką reklamówkę. Dzięki.



CZEŚĆ PIERWSZA

Kwiecień

Pieśń Elfa Obrazków Plamistych

Oto pieśń Obrazków Plamistych

(Które rosną w miejscach cienistych):

Nie mam ja dzwonków ani płatków,

Jak u naparstnic czy bławatków.

W całej rozległej angielskiej macierzy

Kwiatów bez liku sam namierzysz.

Tu płatek, tam dzwonek, a jeszcze tu lejek

Lecz ja inaczej się do ciebie śmieję.

Moja krewniaczka, co lubi być gorąca cała,

To kalia śliczna i biała;

Jam nie tak jak ona wybuchały, azali

Nadziwniejszym kwiatem mogę się pochwalić;

Me lśniące liście pięknie się prezentują

Mam też pędy, co uwagę twą przykują;

We wrześniu moje jagody jawią się w całej śliczności

(LECZ MIEJ SIĘ NA BACZNOŚCI).

Cicely Mary Barker

Dla Edwarda i Samuela
za ich miłość i poczucie humoru

Rozdział pierwszy

Ellen wszędzie spodziewałaby się zobaczyć nastolatkę zebrzącą o pieniądze, tylko nie w Crantsford.

Zamożne miasteczko targowe tworzyło kiepskie tło dla zmęczonej postaci tkwiącej przed cukiernią. Po obu stronach wąskich, krętych uliczek, z których niektóre były brukowane, ciągnęły się śliczne, georgiańskie domy z wykuszami. W wykuszach wyeksponowane były starodawne słoje z landrynkami, ciuchy od Jacquesa Verta i porcelanowe figurki z wytwórni Lladro. Wszystko to tworzyło atmosferę miejsca, gdzie niczego nie brakuje. Tymczasem nastolatce wyraźnie się nie przelewało.

Ellen instynktownie wyczuła, że dziewczyna ma niewielkie doświadczenie w tym, co robi. Nie mogła patrzeć na pełne dezaprobaty miny przechodniów na widok wyciągniętej do nich ręki żebraczki. Zrobiła daszek z dłoni nad oczami i zajrzała przez okno do biura podróży. Hermione przechadzała się wzdłuż półek, w poszukiwaniu wakacji życia. Właśnie podszedł do niej jeden z asystentów, gotów pewnie znowu rozbawić czymś starszą panią. Byli przyzwyczajeni do jej nieustannego bujania w obłokach. W zeszłym miesiącu mówiła o wyprawie Orient Expressem.

Kilka chwil później Hermione wyszła na ulicę ze stertą broszur wydrukowanych na połyskliwym papierze.

– Egipt – oznajmiła dziarsko. – Mam ochotę zobaczyć Nil.

– A ja mam ochotę na filiżankę herbaty. Idziemy?

Ellen wzięła leciwą przyjaciółkę pod rękę. Zrobiła to nie dlatego, że Hermione była zbyt wątła i słaba, by przejść przez ulicę o własnych siłach, lecz aby w ten sposób wyrazić swą miłość i wdzięczność. Od rozstania z Rogerem minęły dwa lata. W tym okresie Ellen nierzadko sama bywała w słabej formie. Zawsze mogła wtedy znaleźć oparcie w Hermione, która była dla niej niczym skała.

Przeszły przez ulicę i stanęły przed dziewczyną. Chodnik przed cukiernią nie świecił pustkami, więc nie dało się zignorować tego, co Ellen wcześniej próbowała zignorować.

– Dwadzieścia pensów? – poprosiła nastolatka niepewnym głosem, jakby igrała z ogniem.

Ellen sięgnęła do torebki. Pominąwszy pieniądze, które odłożyła na małe co nieco z Hermione, miała przy sobie tylko dwanaście funtów, które musiały jej wystarczyć aż do Wielkanocy. Otworzyła portmonetkę i wyjęła jednofuntówkę, po czym się zawahała. Żebraczka pewnie uzna to za objaw ostentacji, pewnie pomyśli, że szczęście się do niej uśmiechnęło, że trafiła na niezłą naiwniaczkę. Ellen wyobraziła sobie dziewczynę za parę godzin, pod wpływem jakiegoś psychodeliku. W gazetach piszą o dzieciakach naćpanych po uszy, które udają, że są głodne i w biedzie, podczas gdy w rzeczywistości...

Och, chrzanić rzeczywistość!

Wrzuciła monetę do wyciągniętej dłoni i zmusiła się do pełnego współczucia i wyrozumiałości uśmiechu.

– Dziękuję – powiedziała dziewczyna, ale nie odpowiedziała na uśmiech.

Ellen ogarnęła irytacja – nie na dziewczynę, która nie okazała wdzięczności, lecz na siebie samą, bo złapała się na typowej dla osób dobroczynnych hipokryzji. Pewnie, pewnie, dam ci pieniądze, ale w zamian popraw mi samopoczucie.

– Bardzo szlachetny gest z twojej strony – uznała Hermione, gdy pchnęły drzwi do cukierni i czekały aż kelnerka wskaże im miejsca. – Choć może byłoby lepiej, gdybyśmy zaprosiły tę dziewczynę do środka. Robiła wrażenie wygłodniałej.

– Zwolnił się stolik przy oknie – przywitała je wyniośle kelnerka w fartuszkach z falbankami niespotykanych rozmiarów. Hermione i Ellen już dawno uznały, że ta kelnerka musi być ważniejsza od pozostałych, skoro tamte noszą tylko zwykłe fartuchy w paski. – Ile osób? – zwróciła się do Ellen.

Ellen się zawahała. Zwykle próbowała wszystko racjonalizować, analizowała każdy szczegół tak długo, aż była absolutnie pewna swoich decyzji. Potem jednak często ich żałowała. Odkąd została sama, jeszcze jej się pogorszyło. Rozkładała na czynniki pierwsze każde słowo czy uczynek – zarówno swoje, jak i innych – kwestionowała zasadność, wszędzie dopatrywała się ukrytych motywów i szukała możliwych wytłumaczeń. Hermione nazywała to „racjonalizacją posuniętą do granic całkowitej inercji”. Ostatnio jednak Ellen próbowała zdobyć się na więcej spontaniczności. Pomyślała teraz o jednofuntówce, którą właśnie oddała i postanowiła wykorzystać nadarzającą się okazję.

– Trzy – odpowiedziała szybko i, nie patrząc na Hermione, odwróciła się i wyszła z powrotem na ulicę.

Hermione zajęła miejsce przy oknie i postanowiła nie boczyć się na Ellen za to, że tym razem nie będzie w centrum jej uwagi. Przyglądała się przyjaciółce, która podeszła do dziewczyny. Potrafiła odczytać mowę ciała żebraczki: najpierw zaskoczenie, potem – co najzupełniej oczywiste – podejrzliwość, a wreszcie wzruszenie ramion oznaczające zgodę. Ellen wprowadziła ją do środka. Zawsze długo się wahała, ale gdy już podjęła decyzję, była nie do zatrzymania.

Nie groziło im raczej, że, gdy staną w drzwiach, wszyscy odwrócą się w ich stronę albo że ucichną rozmowy. Ostatecznie dziewczyna, w jej niedopasowanych ciuchach, była ubrana równie kiepsko, co większość nastolatków w Crantsford, a może nawet trochę lepiej. Na szczęście wydawała się raczej domyta i nie miała żadnych kolczyków w nosie czy brwiach. Hermione wzięła do ręki jedną z kolorowych broszur biura podróży i aż się wzdrygnęła na myśl o co niektórych młodych mieszkańcach jej miasta, którzy byli bardziej ponakłuwani niż poduszeczki do szpilek.

– To jest Jo-Jo – oznajmiła pogodnie Ellen.

– Dzień dobry – mruknęła zakłopotana dziewczyna.

Była chyba starsza, niż im się wcześniej wydawało. I blejsza.

Hermione odłożyła broszurę.

– No, cóż, Jo-Jo – powiedziała. – Wygląda na to, że masz dzisiaj szczęście. Na tacy zostało jeszcze całkiem sporo bez.

– Nie przepadam za bezami – odpowiedziała Jo-Jo, upychając swój wielki plecak pod stołem i przysiadając na brzegu krzesła. Robiła wrażenie kogoś gotowego w każdej chwili zerwać się do ucieczki, tak na wszelki wypadek.

Hermione uniosła brew.

– Może się mylę, ale w moich czasach żebracy nie mieli prawa wyboru.

– Nawet w pani czasach żebrakom zdarzały się zapewne alergie. Od białek dostają wysypki, skoro już musi pani wiedzieć.

Hermione z miejsca zapałała do Jo-Jo cieplejszymi uczuciami. Ceniła sobie u ludzi czupurność, a ta mała miała jej pod dostatkiem. Na tym właśnie polega problem ze starością: wszyscy traktują cię z rewerencją i szacunkiem, nikt ci nawet nie powie, żebyś się zamknęła. Zadziwiające, ile człowiekowi uchodzi na sucho, gdy przekroczy sześćdziesiątkę. Ellen należała do nielicznych osób, które trochę Hermione stopowały. Podobnie jak Matthew, zawsze szczerzy i bezpośredni. W ubiegłym tygodniu wykazał się szczególnie bolesną szczerością. Zadzzwonił do Hermione, żeby się dowiedzieć, jak się ma, a gdy zapytała go o jego aktualną dziewczynę, odparł

tylko krótko:

- Nie twoja sprawa. Nie chcę o tym gadać.
- Imbryk herbaty dla trzech osób? – zapytała kelnerka w fartuszkach.

I Hermione, i Ellen spojrzały na Jo-Jo. Każda z nich podejrzewała – więcej, obawiała się – że dziewczyna poprosi o coś innego, droższego.

- Że co? – zapytała, gdy zauważyła, że się w nią wpatrują.
- Kawa czy herbata? – popędziła ją Ellen.
- Poproszę Earl Greya.

– Fiu, fiu, wyrafinowane gusta, jak na kogoś pogrążonego w biedzie – mruknęła pod nosem Hermione.

Obie z Ellen wymieniły się zaniepokojonymi spojrzeniami. Tylko raz w miesiącu pozwalały sobie na luksus porannej herbaty w mieście, luksus, na który składały się dwie bezy z kremem – co było o tyle usprawiedliwione, że bezy nigdy nie wychodziły im w domu – oraz imbryk najtańszej herbaty, jaką podawano w cukierni. Nigdy nie marnowały pieniędzy na droższe gatunki herbat, które właścicielka tego przybytku, pani Astley, trzymała w chińskich puszkach stojących na szklanej półce ponad rzędami filiżanek i spodków. To po prostu nie podlegało dyskusji: żadnej z nich się nie przelewało, nie mogły sobie pozwolić na wyrzucanie pieniędzy w błoto.

- Wystarczy normalna herbata – powiedziała Ellen do kelnerki.

Nawet jeśli Jo-Jo na coś ją naciągnie, to nie pozwoli na zbyt wiele.

Do zamówienia dodano jeszcze dwie bezy oraz skromną, drożdżową bułeczkę dla Jo-Jo. Wszystko błyskawicznie pojawiło się na przykrytym białym obrusie stołu. Pracownicy cukierni były najwyraźniej nieźle przeszkolone przez panią Astley i wiedziały, że czas to pieniądz.

Jo-Jo pochłonęła swoją bułeczkę zanim jeszcze Ellen i Hermione zdążyły sięgnąć po widelczyki do ciasta. Ellen dopiero teraz zdała sobie sprawę z tego, jak bardzo ta biedaczka musiała być głodna.

- Zjesz jeszcze jedną? – zapytała, bo zrobiło się jej wstyd.
- Jo-Jo kiwnęła głową i zemdląła.

Rozdział drugi

Nic mi nie jest – wymamrotała słabym głosem Jo-Jo. – Nic mi nie jest.

– Pewnie, pewnie – odpowiedziała Ellen, klęcząc koło niej na podłodze. – To przecież nic takiego, ludzie w kółko mdleją. – Próbowwała dźwignąć dziewczynę do pozycji siedzącej. – Chodź, posadzimy cię z powrotem na krześle. Powinnaś opuścić głowę między kolana. Chyba tak się robi.

– Nie! – odparła Jo-Jo, której głos nagle zabrzmiał mocniej. Odsunęła od siebie ręce Ellen. – Mówiłam pani, że nic mi nie jest. Proszę mnie zostawić w spokoju.

– Coś nie tak?

Koło nich stała pani Astley, korpulentna kobieta, która zdecydowanie za bardzo kochała konturówkę do oczu. Miała na sobie krótką, granatową spódniczkę, układającą się w harmonijkę pod jej pękatym brzuchem. Towarzyszyła jej Fartuszkowa.

Zapewne to ona wezwała szefową z biura na zapleczu, gdy tylko wyczuła, że na coś się zanosi. Zamieszanie śledziła też publiczność zebrana przy innych stolikach, która zerkała w ich stronę znad porcelanowych filiżanek.

– Nic, czego nie załatwiłaby szklanka wody – odpowiedziała gładko Hermione, po czym wyrównała obrus i podniosła przewróconą cukierniczkę pełną kostek cukru.

– Gazowana czy niegazowana?

Hermione posłała pani Astley miazdzące spojrzenie.

– Woda w kranie jest, jak mi się zdaje, na ogół niegazowana.

Pani Astley nie wiedziała, co na to powiedzieć, posłała więc tylko Jo-Jo karcące spojrzenie, odwróciła się na pięcie i rozciągnęła wargi w profesjonalnym uśmiechu zarezerwowanym dla mniej kłopotliwej klienteli.

– Doprawdy nie wiem, czemu my tu w ogóle jeszcze przychodzimy – zirytowała się Hermione na tyle głośno, by było ją słychać z odległości kilku metrów.

Ellen zignorowała ten teatralny gest urażonej dumy. Przyglądała się Jo-Jo, która wyciągała swój plecak spod stolika.

– Dokąd idziesz? – zapytała, gdy dziewczyna wstała od stołu.

– Niech pani posłucha, zrobiła pani swoje dla ludzkości, a ja wrzuciłam coś na ząb.

Rachunek wyrównany, wszyscy są szczęśliwi. – Zrobiła krok w stronę drzwi. – Eee... I dziękuję – dodała, i zabrzmiało to szczerze.

– Nie idź jeszcze! – zawołała za nią Ellen. – Musisz coś coś zjeść, musisz...

– Puść ją – wtrąciła się Hermione. – Co jeszcze chciałabyś dla niej zrobić? Zaoferować nocleg?

Ellen patrzyła za Jo-Jo, która wyszła tymczasem na ulicę. Nie mogła znieść myśli, że ma ją porzucić, zostawić na łasce stylu życia, który niewątpliwie sprawi, że Jo-Jo stanie się jeszcze jedną pozycją w przygnębiających statystykach.

Ostatecznie i tak wszystko w rękach Boga, pomyślała ze smutkiem.

Dziewczyna zarzuciła sobie plecak na ramię, spojrzała najpierw w lewo, w wąską uliczkę, która zaprowadziłaby ją na koniec Lower Market Street, następnie w prawo, gdzie droga wiodła na wzgórze, w stronę Church Walk i do głównej drogi prowadzącej za miasto. Wyglądało na to, że zastanawia się, w którą stronę pójść. Tymczasem przy oknie cukierni zebrała się grupka kobiet. Zaglądały przez małe szybki do środka, żeby sprawdzić, czy są jakieś wolne stoliki. Gdy w końcu popchnęły drzwi i weszły, Jo-Jo już zniknęła.

– No, może teraz w końcu zajmiemy się swoimi sprawami – powiedziała Hermione i wbiła widelczyk w czekającą na nią kruchą bezę. Zerknęła na broszurę i dodała: – Wiesz, że świątynie w Abu Simbel uratowano przed zalaniem...

– W ogóle cię to nie obchodzi?

– Wręcz przeciwnie, bardzo mnie obchodzi – odpowiedziała wolno Hermione, spoglądając na Ellen spod opadających powiek. – I dlatego właśnie...

– Nie mówię o jakiejś tam uratowanej świątyni – przerwała jej ostro Ellen. – Zresztą dobrze wiesz, że nie to miałam na myśli.

– Dla kogo ta woda? – zapytała Fartuszkowa, która znów stanęła przy ich stoliku.

– Spóźniła się pani! – warknęła Ellen.

Kelnerka zrobiła zdezorientowaną minę.

– Zostawić czy zabrać?

– A, niech pani robi, co się pani podoba!

– Ojej, ta mała naprawdę zalazła ci za skórę, co? – stwierdziła Hermione, gdy Fartuszkowa postawiła z impetem szklanę wody na stoliku. Po chwili zostały znowu same. – Pytanie tylko dlaczego?

Ellen nic nie powiedziała i dźgnęła swoją bezę. Drobne, kruche kawałki eksplodowały z jej talerzyka i oprószyły obrus.

– Sama nie wiem – powiedziała w końcu. – Naprawdę nie mam pojęcia. Żal mi się jej zrobiło. No, bo sama pomyśl, ja drzę ze strachu za każdym razem, gdy wyciągam ze skrzynki pocztowej wyciąg z banku, ale w porównaniu z taką Jo-Jo pewnie jestem ohydną bogaczką.

– Ha! Czyżbym wyłapywała u ciebie pierwsze sygnały socjalistycznych tendencji?

Tendencji tłumionych dotąd przez stabilne małżeństwo i przynależność do dobrze sytuowanej klasy średniej?

– Och, bądźże cicho!

Hermione zachichotała i spojrzała czule na Ellen.

– Być może takie Jo-Jo mają na ciebie dobry wpływ. Chciałabym jednak zauważyć, że ona nie robiła wrażenia kogoś żyjącego w skrajnej biedzie. Miała na sobie dość czyste ciuchy, a i jej wybór herbaty raczej też nie świadczył o zacofaniu.

– Wygląd może mylić.

– W rzeczy samej – zgodziła się Hermione i powiodła wzrokiem po cukierni.

Przez chwilę siedziały pogrążone w przyjacielskim milczeniu. Gdy skończyły jeść, Ellen oświadczyła:

– Mam już dość tego, że wiecznie jestem bez pieniędzy. Mam tego powyżej uszu.

A sytuacji wcale nie poprawia fakt, że mieszkam, gdzie mieszkam. – Skinęła głową w stronę reszty klienteli pani Astley, z ich eleganckimi torbami na zakupy pełnymi drogich rzeczy, które stały w równiutkich rzędach na podłodze koło krzesełek.

– No, wiem – odparła Hermione i spojrzała na swoją prawą dłoń. Jeszcze tydzień temu na palcu serdecznym nosiła pierścionek, który dostała od ojca na dwudzieste pierwsze urodziny. Teraz sękaty palec był nagi, a luźna skóra nadal zachowała wgłębienie po pierścionku. Hermione położyła dłoń na kolanach, żeby jej nie widzieć. Starła się myśleć pozytywnie: przynajmniej teraz miała dość pieniędzy na koncie, by zapłacić budowlańcowi, który w zeszłym miesiącu naprawił jej dach.

– Jak temu zaradzić?

– Jak temu zaradzić, kochana Ellen? Sama chciałabym to wiedzieć. Może powinnyśmy wyjść na ulicę, tak jak nasza nowa znajoma? A może poszukamy sobie pracy w burdelu? Najlepsze lata mam już, co prawda, za sobą, ale, jak mi Bóg miły, po świecie krąży mnóstwo

dziwaków, więc może znalazłby się ktoś, kto czerpałby perwersyjną przyjemność...

– Nie pochlebiaj sobie – zaśmiała się lekko Ellen. Czasem denerwowała ją impertynencja Hermione. – Mówię poważnie, musimy znaleźć jakieś wyjście z tej sytuacji. I to takie, które nie wymaga rozkładania nóg i gapienia się w sufit.

– A tak było z tobą i Rogerem?

Ellen nie podniosła wzroku. Złożyła papierową serwetkę równiutko na czworo. Hermione miała irytującą zdolność trafiania celnie w najczulszy punkt. Pod koniec małżeństwa Ellen seks rzeczywiście stał się problemem. Rogera naszła wtedy ochota na próbowanie nowych rzeczy. Przebieranie się za

uczennicę nie bardzo przypadło jednak do gustu trzydziestosiedmioletniej Ellen. Perspektywa regularnego odprawiania takich rytuałów sprawiła, że w ogóle odechciało jej się seksu. W końcu Roger zmęczył się jej oporem i gdzie indziej znalazł sobie kogoś gotowego realizować jego fantazje. Oczywiście działo się to w sekrecie, aż pewnego dnia oświadczył po prostu przy kolacji, że poznał kobietę, która jest spełnieniem wszystkich jego marzeń. Szok i strach przed utratą męża po dwudziestu latach małżeństwa – innego życia przecież nie znała – sprawił, że Ellen łapała się wszystkiego, szukała nawet pomocy w kolumnach z poradami w kolorowych magazynach. Wszystkie, co do jednej, zachęcały kobietę w jej pozycji do zdobycia się na odwagę i wzięcia spraw w swoje ręce. W łóżku miała stać się dziwką. Przez dwa żałosne, trudne miesiące rzeczywiście próbowała, ale i tak pewnego dnia, gdy wróciła z porannych zakupów w supermarkecie, znalazła list czekający na nią na kominku. Roger odszedł od niej dla uczynnej Charmaine, która pracowała jako pomoc dentystryczna w jego przychodni. Co więcej, postanowili wyjechać razem za granicę. Liścik nie szczędził detali. Dla Ellen ta kartka A4 była nie tylko symbolem tchórzliwej rejterady Rogera, ale także jego spowiedzią. Wyjaśniał, że ich małżeństwo go zmęczyło, tak samo, jak plombowanie zębów w Crantsford. Chciał rozpocząć nowe życie i postanowił założyć rodzinę z Charmaine w Prowansji.

Przez pierwsze pół roku od odejścia Rogera, Ellen nie była w stanie znieść niczego, co w jakikolwiek sposób łączyło się z Francją. Wbrew zdrowemu rozsądkowi obwiniała rogaliki francuskie, bagietki i wodę Perrier o rozpad swojego małżeństwa. Obwiniała też Petera Mayle'a. No, bo któż inny poddał Rogerowi, który miał niezły mętlik w głowie, ten cały pomysł z Prowansją? Snute przez pisarza opowieści o pachnących polach lawendy, o woniących czosnkiem hydraulikach i nienadających się do niczego budowlańcach po prostu uwiodły jej męża i odciągnęły go od niej. Wkrótce jednak zdała sobie sprawę z tego, że sama ma więcej wspólnego z rozpadem swojego małżeństwa niż Peter Mayle i jego pełne uroku opowieści, które zawsze dobrze się kończą.

– Twoje problemy finansowe można łatwo rozwiązać – stwierdziła Hermione, wyczuwając, że przyjaciółka znowu torturuje się bolesnymi wspomnieniami.

– Tak? – powiedziała Ellen, uniosła głowę i spojrzała prosto w bładniebieskie oczy Hermione. – No, to mów, coś tam nowego wymyśliła?

– Wyjdź za Duncana.

Ellen szturchnęła kostki cukru leżące przed jej czystą łyżeczką i się uśmiechnęła.

– Duncan chyba nie jest stworzony do małżeństwa.

– Każdy jest stworzony do małżeństwa. Trzeba tylko trafić na odpowiedni moment. Rozważałaś go jako kandydata na męża?

Ellen parsknęła śmiechem.

– Oczywiście. To idealny materiał. Jest samotny, mniej więcej w moim wieku. To szanowany prawnik, ma dobrą reputację...

– I jest nadziany! Sporo wyciąga z tej swojej praktyki – weszła jej w słowo Hermione. –

Nie wspominając już o wspaniałej, barokowej rezydencji, w której mieszka.

Ellen dalej bawiła się kostkami cukru. Ułożyła je w chybotliwą piramidkę.

– Czy byłabyś bardzo zszokowana, gdybym ci powiedziała, że jeśli jeszcze kiedykolwiek wyjdę za mąż, to zrobię to dla pieniędzy, a nie z miłości? – zapytała, nie podnosząc wzroku. – Małżeństwa z miłości już próbowałam i sama zobacz, jak na tym wyszłam.

– Moim zdaniem to całkiem rozsądny pomysł – stwierdziła Hermione. – Żałuję tylko, że sama nie mogę postąpić podobnie. A może myślisz, że mam szansę u Duncana?

– Nie mam pojęcia. Jest taki małowówny, że często nie wiem nawet, co mu chodzi po głowie.

– Nie chcesz chyba przez to powiedzieć, że to nudziarz?

Ellen westchnęła.

– Po tym, co przeszłam z Rogerem, nie miałabym nic przeciwko nudziarzowi. – Sięgnęła po swoją torebkę. – No, chodź, zapłaćmy i dajmy naszym wybujałym fantazjom trochę odpocząć. Ojej, a to co?

Koło talerzyka Jo-Jo leżała jednofuntówka.

– Na jakie wytłumaczenie się decydujemy? Że to dobrze świadczy o dziewczynie, czy też że zostawiła monetę przez przypadek? – zapytała Hermione.

Johnny Zagranicznik był rozpalony i duszny, więc Ellen i Hermione od razu otworzyły okna. Johnny Zagranicznik, czyli samochód Ellen, miał to nieszczęście, że był francuskim Peugeotem 205, więc trochę mu się oberwało po ucieczce Rogera do Francji. Ostatecznie został przemianowany na Johnny'ego Zagranicznika.

– Nawet nie porozmawialiśmy o Egipcie – stwierdziła Hermione, gdy Ellen zajęta była lawirowaniem po jednokierunkowych uliczkach. Zatrzymały się na światłach na szczycie Church Walk.

Gdy zapaliło się zielone i Ellen wrzuciła pierwszy bieg, przyszło jej do głowy, że każdy, kto nie zna Hermione, mógłby pomyśleć, że u siedemdziesięcioośmioletniej kobiety występują już objawy demencji starczej. Ot, choćby całe to gadanie o wakacjach, które przecież nigdy się nie wydarzą. Było to jednak najzupełniej niegroźne. Są ludzie, którzy w każdy sobotni wieczór marzą o wygranej na loterii i zabawiają się czczymi spekulacjami na temat tego, na co wydaliby pieniądze. Hermione po prostu przenosiła się myślami z jednego kraju do drugiego, w nieszkodliwy sposób fantazjowała o zwiedzaniu nowych miejsc, nie wstając przy tym z fotela. Nawet Ellen czasem przyłączała się do niej, dała się na przykład wciągnąć w rozmowę o rejsie po norweskich fiordach. Hermione snuła marzenia o przyjęciach na pokładzie, o kolacji przy kapitańskim stole, podczas gdy Ellen rozkoszowała się myślami o ucieczce od finansowego bałaganu, w jakim zostawił ją Roger.

– A niech mnie! – powiedziała Hermione z wyraźnym zadowoleniem w głosie. – Zobacz, kto łapie stopa na drodze za miasto?

Nietrudno było rozpoznać postać z plecakiem przerzuconym przez ramię. Jedyne różnica polegała na tym, że teraz Jo-Jo zdjęła z siebie warstwę odzieży. Gdy odwróciła się w stronę nadjeżdżającego samochodu, powiew wiatru przykleił białą koszulkę ciasno do jej młodego ciała. Potwierdziło się to, co Ellen podejrzewała już wcześniej, na podłodze w cukierni, gdy próbowała ruszyć Jo-Jo z miejsca. Sądząc na oko dziewczyna była w co najmniej czwartym miesiącu ciąży. Samochód Ellen zwolnił i zatrzymał się.

– Wybierasz się w tym samym kierunku co my, młoda damo? – zapytała Hermione przez otwarte okno.

Jo-Jo poprawiła plecak, jakby chciała się za nim schować.

– Być może – odpowiedziała i odsunęła kosmyk długich włosów sprzed oczu. Ciepły,

wiosenny wiatr podnosił je z ramion.

– No, to się pośpiesz i wsiadaj. I, błagam cię, nie marudź. Szczegółami zajmiemy się później. Jestem pewna, że jeśli dobrze rozegrasz swoje karty, moja pełna dobrych chęci przyjaciółka zaoferuje ci nocleg. – Hermione odwróciła się do Ellen: – Bo to właśnie chodziło ci po głowie, prawda?

Rozdział trzeci

Podrzucić cię? – Ellen zapytała Hermione, choć dobrze wiedziała, jaką odpowiedź dostanie.

– Nie ma pośpiechu – odpowiedziała starsza pani. – Później sobie pokuśtykam do domu. Pewnie, pomyślała Ellen, po co iść do domu, gdy sytuacja właśnie zrobiła się interesująca?

– To pani matka? – siedząca na tylnym siedzeniu Jo-Jo złapała spojrzenie Ellen we wstecznym lusterku.

– Można by tak pomyśleć, prawda? – Ellen zerknęła kątem oka na przyjaciółkę. Hermione cała się nastroszyła.

– No, doprawdy! Biję każdą matkę pod słońcem na głowę. Czy ja w kółko czegoś od ciebie chcę? Czy ja ci się naprzykrzam?

– Nigdy. I całe szczęście – uśmiechnęła się Ellen.

Wrzuciła kierunkowskaz w lewo i zjechała z głównej szosy. Na szczytce wąskiej, zaniedbanej drogi stały trzy znaki. Najmniejszy z nich sygnalizował ślepą ulicę. Pod nim umieszczono drogowskaz do Beggarman's Lane czyli Uliczki Żebraczej. Ironia zawierająca się w nazwie ulicy, na której mieszkała, nigdy nie przestawała zadziwiać Ellen. Najbardziej rzucała się w oczy duża, strategicznie umieszczona, kremowa tablica, na której zielonymi literami wypisane były słowa „Nad Strumieniem – Suszone Kwiaty”, a w rogu znajdował się wizerunek dzbanka z wiązanką. Znak nadal wyglądał na nowy, choć stał tam już od ładnych kilku miesięcy. Stanowił dla Ellen kolejne przypomnienie faktu, że musiała pogodzić się z wieloma zmianami w swoim życiu. Czasem nienawidziła tego znaku – gdy miała zły dzień i nie była w stanie stłumić gniewu na Rogera. W inne dni pozwalała sobie na odrobinę podziwu dla samej siebie, a nawet wyobrażała sobie, że zostaje Bizneswoman Roku. Rzeczywistość była jednak zupełnie inna: na razie nie było jej nawet stać na wypłacanie sobie regularnej pensji.

Od ponad tygodnia nie padało. Johnny Zagranicznik podskakiwał na stromej, usianej dziurami uliczce, zostawiając za sobą chmurę kurzu. Wąska droga zakręciła łagodnie w lewo i doprowadziła je do maleńkiego, białego domku z niskim, spadzistym dachem i pomalowanymi na czarno drzwiami wejściowymi. Drzwi miały po obu stronach okna, a powyżej widniała kolejna para okien. Był to dom jak z obrazka namalowanego przez dziecko ze szkoły podstawowej. Brakowało tylko rozmazanej, żółtej plamy uśmiechniętego słońca w prawym, górnym rogu.

Dokładnie naprzeciwko domu trawiasty brzeg usiany narcyzami schodził aż do strumienia. Po jego drugiej stronie rosły drzewa wyznaczające brzeg pola, gdzie miejscowi chodzili na spacer z psami. Na pierwszy rzut oka miejsce wyglądało jak idealna cicha przystań, ale Ellen przeżyła tu prawdziwe koszmary. Po przeprowadzce, gdy odkryła, w jak kiepskim stanie jest dom i jaka panuje w nim wilgoć, ochrzciła go mianem domu prosto z piekła. Wszystko było zbutwiałe albo spróchniałe. Z tym mogła jeszcze jakoś żyć, czekały ją jednak większe horrory, które wymagały natychmiastowego działania. Tygodniami oskrobywała pleśń ze ścian w kuchni. Jeszcze więcej czasu zabrało jej pozbycie się obrzydliwego smrodu moczu, który wydobywał się z mikroskopijnej łazienki na pierwszym piętrze. Dom należał wcześniej do pewnego mężczyzny, który mieszkał tu sam przez prawie pół wieku i tu też zmarł. Ellen była przekonana, że poprzedni lokator nigdy nie zawarł bliższej znajomości z podstawowymi środkami czystości. Nie było dnia, by nie przeklinała go za brak higieny, a szczególnie za nieumiejętność celowania w otwór sedesu. Ten pan, niczym jakiś kocur, znaczył chyba swój

teren na brudnym, zielono-żółtym linoleum, które częściowo pokrywało podłogę w łazience.

Całe to przeklinanie poprzedniego lokatora oraz ciężka praca w domu pozwoliły jej przynajmniej nie myśleć o Rogerze.

Gdy Roger zniknął, Ellen nie miała pojęcia, jaki zostawił po sobie bałagan. O drugiej hipotece na ich domu wiedziała, nawet przyłożyła do tego rękę, jako współwłaścicielka Sadowego Domu. Pieniądze z pożyczki miały pomóc Rogerowi rozwinąć nabytą krótko przedtem praktykę dentystyczną. Nie miała natomiast pojęcia o tym, że zgadzając się na tę transakcję, daje jednocześnie mężowi *carte blanche* na zaciąganie kolejnych pożyczek. Kilka dni po zniknięciu Rogera dowiedziała się, że przez cały zeszyły rok szastał pieniędzmi niczym wstawiony marynarz na urlopie, a ona nic o tym nie wiedziała. Niewiarygodne, ile potrafił wydać na weekend z Charmaine w Amsterdamie czy w Paryżu. A to wcale nie było jeszcze najgorsze. Roger uzależnił się od narkotyków. Nie tylko przepuścił wszystkie ich oszczędności, ale też sprawił, że Ellen nie mogła nawet liczyć na to, że uda jej się pociągnąć go do odpowiedzialności za długi, które po sobie zostawił.

Sama nie potrafiła powiedzieć, co zaszokowało ją bardziej – podwójne życie Rogera, czy jej własna głupota, która kazała jej wierzyć w te wszystkie konferencje stomatologiczne, na które nagle zaczął wyjeżdżać.

Musiała więc uporać się z emocjonalną traumą i rozpadem swojego małżeństwa, a jednocześnie zając się sprzedażą domu – ich ślicznego domu jak z marzeń. Trzeba było szybko znaleźć sobie inny dach nad głową i zacząć jakoś zarabiać na życie.

Zaparkowała koło stodoły. Nad jej szerokimi, okutymi drzwiami wisiał znak podobny do tego na szczycie uliczki: „Nad Strumieniem – Suszone Kwiaty”.

– Jesteśmy – oznajmiła zupełnie niepotrzebnie.

Jo-Jo wysiadła pierwsza. Ellen i Hermione odprowadziły ją wzrokiem, gdy przeszła przez wąską drogę i zeszła w dół do strumienia. Zamoczyła ręce w wodzie.

– Ale lodowa! – zawołała oskarżycielsko, jakby to była ich wina.

– Jesteś pewna, że wiesz, co robisz? – Hermione zwróciła się do Ellen w drodze do domku. – Ona nie będzie łatwym gościem.

– Nie ma sprawy. Zresztą to ty ją zaprosiłaś, żeby z nami pojechała.

– Ja tylko zwerbalizowałam to, co i tak chodziło ci już po głowie.

Ellen nic na to nie powiedziała, bo w słowach Hermione kryło się sporo prawdy.

Otworzyła drzwi do domu. W środku panował przyjemny chłód. Powiesiła swoją torbę na drzwiach, gdzie wisiały też jej kurtki – teraz już nie miała garderoby wielkości pokoju. Obsztorcowała się w myślach: Sadowy Dom należał już do przeszłości, teraz mieszka w Domku Nad Strumieniem. Rozejrzała się po przepelnionym pokoju, który służył jej za salon i jadalnię. Z dwóch belek nad głową zwisały ogromne wiązki suszonych kwiatów. W ten sposób sprytnie zamaskowała groźne pęknięcia w suficie. Po obu stronach kominka stały fotele, które obita żółto-niebieską tkaniną kupioną na rynku w Crantsford. Jak podkreślał sprzedawca, kolory były może zeszłoroczne, ale nie wychodzą z mody, bo klasyka się nie starzeje. Z kontrastującej tkaniny zrobiła też poduszki, które ułożyła na siedzisku w oknie wykuszowym z widokiem na ogród przed domem oraz na strumień. Na lewo od okna udało jej się wcisnąć jeden z niewielu mebli, jakie jej pozostały po małżeńskim życiu: duży kredens, który świetnie się prezentował w kuchni Sadowego Domu, tutaj natomiast przytłaczał mały pokój niczym rozrośnięty dąb w niewielkim, otoczonym murem ogródku. Sprzedałaby ten kredens wraz z pozostałymi meblami, ale sentyment wziął górę. Przy ścianie naprzeciwko kominka stał masywny, sosnowy stół. Przy nim jadła posiłki, ślęczała nad papierami, a czasem nawet zasypiała.

– Co dokładnie zamierzasz z nią począć? – zapytała Hermione, rozsiadając się w jednym

z foteli.

– Z Jo-Jo?

– No, a z kim innym?

Ellen przysiadła na siedzisku w oknie i wyjrzała na zewnątrz przez kwadratowe szybki. Jo-Jo leżała na trawiastym brzegu strumienia. Podwinęła nogawki spodni, a rękawy T-shirtu podciągnęła do góry aż po same pachy. Pasowała do tej scenerii pośród narcyzów. Wyglądała jak dziecko. Ellen nagle zatęskniła za swoim dzieckiem.

Simon miał dziewiętnaście lat, więc trudno byłoby go uznać za dziecko. Kończył drugi rok studiów i czasem wydawał się Ellen doroślejszy niż ona sama. Zawsze byli zżyci. Nie pozwalała sobie myśleć o tym, jak bardzo za nim tęskni, bo wtedy rozłąka stawała się nie do zniesienia... A tyle już utraciła.

– Ona jest w ciąży – skupiła uwagę z powrotem na Hermione.

– A to coś zmienia?

– Och, Hermione, jest taka młoda, a już zabałaganiała sobie życie.

– Aha, czyli twoim zdaniem lepiej z tym trochę poczekać, tak?

– Dobrze wiesz, o czym mówię.

– Wiem, ale to ty uważasz, że namieszała sobie w życiu. Może jej zdaniem wcale tak nie jest. Ile miałaś lat, gdy urodziłaś Simona?

– To co innego. Ja wyszłam za męża, jak tylko...

– Ile miałaś lat?

– Dwadzieścia. Zresztą dobrze to wiesz – wzruszyła ramionami Ellen.

Hermione powiedziała, co chciała powiedzieć, więc teraz przeszła do następnej kwestii.

– Jak rozumiem, zatrzymasz ją tutaj dzisiaj na noc, a jutro namówisz, żeby gdzieś się zgłosiła, tak? Jak myślisz, z kim należałoby się skontaktować?

– Może powinniśmy spróbować namówić ją do powrotu do rodziców?

– Niech panie nawet o tym nie myślą – z otwartych drzwi dobiegł je rozgniewany głos.

Ellen wstała niezręcznie.

– Masz ochotę na coś do picia?

Jo-Jo kiwnęła głową i poszła za Ellen do kuchni.

Ellen zdjęła karton soku pomarańczowego z półki koło kuchenki i odcięła róg nożyczkami. Sok chlupnął na blat.

– Moja babcia też tak zawsze robiła – roześmiała się nieoczekiwanie Jo-Jo, a jej rysy od razu złagodniały.

Odwróciła się i wzięła do ręki książkę kucharską *Łatwe dania dla jednej osoby*.

Ellen ogarnęła ochota, by pójść tropem tej przypadkowo pozyskanej informacji, ale po minie Jo-Jo zorientowała się, że byłoby to zinterpretowane jako wtrącanie się w nie swoje sprawy. Zresztą jakie ma prawo wypytywać Jo-Jo o jej życie? Zapewni dziewczynie dach nad głową na dzisiejszą noc, a jutro zajmie się znalezieniem jej czegoś na stałe. I na tym koniec. Jutro o tej samej porze zrobi już swoje dla ludzkości, jak określiła to w cukierni Jo-Jo. Podała dziewczynie szklankę soku.

– Masz ochotę na ciastko?

– Wolalabym kanapkę.

– Oczywiście.

Ależ z niej idiotka. Ona tu się wykazuje dobrymi intencjami i wydziela okruchy gościnności, podczas gdy dziewczyna musi się przede wszystkim porządnie najeść. Uderzyła ją absurdalność sytuacji, która była jej dziełem. Co ona wyprawia? Bawi się w królową dobroczynności z Crantsford, oferującą jedzenie i dach nad głową. Chyba kompletnie

zwariowała!

– Może być z serem i piklami?

Miała nadzieję, że tak. Poza tym miała jeszcze tylko kilka żałośnie wyglądających liści sałaty oraz kawałek przeterminowanego ogórka.

– Byłoby super. No, i...

Ellen czekała, aż dziewczyna dokończy zdanie.

– Tak? – powiedziała, gdy przedłużająca się pauza zrobiła się niezręczna.

Jo-Jo przełknęła ślinę.

– Chciałam pani podziękować. Mało kto by tak postąpił. Przecież mogłabym być jakąś naćpaną psychopatką.

– A nie jesteś?! – zawołała Hermione z dużego pokoju. Siedziała tam i przeglądała broszury z biura podróży. – Rozczarowałam mnie.

Jo-Jo i Ellen spojrzały po sobie i obie się uśmiechnęły.

– Ona tak zawsze? – zapytała szeptem Jo-Jo.

– Zawsze.

Ellen zrobiła Jo-Jo kanapki i repete, po czym dołączyły do Hermione w dużym pokoju. Podczas gdy Jo-Jo jadła, Hermione zasypywała ją pytaniami, na które dziewczyna odpowiadała albo wzruszeniem ramion, albo kłamała z miną pokerzysty. Gdy Hermione zapytała ją, gdzie mieszka jej rodzina, dziewczyna jasno dała jej do zrozumienia, że ma już dość tych pytań i oznajmiła znudzonym tonem:

– Przybyłam z innej planety.

Na co Hermione odparowała:

– A jak zachodzi się w ciążę na twojej planecie? Tak samo, jak u Ziemian, wielokrotnie sprawdzonym, przetestowanym sposobem, jakim jest uprawianie seksu?

Jo-Jo zamarła. Spojrzała oskarżycielsko na Ellen.

– Wiedziałam, że się pani domyśliła.

– No, to po co te tajemnice? – zapytała łagodnie Ellen. – Za kilka tygodni będzie ci jeszcze trudniej ukryć ciążę. Czy to przez dziecko uciekłaś z domu?

– Dziecko jest rozwiązaniem moich problemów – odparła i wepchnęła sobie resztę kanapki do ust. – To w pewnym sensie błogosławieństwo.

– Cóż, cieszę się, że aż tak ci pobłogosławiło – stwierdziła oschle Hermione. – Ellen, kochana, być może to jest właśnie sposób na rozwiązanie wszystkich naszych kłopotów.

Zajdźmy w ciążę i ucieknijmy z domu, a wtedy znikną wszystkie nasze problemy. Sama nie wiem, czemu na to wcześniej nie wpadłyśmy.

Jo-Jo zrobiła naburmuszoną minę. Zachodziła w głowę, jak dała się wmanewrować w przyjęcie pomocy od tych dwóch kobiet. Młodsza była w porządku, ale starsza to prawdziwa wariatka. Choć z drugiej strony, uśmiechała się jej noc w prawdziwym łóżku, a nie kolejna spędzona na przykościelnym cmentarzu. Miała wrażenie, że od tygodni nie spała we własnym łóżku, choć przecież opuściła dom zaledwie wczoraj. Matka znalazła u niej w pokoju test ciążowy, który zapomniała wyrzucić i gdy dowiedział się o tym ojczym, rozpętało się istne piekło. Dobrze wiedziała, że matka jest za słaba, by się za nią wstawić. Zresztą spodziewała się tego – dwa załamania nerwowe oraz dekada szpikowania się środkami uspokajającymi zrobiły swoje. Mąż matki miał nad nią pełną kontrolę. Jo-Jo pomyślała, że jak już się jakoś urządzi, to napisze do matki, by powiadomić, że wszystko u niej w porządku. Albo zadzwoni, gdy on będzie w pracy. Posmutniała na myśl o matce tkwiącej samej jak palec w tym żalnym domu, gdzie za całe towarzystwo ma telewizor.

– Nie zwracaj uwagi na Hermione – powiedziała łagodnym tonem Ellen. – Jest już stara i musimy dostarczać jej trochę rozrywki.

Posłała Hermione surowe spojrzenie. Hermione również zmarszczyła brwi i pokazała jej język.

Jo-Jo parsknęła śmiechem.

– Niezła z pań para, nie ma co. – Po kilku sekundach dodała: – Powód mojej ucieczki z domu to nic wielkiego. Nie dogaduję się z ojczymem. On lubi wszystkich rozstawiać po kątach. Mama nie potrafi stawić mu czoła, ale ja nie dam się tak traktować... Nigdy. Nie wrócę tam.

– Mam wrażenie, że twój ojczym to uroczy człowiek – rzuciła Hermione. – Może powinniśmy się uzbroić po zęby i opracować plan odbicia twojej matki?

Ellen zignorowała Hermione i zwróciła się do Jo-Jo:

– A co z ojcem dziecka? Czy on wie, że jesteś w ciąży?

– Wie, wie, ale nie chce mieć z tym nim wspólnego. Ani ze mną. Nie byliśmy parą... To nie było nic poważnego.

Dziewczyna wykręcała sobie mocno trzymane na kolanach ręce. Hermione to zauważyła i uznała, że starczy już tych pytań.

Godzinę później, gdy Jo-Jo się wykapała i dostała polecenie od Ellen, by iść się zdrzemnąć w małym pokoju Simona, Hermione zebrała swoje kolorowe broszury i oznajmiła, że czas na nią.

– Odwiozę cię – Ellen sięgnęła po kluczyki.

– Nic podobnego. Moje nogi poradzą sobie z krótkim spacerem do domu. Zadzwoń do ciebie jutro rano, żeby sprawdzić, co postanowiłaś w kwestii naszej młodej znajomej.

Kilka minut po wyjściu Hermione zadzwonił telefon.

– Ellen, to ja, Duncan.

– Cześć, Duncan. – Już miała dodać, że dopiero co o nim rozmawiały, ale przypomniała sobie, czego dotyczyła ta rozmowa, więc ugryzła się w język. – Jak się masz?

– Doskonale, dziękuję. Słuchaj, tak się zastanawiałem... Jeśli jutro nie pracujesz, to może dałabyś się zaprosić na lunch do mnie do domu.

– Och...

– Czy to odpowiedź odmowna?

– Nie. To znaczy tak. Bardzo chętnie. Po prostu mnie zaskoczyłeś, to wszystko.

Duncan nigdy wcześniej nie zaprosił Ellen do siebie do domu. Przed oczami stanął jej kuszący obraz eleganckiej, barokowej posiadłości.

– Zawsze mamy gości w Wielki Piątek. Mama tak lubi. Wiesz, pieczona jagnięcina i ludzie dookoła stołu.

Wizja barokowego domu natychmiast się zdematerializowała. Zastąpiła ją zdecydowanie mniej przyjemna wizja nieugiętej La Carter.

– Na którą mam przyjechać? – zapytała Ellen i zacisnęła powieki, by pozbyć się wyobrażenia matki Duncana, o której wiele słyszała od Hermione.

– Tak na dwunastą, wpół do pierwszej. Ale nie martw się, przyjadę po ciebie.

Ellen odłożyła słuchawkę na widełki i się uśmiechnęła. Hermione trafiła dziś rano w cukierni w dziesiątkę – Ellen całkiem poważnie myślała o Duncanie jako kandydacie na męża. Zresztą kto by nie myślał? Tylko czy istniała choćby najmniejsza szansa na to, że ktoś tak atrakcyjny, jak Duncan, porzuci swoją ciasno dopasowaną muszlę kawalera?

Rozdział czwarty

Po drodze do domu Hermione przyszło do głowy, że może nie powinna była zostawiać Ellen samej z kimś, o kim tak niewiele wiedziały. Jednak, gdy tylko przecięła główną drogę i weszła na Crescent, stwierdziła, że to absurd. Jo-Jo zgrywała się wcześniej na buntowniczą cwaniaczkę, ale emanowała z niej naiwność i uczciwość. Nie było powodu podejrzewać, że w nocy zaatakuje swoją dobrodziejkę siekierą albo ucieknie z rodzinnymi srebrami czy kartami kredytowymi.

Zresztą co by jej z tego przyszło? Hermione wiedziała lepiej niż ktokolwiek inny, że Ellen naprawdę ciężko się ostatnio powodziło. Firma jeszcze się nie rozkręciła i upłynie chyba jeszcze sporo czasu, zanim sytuacja finansowa znacząco się poprawi.

Hermione była już w połowie Crescent, ulicy, która swoim kształtem wcale nie nawiązywała do nazwy oznaczającej półksiężyc. Była to prostu cicha uliczka, przy której stały jedne z największych i najciekawszych domów w Crantsford. Większość budynków wzniesiono na przełomie wieków dla zamożnych, lokalnych przemysłowców tamtej epoki. Bliżej głównej drogi, którą właśnie szła Hermione, stało kilka nowszych domów. Były to nowoczesne budynki, indywidualnie zaprojektowane i zbudowane z czerwonej cegły, które dobrze wpasowywały się w otoczenie. Zdaniem Hermione zupełnie nie zasłużyły sobie na krytykę, z jaką spotkały się ze strony co bardziej konserwatywnych mieszkańców ulicy.

Zwolniła kroku, gdy zrównała się z jednym z nowszych budynków po prawej. To był Sadowy Dom. Zatrzymała się i przeklęła w duchu Rogera.

Ellen i Roger wprowadzili się do Sadowego Domu miesiąc po zakończeniu prac budowlanych. Było późne popołudnie i Hermione wracała właśnie z Crantsford, gdy pod dom Ellen i Rogera podjechała furgonetka firmy przeprowadzkowej. W tamtych czasach spacer do miasta po zakupy nie stanowił dla Hermione problemu, ostatnio jednak jej nogi i kręgosłup zaczęły się buntować. Korzystała więc z transportu miejskiego albo zabierała się z Ellen, która wielkodusznie podwoziła ją do sklepów. To właśnie w ten sposób bliżej się poznały. Któregoś ranka padało, Hermione wyprawiła się na zakupy z koszykiem i parasolką. Była już na końcu Crescent, gdy zatrzymał się koło niej mały, czerwony samochód. Atrakcyjna blondynka opuściła okno i zapytała Hermione, czy nie chce się z nią zabrać do miasta.

– Nie znam jeszcze okolicy – oznajmiła, gdy Hermione wdrapała się na siedzenie dla pasażera. – Gdybym gdzieś źle pojechała, to proszę krzyknąć.

Z miejsca się polubiły i wkrótce popadły w swoją wygodną rutynę z herbatą i ciastem w luksusowej kuchni Ellen, przy radiu, w którym nadawano popołudniową audycję z opowiadaniem. Po wysłuchaniu opowiadania dyskutowały na temat talentu autora, lub też jego braku, aż do czasu, gdy Ellen musiała się zabrać za przygotowanie do nakarmienia swoich mężczyzn, Simona i Rogera.

Simon był jednym z tych synów, dla których matki dałyby się pokroić. Wysoki, jasnowłosy, dobrze wychowany i zabójczo przystojny – większość dziewczyn również dałyby się dla niego pokroić. Gdy Roger dał nogę do Francji, Simon właśnie zdawał maturę. Hermione mogłaby się założyć, że ucieczka ojca wstrząsnęła nim dużo bardziej, niż to po sobie okazał. Trzeba było jednak przyznać, że nie stracił głowy, zdał egzaminy śpiewająco i wspierał matkę w najcięższych chwilach. Jak na tak młodą osobę, miał wyjątkowo przenikliwy umysł i był bardzo opanowany, a przy tym nie było w nim szczypty arogancji, która tak często towarzyszy tym cechom. W głowie się nie mieściło, że jakikolwiek ojciec mógłby odwrócić się plecami do tak wspaniałego syna.

Hermione nie była z natury mściwa, ale tego, co Roger zrobił Ellen i Simonowi, nie potrafiła mu wybaczyć. Jak również zmian, które wywołał w jej własnym życiu. Brakowało jej Ellen, która teraz musiała pracować i mieszkała trochę dalej od niej. Ellen zwykle robiła sobie tylko jeden dzień wolnego w tygodniu – w czwartki. Dla Hermione było to zdecydowanie za mało. Tęskniła za czasami, gdy miała Ellen tylko dla siebie. Ten cholerny Roger! Wszystko popsuł. Obwiniała go również o to, że przez niego uświadomiła sobie, jaką egoistką stała się na starość.

Szła dalej, aż dotarła do Domku Myśliwskiego. Budynek był odsunięty od ulicy o jakieś trzydzieści metrów. Wzdłuż krętego podjazdu rosły wczesne wiśnie. Mimo, że zaczęły kwitnąć zaledwie tydzień temu, trawniki wzdłuż gładkiego, czarnego asfaltu były już lekko przysypane delikatnymi, jasnorożowymi płatkami. Asfalt również pojawił się zaledwie tydzień temu. Wyglądał jak dywan położony przez eksperta.

Domek Myśliwski był jednym z najstarszych budynków na ulicy. Przez ostatnie pół roku stał się źródłem mnóstwa spekulacji. Był zdecydowanie największy i najelegantszy na Crescent i przez prawie rok stał pusty, nim znalazł się nabywca. Teraz trwał tam remont, który miał przekształcić go – jak pisano w lokalnej prasie – w „wyjątkowy dom seniora dla wyjątkowych ludzi”. Chodziły plotki, że remont miał się już ku końcowi. Ostatnio było tam zdecydowanie mniej hałaśliwych robotników, co potwierdzałoby tę tezę. Kilka dni temu w Domku Myśliwskim pojawili się cichsi goście. Podjechało parę czystych jak łąka aut, z których wysiedli mężczyźni w garniturach i kolorowych krawatach, jak również kobieta w apaszcze kunsztownie owiniętej wokół szyi. Wszyscy mieli ze sobą aktówki i byli zbyt pochłonięci rozmową, by zauważyć Hermione, która przyglądała im się zza żywopłotu, gdy obchodzili cały teren i potakiwali energicznie do swoich telefonów komórkowych. Hermione ochrzciła ich mianem Kierownictwa.

Gdy złożono wniosek o zmianę przeznaczenia budynku, mieszkańców Crescent zapewniono, że w żaden sposób nie wpłynie to na nich i nie będzie dla nich żadną niedogodnością. Hermione często się zastanawiała, na czym miałyby polegać ta niedogodność? Czy Kierownictwo martwiło się, że oczy mieszkańców Crescent urazi widok zmarłego wynoszonego z Domku Myśliwskiego? Może w związku z tym pracują już nad jakąś dyskretną metodą pozbywania się klientów, gdy staną się nieopłacalni?

Szła dalej w stronę Domu pod Złotokapem. Skręciła na zwirowy podjazd i odruchowo zatrzymała się, żeby wyrwać kępę dmuchawców. Odrzuciła je na bok, w całości, z korzeniami, prosto w ogromny krzew rododendronu. Jego nabrzmiałe pączki były prawie gotowe się otworzyć. Kwiaty błyszczące ponętym, mocnym różem wysuwały się już spod ochronnej otoczki. Hermione obeszła dom, przecięła podwórko i weszła do środka przez drzwi od tyłu.

Dzwonił telefon, ale zanim zdążyła przejść przez oranżerię – omijając poniewierające się tam kalosze, sekatory i ogrodnicze rękawice – i nim dotarła do kuchni, a potem do przedpokoju, telefon ucichł. Może powinna sprzedać więcej biżuterii i w końcu kupić sobie komórkę? Ten pomysł jak z księżycy tak ją rozbawił, że parsknęła śmiechem i poszła poszukać Botticello i Giotta.

Znalazła ich w dużym pokoju, zwiniętych w kłębki na jej ulubionym fotelu, pogrążonych we śnie w plamie słońca wlewającej się do środka przez wychodzące na południe okno w wykuszu. Duże szyby były tak dawno niemyte, że prawie nic nie było przez nie widać. Żaden z kotów nie ruszył się, gdy podeszła. Dopiero gdy mlasnęła językiem, Giotto, czarno-biały kocur z białym pyszczkiem, otworzył oczy i wyciągnął przed siebie przednie łapki. Następnie Botticelli uniósł swój pasiasty pyszczek i również się przeciągnął. Oba koty zeskoczyły na podłogę i zaczęły ocierać się o nogi Hermione, unosząc głowami rąbek jej spódnicy i mruczac rytmicznie.

– Grzeczne kotki – powiedziała Hermione i wzięła fotel we

władanie. Podniosła poduszkę z haftem krzyżykowym, na której wcześniej spał Giotto, a którą zrobiła prawie dwadzieścia lat temu, ułożyła ją sobie pod plecami i opadła z wdzięcznością na fotel. Była zmęczona. Tłumaczyła to sobie wyjątkowo ciepłym dniem. Zamknęła oczy i zapadła w późną, popołudniową drzemkę.

Śniła o sąsiadującym z jej domem Domku Myśliwskim i o rzędach krzeseł z wysokimi oparciami, które nachylały się do przodu za naciśnięciem guzika, zrzucając siedzących na nich ludzi na podłogę.

* * *

Duncan wrzucił drugi bieg i ostrożnie podjechał pod elegancką, kutą bramę Crantsford Hall. Jej przypominające dzidy czubki pomalowane były na złoto. Ruszył wolno brukowanym podjazdem i zatrzymał się przed rzędem garaży. Zawahał się przez kilka chwil, po czym zgasił silnik. Oparł głowę o zagłówek i zamknął oczy, by lepiej skupić się na dźwiękach „Kindertotenlieder” Mahlera. Przepełniało go poczucie przemożnego szczęścia. Nie tylko w końcu kupił sobie nowe bmw – na ten konkretny model czekał cierpliwie przez ponad trzy miesiące – ale miał przed sobą perspektywę czterech dni wolnego, które zamierzał poświęcić na grę w golfa i spotkania z Ellen.

Gdy CD dobiegło końca, z oporami otworzył oczy, wziął swoją aktówkę oraz gazetę wieczorną z siedzenia pasażera, zamknął auto, włączył alarm i poszedł wolno w stronę domu. Otworzył sobie ciężkie, dębowe drzwi i ruszył po kamiennej posadzce.

– Czy to ty, Duncanie?

Zignorował to pytanie, starannie ustawił aktówkę obok komody z wybrzuszonym frontem, poprawił tulipan w stojącym na niej wazonie, rzucił okiem na pocztę czekającą na niego na dużej, srebrnej tacy, po czym poszedł poszukać matki. Znalazł ją w jadalni, przy odległym końcu georgiańskiego stołu, zajętą odkurzaniem dębowych paneli miotką z piór.

– Co ty wyprawiasz?

– Bardzo cię proszę, nie mów do mnie takim tonem, Duncanie. Mam za sobą ciężki dzień. Sprawiono mi zawód. Pani Harmen dziś nie przyszła. Nawet nie zadzwoniła. Po prostu ani słowa. Nic. Jestem kompletnie wykończona. Dobrze choć, że mam dość oleju w głowie i postanowiłam odwołać jutrzejszy lunch. To będzie cud, jeśli w ogóle jutro dam radę wstać z łóżka, po tym całym dzisiejszym sprzątanu, o gotowaniu już nie wspominając. Będziesz musiał do wszystkich zadzwonić i wyjaśnić sytuację. Powiedz im, że się rozchorowałam. Może nawet przyślą kwiaty.

– Nie wygłupiaj się – powiedział Duncan i zacisnął pięści za plecami. Był wściekły, że w tak brutalny sposób wyrwano go z dobrego nastroju. Dobrze wiedział, że matka weszła teraz w rolę „bezradnej kobiety, która się załamała”. Powiedział więc tylko: – Muszę się czegoś napić.

Po czym odwrócił się i wymaszerował z jadalni do bawialni, gdzie otworzył butelkę whisky i nalał sobie sporą porcję trunku, po czym szybko go wychylił. Nie potrafił powiedzieć, co rozzłościło go bardziej: matka czy fakt, że przed chwilą prawie stracił nad sobą kontrolę.

Gdy Nadia do niego dołączyła, wypił już kolejną szklaneczkę whisky i uspokoił się na tyle, by móc powiedzieć:

– Nie martw się jutrem, wszystko będzie dobrze. Możesz rano dłużej pospać, a ja zajmę się lunchem.

Uśmiechnęła się.

– Co ja bym bez ciebie poczęła, Duncanie?

– W rzeczy samej, co?

Hermione usłyszała dzwonienie, odległe, ale uparte. Po chwili ucichło, ale zaraz znowu się odezwało. Była już zupełnie rozbudzona i miała pełną świadomość, że to telefon. Poszła

pośpiesznie do przedpokoju i podniosła słuchawkę.

- Gdzieś ty się podziewała?
- Spałam, a co, nie wolno?
- Całe popołudnie?
- Matthew, to nie twoja sprawa, co robię...
- Przepraszam. Po prostu się martwiłem. Od rana próbuję się do ciebie dodzwonić.

Wszystko w porządku?

Hermione się uśmiechnęła.

- Nic mi nie jest, naprawdę. Miałam całkiem udany dzień.
- A co się takiego wydarzyło? Włamałaś się do miejscowej poczty?
- Matthew, jesteś najbardziej irytującym i najbardziej niegrzecznym człowiekiem, jakiego miałam kiedykolwiek nieszczęście poznać.
- To twoja wina. Jako moja matka chrzestna, powinnaś była brać większy udział w moim wychowaniu.

– No, właśnie. Szkoda, że cię nie utopiłam w chrzcielnicy czterdzieści dwa lata temu!

Matthew parsknął śmiechem.

– A więc tak mi się dziękuje za to, że zadzwoniłem, żeby sprawdzić, jak się miewasz i zapytać, czy mogę do ciebie przyjechać w sobotę?

– Że co? Znaczą pojutrze?

– To jakiś problem?

– Wiesz, planowałam spędzić wielkanocny weekend w balonie na gorące powietrze, ale chyba mogę to odłożyć na później. A jaki jest powód twojej wizyty?

– Chcę się z tobą zobaczyć.

– Bzdura. Gdy chcesz się ze mną zobaczyć, nigdy nie dzwonisz, tylko po prostu się zjawiasz. Czym ta wizyta się różni? Czemu informujesz mnie z wyprzedzeniem?

– Jeśli już musisz wiedzieć, to dostałem zamówienie od twoich sąsiadów, Buchananów.

Jacy oni są?

– Jego sam rozpracujesz, ale ona jest urocza, taka trochę słodka idiotka.

Matthew jęknął.

– Mają więcej pieniędzy, niż kiedykolwiek byłbyś w stanie wydać. A teraz, jeśli nie masz mi już nic więcej do powiedzenia, muszę szybko do łazienki. Do widzenia.

– Hermione...

– Tak?

– Uważaj na siebie, dobrze?

– Matthew, gdy nadejdzie dzień, że nie będę w stanie dojść o własnych siłach do łazienki, strzelę sobie w łeb.

– Nie to miałem na myśli, stara wariatko.

– Wiem. Po prostu nie lubię, jak ludzie robią się sentymentalni.

– No, to do zobaczenia w sobotę. Będę późno, pewnie jakoś koło dziesiątej. Zjem po drodze. Pa.

Rozdział piąty

Po przebudzeniu Ellen usłyszała muzykę. Ciche dźwięki sączyły się z dołu. Przez ułamek sekundy myślała, że w środku nocy przyjechał Simon i że jest teraz w kuchni, gdzie przygotowuje sobie gigantyczną kanapkę przy dźwiękach radia na cały regulator. Zawsze mówił, że to pomaga mu się skoncentrować. Zachowywał się jak typowy młodzieniec, podczas gdy ona, jak typowy rodzic, zawsze przyciszała radio.

Dotarło do niej, że podłoga w sypialni nie pulsuje jednak w rytmie czegoś wściekle szybkiego, więc zrozumiała, że to nie Simon jest na dole, lecz Jo-Jo już wstała i kręci się po domu.

Ellen nie widziała Jo-Jo przez cały wieczór. Dziewczyna poszła uciąć sobie popołudniową drzemkę i spała aż do rana. Musiała być niezłe zmęczona.

Ellen wstała z łóżka i podreptała na dół. Znalazła Jo-Jo w małej, ciasnej kuchni. Była już ubrana – miała na sobie te same ciuchy, co poprzedniego dnia. Przygotowywała coś do jedzenia przy dźwiękach radia. Kręciła przy tym biodrami. Robiła wrażenie kogoś, kto nie ma najmniejszego powodu do zmartwień.

– Dzień dobry.

Jo-Jo aż podskoczyła i obróciła się w stronę Ellen.

– Ojej, przepraszam – wymamrotała z pełnymi ustami. Sądząc po słoiku stojącym na blacie kuchennym i zapachu dochodzącym z tosterka, jadła właśnie tosta ze smarowidłem do chleba Marmite. – Obudziłam panią?

– Obudziłaś, ale już pora, żeby wstała. Jak się czujesz? Dobrze spałaś?

– Wspaniale i czuję się świetnie. No, przynajmniej jak na ciężarną uciekinierkę. Wzięłam sobie trochę chleba, mam nadzieję, że nie ma pani nic przeciwko temu?

Ellen pokręciła głową.

– Zrób sobie jeszcze jednego tosta, a ja zaparzę nam herbaty.

– Nie – odparła Jo-Jo. – Niech pani sobie usiądzie, ja przygotuję śniadanie. – Zawahała się na moment, po czym parsknęła śmiechem. – Do cholery, brzmię zupełnie tak, jak w domu.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Tak obchodzę się z mamą. Czasem to ona jest jak dziecko i tak ją trzeba traktować.

Ellen sprzątnęła stół w dużym pokoju, a Jo-Jo przyniosła tam śniadanie na tacy.

– Jesteś bardzo udomowiona, jak na kogoś w twoim wieku – stwierdziła Ellen, nieco rozbawiona całą sytuacją.

Jo-Jo wzruszyła ramionami.

– Robię to od lat. Czy też raczej: kryję mamę od lat. Mój ojczym nie znosi, gdy sprawy nie są załatwione tak, jak on lubi. A mama jest w zbyt kiepskim stanie, by poradzić sobie z prowadzeniem domu czy gotowaniem. Więc po powrocie ze szkoły robiłam zakupy, wsadzałam coś do piekarnika i obierałam warzywa. Mamie zostawało tylko podać mu jedzenie na stół, gdy wrócił z pracy.

Ellen była zszokowana.

– Od jak dawna to trwa?

– Całe wieki. Odkąd sięgam pamięcią.

Ellen nie miała serca zapytać Jo-Jo, jak jej matka sobie bez niej teraz poradzi.

Przez chwilę jadły w milczeniu, aż dziewczyna powiedziała:

– Pozmywam po śniadaniu i będę się zbierać. Może uda mi się znaleźć jakiś hostel albo coś w tym rodzaju.

Po chwili milczenia Ellen odparła:

– Chyba tak będzie najlepiej.

Jo-Jo podniosła na nią wzrok.

– Najlepiej? – powtórzyła, a w jej głosie dało się słyszeć rozczarowanie.

Myślała, miała nadzieję, że może będzie mogła... Och, kogo ona próbuje nabrać?

Znalazła dach nad głową na jedną noc i coś do zjedzenia, czego więcej mogła się spodziewać? To nie jest bajka, gdzie wszystko kończy się spotkaniem i ślubem z przystojnym księciem, czy też – jak powiedziałby Alan – z osobą o ponadprzeciętnych dochodach i atrakcyjnym wyglądem.

Ellen strzepnęła okruszki tosta z palców, po czym odsunęła swój talerz.

– No, tak, najlepiej – powiedziała w końcu stanowczym, pełnym determinacji tonem. – Ostatecznie zrobiłam już swoje dla ludzkości, dołożyłam swoje dwa grosze do skarbonki dla biedoty. Nikt nie może mnie oskarżyć o to, że nie pomogłam.

Nie podobały jej się własne słowa, ale musiała się jakoś zdystansować od Jo-Jo i jej problemów. Miała dość własnych.

Zaczęła zbierać kubki i talerze, z hukiem odkładając je na tacę.

– No, bo co jeszcze miałabym zrobić? – zapytała, unikając wzroku Jo-Jo.

– Mogłaby mi pani pozwolić tu zostać, aż uporządkuję swoje sprawy... – wyszeptala Jo-Jo nieśmiało. – Mogłabym pomóc. Całkiem nieźle gotuję...

Ellen opadła na krzesło.

– Ale mnie na to nie stać. Ledwie starcza mi na dach nad własną głową i okazjonalnie Simona. Skąd wezmę dla kogoś jeszcze?

– To może chociaż w weekendy?

– Wracaj do domu, Jo-Jo – zdenerwowała się Ellen. – Po prostu wróć do domu i załatw sprawy z rodzicami. Zawiadom opiekę społeczną, skontaktuj się z...

– Z kimkolwiek, byle to nie była pani, co?

– To niesprawiedliwe.

– Życie podobno nie jest sprawiedliwe. Jeśli pani pozwoli, zrobię tak, jak się umówiliśmy. Pozmywam i sobie pójdę. Nie będzie już pani musiała o mnie więcej myśleć.

– Och, przestańże dramatyzować – zmiękła Ellen. – Odstaw tę tacę. Boże, ależ ja jestem głupia!

Jo-Jo zrobiła, co jej kazano.

– Możesz tu zostać przez święta, a we wtorek znajdziemy ci jakieś lokum na stałe. Nie przerywaj, jeszcze nie skończyłam. Pozwolę ci tu zostać przez następne kilka dni pod warunkiem, że zadzwonisz do mamy i powiesz jej, że jesteś bezpieczna. Zgoda?

Jo-Jo kiwnęła głową.

– I może powinnaś pójść do lekarza? Nie chcę, żebyś mi tu znowu zemdląła.

Jo-Jo znów skinęła lekko.

– Dobrze. A teraz zabieraj się za to zmywanie!

Ellen poszła za rozpromienioną Jo-Jo do kuchni.

Zadzwonił telefon. To była Hermione.

– Jak się ma nasza mała uciekiniarka? Mam nadzieję, że nie dała nogi z rodzinnymi srebrami?

– Nie – odpowiedziała Ellen, patrząc na Jo-Jo, która właśnie wyciskała długie, cienkie, żółte pasemko taniego płynu do mycia naczyń do zlewu. – Nie tak dużo! – zawołała, przerażona tą rozrzutnością. – Przepraszam, co mówiłaś, Hermione?

– Dzwonię, żeby sprawdzić, czy nie zostałam w nocy obrabowana.

– Tylko ze zdrowego rozsądku. Jo-Jo zastosowała wobec mnie szantaż emocjonalny,

żebym pozwoliła jej zostać przez cały weekend.

Hermione zachichotała.

– Ciekawe czemu wcale mnie to nie dziwi.

– Pewnie dlatego, że wiesz, jak mało jestem odporna.

– Nie gadaj bzdur. Masz większe serce niż ci wszyscy słabi, mdli ludzie, którzy mijali wczoraj Jo-Jo, udając, że jej nie dostrzegają.

– Nie przypominam sobie, żebyś ty jej coś dała. Czy to znaczy, że jesteś słaba i mdła?

– Nie, jestem po prostu największą sknerą na świecie! Żaden Szkot się do mnie nie umywa.

Ellen uśmiechnęła się i pomyślała, że jeśli Hermione kiedyś postrada zmysły, nikt tego nawet nie zauważy.

– Hermione – zerknęła na zegarek. – Muszę lecieć. Za dwie godziny wychodzę i muszę się jeszcze przygotować, umyć włosy i zebrać się do kupy.

– Domyślam się, że chodzi o Duncana?

– Owszem, zaprosił mnie na lunch do samego Crantsford Hall.

Hermione zagwizdała.

– Pora poznać szanownych rodziców, tak? O-o. Co zamierzasz założyć? Lepiej nic wyzywającego.

– Bez obawy, przecież będzie tam La Carter.

– Słuchaj, Ellen, nie zmarnuj tej szansy. Siedź przy stole i potakuj grzecznie swoją śliczną główką jak jeden z tych przeokropnych, zabawkowych psów, które ludzie wożą za tylną szybą. Jeśli będziesz trzymać buzię na kłódkę, ona jeszcze bardziej cię polubi. I za nic w świecie nie mów, że byłaś ostatnio chora. Nikt poza La Carter nie ma prawa źle się czuć. Rozumiesz?

Ellen parsknęła śmiechem.

– Skąd ty tyle o niej wiesz?

– Stare pieniądze, Ellen. Z nimi zawsze wiąże się to, co najgorsze, zwłaszcza w przypadku takiej starej wiedźmy, jak Nadia Carter. Pamiętaj, że były czasy, gdy sama miałam co nieco w banku. No, ale to nieważne. Idź się odpicować, a ja zamienię słowo z Jo-Jo. Aha, i, Ellen...

– Tak?

– Staraj się nie myśleć o Danielu i jaskini lwów.

Rozdział szósty

Duncan przyjechał przed umówionym czasem, czego zresztą Ellen się spodziewała.

Nauczyła się tego o nim, gdy reprezentował ją podczas rozvodu. Zawsze był gotowy przynajmniej pięć minut przed czasem. Czekał na nią w swoim schludnym biurze z belkami pod sufitem przy Church Walk Mews, a wszystkie sprawy załatwiał niezwykle sumiennie.

Jej pierwsza wizyta u niego w biurze kosztowała ją niemal tyle samo, co przeczytanie listu, który Roger zostawił jej na kominku. Była umówiona na jedenastą, ale przyjechała dużo za wcześnie. Siedziała w niewielkiej poczekalni i przyglądała się elegancko ubranym mężczyznom i kobietom, którzy wchodzili i wychodzili przez otwarte drzwi. Jak się domyśliła, byli to inni prawnicy pracujący w kancelarii Church Walk Mews Solicitors. Za pięć jedenasta Duncan wyszedł po nią do poczekalni.

– Pani Jacobs – powiedział z energią i podał jej rękę. – Jestem Duncan Carter.

Zacniemy?

Był młodszy, niż się spodziewała, ale ostatecznie rozmawiała z nim tylko krótko przez telefon kilka dni wcześniej. Po głosie sądząc, spodziewała się kogoś po pięćdziesiątce, z przeredzonymi włosami i w znoszonym, wyświechtanym garniturze w wyblakłe prążki. W rzeczywistości trudno było oszacować wiek Duncana Cartera. Gęste, czarne włosy, dobrze przystrzyżone i zaczesane na jedną stronę, nadawały mu młodzieńczy, chłopięcy wygląd, który jednak klócił się z afektowanym sposobem, w jaki mówił i poruszał się po biurze. Miał na sobie modny, jednorzędowy garnitur, doskonale dopasowany do szczupłej sylwetki. Jego buty, klasyczne, sznurowane, były równie czarne, co jego włosy, a ich czubki tak lśniły, że konkurować z nimi mogło tylko wypolerowane biurko, przy którym zasiadł. Wskazał jej wygodny fotel, poczekał, aż zajmie miejsce, po czym zdjął marynarkę i poświęcił kilka sekund na ułożenie jej równo na oparciu własnego fotela. Następnie usiadł, wziął do ręki pióro i spojrzał na Ellen.

Przez blisko godzinę słuchała w oszołomieniu, jak wyjaśniał jej, na czym polegają nakazy alimentacyjne, wstępne orzeczenia o rozwodzie i prawomocne orzeczenia o rozwodzie. Jednocześnie przyglądała się, jak metodycznie i wolno przesuwiał pióro w tę i z powrotem między kciukiem a palcem wskazującym.

– To nie będzie przyjemne – rzucił łagodnie, gdy w końcu powiedział już wszystko, co miał do powiedzenia. – Ale damy radę. Proszę tylko pamiętać, że moim zadaniem jest sprawić, by tych nieprzyjemności było jak najmniej. Czy ma pani jakieś pytania?

Miała tylko jedno:

– Ile to będzie kosztowało?

– Moje honorarium wynosi sto funtów za godzinę – odpowiedział, nawet nie mrugnawszy przy tym okiem.

Sto funtów za godzinę!

– W takim razie napiję się herbaty. Chyba, że za nią płaci się dodatkowo?

Kilka minut później podano herbatę w delikatnej porcelanie.

– Pani Jacobs – powiedział prawnik, gdy znowu zostali sami i podał jej filiżankę ze spodkiem przez swoje biurko. – Proszę mi wybaczyć impertynencję, ale niech pani nie pozwoli, by kwestia pieniędzy zaburzyła pani dłuższą perspektywę.

Ta rada trafiła w próżnię, bo od odejścia Rogera myślała tylko o pieniądzach. Czy starczy jej na zapłacenie rachunku za prąd i zatankowanie benzyny? Czy może sobie pozwolić na taką ekstrawagancję, jak ciastka z prawdziwą czekoladą zamiast tanich herbatników z supermarketu,

zawsze pokruszonych i pokrytych brązową, przyklejającą się do podniebienia substancją udającą czekoladę?

Przyglądała się przez okno, jak Duncan parkuje auto koło stodoły. Chyba było nowe. Rzeczywiście, parę miesięcy temu wspomniał o tym, że zamówił bmw. Uśmiechnęła się do siebie, bo właśnie do niej dotarło, dlaczego zaproponował, że po nią przyjedzie.

Szedł już w stronę domu. Ellen pogratulowała sobie wyboru kreacji – bladuróżowej, Inianej spódnicy z żakietem, które miała od lat i które zawsze poprawiały jej humor. Założyła, że będą pasowały do ubrania Duncana. I się nie pomyliła. Miał na sobie eleganckie, szare spodnie z granatową marynarką, białą koszulą i krawatem. Sama musiała przyznać, że tworzyli razem atrakcyjną parę. Pozwoliła mu zadzwonić do drzwi. Po co ma wiedzieć, że krążyła po domu, bo się go nie mogła doczekać. Policzyła do pięciu, powiedziała do siebie pod nosem:

– Jak kocha, to trochę poczeka. – Po czym otworzyła drzwi. – Duncan! – Miała nadzieję, że jej głos oddał radość wynikającą ze spotkania. – Wejdz. Muszę tylko znaleźć swoją torebkę. Napijesz się czegoś?

– Dziękuję, nie – odpowiedział grzecznie.

Przyglądała mu się, jak wszedł trochę niezręcznie do niewielkiego pomieszczenia. To była jego pierwsza wizyta w Domku Nad Strumieniem. Przy okazji poprzednich wspólnych wyjść umawiali się wieczorami w restauracjach. Duncan zawsze rezerwował wcześniej stolik. Zaczął ją zapraszać na kolacje dopiero wtedy, gdy sprawa rozwodu była sfinalizowana. Gdy nadal była jego klientką oraz mężatką, w najmniejszy sposób nie dał jej do zrozumienia, że jest nią zainteresowany. Najwyraźniej był człowiekiem zasad.

– Ślicznie tu wszystko urządziłaś, Ellen – oświadczył, pochylając się lekko, by nie uderzyć głową w bukiety suszonych kwiatów zwisające z sufitu. – Uroczy domek. I bardzo w twoim stylu.

– Nadal się przyzwyczajam do tego miejsca – odpowiedziała i złapała swoją torebkę oraz bukiet narcyzów, które zebrała rano nad rzeką. – Ale po Sadowym Domu tu jest trochę...

Duncan uniósł dłoń do góry.

– Ellen, już ci mówiłem, że przeszłość jest bez znaczenia. Liczy się to, gdzie jesteś teraz i dokąd zmierzasz.

Pomyślała o Crantsford Hall i się uśmiechnęła.

– Być może masz rację. To co, idziemy?

Duncan wyjechał z Beggarman's Lane na główną drogę i zerknął kątem oka na Ellen. Wyglądała dziś wyjątkowo atrakcyjnie. Zauważył też, że jej długie nogi znajdują się zaledwie parę centymetrów od dźwigni skrzyni biegów.

– Świetne auto – powiedziała Ellen, świadoma tego, że Duncan się jej przypatruje. – Nowe, prawda? – dodała, próbując jednocześnie dyskretnie obciągnąć na sobie spódnice, która jednak odmawiała współpracy.

Uśmiechnął się i lekko docisnął pedał gazu.

– Wczoraj je odebrałem. Podoba ci się?

– Jest piękne – odparła. – Musi się cudownie prowadzić.

– To prawda – przyznał i wziął zakręt na tyle szybko, by poczuć siłę ciężenia. Zaraz potem musiał ostro przyhamować, bo miał przed sobą stareńkiego austina allegro, który z trudem toczył się trzydzieści na godzinę.

Ellen dobrze wiedziała, czego należy się następnie spodziewać. Ostatecznie Duncan miał prawo zachowywać się jak niespełniony kierowca rajdowy – jak każdy mężczyzna za kierownicą nowego auta. Wstrzymała oddech, gdy Duncan wyprzedził austina i tak ostro dodał gazu, że wcisnęło ją w fotel i trzymało przez chwilę w tej pozycji. Gdy wjechali w strefę ograniczonej

prędkości na szczycie Church Walk, Duncan zwolnił. Skręcił w drogę omijającą centrum miasta i skierował się na północny wschód, w stronę Mobberley. Gdy skończyło się ograniczenie prędkości, znowu dodał gazu. Kilka minut później pruli już przez pola. Wreszcie Duncan zwolnił i przejechali przez kutą bramę. Wzięli zakręt na brukowanym podjeździe i zobaczyli przed sobą Crantsford Hall. Wyglądał olśniewająco w południowym słońcu, lekko wyniesiony ponad otaczający go trawnik z kępami żółto-białych narcyzów, których delikatne główki podskakiwały na łagodnym wietrze.

– Od jak dawna tu mieszkasz? – zapytała Ellen.

– Przeprowadziliśmy się, gdy miałem dziesięć lat. Oczywiście okresowo mieszkałem gdzie indziej: gdy byłem w szkole z internatem, na studiach. Kilka lat spędziłem w Londynie. Mam też własny dom w Alderley Edge. – Zrobił krótką pauzę, po czym dodał: – Po nieoczekiwanej śmierci ojca, przeprowadziłem się tutaj z powrotem, by mieć Nadię na oku.

Zaparkował koło zakurzonego range rovera i metalicznie szarego jaguara.

– Jak to dobrze – powiedział i wyłączył silnik. – Wszyscy już są.

Weszli do domu przez duże, dębowe drzwi, które Duncan przed nią przytrzymał.

– Wygląda na to, że są w bawialni – oświadczył.

I rzeczywiście, przeszli obok kilku par zamkniętych drzwi płycinowych, minęli wiszące na ścianach ponure obrazy olejne przedstawiające XVIII-wiecznych arystokratów, i wreszcie dotarli do pokoju, gdzie stali goście z kieliszkami w rękach, pogrążeni w uprzejmej rozmowie. Ellen nikogo nie rozpoznała, ale знаła ten typ ludzi: bufony i fanfarony, jak Hermione mówiła na co poniektóre z szanowanych w Cranstford osób.

Podeszła do nich wyjątkowo okazała kobieta. Nie była gruba, po prostu wszystko w niej było dużych rozmiarów: ramiona, ręce, stopy, nawet oczy. Była potężna. Gdyby Ellen chciała być miła – czego wcale nie była pewna – powiedziała by o tej kobiecie, że jest grubokoścista, niczym jakiś dinozaur! Ellen z miejsca zapalała do kobiety niechęcią.

– Nadiu – odezwał się Duncan. – Przedstawiam ci Ellen Jacobs. Ellen, oto moja matka.

– Odsuń się na bok, żebym mogła rzucić na nią okiem – zniecierpliwiła się Nadia.

Chciała się dobrze przyjrzeć gościowi Duncana, zwłaszcza, że dopiero parę godzin temu poinformował ją o tym, że zaprosił jeszcze kogoś na lunch. Długie nogi i blond włosy, stwierdziła z lekceważeniem, łypnąwszy na nowoprzybyłą. Skąd on je bierze?

Ellen podała gospodyni duży bukiet narcyzów.

– Właśnie widziałam pani ogród, więc trochę mi niezręcznie, że przyniosłam akurat te kwiaty – wyjaśniła ze śmiechem.

– Prześliczne – powiedziała Nadia, nie patrząc nawet na wiązankę.

Duncan wyczuł dezaprobatę matki, więc postanowił zainterweniować.

– Nadiu, wstaw je do wazonu, a ja tymczasem przedstawię wszystkim Ellen.

Nadia niechętnie spełniła polecenie syna. W kuchni wrzuciła kwiaty do zlewu, łyknęła sherry z kieliszka, który ukryła za słójkami z ziołami i przyprawami we wnęcie nad kuchenką i szybko wróciła do bawialni. Zdażyła jeszcze na końcówkę prezentacji. Właśnie dopełniano kieliszki Henry'ego i Cynthii Kovalów, a Winstanleyowie, Maurice i Phyllis, ściskali sobie ręce z Ellen.

– Jacobs – oznajmił głośno Henry, podchodząc do Ellen. – Skądś znam to nazwisko. Tylko, do cholery, za nic nie mogę sobie przypomnieć skąd.

– Oj, zawsze tak mówisz – powiedziała przeciągle Cynthia. – Niech pani nie zwraca na niego uwagi, Ellen. Jemu się wydaje, że zna wszystkich w Crantsford.

– Gra pani w golfa? – zapytał Maurice, który, sądząc po ogorzałej twarzy i czerwonym

nochal, nie stronił od klubowego baru i torby z kijami. – Tak właśnie poznała pani Duncana?

– Nie – odparła rozbawiona Ellen. – Nie gram w golfa.

– Poznaliśmy się z Ellen w kontekście zawodowym – wyjaśnił Duncan, który właśnie przyniósł tacę z oliwkami i orzechami nerkowca.

– Ależ oczywiście! – stwierdziła Maurice. – Ach, czyli należy pani do jajogłowych, czy tak? Od razu tak pomyślałem, jak tylko panią zobaczyłem. Powiedziałem sobie, to nie jest jakaś tam ładna lala z długimi nogami. Jest pani prawniczką?

Lala! Jeszcze słowo i ta lala podbije mu oko!

– Jeśli chodzi o ścisłość... – zaczęła Ellen, siląc się na uprzejmy uśmiech. – Duncan był moim prawnikiem. Zajmował się moim...

– Maurice, dajże spokój – przerwał jej Duncan. – Przypominam ci, że dziś zostawiłeś swoją perukę w domu.

– Perukę? – powtórzyła Ellen i sięgnęła po kilka oliwek. – Jest pan prawnikiem czy transwestytą?

– Moja droga Ellen – wtrąciła się z dezaprobatą Nadia. – Maurice jest sędzią. Na pewno słyszała pani o sędzim Winstanleyu.

I, jakby chciała nie dać Ellen o tym zapomnieć, Nadia posadziła ją obok Maurice'a, czerwono-nosego sędziego. Obiad podano w ogromnej, wyłożonej dębową boazerią jadalni ze lśniąco-białymi, także dębowymi podłogami i kamiennym kominkiem wielkości łóżka. Pokój musiał wychodzić na północ, bo było w nim zimno jak w psiarni. Ellen zerknęła z dezaprobatą na wychłodzony kominek.

Rozmowa przy stole dotyczyła praktycznie wyłącznie birdie i handicapów oraz, co było jeszcze bardziej ekscytujące, faktu, że Winstanleyowie nie odnowią ubezpieczenia w AA po tym, jak w lutym musieli ponad pół godziny czekać na poboczu drogi M6 na przyjazd pomocy drogowej, gdy zepsuł się ich jaguar. Ellen się wyłączyła, głosy gości szumiały tylko w tle. Wyobrażała sobie, jak jako pani na Crantsford Hall z nieograniczonym budżetem ożywi trochę ten posępny pokój. Smętne, brudnozielone zasłony poszłyby na pierwszy ogień. Zastąpiłaby je obficie udrapowaną tkaniną w ciepłych odcieniach, pewnie w czerwieniach czy złocieniach – jakimkolwiek kolorze, który ociepliłoby to pomieszczenie. Następnie rozpałiłaby w kominku i wszędzie poustawiała kwiaty: naręcza narcyzów na wiosnę, a latem mnóstwo pachnącego groszku i róż. Wszystko, by osłodzić panującą w jadalni ołowianą atmosferę.

– Jacobs! – ryknął Henry-do-cholery-Koval, który siedział po drugiej stronie stołu.

Ellen aż podskoczyła i posłała kawałek pieczonej jagnięciny przez stół, po czym chlusnęła sosem miętowym.

– Do cholery, przypomniałem sobie! – rozpromienił się Henry. – Wiedziałem, że w końcu sobie przypomnę. Był taki jeden dentysta na Lower Market Street, który się nazywał Jacobs.

Cholernie kiepski dentysta. Przyszedłem kiedyś na umówioną wizytę, a jego nie było. Związał do Francji z jakąś dzidzią. No, naprawdę! Słyszałem, że zostawił po sobie śliczną żonę i górę długów większą niż dług publiczny kraju trzeciego świata... – Przerwał, bo zobaczył minę Ellen.

– O, do cholery! – wymamrotał, wytrącony z równowagi jeszcze bardziej, niż ona.

Nadia postanowiła przypuścić atak.

– Och, droga Ellen. Nie miałam pojęcia, że jest pani właśnie tą panią Jacobs.

– Mamo...

– Dajże mi spokój, Duncanie. Powinieneś być nas uprzedzić. To niewybaczalne, że przez ciebie Henry wpadł w takie zakłopotanie, a Ellen poczuła się poniżona. Czemu nie powiedziałeś, że prowadziłeś jej sprawę rozwodową? Po co te tajemnice?

Nie była w stanie ukryć swojego zadowolenia z rozwoju

sytuacji.

– Nie wydawało mi się, że to kogokolwiek powinno obchodzić – stwierdził po prostu Duncan.

Podniósł mięso Ellen z obrusa, położył je na swoim talerzu i starannie wytarł palce w serwetkę.

– Wcale nie czuję się ponizona – skłamała Ellen i podniosła wzrok znad stygnącej jagnięciny. – Henry, bardzo pana proszę, niech pan się niczym nie martwi. Świetnie opisał pan mojego byłego męża.

Henry mruknął coś, co miało być przeprosinami, a Phyllis Winstanley powiedziała:

– Czy pani przypadkiem nie musiała sprzedać swojego ślicznego domu na Crescent?

Dobrze wiedziała, że tak właśnie było. Widziała nawet ogłoszenie w oknie agenta nieruchomości na Lower Market Street w zeszłym roku. Obserwowała też, jak szybko spadała cena.

Ellen kiwnęła głową.

– Słyszałam, że otworzyła pani niedawno własną firmę – dorzuciła swoje Cynthia. – Podziwiam panią za odwagę, zwłaszcza po tym, co pani przeszła.

Ellen czuła się jak w pułapce. To oczywiste, że te dwie kobiety wiedzą wszystko, co można wiedzieć o niesławnym dentyście, Rogerze Jacobsie. Do plotkarskiej układanki brakowało im tylko jednego kawałka – nie wiedziały, kim jest pani Jacobs. Teraz ją dorwały i wyraźnie nie miały zamiaru popuścić, aż wyduszą z niej wszystko, co do ostatniego szczegółu.

– Co to za firma? – zapytała Nadia, która siedziała u szczytu stołu. – Katering dla biznesmenów czy wystrój wnętrz? Słyszałam, że tym zajmuje się dziś wiele młodych kobiet.

– Suszone kwiaty – odpowiedziała Ellen, starając się zachować choć szczyptę godności. – Mam stodołę na Beggarman's Lane, gdzie je sprzedaję. Przyjmuję też zamówienia. – Zerknęła na kominek. – Latem, gdy nie jest używany, ten kominek wyglądałby świetnie z jedną z moich aranżacji.

Nadia potraktowała to jako osobistą zniewagę.

– Ten kominek, który powstał w 1705 roku, nie potrzebuje żadnych sztucznych ozdób.

Phyllis wykazała się jednak większym sprytem.

– Ja bym chętnie zamówiła u pani coś do nas, do dużego pokoju. Może mogłabym przyjechać i zobaczyć pani sklep? Mówiła pani, że to na Beggarman's Lane, czy tak?

– Świetny pomysł – zawtórowała jej Cynthia. – Pojadę z tobą. Nadiu, ty też musisz się z nami wybrać. Zawsze powtarzasz, że należy wspierać lokalnych przedsiębiorców.

– Dziwię się, że zrobiła sobie pani dzisiaj wolne, Ellen – powiedziała beznamiętnie Nadia. – Ostatecznie mamy wielkanocny weekend. Pewnie ma pani teraz największy ruch.

– Mamo – wtrącił się ostro Duncan. – Dziś jest Wielki Piątek. Na pewno się zgodzisz, że Ellen, jak każdy, zasługuje czasem na dzień wolnego. Myślę, że już pora na deser.

I tylko na deser, miała ochotę dodać Ellen.

Talerze wyniesiono do kuchni. Duncan przyniósł duży deser z owoców, bitej śmietany i galaretki. Przy stole, zgodnie z oczekiwaniami, rozległy się dźwięki aprobaty.

– Do cholery – powiedział Henry, który już zapomniał o swojej wcześniejszej wpadce. – Apetycznie to wygląda.

Nastrój przy stole odrobinę się rozluźnił.

– Nigdy nie zgadniecie, kogo widziałam wczoraj w Crantsford – oznajmiła Cynthia. – Młodą żebraczkę! W Crantsford!

Ellen zamarła. Wbiła wzrok w swoją miseczkę, ale czuła, że siedzący obok Maurice, czerwono nosy sędzia, już się zbiera, by powiedzieć, co o tym myśli.

– Zalewają nas – oświadczył. – Moim zdaniem są gorsi od szcurków.

– Absolutnie – zgodziła się z nim jego żona, Phyllis.

– Ja chyba też ją widziałem – powiedział Duncan. – Próbowała szczęścia na Church Walk Mews.

Ellen nic nie powiedziała. I była na siebie o to zła. Myślała o Jo-Jo. Miała nadzieję, że dziewczyna dobrze się bawi z Hermione, która uparła się, że Jo-Jo powinna przyjść do niej na czas nieobecności Ellen. Kochana, urocza Hermione, nieźle szurnięta, a mimo to stąpająca bardziej po ziemi niż ktokolwiek z tego towarzystwa, z ustami pełnymi wyświechtanych komunałów. Nagle Ellen zapragnęła znaleźć się z powrotem w domu.

Opuściła podwoje Crantsford Hall jako pierwsza.

– Chodźmy się przejechać – szepnął do niej Duncan, gdy goście zaczęli wstawać od stołu i przechodzić do bawialni na kawę, a ona została z tyłu. Kiwnęła głową, na co Duncan zwrócił się do matki tonem nieznoszącym sprzeciwu: – Nadiu, odwiozę Ellen do domu.

Nadia udała bez przekonania, że jest rozczarowana. Wszyscy zaczęli się żegnać. Ellen stwierdziła, że lepiej podać im jakiś wiarygodny powód wcześniejszego wyjścia.

– Głowa mnie rozboleła – wyjaśniła przepraszająco. – Niedługo mi przejdzie.

Dopiero wtedy przypomniała sobie ostrzeżenie Hermione.

– Ból głowy to nic w porównaniu z migreną – oznajmiła Nadia. – To tylko mała niedogodność, którą przy odpowiednim nastawieniu psychicznym, da się łatwo znieść. Migrena to zupełnie co innego. Gdy mnie dopada, nie jestem w stanie wstać z łóżka przez tydzień. Czyż nie tak, Duncanie?

Ostatecznie udało im się w końcu dotrzeć do drzwi wyjściowych, gdzie spędzili kolejne pięć minut na pożegnaniach. Wszyscy chcieli pomachać Ellen na do widzenia. Cynthia i Phyllis obiecały, że niedługo wpadną do niej na Beggarman's Lane.

W końcu Duncan ujął stanowczo Ellen pod ramię i poprowadził w stronę samochodu. Czują się jak panna młoda porwana na miesiąc miodowy. Gdy zostawili za sobą Crantsford Hall, Duncan nachylił się i cmoknął ją w policzek.

Rozdział siódmy

Kim jest ten Duncan? – zapytała Jo-Jo.

Hermione podniosła głowę znad tacy sadzonek pachnącego groszku. Miała na sobie jeden ze swoich bardziej ekstrawaganckich strojów do ogrodu: stary, brązowo-kremowy kaftan przedłużony na dole frędzlami, których jednak nie starczyło na całość, więc z tyłu wyglądał jak wygryziony. Na głowie miała duży, miękki kapelusz z pojedynczym, różowym piórem, które w kółko się przesuwalo. Czasem sterczało prosto w górę niczym antenka, a kiedy indziej opadało smutno na rondo kapelusza i łaskotało Hermione w twarz.

– Duncan to, miejmy nadzieję, kolejny mąż Ellen – wyjaśniła z uśmiechem.

– Brzmi to tak, jakby kolekcjonowała mężów. Ilu ich miała?

Hermione parsknęła śmiechem i skupiła się znowu na sadzonkach rozłożonych na drewnianym stole.

– Tylko jednego – odpowiedziała i za pomocą ołówka zrobiła niewielkie wgłębienie w doniczce z ziemią. Ostrożnie wybrała delikatną sadzonkę i usadowiła ją w jej nowym domu.

Siedziały na tarasie wychodzącym na ogród. Zjadły razem lunch, pozmywały, a potem wyszły na zewnątrz, żeby wygrzać się w popołudniowym słońcu. Młoda dziewczyna zapewniła Hermione całkiem niezłe towarzystwo. Była jak śledczy podczas przesłuchania, co tylko potwierdzało opinię, jaką Hermione wyrobiła sobie wczoraj na jej temat. Być może Jo-Jo znalazła się teraz w idiotycznej sytuacji, była jednak inteligentna i miała coś do powiedzenia.

– To gdzie ten jej mąż się teraz podziewa?

– Przy odrobinie szczęścia odchodzi od zmysłów w towarzystwie pustej lali, z którą dał nogę do Francji.

– Coś mi się zdaje, że nie była pani jego wielką fanką.

Hermione przez chwilę się nad tym zastanowiła. Czy kiedykolwiek lubiła Rogera? Szczerze mówiąc, nie bardzo. Raczej go tolerowała, ale tylko dlatego, że był mężem Ellen.

– To dentysta – odparła. – Nikt nie lubi dentystów.

Jo-Jo parsknęła śmiechem.

– Pani jest zupełnie jak moja babcia. Ona też nigdy nie odpowiadała normalnie na pytania.

Hermione wzięła do ręki kolejną sadzonkę groszku i przytrzymała ją delikatnie między palcem wskazującym a kciukiem.

– A ten mój sobowtór nie mógłby może się tobą zaopiekować?

Jo-Jo wstała z krzesła i podeszła do kutego ogrodzenia, za którym, jakieś dwa metry niżej, rozpościerał się skalny ogródek.

– Nie.

– Tak myślałam.

– Ale gdyby jeszcze żyła, to właśnie u niej bym teraz była.

– Miło mi to słyszeć. Co zresztą tylko potwierdza to, co sobie pomyślałam... Że my, starzy ludzie, też się czasem na coś przydajemy.

Jo-Jo wróciła i usiadła przy stole. Przejechała palcem po górcie ziemi rozsypanej na blacie i uformowała z niej literę „A”. Hermione udawała, że tego nie zauważyła.

– Nie zawsze łapię, czy jest pani sarkastyczna, czy po prostu wredna – stwierdziła Jo-Jo, wzięła do ręki doniczkę i zasłoniła to, co właśnie wyrysowała.

– Nie bój nic. Kiedyś w końcu załapiesz.

Jo-Jo miała wątpliwości. Postanowiła kontynuować wcześniejszą rozmowę.

- Czemu pani Ellen w ogóle chce znowu wyjść za mąż? Nie lepiej jej samej?
- Zależy, co masz na myśli przez „lepiej”.
- Nie chce pani chyba powiedzieć, że ona chce wyjść za Duncana dla kasy?
- Kochana Jo-Jo, coś ty taka pruderyjna? Zresztą skąd wiesz, że Duncan ma kasę? Ja nic

o tym nie wspomniałam.

Jo-Jo zmarszczyła brwi.

– Ale pani zasugerowała.

– E tam, lepiej nie słuchaj, co wygaduje stara baba. Zwłaszcza taka stuknięta, jak ja. –

Otrzepała sobie ręce z ziemi. – Chodź, pójdziemy się przejść. Reszta groszku może poczekać.

Zeszły z tarasu i pomaszerowały wąską ścieżką z kamiennych płyt na prawo od skalnego ogródka, aż do trawnika poniżej.

– Tu kiedyś był kort tenisowy – wyjaśniła Hermione. – Przestałam grać, jak Fred Perry¹ się wycofał. Straciłam wtedy serce do gry.

– Kto to? Pani dawny narzeczony?

Hermione się uśmiechnęła.

– Och, jakże mnie bawi ignorancja młodzieży.

Na prawo, za rzędem rozwichrzonych buków, była szklarnia, a na lewo, otulona krzewami rododendrona i otoczona kępą żółtych narcyzów oraz pierwiosnków, stała drewniana altana z dachem z ozdobnych dachówek. Hermione zignorowała jednak oba budynki i pomaszerowała dalej przez ogród, aż do dwóch dużych cisów, które od trzydziestu lat podcinała i formowała w kształt puddingów bożonarodzeniowych. Pomiędzy nimi widać było kolejne stopnie. Hermione nachyliła się po drodze i zerwała narcyz rosnący pod kątem prostym. Przełamała łodygę, wytarła strużkę lepkiego soku i podała kwiat Jo-Jo.

– Zatrzymasz dziecko? – zapytała niespodziewanie.

Jo-Jo oniemiała.

– Nie wiem – odpowiedziała.

Hermione posłała jej długie, przenikliwe spojrzenie.

– Ale przecież musiałaś się nad tym zastanawiać. Na aborcję jest już za późno?

Spuściła wzrok na brzuch dziewczyny.

Jo-Jo nie odpowiedziała. Skrzyżowała tylko szczupłe ramiona przed sobą i zasłoniła brzuch.

– Oczywiście, że jest za późno, i to zdecydowanie za późno – ciągnęła Hermione. – Czyli pozostają ci tylko dwie opcje: albo zatrzymasz dziecko, albo oddasz je do adopcji. Kochasz ojca?

– Jak na plotacą trzy po trzy, szurniętą staruszkę, jest pani całkiem bezpośrednia.

Hermione nic na to nie powiedziała i ruszyła dalej.

– Parę kroków stąd jest na czym usiąść – wyjaśniła. – Chodźmy. W cieniu będzie chłodniej.

Przecięły kolejny trawnik i przeszły pod łukiem. Znalazły się w dzikiej, zaniedbanej części ogrodu, którą Hermione rzadko odwiedzała. Nie było tu ścieżki. Ich stopy tonęły w gęstej warstwie liści, musiały przedzierać się przez dzikie, pozostawione samym sobie zarośla. Drogę zagradzały połamane gałęzie, krzewy jeżyn i mnóstwo pokrzyw.

Jo-Jo właśnie zaczęła się zastanawiać, czy nie powinny wracać do domu, gdy doszły do kamiennego siedziska oraz posągu młodej kobiety trzymającej przed sobą otwartą książkę. Patrzyła w górę, jakby jej uwagę przykuło coś w powietrzu. Jej twarz nadal była dobrze widoczna, mimo że porośnięta mchem i przebarwiona. Jo-Jo rozpoznała znajomy uśmiech.

– Ależ ona jest szczęśliwa – rzuciła, podeszła do posągu i dotknęła jego policzka. Otarła porosty, musnęła palcami kości policzkowe i dumny podbródek.

– Autor tego posągu był moim przyjacielem. On tak działał na...

Jo-Jo zerknęła na Hermione.

– To pani, gdy była pani młoda, prawda? Czy to był ten Perry, o którym wcześniej pani wspomniała?

– Właśnie zaczęłam myśleć, że może jednak masz trochę szarych komórek w głowie, a teraz wszystko zepsułaś. Fred Perry był jednym z najlepszych tenisistów, jacy kiedykolwiek urodzili się w tym kraju. Niestety, nie był nigdy moim narzeczonym.

Odwróciła się i przysiadła na kamiennym siedzisku. Jo-Jo przycupnęła obok.

– Ale autor tego pięknego posągu był pani narzeczonym, prawda? – nie odpuszczała.

Hermione wzruszyła ramionami.

– To bez znaczenia, kim dla mnie był. Jego już nie ma. A teraz opowiedz mi o ojcu twojego dziecka. Kochasz go? Czy dlatego chcesz zatrzymać dziecko?

Jo-Jo rozważała kłamstwo, ale uznała, że to bez sensu.

– Nazywa się Alan. Nie wiem, ile ma lat, ale jest żonaty i ma dwójkę własnych dzieci. Jest moim nauczycielem angielskiego. A raczej był. Zaszokowałam panią?

– A jak myślisz?

– Chyba nie – odparła Jo-Jo z uśmiechem. – Panią nie tak łatwo zaszokować.

– Dziękuję ci, potraktuję to jako komplement. A ten Alan, on mi wygląda na kogoś, kogo łatwo dałoby się zaszokować.

Jo-Jo zastanowiła się nad tym przez chwilę. Przypomniała sobie przerażoną minę Alana, gdy mu powiedziała. Odwoził ją do domu po tym, jak spędziła wieczór z jego dziećmi, gdy on wyszedł z żoną. Zatrzymał auto w tym miejscu, co zawsze, na cichej, nieoświetlonej uliczce i zaczął ją całować i rozbierać. To nigdy nie trwało długo. A po wszystkim zawsze jej mówił, jaka jest inteligentna. Głaskał ją po głowie i mówił, że jest jego najlepszą uczennicą i że jest wyjątkowa. Nie powiedział tego tamtego wieczora. Tamtego wieczora powiedział, że jest głupia i powinna mieć więcej oleju w głowie. Walił pięścią w kierownicę, wrzeszczał:

– Nie słuchałaś niczego, co ci mówią w szkole? Tyle czasu poświęca się na wychowanie do życia w rodzinie, a ty i tak skończyłaś w ciąży!

Dwa dni później rozmawiali w szkole.

– Przepraszam cię za tamten wieczór – powiedział szeptem. – Byłem w szoku. Zorganizuję pieniądze i załatwimy aborcję. Niczym się nie martw.

Lecz następnego dnia jej matka znalazła test ciążowy u niej w pokoju i powiedziała o tym swojemu mężowi. Zgodnie z przewidywaniami wściekł się i wygadywał, ile to on dla niej zrobił odkąd wziął ją pod swój dach w wieku lat sześciu i jak bardzo się na niej zawiodł. Brzmiało to tak, jakby była jego pracownicą, którą przyłapał na kradzieży pieniędzy z kasy. Nie zdziwiła się również, gdy dostała zakaz opuszczania domu. Wrzuciła parę rzeczy do torby, opróżniła trzymane w szufladzie pudełko, gdzie odkładała pieniądze zarobione na opiece nad dziećmi i złapała autobus na dworzec. Wyszukała pociąg, który miał ją zawieźć do Manchesteru. Tylko, że wszystko pokręciła, wsiadła do niewłaściwego pociągu i trafiła do hrabstwa Cheshire, do miasta, o którym nigdy wcześniej nie słyszała – Crantsford. Gdy postawiła stopę na pustym peronie, zachciało jej się płakać: myślała tylko o zdradzie własnej matki. Czemu powiedziała ojczymowi? Po wszystkich tych latach, przez które wspomagała matkę, ona tak jej się odwdzięczyła?

Zadzwoiła do niej wcześniej, zgodnie z poleceniem Ellen. I znowu czekała ją zdrada.

– Tak będzie lepiej – usłyszała żalony głos matki. – Będzie lepiej, jak nie wrócisz.

Brzmiało to niemal błagalnie.

– Jo-Jo?

Spuściła wzrok i zobaczyła pokrytą plamami wątrobowymi dłoń Hermione na swojej własnej. Babcia też tak zawsze robiła, gdy wyczuwała, że Jo-Jo zbierało się na płacz. Przełknęła ślinę, żeby rozluźnić ściśnięte gardło, ale to nie pomogło.

– Spałam z nim tylko dlatego, że byłam samotna – wymamrotała. – Chciałam, żeby mnie ktoś kochał tak, jak kochała mnie babcia. A on mówił, że jestem wyjątkowa... Chciałam... chciałam mu wierzyć.

Hermione wzięła Jo-Jo w objęcia i mocno ją przytuliła.

– Och, Jo-Jo, moje biedactwo, oczywiście, że jesteś wyjątkowa.

Rozdział ósmy

Wynudziłaś się? – zapytał Duncan, podjeżdżając pod stodołę Ellen.

– Nic a nic – skłamała gładko.

Duncan podejrzewał, że prawda ma się inaczej, ale postanowił nie drażyć tematu i zamiast tego wpadł w podziw dla taktu Ellen.

– Przepraszam za całe to zamieszanie z Henrym podczas lunchu – powiedział. – On się czasem zachowuje jak terier. Jak się już kogoś uczepli, to za nic nie chce puścić.

– Nic się nie stało. – Ellen przyszło do głowy, że spośród osób zgromadzonych przy stole, teriera najbardziej przypominała La Carter. – Wejdiesz się czegoś napić? – zapytała, bo wyczuła, że osiągnęli już ten niezręczny moment, gdy siedzi się nieruchomo w samochodzie z wyłączonym silnikiem i czeka na dalszy rozwój sytuacji.

Była ciekawa, czy Duncan żałuje, że ją pocałował, gdy przejeżdżali przez bramę Crantsford Hall. To było tak niespodziewane, że oboje potem milczeli przez kilka minut, on zawstydzony, a ona przepełniona marzeniami. W myślach już się pakowała do przeprowadzki i zakładała wspólny dom z Duncanem.

– Powinienem wracać. – Duncan zerknął na zegar na orzechowej desce rozdzielczej. – Ale.. No, dobrze, ale tylko na coś zimnego.

Na nic innego i tak nie miał co liczyć, pomyślała Ellen i poprowadziła go do domku. Zostawiła Duncana w niewielkim pokoju dziennym i pomaszerowała do kuchni. Otworzyła lodówkę, gdzie znalazła karton z sokiem pomarańczowym, który otworzyła rano. Był prawie pusty. Przez resztę swojego pobytu pod tym dachem Jo-Jo będzie musiała zawrzeć znajomość z kranem z wodą.

– Może być woda gazowana? – zawołała do Duncana.

– Bardzo proszę – odpowiedział.

Złapała prawie pustą, plastikową butelkę stojącą w drzwiach lodówki. Odkręciła ją i – zgodnie z oczekiwaniami – przywitało ją tylko słabiutkie syknięcie, które świadczyło o tym, że resztką wody gazowanej miała już najlepsze chwile dawno za sobą. Nalała wodę do szklanki i wróciła do grzebienia w lodówce. Nie, żeby było tam wiele: pudełko margaryny, owinięty przezroczystą folią kawałek sera, który smakował jak mydło oraz torebka marchwi. Marchew często pojawiała się w Domku Nad Strumieniem. Była dobra i tania, zwłaszcza ta paczkowana, nie najwyższej jakości, z pęknięciami na całej długości. Z tyłu za marchewką znalazła to, czego szukała. Sok z cytryny w plastikowym opakowaniu. Wcisnęła trochę do szklanki Duncana i dodała kilka kostek lodu. Miała nadzieję, że to się nadaje do picia.

– Proszę – powiedziała, gdy dołączyła do niego w dużym pokoju. Podała mu szklankę.

– A ty nie pijesz?

– Nie – odparła, po czym usiadła na siedzisku przy oknie.

Otworzyła małe okienko za swoimi plecami. Liczyła na to, że ciepła bryza sprawi, że ona sama wyda się atrakcyjniejsza. Na nic się to jednak nie zdało, bo Duncan krążył po pokoju. Widocznie wolał przeprowadzić inspekcję jej mizernego dobytku.

– Ładna akwarelka. – Ręką, w której trzymał szklankę, wskazał na obrazek wiszący nad kominkiem.

Ellen pomyślała, że w porównaniu do ciemnych, przygnębiających obrazów, które widziała w Crantsford Hall, jasna, pełna światła akwarela przedstawiająca grupkę dzieci bawiących się na plaży była jak oddech świeżego powietrza.

– Masz też całkiem interesującą porcelanę – ciągnął dalej, wskazując na jej kolekcję

dzbanków, kubków, filiżanek i spodków, które zapełniały kredens. – Śliczne rzeczy – dodał i podszedł bliżej, pochylając przy tym głowę, by uniknąć zderzenia z bukietem suszonych kwiatów wiszącym z sufitu.

– Obawiam się, że nie ma tam nic wartościowego – stwierdziła Ellen. Wstała spod okna i przesiadła się na fotel. Może w tej pozycji Duncan zwróci uwagę na jej nogi? – To tylko różne różności, które zebrałam przez lata, nic cennego. Co lepsze rzeczy musiałam sprzedać.

Podszedł bliżej, usiadł naprzeciwko niej i podniósł szklankę do ust. Smak wody trochę go zaskoczył. Przyjrzał się uważnie lekko mętnemu płynowi.

– Chciałam wypróbować nowy rodzaj wody – wyjaśniła Ellen. – Ale chyba już więcej jej nie kupię. Jak dla mnie, jest trochę za kwaśna.

– Niekoniecznie – odparł uprzejmie Duncan i odczekał, aż jego usta dojdą do siebie po tym szokującym doświadczeniu.

– Wolałabyś napić się czegoś innego?

Pokręcił głową i odważnie pociągnął kolejny łyk, ale zaraz pożałował swojej brawury. Odstawił szklankę na płytę przed kominkiem i posłał Ellen uśmiech. Odpowiedziała tym samym. Nie bardzo wiedziała, jak zagaic rozmowę.

– Przekaż swojej mamie podziękowania za przemiły lunch – powiedziała wreszcie.

Duncan rozsiadł się wygodniej i założył nogę na nogę.

– Przekażę – zapewnił.

Cóż za ironia losu! To on przecież przygotował lunch, podczas gdy Nadia leżała na górze w łóżku. Tak było po prostu łatwiej, przynajmniej nie zwracała mu niczym głowy. No, i nie mogła aż tyle wypić, bo nawet Nadia nie piła w łóżku. Od jakiegoś czasu monitorował ilość pochłanianego przez nią alkoholu. Dawało mu to poczucie, że panuje nad sytuacją. To był oczywiście główny powód jego przeprowadzki z powrotem do Crantsford Hall po śmierci ojca. Nie było mowy o tym, by Nadia mieszkała sama. Musiał mieć na nią oko, bo inaczej kto wie, jakie spustoszenie mogłaby wywołać.

– Domyślam się, że jesteś bardzo zżyty z matką – ciągnęła Ellen.

– Co masz na myśli? – Jego głos zabrzmiał ostro, więc szybko zażartował: – Mam nadzieję, że nie sugerujesz nic w rodzaju kompleksu Edypa?

Zaśmiała się nerwowo.

– Nic podobnego.

Ogarnęło go rozdrażnienie, i to nie tylko w związku z komentarzem Ellen. Podczas lunchu Nadia wychodziła z siebie, by wykazać się jak największą wrogością w stosunku do Ellen. Tak bywało już w przeszłości, gdy przyprowadzał do domu swoje dziewczyny, ale nie aż do takiego stopnia. A poza tym, wtedy nie wydawało mu się to istotne. Sprawa z Ellen przedstawiała się inaczej. Naprawdę ją lubił. Nie chciał, by coś popsuło ten związek.

– Ellen – zaczął, bo nagle do niego dotarło, że jeśli coś ma się między nimi wydarzyć, to musi się zdobyć na odrobinę uczciwości. Musiał jej pewne rzeczy wytłumaczyć. – Jest coś, o czym muszę ci powiedzieć.

Ellen nadstawiła uszu. Czyżby chciał jej wyznać miłość?

– Słucham? – powiedziała spokojnie, a w myślach już biegła do najbliższego jubilera.

Duncan sięgnął nerwowo po swoją szklankę. Na szczęście w porę przypomniał sobie smak wody, więc odstawił ją z powrotem. Odchrząknął.

– To jest coś, czego nigdy nikomu nie powiedziałem – zaczął.

Tak!, ucieszyła się w myślach Ellen. To musi być wyznanie. „Skarbie, nigdy tego nikomu nie powiedziałem. Kocham cię”. Nie, żeby sama miała w tym zakresie duże doświadczenie. Właściwie nie potrafiła sobie przypomnieć, by Roger kiedykolwiek wyznał jej miłość, nawet,

gdy dawała mu jasno do zrozumienia, co do niego czuje. Kochała go tak bardzo, że nigdy nie przyszło jej nawet do głowy, iż jej uczucie może być nieodwzajemnione. A gdy okazało się, że zaszła z nim w ciążę i praktycznie natychmiast wzięli ślub, była najszcześliwszym człowiekiem pod słońcem.

– Nigdy nie było powodu, żeby o tym rozmawiać – ciągnął dalej Duncan.

Tak, Duncanie, tak, zachęcała go w myślach. Kochasz mnie i chcesz spędzić ze mną resztę życia. W myślach wybierała już pierścionek zaręczynowy i pędziła do sklepu z sukniami ślubnymi.

– Chcę być z tobą uczciwy. Uważam, że to ważne. Myślę, że lepiej zrozumiesz całą sytuację, gdy się tego dowiesz. Widzisz... Nadia nie jest moją rodzoną matką.

– Aha.

– Jesteś rozczarowana?

– Nie, wcale nie.

W myślach ciągnęła się noga za nogą do domu, z pustymi rękami, wycieńczona i rozczarowana.

– Czy dzięki temu sytuacja stała się jaśniejsza?

– Jaśniejsza? – zdziwiła się. – W jakim sensie?

Wstał i zaczął znowu krążyć po pokoju. Podeszedł do kredensu i wziął do ręki talerz. Obejrzał go od tyłu, po czym odłożył z powrotem na miejsce.

– Moi rodzice adoptowali mnie, gdy miałem trzy tygodnie – wyjaśnił, jak gdyby inspekcja talerza dodała mu odwagi. – Jak to często bywa w takich przypadkach, Nadia, jako przybrana matka, bywa czasem trochę nadopiekuńcza, tak samo jak ja bywam nadopiekuńczy w stosunku do niej. Nie jest silną kobietą i czasem potrzebuje trochę wsparcia.

Wsparcia?! Czy on aby na pewno mówi o tej Amazonce, której ramion pozazdrościłby Atlas?

Duncan usiadł z powrotem, z jednej strony przerażony tym, co właśnie wyznał Ellen, a z drugiej przepełniony ulgą. Przynajmniej teraz jego relacja z Nadią stanie się jasna.

– No, cóż... – zaczęła Ellen, która zupełnie nie miała pojęcia, co powiedzieć.

Duncan podzielił się z nią właśnie czymś, co najwyraźniej miało dla niego ogromne znaczenie. Nie wiedziała jednak, dlaczego. Ze wszystkich sił starała się wymyśleć, co powiedzieć. Nagle jej uwagę przyciągnął jakiś dźwięk dochodzący zza okna.

– Co to? – zapytał Duncan.

– Nie wiem. – Poszła sprawdzić. – Co do...

Duncan poszedł za nią. Chwilę później patrzył na dwie dziwaczne postaci skulone w klombie pod oknem. Jedną z nich była młoda dziewczyna, która wyglądała w miarę normalnie, za to o drugiej nie dało się tego powiedzieć. Czy ona ma na sobie koszulę nocną? A może parę zasłon? A co do kapelusza... Już miał je uprzejmie spławić, gdy odezwała się Ellen:

– Duncan, poznaj moje znajome, Hermione i Jo-Jo.

Na zewnątrz Ellen była cała w uśmiechach, ale w środku darła się jak opętana i wysyłała Hermione na sam koniec świata.

Za to Hermione wyraźnie dobrze się bawiła. Wyciągnęła rękę przez otwarte okno i uśmiechnęła się ujmująco do Duncana.

– Jak się pan miewa? Dużo o panu słyszałam.

– Długo tam siedziałyście? – zapytał, bo nagle z przerażeniem przypomniał sobie, czego dotyczyła jego rozmowa z Ellen.

Hermione pokręciła głową i dmuchnęła na piórko od kapelusza, które łaskotało ją w nos.

– Kilka sekund. – Dmuchiła jeszcze raz. – Na pewno nie dłużej. Przyszłyśmy sprawdzić,

czy Ellen już wróciła. A gdy zobaczyłyśmy nieznaną nam auto zaparkowane koło stodoły oraz otwarte okno, pomyślałyśmy, że lepiej się zakradniemy i sprawdzimy, czy wszystko jest w najlepszym porządku. A bo to przecież nigdy nie wiadomo, prawda?

Uśmiechnęła się słodko do Duncana.

Duncan również odpowiedział uśmiechem, ale raczej powściągliwym. Następnie zerknął na towarzyszkę dziwacznej staruszki i przez głowę przeleciała mu myśl, że dziewczyna wygląda znajomo.

– Czy ja cię skądś nie znam? – zapytał.

– Mało prawdopodobne – usłyszał w odpowiedzi.

Duncan nadal się na nią gapił. Kilka sekund później dodał:

– Wiem, kim jesteś. To ty żebrałaś wczoraj w mieście, prawda?

– Od razu „żebrała” – wtrąciła się pogodnie Hermione. – To takie brzydkie słowo. Na pewno istnieje jakieś bardziej politycznie poprawne sformułowanie.

– Pewnie, może uzupełnianie dochodów przez osoby wyrzucone na ekonomiczny margines? – zaproponowała Jo-Jo, po czym odwróciła się do wszystkich plecami i pomaszerowała nad strumień.

Ellen wiedziała, że Hermione się tak łatwo nie pozbędzie. Nie miała wyboru, musiała zaprosić ją do środka.

– Tylko nie przez okno! – zawołała. – Wejdz drzwiami i ściągnij ten idiotyczny kapelusz. Duncan się na śmierć przestraszył.

Hermione postąpiła zgodnie z poleceniem i zdjęła kłopotliwą część garderoby.

– Duncan, drogi chłopcze, pozwól, że pana uspokoję. Jestem szanowanym członkiem lokalnej społeczności. Powiedziałabym nawet...

– Hermione, starczy już!

Duncan chyba też miał już dość. Na oczach Ellen zaczął wycofywać się w stronę otwartych drzwi, żeby dać nogę.

– Na mnie chyba już pora – powiedział.

– No, tak – zgodziła się z nim i z rezygnacją zaakceptowała fakt, że na tym kończy się jej wspólna przyszłość z Duncanem. Po tym, jak poznał jej szurniętą przyjaciółkę, na pewno nie będzie chciał już mieć z nią do czynienia. Zapewne wrzuci Ellen do tego samego worka, co Hermione. – Odprowadzę cię do samochodu – dodała ze smutkiem.

Gdy wyszli przed dom, zobaczyli Jo-Jo na brzegu rzeczki. Wrzucała kamyki do wody.

– Czy to krewniaczka tej dziwnej kobiety? – zapytał Duncan wyciągając kluczyki z kieszeni marynarki.

– Nie do końca – odpowiedziała ostrożnie Ellen.

– Prawnicy nie przepadają za tego rodzaju sformułowaniami – odparł i otworzył drzwi auta.

– Długo by opowiadać, Duncanie.

Spojrzał na nią z namysłem.

– To może mi opowiesz przy kolacji w przyszłym tygodniu?

Więc jeszcze nie wszystko stracone!

– Tak – powiedziała. – Z przyjemnością.

– Ósma wieczorem, we środę. Przyjadę po ciebie.

Nie pocałował jej na do widzenia, ale też i Ellen się tego nie spodziewała. Ostatecznie Hermione gapiła się na nich przez okno.

Gdy samochód Duncana zniknął z horyzontu, rzuciła się w stronę domu.

– Co wy uprawiacie, do jasnej cholery?! – wrzasnęła na

Hermione. – Niewiele brakowało, a wszystko byście popsuły. Znalazła się para kiepskich szpiegów siedzących w krzakach.

– Odniosłam wrażenie, że sytuacja rozwinęła się całkiem dobrze.

– Całkiem dobrze? – powtórzyła Ellen. Była w szoku. – Co ty wygadujesz?

– Ten biedaczek połknął przynętę, Ellen. Będzie teraz chciał ocalić cię przed życiem w biedzie oraz szurniętą starszą panią, która podgląda cię przez okna. Uwierz mi, jeszcze go zobaczysz. Nie oprze się pokusie.

Ellen parsknęła śmiechem i jej gniew nieco zelżał.

– Właściwie to już zaprosił mnie na kolację w przyszłym tygodniu.

– Sama widzisz!

– A co on się tak przejmuje tym, że jest adoptowany? – zapytała Jo-Jo, która tkwiła przewieszona przez parapet okienny. – Czemu nigdy o tym nikomu nie powiedział? Przecież to żadna wielka sprawa, nie?

– Racja – stwierdziła Ellen. – Z adopcją nie wiąże się żadne piętno, więc czemu trzymał wszystko w sekrecie?

– Och, idiotki, obie pominęłyście najważniejszą sprawę w tej całej kwestii – zniecierpliwiła się Hermione.

– Czyli?

– Czyli fakt, droga Ellen, że Duncan postanowił podzielić się tym wielkim sekretem właśnie z tobą.

Rozdział dziewiąty

No i? – zapytała Nadia, która właśnie weszła do kuchni, gdzie Duncan sprzątał po lunchu. Nawet nie podniósł głowy znad zmywarki, którą właśnie napełniał. Starannie ustawiał tańsze naczynia w koszach. Talerze Wedgwooda² zamierzał za chwilę pozmywać ręcznie, podobnie jak srebrne sztucce.

– No i? – powtórzyła Nadia.

– Słyszałem cię za pierwszym razem – odparł, nadal nie podnosząc na nią wzroku.

Nie musiał. Dobrze wiedział, jaką teraz Nadia ma minę. Wczoraj odgrywała bezradną kobietę, a dziś, niczym kameleon dostosowujący się do otoczenia, wróciła do typowej dla siebie roli aroganckiej matrony. Wiedział też, że przez cały dzień wypła dość alkoholu, by się nieźle nakręcić. A gdy chciała, potrafiła być mocno niemila.

Podszedł do zlewu, gdzie nadal leżał przyniesiony przez Ellen bukiet narcyzów. Głównki jednego czy dwóch kwiatów były zmiażdżone ciężkim rondlem.

– Miałaś je wstawić do wody.

– Narcyzy – mruknęła Nadia.

Duncan przeszedł przez całą długość kuchni i wszedł do spiżarni, gdzie jego matka trzymała wazon. Gdy wrócił do kuchni, Nadia powiedziała:

– Cynthia i Phyllis przyniosły mi prawdziwe kwiaty, z kokardkami i bilecikami.

Nic na to nie powiedział, tylko ostrożnie odwinął folię aluminiową z łodyg narcyzów od Ellen, po czym ułożył je w wybranym wazonie. Podstawił go na chwilę pod kran i podał Nadii.

– Idź go gdzieś postaw – polecił. – Tylko w jakimś miłym miejscu.

Nadia zasnurowała usta i opuściła kuchnię. Stała w dużym holu i powiodła wzrokiem po ścianach obłożonych dębową boazerią oraz po zamkniętych drzwiach. Który pokój wybrać? Bawialnię? Nie, tam stoją jej „prawdziwe kwiaty”. Jadalnię? Nie ma mowy, ta arogancka Jacobs zasugerowała, że kominkowi czegoś nie dostaje. W takim razie pokój do gier? Nie. Tam nigdy nikt nie chodzi. Nie ma sensu rozdrażniać Duncana. Jej własny salonik oczywiście nie wchodził w grę. Pozostał więc gabinet Duncana. Przynajmniej nie będzie musiała patrzeć na te kwiaty i myśleć o tej okropnej kobiecie. Transwestyta, też mi coś!

Otworzyła drzwi i podeszła do wyłożonego skórą biurka Duncana, biurka, które kiedyś należało do jej męża, zresztą jak cały ten obstawiony książkami pokój. Dziwne, ale prawie nie tęskniła za Donaldem. Być może dlatego, że Duncan tak bardzo przypominał swojego ojca. Czasem odnosiła wrażenie, że ma przed sobą Donalda. Duncan być może nie odziedziczył po ojcu genów, ale przejął po nim tak dużo, że i tak był kopią Donalda.

Odstawiła wazon na schludne biurko syna. Była pewna, że nawet jeśli Ellen zagięła parol na Duncana, nie zagości na długo w ich życiu. Dobrze знаła swojego syna i wiedziała, że w jego przypadku zawsze górę weźmie poczucie obowiązku.

Wiele lat temu nauczyła się, że jeśli chodzi o sprawy istotne, najważniejsze jest zachowanie równowagi. Pozwoliła Duncanowi uwierzyć, że to on rządzi w domu. Od czasu do czasu bywała niedysponowana, kiedy indziej zachowywała się nieco nieprzewidywalnie. W głębi ducha była bardzo dumna z tego elementu nieprzewidywalności. Wymyśliła to podczas pogrzebu Donalda w ubiegłym roku. Stojąc nad dziurą w ziemi na cmentarzu, w deszczu zacinającym w czarne parasole, pośród tłumu przygnębionych ludzi, nagle poczuła nieprzepartą ochotę, by znaleźć się gdzie indziej, gdziekolwiek, byle nie tam. W końcu wszyscy rozeszli się do swoich samochodów i tylko ona tkwiła dalej nad wykopany grob. Ludzie myśleli, że pogrzyżyła się w typowej dla wdów melancholii. Duncan, jak należało, wrócił po nią i szepnął jej na ucho, że

już pora iść. Nikt nie wiedział jednak, że ona zupełnie straciła poczucie tego, gdzie się znajduje. Wyobraziła sobie, że jest w barze klubu golfowego i pije dzin z tonikiem. To wtedy do niej dotarło, jak łatwo można ludzi nabrać.

Chowanie butelek po domu okazało się najlepszą metodą na postawienie Duncana w stan permanentnego zaalarmowania. Biedak był mocno przejęty kwestią zachowywania pozorów związanych z ich pozycją. Bardzo się przeraził, gdy odkrył, że jego matka jest alkoholiczką. Prawda była, oczywiście, zupełnie inna, ale odwoływanie się do dobrego wychowania syna i do jego wyczucia konwenansów było jej kartą przetargową w ściągnięciu go z powrotem do Crantsford Hall.

Wróciła do kuchni. Duncan stał z rękami po łokcie w gorącej wodzie z pianą. Na suszarce piętrzyła się sterta czystych talerzy.

– Gdzie je postawiłaś?

– U ciebie w gabinecie.

Sprytnie, pomyślał Duncan. Bardzo sprytnie.

– Pomyślałam, że będą ci ją przypominać, gdy będziesz pracować do późna. Tak właśnie, zdaje się, robią kochankowie, czyż nie?

– Nie mam pojęcia – odparł spokojnie. – Ellen i ja nie jesteśmy kochankami.

– Jaką ona ma przeszłość? – drążyła dalej. – Poza małżeństwem z tym okropnym stomatologiem.

– Nie wydaje mi się, by należało automatycznie zapisywać to na konto Ellen. To przecież nie jej wina, że jej mąż... jej były mąż... okazał się tym, kim się okazał.

– Może go do tego doprowadziła – rzuciła cicho Nadia.

Duncan odwrócił się wolno.

– Chyba dość już powiedziałaś.

– Być może – zrejęterowała, ale tylko na moment. – Chcę tego, co najlepsze...

– Błagam – przerwał jej, odwrócił się do niej plecami i zanurzył ręce głębiej w spienioną wodę w zlewie, żeby Nadia nie widziała jego zaciśniętych mocno pięści. – Lepiej już nic więcej nie mów. Zbyt wiele razy to słyszałem.

– Ale to prawda.

– Może pójdziesz usiąść i pozwolisz mi skończyć zmywanie?

Kilka minut później, przeglądając aktualny egzemplarz „Cheshire Life” w swoim saloniku, Nadia postanowiła z samego rana skontaktować się z Phyllis i Cynthia. Należało wybrać się do Domku Nad Strumieniem.

Duncan pociągnął mocno za zatyczkę i patrzył, jak woda ucieka ze zlewu. Wepchnął resztki jedzenia do otworu. Gdy zdecydował się zaprosić Ellen na lunch, dobrze wiedział, jakie mogą być tego konsekwencje. Przypomnił sobie własne słowa, gdy próbował jej wytłumaczyć, na czym polega jego relacja z matką. Powiedział wtedy, że Nadia jest w stosunku do niego nadopiekuńcza i że on tak samo zachowuje się w stosunku do niej. To była tylko część prawdy.

Odkąd sięgał pamięcią, Nadia wychowywała go w przekonaniu, że jest wyjątkowy. Wyjątkowy, bo został adoptowany, wybrany spośród wielu dzieci, które Nadia i Donald mieli do dyspozycji.

– Przeciętne dziecko by nam nie wystarczyło – powtarzała mu. – Szukaliśmy kogoś wyjątkowego, bo mieliśmy coś wyjątkowego do zaoferowania.

Dorastał z tym przekonaniem głęboko zakorzenionym w jego jestestwie – z tym oraz z poczuciem, że wszystko zawdzięcza rodzicom. Nie przypominał sobie czasów, gdy nie czuł się zobowiązany w stosunku do Donalda i Nadii, szczególnie do Nadii. Całe jego dzieciństwo zbudowane było wokół tej jednej myśli: że bez rodziców byłby nikim. Nie tylko uratowali go od

bycia niechcianym dzieckiem, oni go stworzyli na nowo. W dzieciństwie ciężko mu było unieść ten ciężar, a gdy dorósł, zrozumiał, że zamiast więzi miłości między nim a adopcyjnymi rodzicami, łączyła ich nierozzerwalna więź poczucia obowiązku.

Wkrótce po swoich ósmych urodzinach został wysłany do szkoły z internatem. Gdy machał na pożegnanie Donaldowi i Nadii, postanowił, że nikomu nie powie o tym, że został adoptowany. Był już wtedy zmęczony swoją „wyjątkowością”. Chciał być normalny. Chciał być jak inni chłopcy w internacie, ale okazało się, że nie potrafi. Po prostu tam nie pasował. Jego rówieśnicy naśmiewali się i żartowali ze swoich rodziców, a on trzymał się z boku, przerażony ich brakiem szacunku dla starszych. Jak się można domyślić, koledzy dowiedzieli się w końcu, że został adoptowany i w efekcie znalazł się w jeszcze większej izolacji. Zaczęto się nad nim znęcać. O dziwo, nie walczył z tym. Ostatecznie to był też jakiś rodzaj więzi z rówieśnikami. Przynajmniej nie czuł się zupełnie ignorowany.

Przypomniał sobie teraz, co wyznał Ellen. Nie miał wcale zamiaru wyznawać, że Nadia nie jest jego rodzoną matką, ale siedząc naprzeciwko swojej byłej klientki w tym jej zagraconym saloniku i słysząc jak mówi, że musi być bardzo zżyty z Nadią, nagle poczuł nieprzewartą ochotę wyjaśnienia sytuacji. Nie był żadnym Hamletem z dziwną obsesją na punkcie własnej matki, był najzwyczajszym pod słońcem czterdziestoletnim, którego wychowano w głębokim poczuciu obowiązku i lojalności. I, jak to bywa z nawykami, zwłaszcza tak zakorzenionymi, było raczej mało prawdopodobne, że to się kiedykolwiek zmieni.

Nie żałował, że Ellen zna prawdę. Wolałby jednak, by na scenie nie zjawily się te jej dziwne znajome i wszystkiego nie podsłuchały.

Zawsze miał Ellen za bardzo rozsądną kobietę. Dlatego nie potrafił pojąć, dlaczego utrzymuje znajomość z tak kuriozalnymi osobami. Przez cały czas trwania sprawy rozwodowej zawsze z wielkim spokojem przyjmowała wszystkie niedobre wiadomości, którymi musiał się z nią dzielić. To była właśnie jedna z rzeczy, które tak mu się w niej spodobały. Odświeżające było znaleźć kobietę, która zachowywała spokój i nigdy nie traciła głowy – była zupełnie inna niż Nadia. Podczas pierwszego spotkania z Ellen od razu zdał sobie sprawę, że różni się od jego pozostałych klientek – żadnych melodramatycznych gestów, żadnego domagania się, by wysłał dyszące żądzą zemsty listy i, na szczęście, żadnych łez u niego w biurze. W sumie była idealną klientką. Ostatnio zaczął myśleć, że być może byłaby z niej też idealna żona.

Tylko co z tymi jej dziwnymi znajomymi?

* * *

– No, to czemu właściwie podsłuchiwałyście moją rozmowę z Duncanem? – Ellen zapytała Hermione, gdy starsza pani próbowała złapać swoje odbicie w szybcie ramki ze zdjęciem nad kominkiem. Zakładała kapelusz i szykowała się do wyjścia do domu.

Hermione odwróciła się gwałtownie do Ellen.

– Ellen, błagam, nawet nie sugeruj, że ja kiedykolwiek zniżylabym się do podsłuchiwania!

– No, to co to było? Wlazłyście w krzaki, żeby sprawdzić, czy przypadkiem nie mam grzyba na ścianie?

– Ellen, zrobiłaś się strasznie asertywna w ciągu ostatniej doby! Co się z tobą dzieje? Czyżby to była miłość? Czyżby widok Crantsford Hall i wszystkiego, co ma do zaoferowania sprawił, że zapalałaś gorącym uczuciem do Duncana?

– Przecież mówiła pani, że ten Duncan nie ma kasy... – wtrąciła się Jo-Jo.

– Nie mówiłam, że ma kasę, nie mówiłam, że nie ma – odparowała Hermione i pożałowała wcześniejszej rozmowy z Jo-Jo na tarasie Domu Pod Złotokapem. Już wtedy

wiedziała, że dziewczyna wyciągnęła z niej więcej, niż chciałyby Ellen. Odwróciła się z powrotem do swojego odbicia, by poprawić kapelusz i złapała w nim minę Ellen, która tylko potwierdziła jej obawy. Przyznać się dobrej przyjaciółce do tego, że chce się wyjść za mąż dla pieniędzy, by w ten sposób poradzić sobie z kłopotami natury finansowej to jedno, a powszechna wiedza na ten temat, to co innego. – Jak już powiedziałam temu twojemu absztyfikantowi... – rzuciła lekkim tonem. – Przyszliśmy sprawdzić, czy już wróciłaś. Koło stodoły stało ostentacyjne auto, więc się domyśliłam, że jest Duncan. A potem doszłam do wniosku, że najlepiej będzie zastosować środki zapobiegawcze i posłuchać najpierw waszej rozmowy przez okno, nim wpakujemy się do środka. Nie chciałam wam przerwać romantycznej pogawędki w cztery oczy. No jak, zaspokoiliam twoją ciekawość?

– W najmniejszym stopniu – odpowiedziała Ellen.

– Czyli Duncan jest dziany, tak? – drążyła Jo-Jo.

Ellen posłała Hermione zabójcze spojrzenie.

– Musi być – odpowiedziała sama sobie Jo-Jo. Podeszła do siedziska przy oknie i usiadła obok Ellen. – Ale nie chodzi tylko o jego kasę, prawda? Nie tylko dlatego go pani lubi?

Zabrzmiało to bardzo świętoszkowato, nawet w jej własnych uszach.

– Ellen, kochanie – wtrąciła się Hermione, która bardzo chciała, by Jo-Jo porzuciła wreszcie ten temat. – Nogi mi odpadają. Może byłabyś tak miła i odwiozła mnie do domu?

Nogi wcale jej nie bolały, ale musiała dokończyć rozmowę z Ellen. Chciała też zamienić z nią słowo na temat Jo-Jo.

Rozdział dziesiąty

Kilka sekund po wyjściu pary w średnim wieku, która za brała ze sobą duże pudło z kosztownymi girlandami, drzwi stodoły znowu się otworzyły i do środka weszła młoda matka z pyzatem maluchem na ręce.

– Nie dotykaj – powiedziała do synka. – Trzymaj rączki w kieszeniach.

Ellen przyglądała się matce z dzieckiem. Zawsze, gdy ktoś tu zaglądał, była ciekawa, które aranżacje przyciągną jego uwagę. Widziała jednak, że malucha zupełnie nie interesują kwiaty. Chłopczyk nie spuszczał oczu z kosza stojącego przy kasie, wypełnionego puszystymi, żółtymi kurczaczkami i maleńkimi jajkami z czekolady. Owszem, wykorzystywała sytuację, bo to dawało jej gwarancję, że klienci sięgną głębiej do kieszeni. I, owszem, to była podstępna sztuczka, ale skoro tak robią sklepy w mieście, to czemu nie ona?

Tego ranka zaczęła pracę od dziewiątej. Ruch w sobotę wielkanocną był całkiem spory. Jeśli utrzyma się przez resztę świątecznego weekendu, to będzie nawet mogła zastanowić się nad zaplaceniem rachunku telefonicznego, zanim w jej skrzynce pojawi się ponaglenie. A może nawet posunie się tak daleko, że kupi sobie butelkę taniego wina w supermarkecie, gdy wybierze się na swoje cotygodniowe, wieczorne zakupy? Zwykle planowała tę wyprawę tak, by trafić akurat na przeceny produktów, które teoretycznie nie miały szansy przetrwać do następnego tygodnia w sklepowych chłodziarkach. Co ona by poczęła, gdyby właściciele niewielkiego, rodzinnego supermarketu postanowili, że będzie otwarty również w niedzielę? Zniknęłyby wszystkie przeceny, z których tak skwapliwie korzystała.

– Nie mogę znaleźć tego, za czym się rozglądam – oznajmiła młoda matka, podchodząc do stołu, przy którym siedziała Ellen i kończyła przygotowywać zamówione dekoracje.

– A za czym się pani rozgląda?

Ellen miała nadzieję, że klientka nie chce kupić maleńkich tacek lub fotela bujanego wypełnionego jaskrawymi kwiatami. Nie znosiła robić takich dekoracji, które jednak – z jakiegoś niezrozumiałego dla niej powodu – dobrze się sprzedawały. Gdyby nie była w tak desperackiej sytuacji finansowej, powiesiłaby na drzwiach stodoły znak: „Tu sprzedaje się tylko dekoracje w dobrym guście, żadnych miniaturowych tacek ani foteli bujanych”.

– Mam u siebie w sypialni śliczne, kute, wiktoriańskie kominki. Szukam czegoś w odcieniach złota i rdzy, żeby dopasować do zasłon.

– Nie ma sprawy – Ellen uśmiechnęła się z ulgą. – Jeśli poda mi pani wymiary i przyniesie próbkę tkaniny, przygotuję coś specjalnie dla pani. To potrwa z tydzień.

– Tak krótko?

Ellen kiwnęła głową i podała klientce swoją wizytówkę. By się upewnić, że dobiła targu, pochyliła się nad ladą i podała pyzatemu chłopczykowi czekoladowe jajko. Cały aż się rozpromienił i od razu zaczął zdzierać złotko.

Gdy została sama, pomyślała przelotnie, że bardzo lubi prowadzić własny biznes. Patrzenie wstecz to czasem wspaniała rzecz. I teraz, patrząc wstecz, żałowała, że nie otworzyła firmy już wiele lat temu. Po przyjściu Simona na świat pochłonęła ją rola matki i strażniczki ogniska domowego. Nawet gdy jej koleżanki, które miały dzieci w podobnym wieku, co Simon, powoli wracały do pracy, ona wolała zostać w domu. Lubiła swoje życie takie, jakim było, powtarzała to przyjaciółkom, które twierdziły jednym głosem, że po powrocie do pracy poczuły się wyzwolone i spełnione, mimo, że często narzekały na to, jak trudno im pogodzić karierę z prowadzeniem domu. Mówiły jej często, że pozytywy zdecydowanie przeważają nad negatywami. Otaczało ją mnóstwo dzielnych kobiet, jednak ona sama w głębi ducha uważała, że

powrót kobiety do pracy źle wpływa na rodzinę, sprawia, że dzieci wyrastają na młodocianych przestępców, bo są niedopilnowane, że cierpi na tym małżeństwo.

Ależ się wymądrzała. I jak bardzo się myliła.

Owszem, broniła się przed powrotem w szeregi osób na pensji, ale wcale nie dlatego, że była jakimś reliktem z lat pięćdziesiątych, który wierzy, iż miejsce kobiety jest w domu. Tak naprawdę paraliżował ją strach, że mogłaby się nie nadawać do pracy. Z upływem lat jej wątpliwości rosły i coraz skrzętniej je tuszowała.

– Kto przy zdrowych zmysłach by mnie zatrudnił? – śmiała się podczas kolacji z przyjaciółmi, na co padała szybka riposta ze strony Rogera:

– Nikt, kogo znam.

Wszyscy żartowali, że prędzej świnie zaczną latać, niż Ellen pójdzie do pracy.

Lecz potem na horyzoncie pojawiła się Charmaine, a wraz z nią bilet w jedną stronę dla Rogera do miłości w Prowansji. Świnie może nie zaczęły latać, ale taki rozwój wydarzeń wydawał się równie nieprawdopodobny. I nagle Ellen znalazła się w sytuacji, gdy musiała się jakoś sama utrzymać.

Blisko dwie dekady prowadzenia domu nie było czymś, co mogło zainteresować pośredników pracy. Trudno było sobie wyobrazić, że ktoś zacznie się dobijać do jej drzwi, by jej pomóc zaplanować karierę. Leżała więc bezsennie noc w noc, starając się wymyślić, co dalej począć. I zawsze gdzieś z tyłu głowy nękała ją myśl, że sama jest sobie winna, iż znalazła się w takiej sytuacji. Trzeba było wiele lat temu zakasać rękawy i iść do pracy. Zasłużyła sobie na taki los, jako kobieta, która chowała się za plecami męża, licząc na to, że to on zarobi na chleb.

„Sugerujemy, by pańska klientka odświeżyła swoje umiejętności”. Takiego zwrotu użył uczynny prawnik Rogera w odpowiedzi na wniosek alimentacyjny złożony przez Duncana.

To dawało jej tylko dwie oszałamiające opcje: opieka nad dziećmi lub sprzątanie.

To Hermione zasugerowała, by Ellen otworzyła własną firmę.

– Nie brakuje ci wyobraźni – powiedziała. – Rozejrzyj się tylko po własnym domu i zobacz, w co potrafiłaś go przemienić. Zaczynj robić to samo dla innych ludzi. I niech ci słono za to płacą.

Pomysł z suszonymi kwiatami przyszedł Ellen do głowy podczas smętnego, deszczowego weekendu, który spędziła z matką. Jej mama z pasją oddawała się opowieściom z gatunku: „A nie mówiłam?”. Rzekomo od początku wiedziała, że Roger to zgniłe jajo, ale nigdy nie miała serca powiedzieć tego córce. Podczas owego weekendu odwiedziły lokalne targi rzemiosła na terenie niedalekiej posiadłości należącej do National Trust. Gdy weszły do namiotu ze stoiskami, Ellen uderzyła ilość suszonych kwiatów wystawionych na sprzedaż, a jeszcze bardziej uderzył ją rodzaj klientów, którzy byli nimi zainteresowani. Najwyraźniej osty i prostota nieźle się sprzedawały.

Wróciła do domu i zabrała się za zbieranie informacji. Pojeździła po okolicach Crantsford i, ku swojemu zaskoczeniu i radości, znalazła tylko jeden mały sklepik sprzedający wszechobecne dekoracyjne taczki i fotele bujane. Rynek był do wzięcia. Z lokalnej biblioteki wypożyczyła wszystkie książki na ten temat, zamówiła też mnóstwo katalogów.

Na rynku nieruchomości pojawił się wtedy Domek Nad Strumieniem ze swoją rozwalającą się stodołą. Na fali entuzjazmu – Hermione wciąż jej powtarzała, że to przeznaczenie (nieważne, że nieruchomość ledwo się trzymała kupy i że nikt z odrobiną oleju w głowie nawet by nie dotknął czegoś równie śmierzącego) – Ellen powiedziała swojemu agentowi, by zaczął szukać kupca na Sadowy Dom. Cztery miesiące później była już po przeprowadzce i otworzyła podwoje firmy „Nad Strumieniem – Suszone Kwiaty”. Przez pierwsze kilka tygodni ruch był

bliski zera. Tak ją to podłamało, że prawie zrezygnowała. Ale z wolna do jej sklepu zaczęli trafiać klienci i sprawy nieco się rozkręciły.

Do lunchu Ellen skończyła drugą aranżację i zapakowała ją do pudła, by potem dostarczyć ją na miejsce, bo również taką usługę oferowała. Dziś rano zarobiła więcej niż przez cały ubiegły tydzień. Hura, może kupi sobie nawet lepszej jakości papier toaletowy, zamiast tego taniego, chropowatego, z perforacjami, które nigdy nie urywają się równo?

Nie miała teraz klientów, więc skorzystała z okazji, wzięła sobie coś do picia i wyszła usiąść na słońcu nad strumieniem. Ciekawe, czy Jo-Jo jeszcze śpi. Nastolatki takie są – jeśli tylko da się im szansę, potrafią spać od rana do wieczora.

Gdy wczoraj odwoziła Hermione, usłyszała od przyjaciółki – co zresztą wcale jej nie zaskoczyło – że wcale nie boją jej nogi i mogłaby wziąć udział w maratonie, ale chciała porozmawiać o Jo-Jo. Ellen wysłuchała opowieści o tym, co Jo-Jo zdradziła Hermione. Biedna mała. Z jednej strony taka dojrzała i mądra, a z drugiej taka młodzieńcza i dezorientowana.

Długo o tym rozmawiały. Jak pomóc dziewczynie? Jak wygląda to od strony prawnej, jeśli Jo-Jo – co podejrzewały – nie ma jeszcze ukończonych osiemnastu lat? Czy ktoś mógłby je oskarżyć o porwanie? Czy powinny zawiadomić lokalne władze, czy też kto tam zajmuje się tego rodzaju sprawami, i pozwolić im zająć się życiem uciekinierki?

Ellen sączyła w zamyśleniu herbatę. Dobrze wiedziała, że nie będzie w stanie odwrócić się do Jo-Jo plecami, tak samo, jak nie byłaby w stanie przyjąć Rogera z powrotem pod swój dach z uśmiechem na ustach. Hermione wysunęła pomysł, że Jo-Jo mogłaby się wprowadzić do niej.

– Mój dom jest większy niż twój – stwierdziła. – To ma sens, żeby zamieszkała u mnie. – Po czym szybko dodała: – Tylko do czasu, aż pomożemy jej pozalutować sprawy.

– Miękniesz na starość? – uśmiechnęła się Ellen.

– No, coś ty! Zarejestruję ją, aby pobierała jakieś intratne zasiłki, a potem każę płacić sobie czynsz.

– Czy myśmy oszalały? – Ellen zapytała Hermione, gdy przyjaciółka tarabaniła się z Johnny'ego Zagranicznika.

– Wydawało mi się, że przestałaś już wszystko racjonalizować.

– Chyba przestałam. Czy też raczej nadal próbuję przestać.

Ellen dopiła herbatę i opadła na miękką trawę. Zamyśliła się. Prawda wyglądała tak, że nadal wszystko namiętnie racjonalizowała. Gdyby było inaczej, czy rozważałaby poślubienie człowieka, którego nie kocha?

A może miłość przyjdzie później?

* * *

Jo-Jo wyjrzała przez okno i zobaczyła Ellen siedzącą na trawie. Wyboistą drogą jechał właśnie samochód, więc Ellen zerwała się na równe nogi i poszła do stodoły. Jo-Jo nadal została przy oknie. Patrzyła na strumień i rozciągające się po drugiej stronie pole, gdzie jakaś kobieta szła na spacer ze swoim seterem irlandzkim.

Będzie tęsknić za tym miejscem, gdy już stąd wyjedzie. Będzie tęsknić za Ellen, a jeszcze bardziej za tą szurniętą Hermione. Spędziła tu zaledwie dwie doby, a miała wrażenie, jakby to było dużo dłużej. Być może tak jej się zdawało, bo czuła się tu szczęśliwa. Jakby uciekła do innego świata – bez mamy, o którą się trzeba martwić, bez ojczyma, który wiecznie ją sztorcuje, bez Alana. Wypuściła powietrze z płuc... Bez Alana.

Przypomniała sobie, co powiedziała wczoraj Hermione. „Chciałam, by ktoś kochał mnie tak, jak kochała mnie babcia”. To była prawda. Rzecz w tym, że Alan nigdy nie powiedział, że ją

kocha. Oddała mu się w nadziei, że wzbudzi w nim miłość. Położyła dłonie na brzuchu. Nie miała pojęcia, jak powinna się czuć, będąc w ciąży. Miała wrażenie, że puchnie. Próbowała wyobrazić sobie dziecko, swoje dziecko. Czy będzie umiała je pokochać? Czy ono ją pokocha?

Znowu westchnęła głęboko, odwróciła się od okna i spojrzała na długie rzędy książek nad łóżkiem syna Ellen. Była tam głównie fantastyka, w tym kilka książek z serii *Z archiwum X*. Poza tym półki zapelniały lektury maturalne: *Mansfield Park*, *Howards End*, *Wachlarz Lady Windermere*, *Hamlet* i *Jane Eyre*. Wzięła do ręki *Howards End* i otworzyła na chybił trafił. Na marginesach po obu stronach tekstu były schludnie wypisane uwagi. Przysiadła na łóżku i zaczęła czytać to, co napisał Simon. Czytanie jego przemyśleń i komentarzy sprawiło jej przyjemność. Ona też nie tak dawno temu studiowała tę książkę... z Alanem.

Alan przyszedł do jej szkoły w zeszłym roku, w połowie semestru jesiennego, gdy nagle i bez wyjaśnienia odszedł ich poprzedni nauczyciel angielskiego. Od początku uparł się, że uczniowie mają się do niego zwracać po imieniu. Siedząc na biurku z przodu klasy, wymachując chudymi nogami, powiedział do nich:

– No, to co wiecie o *Howards End*? Moim zdaniem zbyt gładko się kończy. To tylko łatwy wykręt.

Na początku nikt nie wiedział, co na to powiedzieć. Nie tak wyglądały lekcje z panem Johnsonem.

– No, dalej – zawołał. – Chcę, żeby nasze lekcje były otwartym forum.

– Uważam, że zakończenie powieści nie jest ważne – powiedziała Jo-Jo, podejmując wyzwanie. – Ważniejsze jest to, jak sportretowane są relacje między ludźmi.

– Aha – odparł, zrywając się z biurka i ruszając w jej stronę. – Mogłabyś to rozwinąć?

Zamknęła książkę z trzaskiem i odłożyła ją na półkę nad łóżkiem Simona. Ubrała się i zeszła na dół. Była głodna.

Zrobiła sobie tosta z z pastą Marmite³, posprzątała i zaczęła się zastanawiać, co robić dalej. Może dobrze będzie zarobić na swoje utrzymanie? Znalazła środki do czyszczenia i postanowiła, że zgotuje Ellen niespodziankę.

Dom był tak mały, że błyskawicznie skończyła. Podczas odkurzania cały czas myślała o pewnym aspekcie życia, który zostawiła za sobą, a za którym tęskniła. Czytając notatki Simona na górze, uświadomiła sobie, jak bardzo będzie jej brakowało szkoły. Wczoraj wieczorem, w drodze powrotnej z supermarketu, przyznała się Ellen, że nim odkryła, że jej w ciąży, planowała iść na studia. To miała być jej ucieczka.

– No, ale teraz wszystko na nic – powiedziała.

– Przecież ciąża nie oznacza, że zgłupiałaś! – rzuciła Ellen, po czym dodała ponuro: – Sama kiedyś popełniłam ten błąd i zaczęłam tak myśleć.

Jo-Jo wiedziała, że Ellen ma rację, ale co miała zrobić? Darować sobie ten rok szkolny, wrócić do szkoły za rok i skończyć ją w trybie wieczorowym? A może jednak przystąpić do egzaminów latem? Większość materiału już i tak przerobiła.

Lecz to wszystko i tak było bez sensu. Niby jak miała zdać maturę, skoro nie ma gdzie mieszkać? Do domu za nic nie wróci. Nie teraz.

Wepchnęła odkurzacz z powrotem pod schody, gdzie go wcześniej znalazła i zaciągnęła śliczną zasłonkę. Była nie w sosie. Zawaliła sprawy. Nie potrafiła powiedzieć kogo nienawidzi bardziej: siebie czy Alana.

Ellen była zachwycona. Sprzedała dwie duże aranżacje na kominek i przyjęła kolejne zamówienie, a była dopiero druga po południu. W sklepie została tylko wybredna kobieta, która poddawała dokładnym oględzinom kosze z hortensjami, krwawnikiem i kocankami. Ellen zakwalifikowała klientkę do

kategorii trzech P: „podnieść, postawić z powrotem, pójść dalej”. Kilka minut później okazało się, że się nie pomyliła. Kobieta opuściła sklep z pustymi rękami. Drzwi do stodoły niemal natychmiast otworzyły się znowu i Ellen, która była zajęta przeciąganiem druta przez kwiat róży, prawie przekłuła sobie palec wskazujący na widok kolejnych klientek. W progu stanęła La Carter, w towarzystwie Phyllis i Cynthii. Wszystkie trzy były elegancko ubrane i miały na sobie okulary słoneczne, co, biorąc pod uwagę panujący w sklepie półmrok, nadawało im dziwny, nieziemski wygląd. Ellen z miejsca ochrzciła je terminem Spite Girls, czyli Złośliwe Laski, odpowiedź Crantsford na Spice Girls.

– Och, witam – powiedziała. – Nie spodziewałam się pań tak szybko.

– Chciałyśmy dotrzymać danego słowa – odparła pogodnie Phyllis i ruszyła szybko w stronę lady. – Czyż nie tak, Nadio?

Nadia kiwnęła głową.

– Mniej tu miejsca, niż się spodziewałam – rzuciła. – I mniej światła.

To może zdejmiesz swoje ciemne okulary, ty wredna, stara jędrzo!

– Stodoły bywają różnej wielkości – oznajmiła powściągliwie Ellen. – A tak przy okazji, jeszcze raz dziękuję za wczorajsze zaproszenie. Lunch był przeuroczy – dodała.

– Ból głowy minął?

– Ból głowy?

– No, tak – powiedziała Nadia, uniosła swoje okulary słoneczne do góry i poszła dokładnie przejrzeć zawartość półek. – Nie pamięta pani, że bolała panią głowa?

– A, tak. Przeszło mi, jak tylko Duncan odwiózł mnie do domu.

Możemy sobie tak docinać aż do końca świata, pomyślała Ellen. Przychodziło jej to bez wysiłku. Skupiła się na przeciskaniu drutów przez stertę róż leżących na stole za nią. Phyllis z Cynthią zrozumiały aluzję i dołączyły do Nadii przy półkach. Uszu Ellen dobiegło skrzypnięcie drzwi. Miała nadzieję, że to jakiś prawdziwy klient, ale w drzwiach zobaczyła Jo-Jo.

– Zrobiłam pani kanapkę – powiedziała.

Ujęła tym Ellen.

– Dziękuję – odpowiedziała, świadoma tego, że Spite Girls coś tam trajkoczą po drugiej stronie sklepu. – Dawno wstałaś? – zapytała. – Nie, żeby cię sprawdzała, czy coś.

– Dawno. Poczytałam trochę, a potem zajęłam się sprzątaniami.

– Nie musisz tego robić.

– Ale mogę. Mam nadzieję, że stanę się niezbędna. Czy w czymś jeszcze mogłabym pomóc?

Ellen się uśmiechnęła.

– Nic mi nie przychodzi do głowy, ale może zajrzysz do Hermione? Chyba ma dla ciebie propozycję.

Gdy tylko za Jo-Jo zamknęły się drzwi, Ellen zobaczyła, że Phyllis szturcha Cynthię:

– No, idźże – usłyszała szept Phyllis. – Idź ją zapytać.

Ellen dobrze wiedziała, co ją czeka.

– Mam tylko nadzieję, że nie uzna pani tego za wtrącanie się w nie swoje sprawy, ale czy to nie była ta dziewczyna... No, wie pani, ta, o której rozmawialiśmy wczoraj przy lunchu...

– Cynthia próbuje panią zapytać o to – weszła jej w słowo Nadia – czy to jest ta sama osoba, którą widziała żebrzącą w czwartek w mieście? Powiedziałam jej, że to nie może być ta sama dziewczyna, bo to przecież niemożliwe, żeby znajoma Duncana miała coś wspólnego z takim ladacem.

– O którą dziewczynę paniom chodzi? – zapytała Ellen, choć dobrze wiedziała, że brzmi to idiotycznie, więc szybko dodała: – A, o tę dziewczynę.

– Tę, z którą właśnie pani rozmawiała – odparła Nadia z miną, która świadczyła, że nie tak łatwo ją nabrać.

– Ach, o tę dziewczynę paniom chodzi. No, cóż, Nadio, obawiam się, że się pani myli, a pani, Cynthio, ma pani zupełną rację. Jo-Jo to ta sama dziewczyna, którą widziała pani w czwartek w Crantsford.

– Wiedziałam! – ucieszyła się Cynthia. – Nigdy nie zapominam raz widzianej twarzy.

– Ale co ona tu robi? – chciała wiedzieć Phyllis.

– Nie ma gdzie się podziać, więc zatrzymała się u mnie na parę dni.

– Chce pani powiedzieć, że wzięła ją pani prosto z ulicy? – Cynthia aż się wzdrygnęła. – Ależ, Ellen, przecież pani nic o niej nie wie.

– To prawda, wiem niewiele – odparła Ellen, rozkoszując się zszokowanymi minami na twarzach swoich trzech rozmówczyń. – Jestem jednak pewna, że dobry Samarytanin nie pytał o listy polecające, nim podał komuś pomocną dłoń.

– Ale nie można przecież posuwać się aż tak daleko... – stwierdziła Phyllis, dla której podanie komuś pomocnej dłoni sprowadzało się do kupna biletów na charytatywnej loterii w nadziei wygrania butelki szampana.

– Moim zdaniem jest pani idiotką – wtrąciła się Nadia. – Ona panią wykorzysta, a potem znajdzie sobie innego półgłówka, który przyjmie ją pod swój dach.

Półgłówka! Ellen się zaczerwieniła. Drut, na który próbowała nadzieć jedną z róż, pękł na pół i wbił jej się w dłoń. Miała tylko nadzieję, że nie uszkodziła sobie tym samym linii małżeństwa.

Rozdział jedenasty

Hermione weszła do pogrążonej w absolutnych ciemno ściach szklarni i skierowała latarkę na rzędy doniczek z groszkiem pachnącym ustawione na drewnianej ławie. Nigdy nie doświadczyła macierzyństwa, ale tak właśnie wyobrażała sobie zachowanie świeżo upieczonych matek: nocne wizyty w pokoju dziecięcym pod byle pretekstem.

Młoda dziewczyna w telewizji powiedziała, że dziś w nocy będzie zimno i że na terenie większości kraju można się nawet spodziewać silnych przymrozków. W efekcie Hermione zabrała się za grzebanie w zagraconych szufladach w oranżerii w poszukiwaniu latarki, a potem założyła kalosze.

Na ławie znalazła stary worek jutowy i ostrożnie owinęła nim doniczki. Upewniwszy się, że zapewniła roślinkom tyle ochrony, ile się tylko dało bez wzięcia ich ze sobą do łóżka, starannie zamknęła nieszczelne drzwi. Z dalszej części ogrodu dobiegły ją jakieś szelesty. Poświeciła latarką w stronę ciemnych sylwetek krzaków i zobaczyła znikający z pola widzenia ogon. Lis? A może jeden z jej kotów, Giotto lub Botticelli?

W drodze do domu zatrzymała się na moment na schodach między dwoma puddingami bożonarodzeniowymi i przejechała po nich dłonią. Wyczuła nowe odrośla.

– Niedługo pora na fryzjera – powiedziała do nich czule.

Następnie przecięła trawnik i doszła do altany, gdzie przysiadła na jednym z foteli wiklinowych, który pod jej ciężarem zatrzeszczał, jakby miał reumatyzm. W nocnej ciszy zabrzmiało to głośno i wyraźnie.

Hermione nigdy nie bała się ciemności. Nawet jako dziecko, gdy jej starsza siostra zamknęła ją w zatęchłej szafie na najwyższym piętrze domu, bo zaraziła się od niej odrą. Spała sobie spokojnie w tej szafie przez kilka godzin, aż matka kazała służącej szukać dziecka. Gdyby nie to, że z Roberty była niezła aktorka i zrobiła sporo szumu w związku z własną chorobą, i gdyby ich matka nie była taką cudownie zmienną kobietą, zainteresowaną tylko przygotowaniami do wieczornego przyjęcia, Roberta zostałaby ukarana. Ale to się rzadko zdarzało.

Altana była wzniesiona głównie z kamienia, a dach miała wyłożony ozdobnymi dachówkami, podtrzymywanymi przez wertykalne, dębowe belki. I, mimo że na przestrzeni lat była wielokrotnie naprawiana, praktycznie rzecz biorąc nadal była tą samą altaną, w której młoda Hermione spędziła kiedyś w sekrecie pewną gorącą, letnią noc. To tutaj po raz pierwszy pocałowała się z ojcem Matthew.

Oświeciła latarką swój zegarek. Była dziewiąta. Matthew niedługo powinien przyjechać. Matthew, którego zawsze traktowała jak własne dziecko. Westchnęła głęboko i poczuła pierwsze ukłucia nocnego chłodu. Wstała i weszła do domu. Giotto i Botticelli spali zwinięci w kłębki na piecu centralnego ogrzewania w oranżerii.

W pomieszczeniu panował bałagan, i to nawet w oczach zwykle obojętnej na takie sprawy Hermione. Podobnie jak jej matka, nie przepadała za pracami domowymi. Różnica polegała na tym, że jej matka żyła w erze kucharek i pokojówek, a Hermione nie. Przez większość swojego życia małżeńskiego korzystała z usług sprzątaczk i złotej rączki, na którego mówiła Bełkot, bo nigdy nie potrafiła zrozumieć ani słowa z tego, co mówił. Bełkot świetnie sobie radził z widłami i taczkami. Ale Bełkota już dawno nie ma, podobnie jak sprzątaczk.

Przez jakieś trzy sekundy zastanawiała się nad tym, czy powinna posprzątać oranżerię, ale widok przeladowanych, uginających się półek i świadomość, że wszystkie szafki i szuflady

w domu już i tak pękają w szwach, wystarczyły, by zapomniała o swoich dobrych intencjach. Odłożyła latarkę na stertę paczek z nasionami rozrzuconych na gazecie i weszła do kuchni, w której panował nie mniejszy bałagan.

Jo-Jo zauważyła bałaganiarstwo Hermione, gdy zajrzała tu wcześniej po południu. To zabawne, że niektórzy ludzie czują się nieswojo w zagraconym pomieszczeniu. Jo-Jo najwyraźniej należała do takich ludzi, bo zaczęła ukradkiem układać rzeczy w równe sterty.

– Zostaw! – powiedziała Hermione po dziesięciu minutach przyglądania się zręcznym ruchom dziewczyny. – W głowie mi się od tego miesza.

– To chyba raczej poczucie winy – odparła Jo-Jo.

– Ależ ty jesteś wyszczekana – odgryzła się Hermione. – Idź lepiej do dużego pokoju, gdzie nie ma nic, w czym byś mogła grzebać. Mam ci coś do powiedzenia.

Biedna Jo-Jo popełniła błąd i usiadła w fotelu zalatującym lawendą. Maskowała ona mniej apetyczny zapaszek związany z 45 latami intensywnego użytkowania. Ten fotel miał tendencję do połykania w całości nieostrożnych nieszczęśników, którzy na nim przysiedli.

– Co myślisz o tym, żeby zatrzymać się u mnie na parę dni? – zapytała Hermione. – Aż uporządkujesz swoje sprawy. Tylko sobie nie myśl, że zapewnię ci tu wygodnickie życie. W przeciwieństwie do Ellen mam pedantyczne podejście do prowadzenia domu.

– Właśnie widzę – uśmiechnęła się Jo-Jo, próbując dźwignąć się z przepastnego fotela.

– No, to jak będzie?

Jo-Jo zmarszczyła brwi.

– Ale dlaczego? – zapytała. – Czemu pani i pani Ellen to dla mnie robicie? – Wstała i zaczęła krążyć po pokoju. – Przecież mnie nie znacie. Znalazłyście mnie na ulicy, nakarmiłyście mnie...

– Poprawka, to Ellen cię nakarmiła, a nie ja.

Jo-Jo zatrzymała się.

– No, dobrze, ale teraz to pani proponuje mi dach nad głową...

– Tylko tymczasowo.

– Niech pani będzie, tymczasowo. Dlaczego?

– Rany! Do czego to doszło, że prawdziwy altruista, taki, jak ja, nie może zaoferować ...

– Pytam poważnie!

– A skąd wiesz, że nie jestem altruistką?

Jo-Jo znowu zaczęła krążyć po pokoju.

– Bo... Bo nie wierzę w bajki. Ani w dobre wróżki. Czego pani ode mnie chce?

– A uwierzyłabyś, jakbym ci powiedziała, że towarzystwa?

– Nie uwierzyłabym. Jest pani na to zbyt niezależna.

– No, dobrze, przyznaję się. Chodzi mi o twoje pieniądze. Utrzymanie tego domu to finansowy koszmar, dlatego chcę udział w zasiłku, który na pewno ci przysługuje.

Jo-Jo oparła się o dużą półkę z książkami i wbiła wzrok w Hermione.

– Mówi pani poważnie?

Kilka chwil później Hermione pokręciła głową i się roześmiała.

– Jo-Jo, musisz zacząć mi ufać... Tak samo, jak ja ufam tobie.

Ostatecznie Jo-Jo zgodziła się wprowadzić do Hermione, ale tylko pod warunkiem, że pomoże w domu.

– Zobaczymy – brzmiała odpowiedź starszej pani.

Hermione była teraz sama w kuchni i zastanawiała się nad tym, co powiedziała wcześniej Jo-Jo. Że chce jej kompanii. Jak wszyscy, Jo-Jo założyła, że Hermione jest zbyt niezależna, by jej zależało na towarzystwie kogokolwiek. Przyznanie się do tego przychodziło jej z wysiłkiem, ale

nie mieli racji. Czasem czuła się samotna. Nawet bardzo. Tęskniła ze leniwymi popołudniami z Ellen. Na całej ulicy nie było nikogo, z kim bawiła się choćby w połowie tak dobrze, jak z nią. Większość mieszkańców Crescent to byli jacyś dyrektorzy i temu podobni osobnicy, zupełnie nie jej typ ludzi. Buchananowie, którzy mieszkali o dwa domy od niej, w dawnym domu Ellen, byli uprzejmi, ale mieli pełne ręce roboty z dwójką małych dzieci i byli zbyt zajęci, by się nią interesować. Przeczynała, że w okolicy mają ją za ekscentryczkę i pewnie są na etapie tworzenia komitetu na wypadek, gdyby kompletnie jej odbiło i wyszła na ulicę w samych kaloszach. Uśmiechnęła się. Kto wie? Może właśnie tak pewnego dnia postąpi? Ale jeszcze nie teraz. Lepiej poczekać, aż skończą się przymrozki.

Nalała wody do czajnika i włączyła go. Zerknęła na zegar stojący na lodówce. Matthew powinien tu być za pół godziny.

Jakieś dziesięć minut od Crantsford w świetle reflektorów swojego auta Matthew zobaczył stojące na trawiastym poboczu kombi marki audi. Obok niego stał mężczyzna z kobietą. Oboje gapili się na gumę, którą złapali.

Matthew zwolnił i zatrzymał się za audi. Otworzył okno.

– Pomóc państwu?

Kobieta podeszła do niego. Była elegancko ubrana. Jej ciemne włosy przytrzymywała czarna, aksamitna opaska. Matthew poczuł zapach jej perfum.

– Prawdziwy z pana anioł – uradowała się. – Mój mąż genialnie sobie radzi z każdą kobietą rozłożoną na plecach, ale jest kompletną ciamajdą w dziedzinie mechaniki. Błagam, niech nam pan pomoże.

Matthew wysiadł z samochodu i poszedł za kobietą oraz jej perfumami.

– Dobry wieczór – powiedział genialny ciamajda. – Obawiam się, że moja żona ma absolutną rację. Wiem, że złapałem gumę, ale co z tym należy teraz począć, nie ma zielonego pojęcia. A pan?

To musi być jakiś kawał. Ci ludzie są nie z tej ziemi.

– Tatusiu, czemu się tu zatrzymaliśmy? – dobiegł ich zaspany głosik z audi. – Chyba jeszcze nie dojechaliśmy do domu.

– Idź z powrotem spać, Floss, bądź grzeczna. Niedługo będziemy w domu.

– Dzieci trzeba zabrać z auta – poinstruował Matthew i z rezygnacją zakasał rękawy.

Zastanawiał się, czy nie powinno się wprowadzić przepisów, które zabraniałyby takim durniom prowadzenia samochodu, o posiadaniu potomstwa nie wspominając.

– Czy to naprawdę konieczne? – wtrąciła się błagalnie żona. – Jest ich tylko dwójka i obie są bardzo drobne, nie więcej niż uncja każda. Codziennie je proszę, żeby więcej jadły.

– No, dobrze – poddał się Matthew. – Ale musicie państwo przynieść zapasową oponę.

Genialny ciamajda, który, zdaniem Matthew, wyglądał wypisz wymaluj jak młody aktor komediowy Terry Thomas, spojrział najpierw na żonę, a potem na Matthew.

– A gdzie ona jest dokładnie?

Gdy Matthew dokręcał ostatnią śrubę na wymienionym kole, kobieta powiedziała:

– Jesteśmy panu wdzięczni. Czy mieszka pan w okolicy? Może dałby się pan zaprosić któregoś wieczora na drinka?

– Nie, nie jestem stąd – odparł Matthew i natężył się, by poluzować lewarek. –

Przyjechałem do Crantsford w odwiedziny. – Wyjął lewarek, wyprostował się i podał go Terry'emu Thomasowi.

– Musi pan koniecznie do nas przyjść, żebyśmy mogli panu porządnie podziękować. Wariatuńciu, kochanie, masz nasze wizytówki?

Wariatuńciu? Nikt, ale to nikt nie używa terminu „wariatuńcio”!

– Niestety, zostawiłem je w marynarce. Ale mamy łatwy do zapamiętania adres: Sadowy Dom, Crescent.

Matthew zatrzymał się w pół kroku.

– Crescent? – potwórzyl.

– Zgadza się. Wie pan, gdzie to jest?

Matthew kiwnął głową. To, co sobie właśnie uświadomił, przepełniło go zgrozą.

– Nazywam się Matthew Collins, a pani musi być Susie Buchanan. Rozmawialiśmy przez telefon.

Wariatuńcio gapił się na nich jak sroka w gnat, wyraźnie skonfudowany, natomiast jego żona zaświergotała:

– Ach, ach, ach. Jakie to niezwykle. Po prostu nadzwyczajne.

Miała rację. Matthew aż się wzdygnął na myśl o pracy pod tym samym dachem, co ta niezwykle para. Resztę drogi jechał za czerwonym audi. Czemu Hermione go nie ostrzegła? I czemu sam nie załapał, w co się pakuje, gdy kilka dni temu rozmawiał z Susie Buchanan przez telefon? Może tracił umiejętność oceny sytuacji. To zamówienie może się okazać totalną katastrofą. Pewnie poproszą go, żeby namalował postaci z kreskówki w pokojach dzieci.

Gdy dotarli do Crescent, Buchananowie skręcili na swój podjazd, głośno przy tym trąbiąc i machając do niego. Matthew uprzejmie odmachał i pojechał dalej, pod dom Hermione. Było już dobrze po dziesiątej, ale w środku nadal się świeciło. Uśmiechnął się. To miłe, że Hermione na niego czeka. Wizyta w Domu Pod Złotokapem zawsze sprawiała mu przyjemność. To miejsce było dla niego jak drugi dom.

Zastał Hermione w dużym pokoju. Zasłony były zaciągnięte, a pokój oświetlała pojedyncza lampa. W kącie mężczyzna i kobieta kochali się z werwą, robiąc przy tym sporo hałasu. Matthew wyłączył telewizor i podszedł do pogrążonej w głębokim śnie Hermione, której głowa opadła na ramię. Pachniała wodą kolońską 4711. Matthew wypatrzył charakterystyczną, szklaną butelkę zatknęta w bok fotela.

– Ty stara wariatko – szepnęła czule.

Jako młody chłopak dał jej kiedyś w prezencie butelkę 4711 pod choinkę. Od tamtej pory zawsze skrapiała się tymi perfumami, gdy przyjeżdżał ją odwiedzić. Uklęknął i cmoknął ją w miękki policzek.

Poderwała się.

– Wszystko dobrze. To ja, Matthew.

Wyprostowała się.

– Która godzina?

– Dwadzieścia po dziesiątej.

– Spóźniłeś się – obsztorcowała go i zerknęła na drugi koniec pokoju. – Co się stało z telewizorem?

– Wyłączyłem go.

Cmoknęła z dezaprobatą.

– Chciałam obejrzeć film. Jeden z tych, co to człowieka przed nimi ostrzegają.

– Chyba umknęły ci najlepsze kawałki – roześmiał się.

Westchnęła i pokręciła głową.

– Każę sobie to wyryć na pomniku na cmentarzu. „Tu leży Hermione Rowlands, której umknęły najlepsze kawałki”.

– Jeśli ci się zdaje, że przyjechałem tutaj, żeby wysłuchiwać twojego uzalania się nad sobą, to bardzo się mylisz. Nic już nie mów i wstań, żebym cię mógł porządnie uściskać.

– Pod warunkiem, że przywiozłeś mi coś w prezencie.

- Ależ tobie ciężko dogodzić, Hermione Rowlands.
- Twój ojciec zawsze to powtarzał.

Rozdział dwunasty

Z samego rana Wariatuńcio nie przedstawiał sobą atrakcyjnego widoku. Susie kochała go nad życie, ale nawet ona musiała przyznać, że robił zdecydowanie lepsze wrażenie, gdy już wziął poranny prysznic i się ogolił. Nie była w stanie nawet myśleć o tym, żeby go pocałować, nim umył zęby. Słyszała go teraz przez szum wody w łazience i odgłosy na przemian szczotkowania zębów i śpiewania „Jestem królem mórz” z operetki „H.M.S. Pinafore”.

Usiadła, podłożyła sobie poduszkę za głowę i rozejrzała się po sypialni. Przed szafami biegnącymi przez całą długość pokoju leżały otwarte walizki. Pomyślała o czekającej ją stercie prania. Spędzili w ich domku w Abersoch tylko dwa dni, ale zużyli więcej ciuchów, niż normalnie przez tydzień. Zamknęła oczy na samą myśl o ładowaniu i rozładowywaniu pralki przez resztę dzisiejszego dnia.

Wariatuńcio przeszedł tymczasem do utworu „Trzy dziewczyny ze szkoły to my”. Cudny jest, pomyślała Susie, na niczym się nie potrafi skupić, przerzuca się z jednej operetki na następną. Choć biorąc pod uwagę jego umiejętności wokalne, wszystkie piosenki i tak brzmiały tak samo.

Otworzyła oczy, gdy w łazience ucichło. Wariatuńcio stał w drzwiach, owinięty małym ręcznikiem w tali. Drugim wycierał sobie włosy.

– Tak sobie myślałem – powiedział, zerkając na nią spod ręcznika. – Może byśmy urządzili przyjęcie?

– Jakie przyjęcie?

– Coś do picia i przekąski. Żadnej przesady. Chciałbym zaprosić kilka osób z pracy, może paru sąsiadów, jednego czy dwóch rodziców ze szkoły. Jak myślisz?

– Myślę, że jesteś geniuszem.

Podszedł do niej i się uśmiechnął.

– Nie to powiedziałaś temu artyście wczoraj wieczorem.

Roześmiała się i wyciągnęła do niego rękę.

– Oj, coś chyba nieuważnie słuchałaś. Powiedziałam mu przecież, że genialnie sobie radzisz z rozłożoną na plecach kobietą. – Rozluźniła mu ręcznik i pociągnęła go na łóżko. – Co jest zgodne z prawdą.

– Skarbie, nie mogę nigdzie znaleźć spodni – powiedział Wariatuńcio godzinę później, przerzucając rzeczy w walizce.

Na twarzy Susie wykwitł uśmiech kobiety, która właśnie została zaspokojona w łóżku i w związku z tym była gotowa przebaczyć mężowi wszystko, tak długo, jak będzie jej nadal tak dogadzał. Często żartowała wśród przyjaciół, że małżeństwo z ginekologiem i położnikiem ma dużo plusów – Wariatuńcio dokładnie wiedział, gdzie co jest i co należy z tym zrobić. Niestety, jego umiejętności łóżkowe nie na wiele się przydawały, gdy trzeba się było ubrać.

– Kochanie! – zawołała do niego z łazienki. – W szafie masz kilka czystych par spodni.

Po czym wróciła do szczotkowania włosów. Zastanawiała się, kogo zaprosić na przyjęcie. Wariatuńcio może się zająć kolegami z pracy, ale ona powinna wybrać pozostałych gości.

Zeszła na dół, zostawiając w pokoju męża, który nadal krążył po sypialni w samych bokserkach. Dziewczynki były już w kuchni. Na blacie kuchennym stała paczka płatków Frosties. Rozsypane płatki ciągnęły się od niej aż na drugą stronę kuchni, gdzie przy stole siedziały dzieci.

– Dzień dobry – powiedziała i cmoknęła obie córki w głowy, co było nieco trudne

w przypadku Millie, bo miała na sobie wielkanocny kapelusz, który zrobiła w szkole przed samym końcem semestru.

Floss, starsza z dziewczynek, która miała dziesięć lat i wyglądała jak kopia swojej matki, tylko z trochę jaśniejszymi włosami, podniosła na nią wzrok znad miseczki z płatkami.

– To Millie tak nabałagała.

– Ty też – odparowała Millie.

Była trzy lata młodsza i przekonana, że zawsze na wszystkim wychodzi gorzej od starszej siostry.

– Nie jestem w nastroju, dziewczynki. Zupełnie nie jestem w nastroju. Posprzątajcie razem ten bałagan albo żadna nie dostanie jajek wielkanocnych.

Skrzywiły się obie i dalej jadły w ciszy, gdy w kuchni pojawił się ich ojciec. Nadal miał na sobie bokserki, ale zdołał znaleźć koszulkę polo i parę kłapek.

– Tatusiu, co się stało wczoraj z samochodem? – zapytała Millie. – Floss mówi, że się zepsuł. A ja nic nie pamiętam. Czy ona kłamie?

Wariatuńcio jęknął teatralnie.

– Millie, to był przeokropne. Złapaliśmy paskudną gumę, ale na twoje szczęście, wszystko przespałaś i obudziłaś się dopiero, jak dojechaliśmy do domu. – Przeszedł po chrupiących płatkach na podłodze, zupełnie ich nieświadomy. Nie zauważył też miny malującej się na twarzy Susie.

– Widzisz, mówiłam! – zawołała triumfalnie Floss, po czym odwróciła się do ojca i stwierdziła: – A kim był ten pan, który nam pomógł?

Twarz Wariatuńcia pozostała bez wyrazu.

– A niech mnie, jeśli sobie przypomnę, jak on się nazywał. Twoja mama wszystko o nim wie. – Podeszedł do Susie i otoczył ją ramionami. – Błagam cię, skarbie – szepnęła jej na ucho. – Znajdź mi jakieś spodnie.

Parsknęła śmiechem i odsunęła go od siebie.

– Pamiętacie, jak wam mówiliśmy, że będziemy mieli taki specjalny obraz? – zwróciła się do córek.

Obie kiwnęły głowami.

– To jest właśnie ten artysta, która nam go namaluje. Nazywa się Matthew.

Millie zmarszczyła brwi.

– A jak przyjdzie, to będzie miał na sobie taki duży, opadający берет?

– Dobry Boże, ależ oczywiście! – zawołał Wariatuńcio. – Albo założy duży, brązowy берет z aksamitu albo nie zapłacimy mu ani grosza. Ja chcę prawdziwego artystę, a nie jakiegoś tam udawacza w dzinsach, który strzyka farbą na rowery i nazywa to sztuką.

Matthew podciągnął dzinsy i rozsunął wyblakłe zasłony. Po raz pierwszy od wieków porządnie się wyspał. Zwykle sypiał niewiele więcej niż dwie godziny na dobę, maksymalnie cztery, ale Dom Pod Złotokapem zawsze miał na niego zbawienny wpływ. Powinien tu częściej przyjeżdżać, pomyślał smętnie. I to nie tylko po to, by się zobaczyć z Hermioną, lecz również dla własnej higieny psychicznej.

Było mu trochę wstyd, że tak dawno nie odwiedzał matki chrzestnej. Ostatnie kilka wizyt to były tylko krótkie noclegi po drodze do Londynu.

Wyjrzał do ogrodu za oknem i zauważył Hermionę. Miała na sobie kalosze i futro zarzucone na koszulkę nocną. Szła właśnie przez oszroniony trawnik. Odprowadził ją wzrokiem. Weszła do szklarni i po chwili zniknęła mu z oczu za brudnymi szybami.

Jako młody chłopak praktycznie mieszkał w tej szklarni razem z Hermioną. Gdy wszyscy byli zajęci grą w tenisa czy krykieta, oni uciekali w wilgotną atmosferę, zapach kompostu

i pomidorów czy co tam jeszcze Hermione akurat hodowała. Kiedyś się tam schował, gdy matka była na niego zła. Nie potrafił sobie przypomnieć, co takiego zbroił, ale pamiętał Hermione krzyczącą na jego matkę:

– Zostaw chłopaka w spokoju albo go utracisz na zawsze.

Nie rozumiał wtedy, co ona ma na myśli, bo miał tylko sześć lat, ale jej słowa niosły w sobie coś proroczego.

Skończył się ubierać i wspinał się po schodach na najwyższe piętro, do pakamery dokładnie nad pokojem, w którym spał i której okna również wychodziły na ogród. Nie chodziło mu jednak o widok. Dokładnie naprzeciwko okna, za parą zakurzonych stolików i poobijaną skrzynią, z której wystawały stare ciuchy, znajdowała się duża ściana, na której Matthew namalował swój pierwszy w życiu mural. Stylem odzwierciedlał on książki, jakie jako mały chłopiec dostawał od Hermione. Zresztą właśnie dla niej stworzył to malowidło i umieścił na nim całe mnóstwo zwierząt: zające, wiewiórki, koty oraz sowę wciśniętą w wysoki dąb z krętymi schodami prowadzącymi na górę. W wijącym się strumieniu były też żaby i kaczki, a ponad nim unosiła się ważka. Dalej, w tle, daleko za idealnymi łukami wiaduktu i maleńkim pociągiem wypuszczającym chmurki pary, widać było punkciki krów.

To była idylliczna scenka, tym bardziej interesująca, że przedstawiała trzy postaci na różnych etapach ich życia. W środku malowidła znajdował się wizerunek dziecka w ramionach młodej kobiety w bladoniebieskim płaszczu. Miała związane włosy i była uśmiechnięta ze szczęścia. Na prawo mały, ciemnowłosy chłopiec pchał przed sobą zabawkowego osiołka na kółkach, a na pierwszym planie ten sam chłopiec, ale o kilka lat starszy, tkwił przykucnięty w trawie i patrzył na własne odbicie w wodzie. Na lewo od dębu stała starsza kobieta i patrzyła prosto na widza. Portret stanowił najciekawszą część całego malowidła. Przedstawiona kobieta emanowała pewnością siebie i spokojem, uśmiechała się bardziej do siebie samej, niż do kogoś innego. Na prawo od niej, po drugiej stronie drzewa stał mężczyzna. Był wysoki, poważny, trochę nieswój we własnej skórze. Ręce miał wbite w kieszenie, a twarz częściowo zwróconą w stronę kobiety stojącej po drugiej stronie drzewa. Ta sama postać pojawiała się jeszcze w innym miejscu. Mężczyzna był starszy, siwowłosy, ale bez wątplenia był to ten sam człowiek.

Matthew miał piętnaście lat, gdy namalował ten mural. Było to podczas długich wakacji u Hermione. Poprosiła go o namalowanie serii portretów: Kita, siebie samego i jej. Gdy powiedział, że ma lepszy pomysł, dała mu wolną rękę. Opróżnił starą pakamerę, rozstawił swoje farby i zakazał jej wstępu do pokoju, aż nie skończy. Malował głównie z pamięci, pomagając sobie też kilkoma zdjęciami, które zawsze miał przy sobie. W ten sposób udało mu się stworzyć malowidło, które upamiętniło Hermione, z którą dorastał, a także jego ojca, który popełnił błąd i nie ożenił się z ukochaną kobietą. Pod wieloma względami był to bardzo smutny obraz, ale nigdy nie żałował, że go namalował.

Talent do malarstwa odziedziczył po ojcu, który jednak nigdy nie miał okazji rozwinąć swojej twórczości tak, jakby chciał. Kit miał silne poczucie obowiązku, ale był też samotnikiem, który najlepiej czuł się we własnym towarzystwie. Matka Matthew nigdy nie potrafiła tego zrozumieć. Roberta nie umiała znieść samotności. Czuła, że żyje tylko wtedy, gdy była w grupie ludzi, im większej, tym lepiej.

Matthew chyba był taki jak Kit. Teraz, gdy Bridget zniknęła już z jego życia, najbardziej liczyło się dla niego własne towarzystwo. Zmęczył go wysiłek wywierania odpowiedniego wrażenia na innych. Był świadom tego, że coraz gorzej znosi otaczających go ludzi.

Przyszli mu do głowy Buchananowie. Zastanawiał się, jak wytrzyma pracę u nich.

Spojrzał znowu na mural przed sobą, uśmiechnął się do ojca, a potem do Hermione, po

czym opuścił pakamerę. Schodząc na dół, zwrócił uwagę na to, jak bardzo od jego ostatniej wizyty dom posmutniał i zmarniał. Na podeście na piętrze oblażyły duże partie tapety, a spod nich wyzierały złowrogie plamy wilgoci. W korytarzu na dole wypatrzył dziury w tynku. Nie mógł znieść myśli o dalszym podupadaniu Domu Pod Złotokapem, ale dobrze wiedział, że Hermione nie stać na jego utrzymanie. Oboje pewnie zdawali sobie sprawę z tego, co rozwiązałoby ten problem. Żałował, że nie ma dość pieniędzy, by pomóc ciotce.

Znalazł ją w kuchni. Nadal miała na sobie futro. Odwróciła się na dźwięk jego kroków na pokrytej terakotą podłodze.

– Czy to futro to na moją cześć? – zapytał.

– Nie pochlebiaj sobie, kochany chłopcze. Obawiam się, że mój szlafrok nie przeżył ostatniego prania, ale tak długo, jak nie opuszczę granic Domu Pod Złotokapem, nie grozi mi chyba obrzucenie jajkami. A skoro o jajkach mowa, zrobić ci śniadanie? Co powiesz na ryż z jajkami i rybą? Jajecnicę? A może chcesz tosta z jagnięcymi nerczkami?

Zjedli w kuchni.

Hermione przez kilka minut uważnie mu się przyglądała, po czym stwierdziła:

– Coś bardzo jesteś cichy. Co tam u ciebie i Bridget?

– Ale z ciebie wścibska baba.

Sięgnął po kolejny kawałek tosta.

– Czy mam rozumieć, że posłała cię do diabła i dlatego właśnie zachowujesz się jak...

– Wcale nie. To ja powiedziałem, że lepiej będzie, jak się rozstaniemy.

– Czemu?

– No, bo... – Odręcił słoik dżemu śliwkowego i aż się skrzywił na widok grubej warstwy pleśni i zapaszku, jaki wydzielala. Szybko zakręcił słoik z powrotem. – Bo bałem się, że sprawy między nami mogą rozwinąć się tak, jak między Kitem i Robertą. Ta koszmarna sytuacja miała szansę się powtórzyć.

Hermione wbiła ciężki wzrok w Matthew. Jedną z wielkich radości jej życia był fakt, że on tak bardzo przypominał swojego ojca. Podobnie jak Kit, Matthew był wysoki, kanciasty i robił wrażenie skrępowanego, jeśli miał na sobie cokolwiek innego niż codzienną koszulę i dżinsy. Miał takie same, ciemne włosy, w których właśnie zaczynały się pokazywać pierwsze nitki siwizny, takie same przenikliwe, piwne oczy oraz krzywy uśmiech. To ten uśmiech sprawił, że serce Hermione podskoczyło, gdy Kit odezwał się do niej w tę ich specjalną noc w altanie. Było jednak jeszcze inne podobieństwo, być może bardziej niepokojące: podobnie jak jego ojciec, Matthew chyba odczuwał coraz większą potrzebę samotności.

Hermione tylko raz spotkała się z Bridget – było to dwa lata temu, na pogrzebie Roberty. Jedno spotkanie wystarczyło jednak, by zrozumiała, że Bridget – wystrojona w ekstrawagancki, czarny kapelusz i buty na obcasach, bez końca gadająca o swojej pracy konsultantki PR – nadawała się na partnerkę Matthew nie bardziej, niż Roberta na partnerkę Kita.

– A co ci się w niej na początku spodobało? – zapytała w końcu.

Matthew wzruszył ramionami.

– Jej osobowość?

– Chcesz chyba raczej powiedzieć, że myślałeś, że będzie dobra w łóżku. Była?

– Nie twoja sprawa.

Hermiona parsknęła śmiechem.

– Pozbyłeś się jej, bo doprowadzała cię do szaleństwa swoim nieprzerwanym gadaniem.

– Przecież tak jest lepiej. Gdybyśmy zostali razem, zamieniłaby się przy mnie w smutną, zgorzkniałą kobietę, tak jak...

– Jak twoja matka?

Siedzieli przez chwilę w milczeniu, które w końcu przerwała Hermione:

– Moja siostra nigdy nie powinna była wyjść za twojego ojca. Zupełnie do siebie nie pasowali. Kit powinien ożenić się z kimś bardziej...

– Mój ojciec powinien był ożenić się z tobą, oboje to wiemy.

Hermione wstała gwałtownie, podeszła do okna i wyjrzała na zewnątrz. Patrzyła, jak Giotto przekrada się przez ogródek zielony i wymachuje ogonem, czając się na drzewko wawrzynowe. Matthew dołączył do niej przy oknie.

– Cieszę się, że pozbyłeś się Bridget – powiedziała Hermione. – Nigdy bym ci nie wybaczyła, gdybyś się z nią ożenił.

Rozdział trzynasty

Ellen nie uważała się za neurotyczkę, ale szczerze mówiąc nie umiała inaczej opisać swojego stanu. Próbowwała zmusić się do wykręcenia numeru. Po drugiej stronie słuchawki czekał na nią albo dodający otuchy głos Duncana albo też natarczywy, dudniący w uszach ton La Carter.

Dochodziło wpół do dwunastej. Sklep w stodole był otwarty od ponad dwóch godzin, ale nie udało jej się sprzedać nic poza marnym bukietem różowych i białych nieśmiertelników. Przez cały poranek telefon wiszący na ścianie nad stołem do pracy ją kusił. No, dalej, zadzwoń do Duncana, zachęcał ją, zadzwoń do Duncana... Tylko na chwilę. Możesz udać, że chcesz porozmawiać o sytuacji prawnej Jo-Jo. Lecz za każdym razem, gdy tylko sięgała po słuchawkę, stawała jej przed oczami La Carter odbierająca telefon w Crantsford Hall, więc szybko się wycofywała.

Tchórzostwo u innych ludzi jest czymś żalonym, natomiast u siebie samego jest najzupełniej wytłumaczalne. Wymyślała jeden ważny powód za drugim, by nie zadzwonić do Duncana. Na pewno gra w golfa. Albo pracuje u siebie w gabinecie. Jest zajęty, koniec, kropka!

Zresztą czemu nagle opętało ją takie pragnienie rozmowy z nim? Przecież są umówieni za kilka dni? Co jej się tak śpieszy?

Śpieszyło się jej, bo bała się, że ktoś się z nim rozmówi, zanim ona zdąży to zrobić. Być może ktoś inny ostrzy sobie na Duncana zęby, ktoś, o kim ona nie ma pojęcia? Kto wie, może do Duncana ustawia się kolejka kobiet, a on przebiera w nich jak w ulęgałkach? Może właśnie dlatego się nie ożenił – bo jest zbyt zajęty przeskakiwaniem z kwiatka na kwiatek?

Lecz wtedy pomyślała o Duncanie, którego zdążyła poznać. Prostolinijnym, bezkompromisowym Duncanie, który siedział za swoim biurkiem i uspokajał wzburzone wody podczas tyłu rozwodów. Ta wizja niewiele jej jednak pomogła, bo oczami wyobraźni zobaczyła niezliczone, strapione kobiety, kierujące swe zażawione spojrzenia na Duncana, podczas gdy on wręcza im chusteczki, prawomocne wyroki rozwodowe oraz zaproszenia na kolację.

Nie, powiedziała do siebie. Na Duncana łzy nie działają. To człowiek, który przywiązuje wagę do szczegółów i interesują go tylko twarde fakty. Gdyby miał zakochać się w jakiejś zapłakanej, skrzywdzonej kobiecie, ożeniłby się już wiele lat temu.

Nagle, kilka centymetrów od niej rozległ się dzwonek telefonu, głośny, przenikliwy. Może Duncan wyczuł ją telepatycznie i dzwoni, żeby zadeklarować, że się za nią stęsknił i nie może się doczekać środy i w związku z tym musi się z nią natychmiast zobaczyć, bo powinni o czymś porozmawiać, a w ogóle co ona by powiedziała na ślub na wyspie Saint Lucia?

Te myśli przemknęła jej szybko przez głowę, zaraz jednak o niej zapomniała, bo w słuchawce usłyszała głos Simona.

– Pomyślałem, że zadzwonię życzyć ci wesołych Świąt Wielkanocnych – dobiegło ją przez zakłócenia na linii. – Dzwoniłem do domu, ale cię nie było. Co to za dziewczyna odebrała?

Ellen wszystko mu opowiedziała.

– Powinienem się martwić? – chciał wiedzieć.

– Co masz na myśli?

Roześmiał się.

– Czyżbyś miała zamiar przeistoczyć się w jakąś walczącą hipiskę w średnim wieku, mammo?

– Tylko nie w średnim wieku! – parsknęła śmiechem. – No, to kiedy zjawisz się w domu?

– Pogoda ma się jutro zmienić, więc chyba darujemy sobie Buttermere i przyjedziemy we wtorek. Znajdzie się dla mnie łóżko?

Wyjaśniła, że Jo-Jo przenosi się do Hermione, po czym, słysząc samochód przed stodołą, dodała:

– Słuchaj, muszę lecieć. Mam klienta. To do zobaczenia jutro. Jedź ostrożnie. Pa.

Susie wiele razy myślała o tym, żeby pójść zobaczyć sklep poprzedniej właścicielki Sadowego Domu, ale była wiecznie zajęta i nigdy nie znalazła chwili na zaspokojenie własnej ciekawości.

Po śniadaniu, gdy sortowała pocztę, która przysłała podczas ich pobytu na wsi, natknęła się na list z Francji zaadresowany: „Proszę przekazać pani E. Jacobs”. Osobiste dostarczenie tego listu wydało się jej idealnym pretekstem do zostawienia za sobą sterty brudnych ciuchów na podłodze w pralni.

Pchnęła ciężkie drzwi i weszła do środka. To, co zobaczyła, zrobiło na niej spore wrażenie. Dobrze, że wzięła ze sobą torebkę.

– Dzień dobry – powiedziała, podchodząc do kontuaru. – Czy pani mnie pamięta? Jestem Susie Buchanan. Kupiliśmy razem z mężem dom od pani.

– Owszem. – Ellen poczuła ukłucie zazdrości. Doskonale pamiętała, kim jest ta kobieta. – Coś nie w porządku z domem? – dodała, a w głębi ducha zapragnęła, by ściana szczytowa pękła na pół, a fundamenty osunęły się na piasku.

– Och, nie, nie, nic podobnego. Dom jest w świetnym stanie i bardzo go kochamy. Tak jak pani powiedzieliśmy, gdy przyszliśmy go pierwszy raz obejrzeć, to była miłość od pierwszego wejrzenia.

Ellen przypomniała sobie pełną zachwytów wizytę Buchananów w Sadowym Domu.

– Kochanie, popatrz tylko na to... Och, czyż ten hol nie jest cudowny!... Ach, jakie urocze okno, prawda?

– Coś pani przyniosłam – ciągnęła dalej Susie. Otworzyła torebkę i wyjęła z niej kopertę.

Ellen nie wzięła jej do ręki, patrzyła tylko, jak list przesuwają się po ladzie.

– Dziękuję – powiedziała z oporami.

Rozpoznała charakter pisma, więc wiedziała, od kogo jest ten list. Nie miała ochoty nawet go dotknąć, nie wspominając o przeczytaniu.

– Pewnie już się tu pani urządziła – stwierdziła Susie. – Bo my tak. Mamy poczucie, jakbyśmy mieszkali w Sadowym Domu od zawsze.

– To dobrze – powiedziała bez emocji Ellen.

Susie podniosła na nią wzrok. Poczowała się niezręcznie. Wiedziała dlaczego Sadowy Dom został wystawiony na sprzedaż. Agent nieruchomości dał im między wierszami do zrozumienia, że chodziło o rozwód. Poprzednia właścicielka nigdy jednak otwarcie o tym nie mówiła. Susie przeprowadziła się do Crantsford z Londynu, więc była nowa w tej okolicy i nie znała miejscowych plotek. Podczas negocjacji dotyczących kupna domu była pełna podziwu dla Ellen Jacobs. Sama nie umiałaby zachować takiego spokoju, gdyby Wariatunio kiedykolwiek dopuścił się tego, co nie do pomyślenia. Pielęgnowała w sobie obraz Ellen Jacobs jako silnej, samodzielnej kobiety, która podźwignęła się z popiołów. Dzięki temu łatwiej zносиła myśl, że przez nich Ellen musiała się wyprowadzić z domu, który ewidentnie bardzo kochała.

– Domek Nad Strumieniem jest przeuroczy – stwierdziła Susie z uśmiechem. – Na pewno było tu przytulnie i ciepło zimą. – Niewiele brakowało, a dodałaby jeszcze, że dom jest pewnie tani w utrzymaniu, ale zdołała ugryźć się w język.

– Przepraszam – powiedziała Ellen. – Chyba jestem nieuprzejma i trochę gburowata w obęjsiu. Nie miałam takiego zamiaru...

– Och, nie, nic podobnego – odpowiedziała Susie. – Pójdę teraz obejrzyć pani wspaniałe dekoracje z suszonych kwiatów. Ma pani głowę na karku. Ja bym za nic nie dała rady prowadzić firmy. Kiepsko radzę sobie nawet z własną rodziną. Nie wyobraża sobie pani, ile wysiłku kosztuje mnie przyniesienie mleka spod drzwi codziennie rano!

Ellen patrzyła za Susie, która przeszła do części sklepu, gdzie wystawione były najdroższe dekoracje. Może kupi coś z litości?

Po dziesięciu minutach przeglądania towaru Susie wróciła do kontuaru z dużym, czerwono-czarnym koszem z rattanu wypełnionym masą czerwonych stirlingii i dmuszków.

– To do jadalni – wyjaśniła. – Mamy dużo mahoniowych mebli odziedziczonych po krewnych. Właśnie uszyłam wspaniałe zasłony z najcięższego brokatu pod słońcem.

– Brzmi pięknie. – Ellen uśmiechnęła się wspaniałomyślnie, zerkając na etykietkę z ceną na koszu.

Susie zabrała się za przeczesywanie torby w poszukiwaniu portmonetki.

– Tak sobie myślę... – zagaiła z kartą kredytową w ręce. – Może zgodziłaby się pani przygotować aranżację specjalnie dla mnie? Bardzo bym chciała mieć coś dużego na kominek w pokoju dziennym, coś, co by pasowało do nowych kanap.

– Jeśli przyniesie mi pani próbkę tkaniny, chętnie się tym zajmę.

– Ojej – zmartwiła się Susie. – Obawiam się, że to niemożliwe. Nie mam nawet kawałeczka tej tkaniny. Ani poduszek. – Następnie jej mina uległa radykalnej zmianie i uśmiechnęła się zachęcająco do Ellen. – Jejku, a może dałaby się pani namówić na wizytę, a wtedy sama pani obejrzy te kanapy?

Ellen już otworzyła usta, by powiedzieć „nie”, i to bardzo stanowcze „nie”, ale Susie ciągnęła dalej z entuzjazmem:

– O, nie, mam jeszcze lepszy pomysł. W następny weekend wydajemy małe przyjęcie. Może pani przyjdzie? Bardzo proszę. Chciałabym pokazać pani dom i wszystko, co w nim zrobiliśmy. Och, bardzo przepraszam. – Otworzyła torebkę i wyciągnęła z niej swoją pikającą komórkę. – Wariatuńciu, kochanie, co się dzieje?

Ellen odwróciła się taktownie i zaczęła przycinać suchlin różowy na odpowiednią długość do aranżacji, którą zamierzała następnie wykonać, ale od głosu Susie nie dało się uciec. Podobnie jak – prawdopodobnie – od zaproszenia do Sadowego Domu.

– Kochanie, uspokój się. Będę z powrotem, zanim się obejrzysz. Jestem jeszcze u Ellen Jacobs i zaprosiłam ją na nasze przyjęcie. Owszem, też pomyślałam, że to dobry pomysł. A teraz idź i włącz dziewczynkom jakiś film, a potem posprzątaj trochę ten cały bałagan. Tylko, błagam cię, nie szoruj, a delikatnie przecieraj. Pa, pa. – Schowała telefon i przewróciła oczami. – Jest kochany, stara się jak może.

Rozdział czternasty

Wielkanoc minęła. Na sam koniec, w poniedziałek, zgodnie z tradycją lunęło jak z cebra.

Był wtorek rano i nadal nie przestało padać. Z okna sypialni Hermione patrzyła, jak deszcz maltretuje opadające główki narcyzów w zalanym ogrodzie. Spojrzała z troską w stronę szklarni. To cud, że deszcz nie uszkodził żadnej z szyb.

Odeszła od okna i wróciła do ścielenia łóżka. Poklepała i wygładziła spłowiałą, jedwabiście zieloną kołdrę puchową. Zrobiła to delikatnie, żeby nie wydusić żadnego piórka przez którąś z licznych dziur, ale i tak jedno wydostało się na wolność. Podfrunęło w górę, po czym osiadło na poduszce. Hermione wzięła je między palec wskazujący i kciuk i przejechała nim sobie wolno po policzku, w górę i w dół. Przywołało to wspomnienie innego deszczowego dnia, gdy Kit trzymał ją w ramionach, delikatnie pieszcząc jej policzki i zasypując pocałunkami. Lecz Roberta, której nigdy nic nie umknęło, wypatrzyła ich w altanie i później poinformowała Hermione, że chce Kita dla siebie.

– Wszystko w porządku?

Puściła piórko i odwróciła się do Jo-Jo.

– Nie powinnaś się tak zakradać do starszych pań. To może zaszkodzić na serce.

– Przepraszam, nie pomyślałam.

Hermione uśmiechnęła się do niej.

– Kiedy przestaniesz brać każde moje słowo na poważnie, co? Jak wy, młodzi, mówicie?

Wrzucić na luz, pożycz trochę.

– Na tym polega problem – stwierdziła Jo-Jo, wchodząc do pokoju i przesuając sobie ręką po brzuchu. – Ja tak właśnie zrobiłam.

– Ojejku, jejku, zebrało nam się na głębokie przemyślenia, co? Mam na to sposób. – Otworzyła na oścież drzwi brzydkiej, nieporęcznej szafy i cofnęła się o krok. – Postanowiłam zrobić porządki – oświadczyła. – Może mi pomożesz? Jak się trochę powzdrygasz i wytarzasz ze śmiechu na widok co poniektórych moich ciuchów, to zaraz ci przejdzie użalanie się nad sobą.

Hermione miała rację. Wystarczyło kilku minut oglądania starszej pani prezentującej miszmasz swoich zakurzonych kreacji i Jo-Jo ochoczo do niej dołączyła. Owinęła sobie wokół szyi różowe boa z piór, dołożyła do tego fiołkowy kapelusz w kształcie latającego spodka i stanęła w śmiesznej pozie przed lustrem obok Hermione.

– Wyglądamy jak niezłe babsztyłe – roześmiała się z zachwytem Hermione.

– Na pewno?

W drzwiach, oparty o framugę, stał Matthew i gapił się na nie. Na jego twarzy błąkał się cień uśmiechu.

Zawstydzona Jo-Jo ściągnęła boa z szyi. Jeszcze nie była pewna, czy Matthew to przyjaciel czy wróg. Nie, żeby był w stosunku do niej niemiły. Po prostu robił wrażenie surowego. Zastanawiała się, czy nie jest przypadkiem zazdrosny o to, że ona tu jest i spędza czas z Hermione. Albo może, co gorsza, podejrzewa ją o to, że chce wykorzystać starszą panią.

Gdy zjawiła się wczoraj po południu, powitał uprzejmie ją i jej plecak, ale nic więcej. Kilka minut później zniknął na górze. Oczywiście było, że Hermione ma do niego dużą słabość. Jo-Jo wyczuwała, że, mimo swojej powściągliwości, on też wprost przepada za Hermione.

– Nie gap się tak na nas, Matthew – powiedziała Hermione. – Biedna Jo-Jo cała się zdenerwowała.

– Ja też bym się denerwował, jakbym miał taki kapelusz na głowie.

Jo-Jo zapomniała o latającym spodku. Szybko go teraz ściągnęła.

– Pomagam Hermione zrobić porządki w szafie – rzuciła tytułem wyjaśnienia.

Zignorował jej uwagę.

– Zrobiłem lunch, jeśli ktoś ma ochotę.

– Ach, jak wspaniale jest mieć gości w domu – stwierdziła Hermione, która nadal miała na sobie zakurzoną kreację, gdy razem z Jo-Jo podążyły za Matthew na dół do kuchni. – Zwłaszcza takich uczynnych. A niech mnie kule biją! – wykrzyknęła na widok zastawionego stołu. – Co za uczta!

Na stole były bułki z pełnoziarnistej mąki, pasztet, plastry szynki, różne sery oraz misa sałaty pokrytej lśniącym, musztardowym dressingiem.

– Nie miałś w domu nic nadającego się do jedzenia – stwierdził Matthew nalewając wino dla Hermione i dla siebie. – Więc pojechałem po zakupy do supermarketu. Opróżniłem też spiżarnię z twojej kolekcji antycznych puszek. Zastąpiłem je nowszymi, które powinny dotrwać do początku następnego stulecia bez ryzyka dla zdrowia.

Podał Jo-Jo szklankę soku pomarańczowego.

Hermione się na ten widok skrzywiła.

– Matthew, to bardzo miło z twojej strony, ale Jo-Jo jest, technicznie rzecz biorąc, dorosła, więc daruj sobie to staroświeckie podejście i daj jej się napić wina – powiedziała.

– Jest też, technicznie rzecz biorąc w ciąży, więc pozostanmy przy soku pomarańczowym. – Podniósł się z krzesła i złapał niewielką reklamówkę leżącą na suszarce przy zlewie. Podał ją Jo-Jo. – Pomyślałem, że to ci się może przydać.

Zajrzała do torby.

– To witaminy i suplementy żelaza – wyjaśnił w odpowiedzi na jej pytające spojrzenie. – Sprzedawczyni w aptece mi je poleciła.

Hermione i Jo-Jo gapiły się na niego jak sroka w gnat. Jo-Jo próbowała się bronić.

– A skąd wiesz, że ja nie biorę... – zajrzała po raz kolejny do torby – kwasu foliowego i...

– Powiedzmy, że intuicja mi tak podpowiada.

– Jejku, aleś ty się dzisiaj uwijał – stwierdziła Hermione. – Nagle zrobił się z ciebie prawdziwy patriarchy.

Matthew odkroił kawałek cheddara.

– Co z lekarzem? – zapytał. – Byłaś przynajmniej na podstawowych badaniach?

– Och, przestań już. Nic jej nie jest, przecież to widać.

– Hermione, ona musi się zarejestrować u lekarza – upierał się Matthew. – Trzeba zrobić usg, badania krwi i co tam jeszcze. Myślisz, że możesz tak po prostu wziąć ją z ulicy i zapomnieć o tym, że jest w ciąży? A jeśli coś pójdzie nie tak? Nie dotykaj tego!

Hermione aż podskoczyła, a Jo-Jo zamarła w pół gestu.

– Przepraszam – powiedział Matthew do dziewczyny. – Nie powinnaś jeść miękkich serów. Ani pasztetu.

– A czemużby nie? – Jo-Jo była wyraźnie rozczarowana. Zamarła z nożem nad trójkątem dojrzalego sera brie.

– Same widzicie – stwierdził Matthew, rozkładając ręce. – Żadna z was nie ma pojęcia o ciąży. Nie słyszałyście o listerii?

– Nie – Hermione odpowiedziała z uśmiechem. – Ale słyszałam o histerii.

Jo-Jo zachichotała, a Matthew się rozluźnił. Ostatecznie to nie był jego problem. Na niego, jak podejrzewał, problemy czekały w Sadowym Domu, dokąd miał się udać zaraz po lunchu.

Z drogi prawie nie było widać Sadowego Domu. Budynek stał odsunięty od ulicy i dyskretnie ukryty za dużym, ceglany murem, nowym – podobnie jak sam dom – i, zdaniem Matthew, trochę za bardzo ostentacyjnym. Dom dostrzegł dopiero, gdy stanął przed kutą bramą zbyt wielkich rozmiarów. W ulewnym deszczu szedł podjazdem wyłożonym kostką w jodełkę i z zaskoczeniem stwierdził, że całkiem mu się tutaj podoba, nawet mimo wyraźniej inklinacji architekta do sylu Tudorów, zwłaszcza w zastosowaniu brązu i bieli. Fasada główna była symetryczna, co przypadło mu do gustu. Tak samo wąskie, wysokie, gotyckie okna na środku, które jak się domyślał, pięknie oświetlają hol i klatkę schodową. Już taksował tę część domu swoim okiem malarza, dostrzegając temat potencjalnego płótna.

Zadzwoił do drzwi, które otworzyły się prawie natychmiast. Miał przed sobą ciemnowłosą dziewczynkę z dużymi, pełnymi ciekawości oczami. To było bardzo przenikliwe spojrzenie. Mała nic nie powiedziała, ale zza jej pleców dobiegł podekscytowany szept:

– Ma na sobie берет?

Pytanie pozostało bez odpowiedzi. Dziewczynka o przenikliwym wzroku oznajmiła autorytatywnym tonem:

– Mama rozmawia przez telefon.

Robiła wrażenie osóбки, dla której ta sytuacja jest najzupełniej normalna i nie wprowadza jej z równowagi, czego Matthew nie mógł powiedzieć o sobie.

– Aha – odpowiedział.

Dzieci były dla niego dziwnymi stworzeniami i rzadko czuł się dobrze w ich towarzystwie, zwłaszcza w towarzystwie tych cichych, trzymających się z boku, uważnie się przypatrujących. Poprawił sobie torbę na ramieniu, po czym odwrócił się i zerknął na przemoczony trawnik wystrzyżony w idealnie równe pasy. Przez głowę przeleciała mu myśl, by porzucić to zamówienie. Ostatecznie nie umierał z głodu. Starczało mu na skromne życie. Teraz, gdy hipoteka nie wisiała mu już nad głową i miał swój niewielki domek w Krainie Jezior, musiał tylko zarobić na codzienne życie. Na to starczało mu z łatwej, regularnej sprzedaży obrazów turystom, którzy przyjeżdżają co roku nad jeziora.

W takim razie po kiego czorta stoi teraz w deszczu i poddaje się dokładnym oględzinom jakiegoś szatańskiego dziecka?

– Ojej, bardzo przepraszam, że musiał pan czekać – dobiegł go głos Susie zza pleców. Towarzyszyło mu pobrzękiwanie złotych bransoletek, które nosiła na jednym z nadgarstków. – Proszę wejść. I jeszcze raz dziękuję za pomoc tamtego wieczora. Chodźcie, dziewczynki, wpuście do środka naszego Michała Anioła.

Matthew uśmiechnął się uprzejmie. Podejrzewał, że w tym domu często będzie się uprzejmie uśmiechać. Wszedł do środka i wytarł nogi w wycieraczkę z napisem „Witamy”. Powiódł wzrokiem dookoła. Przedpokój był duży – wystarczająco duży, by pomieścić fortepian, przed którym się teraz zatrzymał, a także zegar stojący i kilka mebli. Pomiędzy nim a poszczególnymi sprzętami rozciągał się pewnie z akr kremowej wykładziny. Za plecami miał drzwi, które, jak zauważył jeszcze na zewnątrz, sięgały aż do wysokości piętra. Gdyby świeciło słońce, hol byłby zalany światłem. Teraz, zamiast naturalnego światła, rozjaśniało go kilka sporych lamp.

– Przecież mówiłaś, że ona nazywa się Matthew – szepnął głos zza pleców Panny Przenikliwe Oczy.

– Millie, dajże spokój, nie bądź nieśmiała. – Susie zerknęła na Matthew. – Nie mogła się doczekać, aż pan przyjdzie. Millie uwielbia rysować, prawda, kochanie? Pan Matthew na pewno chętnie obejrzy twoje rysunki w pokoju do gier. – Uśmiechnęła się do niego zachęcająco.

Nieśmiałość nie była Matthew obca. Sam, jako młody chłopak był rozpaczliwie

nieśmiały. Uśmiechnął się do małej dziewczynki zerkającej na niego zza pleców bardziej pewnej siebie siostry.

– Niech pan się nią nie przejmuj – powiedziała Panna Przenikliwe Oczy. – Ona tylko próbuje zwrócić na siebie uwagę.

Susie parsknęła śmiechem.

– Proszę tylko popatrzeć na Floss. Ma zaledwie dziesięć lat, a zachowuje się jak dorosła. Sama nie wiem, co ja bym bez niej poczęła. To jedyna osoba w naszej rodzinie, który nigdy nie traci zdrowego rozsądku. Niewiele brakowało, a Wariatuńcio i ja w ogóle nie mielibyśmy dzieci. W naszych rodzinach występuje szaleństwo. Mówię poważnie. Co poniektórzy są nieźle szurnięci!

Matthew jakoś bez trudu jej uwierzył.

Padła propozycja kawy. Została podana w małych filiżankach ze spodkami, którym towarzyszyły papierowe serwetki ze złotymi brzegami ozdobione wzorem cherubinków. Wypili kawę w dużym ogrodzie zimowym, który wypełniał duszący zapach pot-pourri. Ze środkowego punktu nad ich głowami zwieszały się cztery długie, białe pasy muślinu, które zasłaniały szyby. Można było odnieść wrażenie, że człowiek siedzi na samym środku łoża z baldachimem. Millie jakoś nigdy się w pełni nie zmaterializowała. Podobno poszła do swojego pokoju na górze. Natomiast Panna Przenikliwe Oczy uznała, że to dobry moment na grę na fortepianie.

– Nauczyciel fortepianu twierdzi, że ona musi grać kwadrans dziennie – Susie zwróciła się do Matthew z wytłumaczeniem. Pochyliła się do przodu, aż jej złote bransoletki zadzwoniły o filiżankę z kawą, po czym dodała: – Szczerze mówiąc, jest to zawsze najdłuższy kwadrans w ciągu dnia.

I znowu Matthew uwierzył jej bez trudu, bo właśnie rozległy się dźwięki czegoś nierozpoznawalnego.

– To „Meksykańska Melodia” – odpowiedziała szeptem Susie.

– Nieprawda – dobiegł ich pełen oburzenia głos z holu. – To „Marsz Imperialny”.

Matthew odstawił swoją filiżankę i odłożył nieużywaną serwetkę na stół ze szklanym blatem. Pora posunąć sprawy do przodu.

– Może mógłbym teraz obejrzeć pokój...

– Ach, oczywiście, że tak – powiedziała wolno Susie, nie wstając z miejsca.

Matthew westchnął w głębi ducha. Wiedział, co teraz nastąpi.

– Rzecz w tym...

„Rzecz w tym, że się rozmyśliśmy”. Nieraz to już słyszał. Kiedyś klient zmienił zdanie w połowie pracy.

– Tak się zastanawialiśmy, czy też może ja się zastanawiałam...

– Nie ma sprawy – powiedział i wstał. – Zaczniemy od tego, że pokaże mi pani ścianę.

– Ojej, pewnie pan myśli, że jestem kompletną idiotką.

Co pani powie?

– Oczywiście, że nie.

Ponieważ nic innego nie przychodziło mu do głowy, podniósł swoją torbę wypełnioną notatnikami, ołówkami oraz zdjęciami i ruszył w stronę drzwi. Dobrze wiedział, że nie umie się sprzedać. Zawsze był ogromnie wdzięczny losowi za to, że nie musi własnoręcznie sprzedawać swoich obrazów w Coniston i okolicy. Dostarczał je jedynie właścicielom galerii i pozwalał im odwalić za siebie kawał ciężkiej roboty. To była fraszka w porównaniu z tym, co teraz przechodził.

Susie jednak nadal się nie podniosła z miejsca.

– No, bo chodzi o to – powiedziała – że w końcu zdecydowałam się na ten właśnie pokój. Nie wydaje się panu, że jeden z pana murali prezentowałby się tu uroczo?

Uroczo?! To nie jego bajka. Opuścił torbę i wbił ciężkie spojrzenie w ścianę, na którą wskazywała Susie. Znajdowała się za jego krzesłem. Podeszedł do niej, cofnął się o krok, po czym przeszedł na drugą stronę ogrodu zimowego, gdzie siedziała Susie. Dłużej nie musiał się ścianie przyglądać.

– I co pan myśli? – zapytała z niepokojem Susie.

Cóż to za dziwny człowiek. Niemał przyjazny, ale nie do końca. Szkoda, bo być może spędzi tu kilka następnych tygodni przy pracy. Co więcej, chciała pochwalić się nim przed swoimi nowymi znajomymi z Crantsford. Dowiedziała się o nim wkrótce po przeprowadzce do Sadowego Domu, gdy przeglądała egzemplarz pisma „Dom i Ogród”. Opisywano w nim dom w Krainie Jezior, a ze szczególną uwagą jadalnię, gdzie lokalny artysta nazwiskiem Matthew Collins wykonał mural przedstawiający członków rodziny właścicieli na różnych etapach ich życia. Wariatuńcowi bardzo się ten pomysł spodobał. Powiedział, że nie ma zamiaru znowu się przeprowadzać i chce unieśmiertelnić swoją rodzinę. Nazwał to „naszym własnym kawałkiem historii”.

Susie nie była pewna, czy Matthew ją usłyszał. A może to po prostu element pakietu, w którego skład wchodził też miękki, aksamitny beret? Jako artysta możesz być tak nieokrzesany, jak ci się tylko podoba, a ludzie i tak będą płacić za przyjemność obcowania z twoim chwiejnym ego. Odchrząknęła, by przerwać ciszę, która zapadła po tym, jak Floss zakończyła swoją piętnastominutową grę na fortepianie.

– Co pan myśli? – powtórzyła pytanie.

– Idealne miejsce – odpowiedział, w końcu odrywając oczy od ściany. – Przygotowała pani zdjęcia, o które prosiłem?

– Może sam pan przejrzy albumy? W ten sposób...

– Dobrze – przerwał jej. Teraz będzie musiał ścierpieć niezliczone zdjęcia z wakacji i wszystkie te nieistotne „specjalne chwile” uchwycone w obiektywie aparatu, które dla nikogo poza sfotografowanymi nic nie znaczą. – Ale będę musiał zabrać albumy ze sobą. Muszę państwa poznać jako rodzinę.

– Jejku, tylko niech pan nie zwariuje!

Istnieje takie zagrożenie, pomyślał Matthew. Nawet poważne.

Ellen zamykała właśnie drzwi stodoły na klucz, gdy dobiegł ją dźwięk samochodu nadjeżdżającego Beggarman's Lane. Już zamknięte, powiedziała stanowczo do siebie. Nie obchodzi mnie, ile ten ktoś ma kasy. Skończyłam na dziś. Spóźnili się.

Mimo to powstrzymała się przed zamknięciem ostatniego zamka. Lecz gdy usłyszała klakson głośny, jak syrena dokującego statku, szybko przekręciła klucz i poszła przywitać się z Simonem oraz jego przerdzewiałym fiatem uno.

Poczekala aż wytarabani się z niewielkiego auta, po czym pocałowała go w szorstki policzek zanim się wyprostował i znalazł zupełnie poza jej zasięgiem.

– Śmierdzisz – powiedziała w sposób, jaki tylko matkom uchodzi na sucho.

– Też byś śmierdziała, jakbyś spędziła ostatnie trzy godziny w tym samochodzie z Craigiem i Dave'em–Królem Curry.

Ellen jęknęła. Dave–Król Curry był jednym z najstarszych przyjaciół Simona. Słyszał z dwóch rzeczy: błędnego cytowania wielkich poetów oraz pochłaniania zabójczych ilości curry, co prowadziło do sytuacji groźnych dla życia osób w jego otoczeniu.

Simon otworzył bagażnik i wyciągnął z niego plecak wielkości kosza na śmieci, zarzucił go sobie na ramię, zamknął samochód i poszedł za Ellen do domu. Wziął prysznic, wydobyl na

światło dzienne horrory kryjące się w plecaku i wsadził je do pralki, po czym dołączył do matki w dużym pokoju. Siedziała przy oknie z brodą opartą na podciągniętych kolanach. Coś ją gryzło. Od razu wyczuł, że ma mu coś do powiedzenia.

– Nalałam ci piwa – powiedziała. – Stoi na stole. A tak a propos, przyszedł list od twojego ojca.

Patrzyła uważnie na jego świeżo wyszorowaną i ogoloną twarz. Wziął szklanę z piwem i usiadł naprzeciwko niej. Jedną nogę przewiesił przez podłokietnik fotela.

– I?

– I... Nie zebrałam się jeszcze na odwagę, żeby go otworzyć i przeczytać.

Nadal się w niego wpatrywała. Zauważyła, że przewieszona noga zaczęła lekko podrygiwać w górę i w dół.

– Chcesz, żebym ja go przeczytał?

– A ty chcesz?

Noga podrygiwała teraz bardziej energicznie.

– Nie bardzo.

– Jak myślisz, czemu napisał?

Odkąd Susie Buchanan dostarczyła list w niedzielę, Ellen sama zadawała sobie to pytanie. Była to pierwsza prywatna korespondencja od Rogera od czasu listu z wyznaniem na kominku. Czemu teraz się do niej odezwał? Czy napisał list, bo liczy na to, że w ten sposób uda mu się zadośćuczynić za wszystko, co zrobił? Jakby kilka pogodnych słów mogło załatwić sprawę. A może wpakował się w jakieś kłopoty? Może skończyły mu się pieniądze i przychodzi do niej z czapką w ręce? Och, co za ironia! A może seksualne przyjemności, które Charmaine tak ochoczo mu zapewniała, z czasem mu się znudziły?

Wszystkie te ewentualności miały się nijak do tego, co – miała nadzieję – tak naprawdę zmusiło Rogera do złapania za pióro. Wiedziała, że to koszmarnie z jej strony, ale szczerze życzyła mu najgorszego. List z informacją, że umiera wolną i bolesną śmiercią być może by wystarczył, aby poczuła, że rachunki między nimi zostały wyrównane.

– Gównu mnie obchodzi, czemu napisał – powiedział Simon, którego noga przestała podrygiwać. – I moim zdaniem ciebie też nie powinno to obchodzić. Postanowił pójść swoją drogą, na której zabrakło miejsca dla ciebie i dla mnie, więc niech się lepiej trzyma z daleka. Mam go gdzieś.

– To twój ojciec – powiedziała niepewnie Ellen.

– Tak, a Elvis był Królem. I co z tego?

Ellen dawno porzuciła już książkowe teksty w rodzaju: „Twój ojciec rozwiódł się ze mną, a nie z tobą”. One nigdy nie działały na Simona. Wstała i poszła do kuchni. Była głodna i zmęczona. Odkąd dostała list od Rogera, wiele godzin spędziła rozmyślając nad przeszłością, rozkładając na czynniki pierwsze każde słowo i postępek byłego męża. Zachodziła w głowę, co powinna była powiedzieć i zrobić. Bardzo ją te kilka dni wyczerpało.

Simon poszedł za nią. Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu, oboje przepelnieni bólem i złością, które nie znajdowały ujścia.

– No, chodź – westchnęła, przyznając się w duchu, że jeszcze dużo czasu minie, nim oboje dojdą do siebie po tym, co zrobił im Roger. – Przygotuję kolację, a ty opowiedz mi coś okropnego o swoim Królu Curry.

Simon pokręcił głową.

– Nie ma mowy. Mam tego gościa powyżej dziurek w nosie. – Usiadł na blacie kuchennym, kopnął piętami w szafkę poniżej i wziął sobie jabłko z porcelanowej misy stojącej koło glinianego dzbana z drewnianymi łyżkami. – Zresztą to ja się chcę dowiedzieć, co się tu

działo.

– O Jo-Jo już wiesz – odpowiedziała Ellen i nalala wody do rondla. Postawiła go na gazie i sięgnęła po słój, w którym, miała nadzieję, było dość makaronowych muszelek dla nich obojga. Miała szczęście. – Wydarzyło się coś jeszcze – dodała, otwierając puszkę z tuńczykiem i zachodząc w głowę, jak Simon zareaguje na te wieści. Miała poczucie, że musi mu o tym powiedzieć dziś, nim Duncan przyjedzie zabrać ją jutro na kolację. – Być może na horyzoncie pojawił się mężczyzna.

– Znam go?

– Poniekąd. To Duncan Carter.

Simon zagwizdał.

– Czy to oznaka aprobaty czy szoku?

– Cokolwiek sobie życzysz.

Rzuciła w niego makaronową muszelką.

– Spryciarz!

Rozdział piętnasty

Postanowiłam iść do pracy.

– Tak po prostu?

– Owszem – odparła Jo-Jo. Wzięła do ręki kilka zmatowiałych, posrebrzanych widelców z suszarki i zabrała się za ich wycieranie. – W Crantsford na pewno jest mnóstwo miejsc, gdzie mogłabym się zaczepić. Na przykład w tej szykownej knajpce, gdzie panie poznałam.

Hermione wypłukała mały, pęknięty dzbanuszek w gorącej wodzie i uśmiechnęła się na myśl o straszliwie pretensjonalnej pani Astley, do której ciężarna uciekinierka z domu zwraca się z prośbą o pracę.

– No, co? Z czego się pani śmieje?

– Z niczego.

Jo-Jo wrzuciła z brzękiem widelce jeden po drugim do szuflady ze sztućcami.

– Te widelce i noże były w takim stanie, że aż się dziwię, że nie zeszła pani na zatrucie pokarmowe – oświadczyła.

– Lubię czasem trochę ryzyka – odparła Hermione, po czym wylała brudną wodę z miski do mycia naczyń, na dnie której znalazła zabłąkaną łyżeczkę. – Mówisz poważnie o znalezieniu pracy?

– Tak. Muszę się czymś zająć. Nie mogę tu tak po prostu siedzieć i nic nie robić.

– Ja bym nie powiedziała, że siedzisz i nic nie robisz. Odkąd się tu zjawiłaś, przewróciłaś dom na nice.

Tak rzeczywiście było. Jo-Jo dotrzymała słowa i w zamian za dach nad głową i chleb na stole praktycznie cały czas sprzątała, szorowała i polerowała.

– Nic na to nie poradzę – stwierdziła i odwiesiła ścierkę na haczyk koło starej lodówki marki Electrolux, po czym podeszła z powrotem do zlewu i wycisnęła ściereczkę do mycia naczyń, którą Hermione zostawiła ociekającą za kranem. – Tak długo robiłam wszystko za mamę, że stało się to moją drugą naturą. A propos... Już strasznie śmierdzi, trzeba ją potraktować wybielaczem. – Podstawiła Hermione ściereczkę pod nos, po czym otworzyła szafkę pod zlewem, gdzie wcześniej zrobiła porządek w praktycznie nieużywanych środkach czystości, wyrzucając przy okazji wszystko z datą sprzed lat dziewięćdziesiątych dwudziestego wieku.

– Naprawdę? A nie pomyślałaś, że ciąża może ci utrudnić znalezienie pracy?

– Nie dopuszczę do tego.

– A co ze szkołą?

Jo-Jo przerwała to, co robiła.

– Tak to brzmi, jakby nie chciała pani, żebym znalazła sobie pracę.

Hermione zastanowiła się. Jo-Jo miała rację, nie chciała. Trochę ją to zaniepokoiło.

Czyżby naprawdę przemieniała się w samolubną, starą kobietę, która, gdy jest jej to na rękę, ochoczo monopolizuje innych? Najpierw Ellen, a teraz Jo-Jo, młodą dziewczynę, której prawie nie znała? Czy naprawdę aż tak desperacko pragnie towarzystwa, że jest gotowa kogoś uwięzić, udaremnić jego plany?

– Oczywiście, że musisz znaleźć pracę, Jo-Jo – powiedziała szybko. – To ci pomoże uporządkować swoje sprawy. A wtedy się wyprowadzisz i ja będę mogła powrócić do mojego normalnego bałaganiarstwa. To przecież zawsze miało być tylko tymczasowe rozwiązanie, aż staniesz na nogi.

Jo-Jo patrzyła za Hermionę, która przeszła przez oranżerię i wyszła na zewnątrz. Zbita z tropu wróciła do napełniania zlewu wodą, do której dodała trochę wybielacza. Wrzuciła do

zlewu zszarzałą ściereczkę do mycia naczyń i końcówką mopa dźgała bąble powietrza uwięzione w kwadracie włóknistej tkaniny.

– Na twoim miejscu nie przejmowałbym się specjalnie Hermione.

Odwróciła się na pięcie. Do kuchni właśnie wszedł Matthew.

– Zawsze musi się pan tak skradać ludziom za plecami? – rzuciła z ewidentnym rozdrażnieniem.

– Nie zdawałem sobie sprawy z tego, że skradam ci się za plecami. I to zawsze – odparł. Otworzył lodówkę i nalał sobie szklankę soku pomarańczowego. – Hermione lubi twoje towarzystwo – dodał, gdy opróżnił szklankę i postawił ją na suszarce do naczyń.

W przeciwieństwie do pana, pomyślała Jo-Jo. No, naprawdę, czemu on jest taki cichy! Nigdzie go nie ma na horyzoncie, a zaraz potem stoi koło niej! Jo-Jo postanowiła wziąć byka za rogi.

– Pani Hermione lubi moje towarzystwo, ale pan nie bardzo, zgadza się?

Spojrzał na nią uważnie.

– A czemu tak myślisz?

Wzruszyła ramionami.

– Nie lubi pan. Prawie się pan do mnie nie odzywa, a gdy już się pan odezwie, to raczej z dezaprobatą... Jakby mi pan nie ufał.

– Obawiam się, że tak to już ze mną jest.

– Czyli mam rację, nie ufa mi pan?

Uśmiechnął się.

– A komu ty ufasz, Jo-Jo?

– Ufam... Ufam pani Hermione.

– No, to korekta. Skoro jej ufasz, to znaczy, że to, co właśnie o mnie powiedziałaś, to kompletna bzdura. Napijesz się kawy?

– Zaraz, zaraz – zmieszala się. – Nie rozumiem, co ma pan na myśli.

– Po prostu tyle, że święcie wierzę, iż Hermione zna się na ludziach. Jak z tą kawą? Napijesz się? Kupiłem słoik bezkofeinowej, taka jest lepsza dla dziecka.

Po raz pierwszy Jo-Jo rozluźniła się w towarzystwie Matthew.

– Skąd pan tyle wie o ciąży?

– Wystarczy otworzyć pierwszy lepszy magazyn dla kobiet i każdy facet może się dowiedzieć wszystkiego, co powinien wiedzieć o kobietach od epizjotomii do stref erogennych.

– Epizjo co?

– Naprawdę powinnaś jak najszybciej wybrać się do lekarza.

Hermione była na siebie zła.

Niech licho porwie tę dziewczynę!

Uniosła ocynkowaną konewkę nad doniczkami z groszkiem pachnącym i zaraz zaklęła, bo delikatne, młode roślinki nagle znalazły się kilka centymetrów pod wodą.

– Staję się okropną, zrzędliwą, samolubną starą babą – powiedziała do siebie z goryczą, następnie odstawiła konewkę na

ziemię i usiadła na brązowo-pomarańczowym krześle ogrodowym w kwiatki, które zawsze trzymała w szklarni.

Rzadko wpadała w gniew, ale teraz – nie dało się tego ukryć – była po prostu wściekła. Termin „manipulantka” krążył jej uparcie po głowie. Było jej za siebie wstyd, była sobą zdegustowana. Jakie ona ma prawo kwestionować to, co Jo-Jo chce zrobić ze swoim życiem? Nawet jeśli dziewczyna chce lecieć na księżyc i z powrotem, co to ma wspólnego z takim starym

ramolem, jak Hermione? Ostatecznie to życie Jo-Jo. Oferta Hermione obejmowała tylko dach nad głową, a nie interwencje z gatunku *in loco parentis*.

Pójdzie zaraz do domu, przeprosi i może nawet pomoże Jo-Jo w szukaniu pracy.

Nie!

Nic takiego nie robi. Przeprosi za swoje niewłaściwe zachowanie i pozwoli Jo-Jo samej zająć się szukaniem pracy. Miała się przecież nie wtrącać... nawet jeśli jej zdaniem dziewczyna popełnia błąd.

Wzięła głęboki oddech, po czym wolno i równo wypuściła powietrze z płuc.

– No, już, już – stwierdziła ze spokojem, po czym wstała z fotela i uśmiechnęła się do pachnącego groszku. – Nie martwcie się – powiedziała do roślinek. – Nie grozi wam już kolejna powódź.

Gdy skończyła krzątać się po szklarni, zeszła na niższy poziom ogrodu, tam, gdzie w Wielki Piątek zabrała Jo-Jo. Trawa nadal była mokra po deszczu i chlupotała przyjemnie przy każdym kroku. Gdy dotarła do kamiennej ławki, okazało się, że jest suchuteńka, bo cały poranek była wystawiona na promienie słońca. Hermione usiadła i zaciągnęła się zapachem wilgotnej ziemi. Był to prząsny zapach, jak świeżo upieczony chleb czy pranie suszące się na słońcu. Podniosło ją to na duchu. Wciągnęła więcej tego zapachu do płuc i pozwoliła swoim oczom zatrzymać się na posągu... na posągu Kita.

Wpadła w taki zachwyty, gdy poprosił ją, by mu pozowała. A Roberta była wściekła, gdy się dowiedziała, nad czym pracuje Kit. Siostrę Hermione zżerała zazdrość. Zagroziła nawet, że roztrzaska rzeźbę na kawałki, gdy już będzie ukończona.

Starsza pani uśmiechnęła się i zaczęła podśpiewywać cicho pod nosem urywki popularnych melodii, a potem przeszła do ulubionej kompozycji Kita, „Ody do radości”. Powiedział kiedyś, że to jedyny utwór, który ma w sobie prawdziwą radość. Nie do końca zrozumiała wtedy, co chciał przez to powiedzieć – była za młoda – ale teraz, z upływem lat, gdy się zestarzała, już wiedziała, o co mu chodziło. W tej wspaniałej, chóralnej kompozycji krył się ogrom, którego nie dało się zignorować. Utwór był tak bogaty i pełny, jak powinno być samo życie, każda fala muzyki emanowała radością.

Niedługo przed śmiercią Kit powiedział jej, że poznał prawdziwą miłość tylko dlatego, że doświadczył jej przeciwieństwa.

Popłakała się, gdy to powiedział. Zbyt dobrze zdawała sobie sprawę z prawdy zawartej w jego słowach.

– Halo, halo.

Zaskoczona Hermione przechyliła głowę i powiodła wzrokiem dookoła, ale nikogo nie wypatrzyła. Przestraszyła się, że to początek końca: głosy w jej głowie.

– Tutaj.

O, proszę, znowu. Głos tym razem rozległ się bliżej, a towarzyszył mu wyraźny szum listowia. Czy na progu zniedołężnienia starczego słyszy się też szelesty? Wstała z ławki i podeszła do żywopłotu z cyprysowca leylanda, który wyznaczał granicę między jej ogrodem, a terenem przynależącym do Domku Myśliwskiego.

– Tak, tak, tutaj. Trochę w lewo. O, właśnie. – Głos brzmiał radośnie. Hermione w końcu znalazła jego źródło: dochodził przez niewielką przerwę w żywopłocie. – Bardzo ładnie pani nuci. Już się miałem dołączyć, tra la la...

– Doskonale rozumiem, czemu się pan jednak powstrzymał – przerwała mu Hermione. – Strasznie pan fałszuje.

Mężczyzna roześmiał się, po czym zniknął z pola widzenia, zostawiając za sobą odgłosy

okropnego kaszlu i rżenia, od których Hermione zabołały własne płuca. Minęło kilka sekund i jego twarz pojawiła się z powrotem.

– Cholerne zapalenie płuc, ani na chwilę nie daje mi spokoju. Jak się pani miewa? Nazywam się Bernard Malloy, ale proszę mi mówić Bernie. Jestem pani nowym sąsiadem. Wypatrzyłem panią z okna i pomyślałem, że przyjdę się przedstawić.

Przez żywoplot wsunęła się pulchna dłoń. Serdelkowaty mały palec udekorowany był złotym sygnetem z brylantem.

– Hermione Rowlands – odpowiedziała i uściśnęła wyciągniętą do niej rękę. – Domyślam się, że jest pan nowym więźniem Domku Myśliwskiego. Zamierza pan tu zostać na dożywocie?

– Mam taką nadzieję. Tu jest jak w Ritzu: czerwone dywany, drewniane boazerie, żyrandole i doskonała piwnica z winami. Planuję zapić się na śmierć przy pomocy ich najlepszych trunków. A do tego jeszcze te laski.

– Laski?

– Praktycznie rzucają mi się na szyję podczas lunchu. Aż im musiałem powiedzieć, żeby się ustawiły w kolejce i podchodziły pojedynczo, bo Bernie nie jest już taki młody, jak kiedyś.

– Pani Malloy, pan jest najwyraźniej patologicznym, nałogowym łgarzem. Mam szczerą nadzieję, że odbędziemy jeszcze wiele takich rozmów przez plot, ale, jeśli mnie uszy nie mylą, zdaje się, że ktoś pana woła. Chyba przyszła pora na pana lewatywę?

Parsknął śmiechem, odwrócił się, ale zaraz znowu pojawił się w przerwie w żywoplotcie.

– To ta laska, o której pani mówiłem. Obiecałem, że zagram z nią w krokiet. No, to pa.

Krokiet, zamyśliła się Hermione w drodze do domu. Nie grała od lat. Ciekawe, gdzie jest jej stary zestaw do krokiet? Z żalem pomyślała, że pewnie zamienił się w kupkę przeżartego przez korniki pyłu.

– Temperatura jest odpowiednia?

– Słucham?

– Mówię o szampanie – wyjaśnił Duncan i pociągnął łyk z wysokiego kieliszka.

– Och, tak – odpowiedziała, obsztorcowując się w duchu za to, że myślami znalazła się gdzie indziej.

Gdy Duncan zamówił u sommeliera butelkę Moët & Chandon, natychmiast doszła do wniosku, że będą coś świętować. Pewne rzeczy po prostu chodzą w parach: kąpiele i osad na wannie, ornamenty i kurz, samochody i korki na ulicach, oświadczyńcy i szampan. No, dobrze, trochę wyskakiwała przed szereg, i to pewnie całkiem mocno, ale tak się zafiksowała na idei małżeństwa z Duncanem, iż nie dopuszczała nawet do siebie myśli, że on mógłby nie nadawać na tych samych falach. Co nie znaczy, że nie miała świadomości, iż w ich związku brakuje pewnych istotnych elementów.

Na przykład namiętności.

Jeśli miała być ze sobą najzupełniej szczerą, trochę niepokoił ją brak romantyzmu w ich potencjalnym sojuszu, ale ostatecznie nie można mieć wszystkiego, więc była gotowa poprzestać na szampanie.

– Opowiedz mi jeszcze raz o tej dziewczynie. Jak ona się nazywa? I co w ciebie wstąpiło, żeby w ogóle się w to mieszać?

Na krótką, koszmarną chwilę Ellen stanął przed oczami Roger.

– Na litość boską, czemuś to zrobiła? Co sobie myślałaś?

To był jego stały repertuar pytań. Zdała sobie sprawę ze stosowanej przez niego techniki przesłuchiwania dopiero, gdy go już nie było. Dziwne i przerażające, do czego człowiek jest zdolny się przyzwyczać.

– Co masz przeciwko niej? – zapytała defensywnie. – Jo-Jo jest w porządku. Niczym się

nie różni od ciebie czy ode mnie.

Duncan prychnął.

– Nigdy nie prosiłem ludzi na ulicy o wsparcie.

To masz szczęście, że nie musiałaś, miała ochotę powiedzieć Ellen, ale zamiast tego opróżniła swój kieliszek i rzuciła pogodnie:

– Jejku, jestem taka głodna, że zjadłabym konia z kopytami.

– W La Maison d’Or chyba będziesz musiała poprzestać na czymś nieco bardziej wyrafinowanym – uśmiechnął się Duncan.

Gdy do niej wcześniej zadzwonił, żeby jej powiedzieć, gdzie zarezerował stół na kolację, Ellen była zachwycona. La Maison d’Or należało do najdroższych restauracji w Crantsford.

– Stara się jak może, co? – powiedział Simon, gdy odłożyła słuchawkę.

– Mam nadzieję – odparła, poprawiając sobie włosy na klęczkach przed lustrem u siebie w pokoju. Nadal nie znalazła czasu, by zawiesić je na ścianie. – Najwyższa pora, żeby mnie ktoś zaczął rozpieszczać. Zasłużyłam na to.

Simon otworzył Duncanowi. Ellen przyglądała się, jak obaj mierzyli się wzrokiem. Jej duży pokój nagle zrobił się niebezpiecznie ciasny. Prosiła ich kilka razy, by usiedli, ale bez rezultatu. Simon i Duncan przesuwali się obaj to w prawo, to w lewo, jakby wykonywali jakiś taniec. Rozmowa była uprzejma. Duncan rozpoczął ją od przewidywalnego pytania:

– Co tam dzisiaj słychać w akademickim świecie?

Ellen aż się skrzywiła, ale nawet jeśli Simon uznał pytanie Duncana za pretensjonalne, nie okazał tego po sobie.

– Wszystko dobrze, proszę pana, choć zapewne jest inaczej, niż było w pana czasach.

Simon zachowywał się zupełnie jak jakiś amerykański student prywatnej szkoły.

Rozmawiali o uczelniach Oxbridge: Simon studiował w Brasenose College w Oxfordzie, podczas gdy Duncan ukończył prawo w Trinity w Cambridge. W którymś momencie Ellen uznała, że już tego starczy i posłała Simonowi znaczące spojrzenie, po czym prawie niedostrzegalnie wskazała na drzwi. Obaj mężczyźni od razu zrozumieli, czego się od nich oczekuje. Simon życzył im udanego wieczoru, a Duncan sięgnął po kluczyki do auta.

Przyglądając się teraz Duncanowi zza karty, Ellen był ciekawa, czego oczekuje się od niej. Czego on od niej chce? Małżeństwa? Czy też platonicznej przyjaźni, o jakich czyta się w książkach? Jeśli wpadła mu w oko – a naprawdę nie była tego pewna – to dobrze to ukrywał.

On jej się spodobał praktycznie od chwili, gdy go poznała. A w każdym razie tak odpowiedziałaby na pytanie wielokrotnego wyboru z gatunku: Gdyby w grę wchodził Duncan Carter, czy a) już prędzej zostałabyś w łóżku z ciężką grypą niż poszła z nim na kolację?, lub też b) wydaje ci się, że mogłabyś się w nim zakochać?

Podczas drugiej wizyty u niego w biurze przez głowę przemknęła jej myśl, że jej prawnik to bardzo przystojny mężczyzna. Błyskawicznie pojawiła się też kolejna: w takim razie dlaczego się nie ożenił? Próbowała ignorować te niewygodne myśli i skupić się na tym, co tłumaczył jej Duncan. Co i rusz jednak spoglądała na jego zadbane dłonie, które bawiły się wiecznym piórem leżącym na biurku, na wyprasowaną koszulę i perfekcyjnie zawiązany, jedwabny krawat poniżej gładko ogolonego podbródka. Jego oczy, nieustannie zerkające na nią znad papierów, były równie pozbawione emocji, co każda inna para oczu, ale – była o tym przekonana – coś w sobie kryły. Tylko jeszcze nie wiedziała, co.

I nadal nie była pewna, co kryje się w szaro-niebieskich oczach mężczyzny siedzącego po drugiej stronie stolika. Przyglądała mu się, jak studiuje kartę. Nagle podniósł na nią wzrok i spojrzał jej prosto w oczy. Któraś z nas powinno coś powiedzieć, pomyślała, coś

romantycznego albo chociaż inteligentnego lub dowcipnego. Sama nie była jednak w stanie wymyśleć nic, co by pasowało do okazji. Przychodziło jej do głowy tylko odegranie scenki z *Kiedy Harry poznał Sally*. Spuściła więc głowę i zajęła się wyborem dania. Ze zdziwieniem poczuła jednak, że jakaś siła wyciąga jej kartę z ręki. Duncan przykrył jej dłoń swoją.

Rozdział szesnasty

Hermione już wcześniej podejrzewała samą siebie o manipulanco, teraz zyskała pewność.

Wykręciła numer Ellen, choć dobrze wiedziała, że przyjaciółka ma randkę z Duncanem. Ale to nie z Ellen chciała porozmawiać. Chodziło jej o Simona. Miała nadzieję, że zastanie go w domu. Minęły całe wieki, nim po drugiej stronie słuchawki rozległ się jego głos.

– Simon – powiedziała z ulgą. – Mówi Hermione. Co powiesz na występ w roli mądrego doradcy?

– To przynajmniej jakaś odmiana po Prostaku Simonie.

Kilka minut później doszli do porozumienia.

Przyszło jej to do głowy, gdy siedziała wieczorem w szklarni i rozmyślała o Jo-Jo, która znowu mówiła o szukaniu pracy.

– Może zgłoszę się do agencji i będę sprzątać po domach? – oświadczyła wcześniej. – W tym przynajmniej jestem dobra.

Hermione nic nie powiedziała i uciekła do szklarni. Mimo wcześniejszego postanowienia, że zostawi Jo-Jo w spokoju, by miała szansę popełniać swoje własne błędy, była przekonana, że ktoś powinien wziąć sprawy w swoje ręce i przemówić dziewczynie do rozsądku. Łapanie się za pierwszą lepszą pracę, jaka się nawinie, nie rozwiąże jej problemów. Ktoś powinien namówić ją do powrotu do domu i do szkoły.

Najpierw pomyślała, że Matthew będzie umiał trafić Jo-Jo do rozumu, ale potem przypomniało jej się, że podczas rozmowy przy śniadaniu Ellen wspomniała o powrocie Simona z Krainy Jezior. Miał zostać w domu na parę dni przed wyjazdem do Oxfordu. Hermione stwierdziła, że Simon to idealny kandydat. Był mniej więcej w tym samym wieku, co Jo-Jo i jeśli ktoś mógł ją przekonać, że powinna wracać do domu i przystąpić latem do matury, to był to właśnie on. Należał do najbardziej zdeterminowanych młodych ludzi, jakich kiedykolwiek poznała. Dokładnie wiedział, czego chce od życia i jak ma zamiar to osiągnąć.

Simon zadzwonił do drzwi. Gdy nie rozległ się żaden dźwięk, obszedł Dom Pod Złotokapem dookoła. Swoją podopieczną znalazł na ogrodzonym podwórku pogrążonym w półmroku wczesnego wieczora. Zdejmowała właśnie pranie z obwisłego sznurka.

– Cześć – powiedział. – Jo-Jo, tak?

Zerknęła na niego znad ogromnej sterty prania.

– A ty chyba jesteś Simon – odparła po kilku chwilach. – Widziałam cię na zdjęciu u twojej mamy. Jeśli szukasz pani Hermione, to jest w środku i ogląda telewizję.

– Właściwie przyszedłem zobaczyć się z tobą.

– Ze mną?

– Daj, pomogę ci. – Wziął od niej część prania. – Hermione przyszło do głowy, że może miałabyś ochotę spędzić trochę czasu z kimś młodszym. Pójdziemy się czegoś napić?

Niewielką odległość do Crantsford pokonali na piechotę. Zrobiło się już prawie ciemno, gdy dotarli na Church Walk. Wąska uliczka była malowniczo oświetlona kopiami wiktoriańskich latarni – były pomalowane na czarno i miały złote detale. Większość witryn sklepowych była podświetlona. Najbliżej nich znajdował się jubiler, którego minimalistyczną wystawę wypełniała nowoczesna biżuteria z dużych kawałów srebra.

Przeszli dalej wzdłuż Church Walk. Mijali coraz bardziej kuszące witryny, a Jo-Jo myślała o czasach, gdy była mała i babcia zabrała ją w drugi dzień Bożego Narodzenia na przedstawienie o Dicku Whittingtonie. Nigdy wcześniej nie była w teatrze. Siedziała jak

zaczarowana na swoim skrzypiącym fotelu teatralnym, w jednej ręce ściskając torebkę z cukierkami, a drugą trzymając babcię, chłonąc światła i dźwięki, zachwycona faktem, że została przetransportowana ze znanego jej świata do innego, pełnego magii.

Crantsford trochę przypominało taki teatralny, wykreowany świat pełen cudów. Ulice może nie były wybrukowane złotem, ale żyło się tu dostatnio. Szpanerskie samochody stały zaparkowane przed licznymi restauracjami. W ten ciepły, wiosenny wieczór ich drzwi były szeroko otwarte, a ze środka sączyła się radosna muzyka, która miała zwabić klientów. Jo-Jo widziała ludzi przy stolikach, na ich twarzach malowała się pogodna determinacja, by dobrze się bawić. Zręczni kelnerzy i kelnerki nosili duże tace nad głowami.

– Crantsford to rozrzutne miasto, co? – Simon przerwał zamyślenie Jo-Jo.

– Chyba tak – odpowiedziała.

Tak naprawdę chciała powiedzieć, że całkiem jej się tu podoba, ale nie była pewna, czy powinna. Nagle poczuła się bardzo młoda i naiwna. Choć Simon był niewiele od niej starszy, robił wrażenie kogoś, kto ma dużo więcej pewności siebie. Czy to efekt pójścia na studia?

– Może tu?

Zatrzymał się przed małym pubem z oknami ozdobionymi schludnymi skrzynkami na kwiaty. Nad ich głowami wisiał rząd wypolerowanych latarni z brązu. W środku Simon zamówił dla siebie pintę miejscowego piwa, a Jo-Jo, pamiętając o wczorajszej srogiej minie Matthew podczas lunchu, poprosiła o sok pomarańczowy. Znaleźli sobie niewielki stolik i dwa niskie taborety.

– Co zo idiotyzm – westchnęła. – Właśnie sobie pomyślałam, że czuję się jak gówniara, a teraz dodatkowo wzmacniam to poczucie, pijąc sok pomarańczowy. – Szturchnęła palcem kostki lodu w szklance, po czym go oblizała. – Ironia losu polega na tym, że za parę miesięcy zostanę matką. Paranoja!

Simon podniósł swoje piwo i pociągnął łyk. Odstawił szklankę, po czym otarł pianę z górnej wargi.

– Jak ci z tym, że zostaniesz matką?

– Szczerze?

– Pewnie.

– Na początku myślałam, że to jest właśnie rozwiązanie. Wyjście z sytuacji. Ale teraz widzę, że tak nie jest. – Bawiła się podkładką pod piwo. – Może to zabrzmi samolubnie, ale chcę, żeby moje dawne życie wróciło. No, przynajmniej jego część.

– Mama wspomniała, że sytuacja w twoim domu jest daleka od ideału.

Jo-Jo pokręciła głową.

– Niezłe niedopowiedzenie! Tego elementu mojego dawnego życia zdecydowanie nie będzie mi brakowało.

– No, to czego pragniesz?

Zastanowiła się przez chwilę.

– Chcę mieć to, co ty masz. Chcę iść na studia i zrobić coś dla siebie. Nigdy bym nie skrzywdziła tego dziecka, ale nie jestem do końca przekonana, że będę potrafiła być matką, na jaką ono zasługuje. – Spuściła wzrok na swoją szklankę. – Pewnie myślisz, że jestem samolubną krową.

– Rozczaruję cię, ale nie. Do pewnego stopnia wszyscy mamy takie nastawienie i każdy pyta, co będzie z tego mieć. Być może czasami udaje nam się samych siebie przekonać, że postępujemy altruistycznie, ale na ogół robimy, co robimy, bo chcemy.

– To mało poprawnie politycznie.

Parsknął śmiechem.

- A powinno?
- Alan zawsze...

Zawahała się.

- Czy to ojciec twojego dziecka?

Kiwnęła głową.

- Alan ma obsesję na punkcie poprawności politycznej.
- Tak daleko posuniętą, że nie wierzy w antykoncepcję?

Poczuła lekkie rozdrażnienie. Od początku wiedziała, że nie powinna polegać tylko na Alanie, że powinna zacząć brać tabletki, ale tego nie zrobiła. I przez własną głupotę zmarnowała sobie przyszłość.

- A ty nigdy nic nie zaryzykowałeś? – zapytała z goryczą.

– Nie w tym zakresie – odpowiedział bez zastanowienia. Opróżnił szklankę jednym, długim haustem. – Masz przed sobą *el supremo* w zakresie sztuki samoprzetrwania. Pracowałem jak wół, żeby dostać się do Oxfordu. Mama musiała sporo poświęcić, by pomóc sfinansować moje studia. Nie pozwolę, by chwila przyjemności odebrała mi przyszłość.

- Która polega na?

– Aha, poczekaj, to sama zobaczysz. Chcesz jeszcze coś do picia?

Jo-Jo patrzyła za Simonem, który poszedł w stronę baru. Był dużo wyższy, niż inni mężczyźni stojący po bokach. I zdecydowanie przystojniejszy. Dopiero teraz zdała sobie sprawę z tego, jaki jest atrakcyjny. Stał tyłem do niej. Zauważyła grupkę dziewczyn w krótkich spódniczkach i mikroskopijnych bluzkach w przeciwległym rogu pubu. Nachylały się do siebie i mierzyły Simona wzrokiem od stóp do głów. Jeszcze kilka chwil temu czuła się młoda i naiwna, a teraz, na widok tych dziewczyn, ich szczupłych talii i rozchichotanych, umalowanych twarzy, poczuła się stara jak świat, jakby przeżyła już kilka żyć.

Gdy Simon wrócił, zapytała go:

- A ty co byś zrobił na moim miejscu?
- Pytasz poważnie?
- Oczywiście.
- Dobra. Kiedy urodzi się dziecko?
- We wrześniu.

– No, to nie ma problemu. Wróciłbym do domu, nawet jeśli jest tam koszmarnie, i przystąpiłbym do matury. Poczekalibyśmy na wyniki, urodziłoby się dziecko, oddał je do adopcji i zaczął studia. I jak ci się podoba taki plan?

- Łatwo ci powiedzieć, bo...

- Tak, tak, bo jestem facetem i inaczej patrzę na te sprawy...

– Nie, nie o to mi chodzi. Po prostu nie wiem, co zastanę w domu po powrocie. Może nie zauważyłeś, ale nikt jakoś mnie nie szuka.

– Olej to. Musisz tam mieszkać jeszcze tylko przez parę miesięcy. Będą musieli z tobą wytrzymać, a ty z nimi. Najważniejsze, żebyś wróciła do szkoły. Za dwa tygodnie zaczyna się nowy semestr, nie stracisz żadnych ważnych zajęć przed maturami.

Jo-Jo zmarszczyła brwi.

- Zawsze jesteś wszystkiego tak cholernie pewny?
- Owszem. Inaczej się nie da. Weź byka za rogi, Jo-Jo. Zresztą co masz do stracenia?

Rozdział siedemnasty

Wiem, wiem, jest wcześniej. Mogę wejść?

– Ellen, jest dopiero ósma. Stało się coś strasznego?

Twarz Ellen rozświetlił promienny uśmiech.

– Wręcz przeciwnie – odparła radośnie.

Usiadła przy stole, dokładnie naprzeciwko Hermione. Botticelli, jakby wyczuł, że nie jest już w centrum uwagi i że nie dostanie nic do jedzenia, niechętnie zeskoczył z kolan i opuścił kuchnię, by udać się na poszukiwanie czegoś smacznego w ogrodzie.

– To co? Dobre wieści, tak? – zapytała Hermione, wyglądając sobie pogniecioną koszulę nocną i futro. – Bardzo się cieszę, bo ja też mam ci coś ciekawego do powiedzenia.

– Och...

Ellen pomarkotniała. Nie spodziewała się, że będzie musiała poczekać, aż zostanie dopuszczona do głosu.

– Tak i owszem, podczas gdy ty pracowałeś nad usidleniem tego nieszczęsnego Duncana, tu też dużo się działo. Jo-Jo postanowiła zachować się rozsądnie i wracać do domu. Zadzwoiła wczoraj wieczorem do matki i wszystko jest już ustalone.

– Czyli twój niecny plan z Simonem wypalił?

Ellen próbowała zdobyć się na szczerą radość, ale ogarnęło ją idiotyczne rozgoryczenie. Prawie nie spała ostatniej nocy, rozmyślając nad tym, co powiedział jej Duncan podczas kolacji. Nie mogła się doczekać, aż podzieli się tym z Hermione. Duncan się jej nie oświadczył, ale ich związek zdecydowanie posunął się do przodu. Pojawiła się nawet szczypta namiętności. Pocałunek był raczej pośpieszny, ale podejrzewała, że to dlatego, iż Duncan nie spuszczał oczu z jej domku. Biedak, pewnie obawiał się, że jej nadopiekuńczy syn wyskoczy na zewnątrz i załomocze do auta, domagając się wyjaśnień, pytając, co do licha, Duncan wyprawia z jego matką.

– Aha, znaczy, że Simon powiedział ci, na jaki pomysł wpadłam?

– Tak – odparła Ellen, siłą woli kierując swoje myśli z powrotem w stronę Jo-Jo. – Powiedział mi wczoraj wieczorem, gdy Duncan podrzucił mnie do domu. Przyznaję, że nie wierzyłam, że się uda. Jo-Jo zapierała się rękami i nogami, żeby nie wracać do domu.

– Ellen, twój syn to niezły bajerant.

– Najwyraźniej.

Usłyszała sarkazm we własnym głosie i to ją przeraziło. Czyżby była aż tak zła na Hermione za to, że nie pozwoliła jej pierwszej podzielić się dobrymi wiadomościami?

– Pozostaje nam tylko zająć się szczegółami podróży Jo-Jo do domu. – Hermione wyłapała ostry ton głosu Ellen, ale uznała, że najpierw załatwi to, co najważniejsze. – Masz dzisiaj wolne, prawda? Myślisz, że Johnny Zagranicznik zniósłby taką podróż?

– Dzisiaj?

Ellen się strapiła. Podwójne rozczarowanie. Liczyła na to, że spędzi ten dzień z Simonem. Rzadko widywała syna i chciała poświęcić mu swój jedyny wolny dzień w tygodniu. Pozostawała też jeszcze kwestia listu od Rogera. Liczyła na to, że Simon jej pomoże. Wczoraj po południu oświadczył, że chce jak najszybciej jechać do Oxfordu i zabrać się do pracy jeszcze przed początkiem letniego semestru, więc jeśli dziś nie przeczyta tego listu, to w ogóle go nie przeczyta.

Żałosna mina przyjaciółki nie umknęła uwadze Hermione.

– Masz już plany na dziś?

Pokręciła głową.

– Nie, właściwie nie.

– Ellen, nie kłam. Masz to jasno wypisane na twarzy. Chodzi o Duncana? Kolejny galowy występ w Crantsford Hall?

– Nie! I nie musiałabyś się dopytywać, gdybyś dała mi dojść do słowa!

– Na Boga, Ellen, co się z tobą dzieje? W życiu cię nie widziałam w takim stanie. Chyba cię nie rozgryzł, co? Czy właśnie to przysłał mi powiedzieć?

– Nie! – zawołała Ellen. – Nie! Nie! I jeszcze raz nie! – Zerwała się od stołu. – Chciałam tylko spędzić ten dzień z Simonem, jeśli już musisz wiedzieć, ale żeby ci dogodzić, pojadę nawet do piekła i z powrotem. Tylko się zamknij i dopuść mnie do głosu!

Hermione nieźle się bawiła. Ellen chyba zaraz pęknie, jeśli nie podzieli się swoimi wieściami. No, ale kilka chwil jej nie zbawi.

– To bardzo miło z twojej strony, ale nie musimy jechać dalej niż do Sheffield. A co do bycia pozbawioną towarzystwa Simona, temu da się łatwo zaradzić. Może zaprosimy go, żeby pojechał z nami? Urządzimy sobie wycieczkę, zatrzymamy się gdzieś po drodze na piknik. To będzie jak wycieczka z Jane Austen, z tą tylko różnicą, że sami będziemy nieść kosze z jedzeniem i co tam jeszcze. Pamiętaj, jak poszliśmy zobaczyć *Emmę* i jak oni wszyscy wspinali się na Box Hill z armią Szerpów? Co myślisz? Wyciągamy empirowe kreacje z głębokimi dekoltami i kolekcję parasolek z falbankami?

Ellen opadła z powrotem na krzesła. Hermione była mistrzynią lawirowania i nie było sensu nawet próbować stawić jej czoła.

– Problem z literackimi piknikami – oznajmiła zmęczonym głosem – polega na tym, że często stanowią one punkt zwrotny akcji.

– Cóż za wnikliwa uwaga z samego rana.

– U Jane Austen i E. M. Forstera dzień spędzony na pikniku na wsi jest zawsze pełen dramatów. – Zaraz zwariuję, pomyślała Ellen. Z wolna, ale nieodwracalnie zamieniam się w taką samą szajbuskę, jak Hermione. Przysłał jej tylko powiedzieć, że Duncan się do mnie zaleca, a teraz siedzę tu i objaśniam tajniki angielskiej powieści. Wzięła ze stołu starą, mocno poplamioną, korkową podkładkę i zaczęła się bawić jej wykruszającym się brzegiem. Zauważyła, że twarz Hermione jest zupełnie bez wyrazu. – Zresztą nieważne – mruknęła. – Zapomnij, że w ogóle się odezwałam. Podoba mi się twój pomysł. Pogadam z Simonem.

– Ellen, kochana, coś jesteś dzisiaj roztargniona. – Pora ulżyć przyjaciółce, już dość się nacierpiała. – Czy mi się dobrze wydaje, że masz jakieś wybitnie ważne wieści, którymi chcesz się ze mną podzielić?

– Dobrze wiesz, że tak. Ojej, przepraszam.

Ellen odsunęła od siebie korkową matę, która teraz miała dziurę na środku, gdzie przebiła ją palcem.

Hermione się uśmiechnęła.

– No, dalej – powiedziała. – Opowiedz mi, jak dzięki swoim umiejętnościom uwodzicielskim zupełnie zauroczyłaś Duncana i zaraz zostaniesz panią na rezydencji. A propos, musisz mi obiecać, że zostanę druhną, a potem regularnym gościem w twoim nowym domu. Wrócimy do swojej rutynowej, popołudniowej herbaty z ciastem i słuchaniem opowiadań w radiu.

– Jeśli się choć na chwilę nie zamkniesz, to nie usłyszysz już nic więcej w życiu – parsknęła śmiechem Ellen, zadowolona, że w końcu przyjaciółka skupiła swoją uwagę na niej. – Zaparz herbatę, a ja wszystko ci opowiem.

Hermione wykonała polecenie. Podstawiła czajnik pod kran z wodą, po czym go włączyła.

– Ale nie opuścisz najlepszych kawałków, co? – zapytała, biorąc do ręki dwa kubki z suszarki przy zlewie.

– Najlepszych kawałków?

– No, zakładam, że wczorajszy wieczór obejmował nie tylko koktajl z krewetek.

– To nie w stylu Duncana – odpowiedziała Ellen. Doskonale wiedziała, że zabrzmiało to defensywnie, a także pruderyjnie, więc szybko dodała: – On jest prawdziwym dżentelmenem.

– Albo to albo jest impotentem, albo co jeszcze gorsza...

– Hermione!

– Mam nadzieję, że nie o mnie rozmawiacie.

Hermione przywitała Matthew szerokim uśmiechem.

– Dzień dobry – powiedziała i podała mu ciepły imbryk. – Zjawiłeś się w idealnym momencie, by zaparzyć nam herbaty. I nie, nie rozmawialiśmy o tobie, lecz o przyszłym mężu Ellen. Znasz Ellen? Bo nie mogę sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek was sobie przedstawiłam.

– Nie – odparł Matthew bez zainteresowania i zabrał się za przygotowywanie herbaty.

– To moja bliska przyjaciółka. Kiedyś mieszkała w Sadowym Domu, który teraz należy do Buchananów. Ellen, wybacz koszmarnie maniery mojego chrześniaka. Mieszka w pojedynkę i zupełnie się oduczył dobrego zachowania. Czasem myślę, że specjalnie zadziera nosa, by trzymać ludzi na dystans. Nie zwracaj na niego uwagi.

Hermione powiedziała Ellen, że Matthew ma do niej przyjechać, ale Ellen zupełnie o tym zapomniała. Na podstawie opowieści przyjaciółki zupełnie inaczej go sobie wyobrażała.

Spodziewała się kogoś starszego, bledszego, chudego, o poważnej twarzy. Snuła takie domysły na podstawie delikatnych akwarel zapełniających Dom Pod Złotokapem, które bardzo lubiła.

Kilka chwil w jego towarzystwie wystarczyło, by się przekonała, że jest zupełnie inny.

Zdecydowanie zaskoczył ją brak manier. Stał odwrócony do niej tyłem, skorzystała więc

z okazji, by dobrze mu się przyjrzeć. Był wysoki – choć nie tak wysoki, jak Duncan – a pod jego białym T-shirtem i luźną koszulą zatkniętą w dżinsy rysowały się szerokie ramiona. Był boso.

Ktoś o takiej sylwetce nie wyglądałby dobrze w garniturze. Pewnie woli codzienne ciuchy.

Z drugiej strony włosy miał całkiem elegancko ostrzyżone, i to chyba niedawno. Były ciemnobrązowe, bardzo delikatne, z odrobiną siwizny na skroniach.

Matthew przyniósł herbatę do stołu. Nie usiadł z nimi, lecz oparł się o jedno z krzeseł i spojrzał uważnie najpierw na Hermionę, a potem na Ellen. Odwróciła się od niego.

Najwyraźniej teraz on chciał dokładnie jej się przyjrzeć.

W głowie Matthew kotłowała się tylko jedna myśl: że atrakcyjnej przyjaciółki Hermione byłoby bardzo szkoda dla męża impotent.

– To kiedy jest wielki dzień? – zapytał. Ellen spojrzała na niego bez zrozumienia. – Kiedy wychodzi pani za męża?

Zarumieniła się.

– Ja nie... No, cóż... Jeszcze nie teraz. Nic nie jest ustalone. Wie pan, jak to jest.

Wpadła w popłoch i spojrzała na Hermionę, szukając u niej pomocy, lecz przyjaciółka udała, że tego nie zauważyła.

– Ellen jest dyskretna, Matthew, ale zanim się pojawiłeś, opowiadała mi właśnie, jak to jej umiejętności na miarę Maty Hari oczarowały Duncana na tyle, że się jej wczoraj oświadczył.

– Nic takiego nie powiedziałam – zaprotestowała Ellen.

No, naprawdę, Hermione potrafiła być czasami królową nietaktu.

– Może lepiej zostawię was w spokoju, żebyście mogły poplotkować? – zapytał Matthew.

– Nie ma takiej potrzeby – odparła Ellen i zerwała się od stołu tak energicznie, że jej krzesło zaszurało na terakotowej podłodze. – Powinnam się już zbierać. – Zwróciła się do Hermione i dodała: – Jeśli mamy urządzić sobie ten piknik, to lepiej zabiorę się za robienie kanapek. O której wyjeżdżamy?

Hermione się uśmiechnęła.

– Słuchaj, a może zaprosimy też Matthew, żeby z nami pojechał? Damy radę wcisnąć jeszcze jedną osobę do Johnny’ego Zagranicznika?

– Co to za piknik i co to za Johnny Zagranicznik?

– Matthew, coś ty taki zwarzony? Prawie jak Ellen... Planujemy zawieźć Jo-Jo do domu, do Sheffield, a po drodze zrobić sobie przystanek. Johnny Zagranicznik to samochód Ellen. Tak na niego mówi.

– Możemy pojechać moim, jeśli wolicie. To rozklekotany, stary wrak, ale jest przestronny. Ile osób zabieramy?

Hermione szybko policzyła w głowie, wymachując przy tym palcem wskazującym.

– Cztery. A, nie, zapomniałam o synu Ellen, Simonie.

Matthew nagle pożałował swojej spontanicznej propozycji. Gniewienie się w aucie z dzieciakiem, który na pewno będzie trajkotał przez całą podróż, albo, co gorsza, będzie chciał grać w głupie gry w rodzaju: „Widzę coś na literkę...”... Nie tak wyobrażał sobie przyjemnie spędzony dzień. Lecz do wyboru miał albo to albo przeglądanie albumów ze zdjęciami Buchananów. Kiepski wybór.

Ellen wróciła do domu na piechotę. Była w fatalnym humorze, rozdrażniona i zła na Hermione i na tego jej nieokrzesanego chrześniaka. Razem zespuli jej cały dzień. Gdyby Hermione dała jej wcześniej dojsć do słowa, gdyby on nie przyszedł do kuchni akurat wtedy, gdy przyszedł, to opowiedziałyby Hermione o Duncanie i o tym, jak bardzo wpadła mu w oko.

– Chcę, żebyś wiedziała, że stałaś się dla mnie kimś bardzo ważnym – powiedział, gdy wyciągnął wczoraj rękę przez szerokość stolika i uściśnął jej dłoń. – Nie ma nikogo innego, z kim wolalbyśmy teraz być.

Uśmiechnęła się radośnie do siebie. Drogi, kochany Duncan. Był czasami bardzo staromodny, ale z drugiej strony to właśnie jej się w nim podobało. Po presji ze strony Rogera, kurtuazja Duncana była mile widziana. Czuła się dzięki temu bezpieczna i spokojna. Zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem z wolna się w nim nie zakochuje.

Wszyscy, nie wyłączając Jo-Jo, byli w świetnych humorach, gdy wyjechali na drogę koło Macclesfield prowadzącą do Buxton. Miała doprowadzić ich aż do rodzinnego miasta Jo-Jo, Sheffield. Słońce stało wysoko na horyzoncie i mocno grzało. W zakurzonej aucie zrobiło się ciepło i lekko czymś zalatywało. Z tyłu dochodziły dziwne, niekoniecznie przyjemne zapaszki, które Ellen skojarzyła z pudłem z narzędziami pracy Matthew. Niewiele wiedziała o malarstwie, ale założyła, że kartonowe pudła za jej plecami pełne są upapranych tubek z farbą i brudnych szmatek nasączonych terpentyną, olejem lnianym, czy też czego tam używają artyści. Otworzyła okno po swojej stronie, żeby wpuścić do środka trochę świeżego powietrza. Szkoda, iż Matthew nie jest pisarzem. Pióro i papier zdecydowanie mniej śmierdzą.

Z przodu, koło Matthew, siedziała Hermione. Miała pilnować mapy, ale była bardziej pochłonięta regulowaniem swojego fotela – w kółko przesuwiała go to do tyłu, to do przodu, zupełnie ignorując nogi Simona, który siedział za nią. Jo-Jo tkwiła pomiędzy Simonem i Ellen. Wyciągnęła teraz szyję w stronę otwartego okna. Ellen domyśliła się, że musiało jej się zrobić niedobrze.

Nim wyruszyli spod Domu Pod Złotokapem, Ellen wzięła Jo-Jo na bok i zapytała, czy rzeczywiście tego właśnie chce. W głębi ducha martwiła się, że jeśli Jo-Jo wróci do domu i stanie

się coś strasznego, będą się czuli winni. Kojarzyło jej się to z wypuszczeniem ocalonego, otoczonego opieką zwierzaka z powrotem w dzicz, gdy trzeba po prostu zaufać siłom natury. Ciężko było nie bawić się w Boga i nie interweniować.

– Och, tak – odpowiedziała Jo-Jo. – Od początku chyba wiedziałam, że tak właśnie powinnam postąpić, tylko nie miałam odwagi się do tego przyznać. Cały czas główkowałam nad tym, czego niby się ode mnie oczekuje. Próbowałam sobie wmówić, że będę szczęśliwa, wychowując to dziecko sama i żyjąc jak się da, ale w głębi ducha wiedziałam, że to nieprawda... To by nie było dobre ani dla mnie, ani dla dziecka. Dzięki Simonowi jasno to zrozumiałam.

– No, dobrze, jeśli jesteś pewna... A co z twoim ojczymem? On się nie zmieni tylko dlatego, że ty wszystko rozumiałaś.

– Będę mu schodzić z drogi. Jak mówi Simon, muszę go znosić jeszcze tylko przez parę miesięcy.

Jak mówi Simon, pomyślała Ellen. Pochyliła lekko głowę do przodu i zerknęła na syna. Był zajęty rozmową z Jo-Jo na temat ostatnio przeczytanej książki. Nigdy wcześniej nie przyszło jej to do głowy, ale Simon należał do rzadko spotykanych osób, które wyrażają swoją opinię tylko wtedy, gdy się je o to poprosi. Większości ludzi wcale nie trzeba do tego zachęcać. A jednak, o dziwo, po zniknięciu Rogera nigdy nie zapytała Simona wprost, co jego zdaniem, powinna zrobić. Nie miała pojęcia, co by jej doradził? A skoro już o tym mowa, ciekawe, co tak naprawdę myśli o Duncanie? Czy to istotne? Przecież najważniejsze jest to, co ona czuje. A teraz czuła, że jest bliska zakochania się w Duncanie. Uśmiechnęła się do siebie z zadowoleniem i zamknęła oczy, ale zaraz zaczęła się zastanawiać, czy w ogóle można być „bliskim zakochania się”. Z tym chyba jest tak, jak z ciążą: albo się jest w ciąży, albo się w niej nie jest. Och, do cholery! Co to za różnica?

Otworzyła oczy, żeby sprawdzić, gdzie są i we wstecznym lusterku zobaczyła w białym odbiciu spojrzenie Matthew.

Przejechali przez wioskę Dove Holes, następnie Sparrowpit, a potem zjechali w stromą, kamienistą przełęcz Winnats Pass. Kilka minut później, na sygnał Hermione, zatrzymali się i wysiedli z auta. Nieśli ze sobą parę kocy, kosze oraz krzesło ogrodowe Hermione ze szklarni. Szli, aż dotarli do odosobnionego, osłoniętego miejsca pośród głazów z twardego piaskowca. Ellen rozłożyła koc i postawiła na nim kosze, a Matthew zajął się krzesłem dla Hermione.

– Nie, nie tam – zaprotestowała. – Tu będzie lepiej. Stąd będę miała lepszy widok na Mam Tor.

Następnie podał jej koc do zarzucenia na kolana, ale pokręciła tylko głową i odepchnęła jego rękę.

– Od lat tu nie byłam – oświadczyła radośnie, wyjmując starą lornetkę z pokrowca pokrytego plamkami pleśni. Przyłożyła ją do oczu niczym Jack Hawkins w *Okrutnym morzu*. Cud, że w ogóle cokolwiek przez nie widzi, tak szybko przelatuje wzdłuż horyzontu, pomyślała Ellen, przysiadając na kocu koło jednego z koszy. Zaczęła wyjmować plastikowe pudełka z jedzeniem, jednocześnie nie spuszczać oka z Simona i Jo-Jo. Odeszli na bok, pod dużą skałę. Simon się o nią opierał plecami, jedną ręką wskazywał na coś w oddali, a drugą odgarniał sobie sprzed oczu rozwiewane wiatrem włosy.

Ellen przypomniał się Roger. Odwróciła wzrok, bo nie mogła znieść bezwiednej zdrady syna. Ludzie zawsze mówili, że ona i Simon są do siebie bardzo podobni. Nawet gdy był niemowlęciem, rzadko sugerowano, że można w nim dostrzec także Rogera, ale przecież tak było. Ten prosty gest podniesienia ręki do oczu łączył ojca i syna. Roger wiecznie przeczesywał sobie włosy ręką. Rozzłoszczona pomyślała, że życzy mu, by był teraz łysy i nie miał już czego przeczesywać. Niech mu

wszystkie włosy wypadną w tej Prowansji. Wszyściuteńkie, co do jednego!

– Dobry pomysł – Matthew przyklęknął obok, żeby pomóc Ellen rozpakować kanapki. – Umieram z głodu.

Szybko pozbyła się wyobrażenia łysego Rogera, po czym podała Matthew paczkę zawiniętą w pergamin i obwiązaną sznurkiem.

– Z czym to? – skierowała pytanie do Hermione.

– Z mielonką i chutneyem. Znalazłam słoik z dobrego rocznika. Jeden z nielicznych, który ostał się okrutnej czystce etnicznej przeprowadzonej przez Matthew w mojej spiżarni.

– A co to za rocznik? – zapytał Matthew. – Tak mniej więcej, co do dziesięciolecia.

– Doskonale wiem, kiedy go zrobiłam – odparowała Hermione. – Pamiętasz, jak przyjechałeś i złamałeś sobie rękę podczas naprawiania dachu altany...

– To było lata temu...

– Och, Matthew, przestań dramatyzować. Jesteś gorszy od Ellen. A teraz podaj mi kanapkę i pozwól mi wrócić do rozkoszowania się widokiem.

Matthew niechętnie podał Hermione paczkę z kanapką, po czym odwrócił się do Ellen:

– Proszę, niech mi pani da jedną ze swoich kanapek. I niech mi pani wyjaśni, czemu ona panią oskarża o dramatyzowanie.

– Nie mam zielonego pojęcia – odpowiedziała. – Nie wiem, o co chodzi.

– Szkoda, że jej nie słyszałeś dzisiaj rano – rzuciła Hermione, wymachując kanapką w powietrzu. – Była niczym zły omen, plotła coś o piknikach stających się punktami zwrotnymi.

– Punkt zwrotny niekoniecznie musi oznaczać zmianę na gorsze! – zawołał Simon, bo właśnie dołączyli do nich razem z Jo-Jo. – To po prostu moment, gdy zachodzi decydująca zmiana – dodał i sięgnął po coś do jedzenia.

– Ma rację – zgodziła się Jo-Jo. – Jak wczoraj wieczorem, gdy postanowiłam wracać do domu.

– Aha – zręcznie przejęła piłeczkę Hermione. – Czyli to właśnie zaszło między tobą a Duncanem, Ellen? O tym próbowałaś mi powiedzieć rano?

– Hermione, panuj nad sobą – rzucił Matthew, wyczuwając dyskomfort Ellen.

Sięgnął do innego kosza i wyciągnął z niego swój wkład w lunch: butelkę białego wina, którą kupił po drodze w sklepie monopolowym w Crantsford. Zręcznie odkorkował butelkę przy pomocy scyzoryka wyciągniętego z kieszeni spodni i rozlał wino do kubków. Podał je wszystkim, dla Jo-Jo rezerwując ten z najmniejszą ilością.

– Żebyś nie czuła się wykluczona.

– No, to za punkt zwrotny Jo-Jo – powiedziała Hermione, wznosząc swój kubek w górę.

– Ale zostaniemy w kontakcie, co? – zapytała Ellen po chwili, gdy już wypili za Jo-Jo.

– Jo-Jo będzie zbyt zajęta wspinaniem się na szczyble kariery – odpowiedział za nią Simon z dumnym uśmiechem.

Gdy już wszystko zostało zjedzone – poza mielonką i chutneyem, od których stronili wszyscy poza Hermione – Ellen wybrała się na samotny spacer. Było jej smutno. Podczas lunchu zdała sobie sprawę z tego, że nie może już zwierzać się Hermione z niczego, co ma związek z Duncanem. Jej kochana przyjaciółka nigdy nie uwierzy, że w ciągu ostatnich kilku dni Duncan stał się dla niej kimś więcej, niż tylko kontem w banku.

Z ciężkim sercem oddalała się od grupy, aż dotarła do wysokiego muru. Oparła się o niego i zapatrzyła na surowe piękno Dark Peak, z tarasem z twardego piaskowca, na którym rozpościerało się wrzosowisko. Dark Peak był bardziej posępny i niegościnnie niż leżący bardziej na południe White Peak, z jego falującymi wapieniami, lecz ta brutalność przemawiała do Ellen.

Nie była piechurą, nie włóczyła się po drogach i bezdrożach, ale teraz nagle przeppełniło ją niewytłumaczalne pragnienie, by przejść przez ten mur i iść, gdzie ją nogi poniosą, rozkoszując się wolnością i przestrzenią. Zastanawiała się, czy Duncan też znalazłby w czymś takim przyjemność. Próbowwała ich sobie wyobrazić, jak idą razem, ręka w rękę, schowani pod kapturami i wełnianymi czapkami, w mocnych butach do chodzenia.

Ale nie potrafiła.

Nie umiała oddzielić Duncana od jego bmw i obitego skórą biurka.

Usłyszała kroki. Odwróciła się i zobaczyła zbliżającego się Matthew. Stał obok i również oparł się plecami o mur. Nic nie powiedział, po prostu patrzył przed siebie.

– Pięknie tu, prawda? – odezwała się w końcu, gdy milczenie zaczęło jej ciążyć.

Odwrócił się do niej i spojrzał jej prosto w oczy.

– Nie – powiedział beznamiętnie. – Myli się pani. Tu jest majestatycznie, dziko, łagodnie, wyzywająco. Można by też użyć wielu innych określeń.

– A pięknie nie?

Pokręcił głową.

– Cóż, ja się z panem nie zgadzam. Moim zdaniem tu jest pięknie.

Pogrążyli się w ciężkim od dysonansu milczeniu, każde zapatrzone w innym kierunku, aż w końcu Matthew zapytał:

– Czy ten Duncan zdaje sobie sprawę z tego, jakim jest szczęściarzem?

– Przepraszam?

Nagle odwrócił się, popatrzył na nią przez moment, po czym – jakby to była najrozsądniejsza rzecz pod słońcem – ujął jej twarz w dłonie i pocałował ją w same usta.

A ona, zanim się zorientowała, co robi, odwajemniła pocałunek.

Toż to szaleństwo, pomyślała, czując za plecami szorstkie kamienie.

A to jest jeszcze większe szaleństwo, powiedziała do siebie w duchu, gdy otoczył ją ramionami i przyciągnął do siebie.

Lecz nic ją to nie obchodziło, poddała się przyjemności – czuła się tak, jakby przeszła na drugą stronę muru i była wolna.

Matthew nagle gwałtownie się od niej odsunął.

– Tak się całujesz z Duncanem? – zapytał niskim głosem, w którym zabrzmiała nuta cynizmu.

Miała ochotę go spoliczkować!

I tak by zrobiła, gdyby nie zaalarmowało jej coś innego.

Simona i Jo-Jo nie było widać w ich piknikowym obozowisku, ale Hermione siedziała na swoim miejscu. Była sama, wyprostowana jak struna na swoim krześle ogrodowym z lornetką przy oczach. I patrzyła prosto na Ellen i Matthew.

Rozdział osiemnasty

W samochodzie zmierzającym w stronę Sheffield panowała cisza.

Zbyt głęboka cisza.

Nawet jak dla Matthew.

Nie należał do gadatliwych osób. Ostatnio spędzał większość czasu w samotności i nauczył się cenić święty spokój, który dla niego łączył się z życiem w pojedynkę. Nie znosił pustego gadania, nie miał do tego cierpliwości, ale w tym momencie dałby wszystko, by umieć zainicjować lekką pogawędkę. Bardzo chciał, by ktoś się odezwał, nawet powierzchowna uwaga o pogodzie byłaby teraz mile widziana. Żałował nawet, że syn Ellen nie był irytującym, rozgadany smarkaczem, jakiego sobie wcześniej wyobraził, a zamiast tego okazał się milczącym dorosłym, który siedział na tylnym siedzeniu pogrążony w lekturze *Ballady o więzieniu w Reading*. Wyglądało jednak na to, że wszystkim odpowiada panująca w samochodzie cisza. Czytali lub przyglądali się pejzazowi za oknami.

A on rozpaczliwie chciał, by ktoś się odezwał, bo miał nadzieję, że to pomogłoby mu oderwać się od myśli o tym, czego właśnie się dopuścił. W życiu zrobił wiele głupstw, ale to, co się właśnie wydarzyło, było nie do przebiccia.

Co mu strzeliło do głowy? Czy myślał, że bierze udział w przesłuchaniach do roli Rhetta Butlera z *Przeminęło z wiatrem*? Jeśli miał ochotę zagrać głównego bohatera jakiejś romantycznej historii, to powinien się zapisać do lokalnego kółka teatralnego, a nie zachowywać się jak głupi podrostek. Na miłość boską, miał czterdzieści dwa lata, a postąpił jak kompletny idiota. Co gorsza – i co dużo bardziej niepokojące – nie miał zielonego pojęcia, co go właściwie opętało. Jakby na kilka sekund stracił nad sobą kontrolę.

Będzie musiał przeprosić. Tylko jak? Sądząc po reakcji Ellen, gdy się zorientowała, że Hermione ich podgląda przez lornetkę, szansa na to, że uda mu się z nią porozmawiać, i to na osobności, była równie duża, jak... jak szansa na to, że Hermione zatrzyma wszystko dla siebie.

Zwinęli piknik w milczeniu. Nawet Hermione zabrakło języka w gębie i skupiła się na próbach złożenia swojego krzesła. Podejrzewał, że powie coś wieczorem, gdy zostaną sami. W drodze do auta, Ellen trzymała się od niego tak daleko, jak tylko można. Zostawała z tyłu pod pretekstem a to podziwiania widoku, a to zawiązania sznurowadła. A w samochodzie praktycznie przykleiła się do okna, byle tylko nie ryzykować spojrzenia w jego kierunku.

– Będę za wami wszystkimi tęsknić.

Matthew westchnął w myślach z ulgą. W końcu ktoś się odezwał.

– Mówię poważnie, wcale nie żartuję.

– Jo-Jo, kochanie, my też będziemy za tobą tęsknić – powiedziała czule Hermione i podniosła głowę znad mapy na kolanach, w którą wpatrywała się niewidzącym wzrokiem przez ostatnie pół godziny. – Prawda, Ellen? W końcu to ty podjęłaś pierwszy krok w tej sprawie.

Ellen oderwała głowę od okna i uśmiechnęła się do Jo-Jo.

Złapała spojrzenie Matthew w lusterku.

– Przyjeżdżaj do nas w odwiedziny. Zawsze będziesz mile widziana.

Jo-Jo odpowiedziała uśmiechem.

– No, to może przyjadę na pani ślub?

Simon parsknął śmiechem.

– Nie wiedziałem, że ten bogacz Duncan ci się oświadczył, mamó. Powiedz coś więcej.

– Wcale mi się nie oświadczył – odparła. – Wygląda na to, że wszyscy źle mnie zrozumieli. Duncan nie poprosił mnie o rękę, jasne?

Oparła znowu głowę o okno i wbiła osowiałe spojrzenie w rzędy nijakich domów szeregowych, które ciągnęły się po obu stronach drogi wjazdowej do Sheffield.

– Jeszcze nie – rzucił Simon ze śmiechem.

Ellen nic na to nie powiedziała. Wpadła w mroczny, ponury nastrój. Był jak echo ulic, którymi jechali.

Pani Clarke czekała na nich od dziewiątej rano. Robiła wrażenie roztrzęsionej i wycieńczonej. Miała zaczerwienione oczy, była spięta i zdenerwowana. Otoczyła ciasno ramionami swoje chude jak patyk ciało, jakby to był kaftan bezpieczeństwa. Powietrze w dużym pokoju było gęste i siwe od dymu, a popielniczki na ławie przed kanapą z trudem dawało się dostrzec spod warstwy popiołu i niedopałków. Kobieta nie uściskała córki na powitanie, w żaden sposób nie dała po sobie poznać, że stęskniła się za swoim jedynym dzieckiem. Ellen miała ochotę wyprowadzić stamtąd Jo-Jo. Chciała wsadzić ją do samochodu i zabrać z powrotem do Crantsford. Ta kobieta nie zasługiwała na Jo-Jo.

– Czekam już od dawna – jęknęła pani Clarke.

Ellen patrzyła, jak nieboraczka opadła na poduchy obitej dralonem kanapy i miała uczucie, że patrzy na ciężką, mokrą gąbkę opadającą na dno wanny. Podeszła do okna w wykuszu, które wychodziło na inne domy w sąsiedztwie oraz na ulicę, gdzie Matthew i Simon siedzieli w samochodzie. Była to porządna dzielnica, pełna domów wolnostojących z lat trzydziestych, każdy oddzielony od sąsiedniego szerokim ogrodem i podjazdem, co zapewniało mieszkańcom prywatność. Dzięki temu osoby takie, jak Jo-Jo i jej matka mogły pozostać niezauważone.

– Myślałam, że będziesz parę godzin wcześniej – skarżyła się dalej pani Clarke. – Nastawiłam czajnik, ale nie przyjechałaś. A tak mi się chciało pić. W kółko włączałam czajnik. Chyba się zepsuł.

Ellen chciała wzbudzić w sobie współczucie dla siedzącej przed nią kobiety, ale nie potrafiła. Widziała tylko zmęczoną osobę z obsesją na jednym punkcie – siebie samej. Matka Jo-Jo była tak pochłonięta własnym zmaganiem się z życiem, że nawet banalne sprawy – jak zaparzenie herbaty – stawały się niewykonalne, poza jej zasięgiem. Było oczywiste, że nie będzie miała głowy dla Jo-Jo i jej problemów.

– Nic nie powiedziałaś, że kogoś ze sobą przyprowadzisz. – Pani Clarke spojrzała oskarżycielsko na Jo-Jo, a potem na Ellen i Hermione. – Panie nie są przypadkiem z opieki społecznej? Mój mąż nie będzie zadowolony, jak się dowie...

– Mamo, daj spokój – powiedziała cierpliwie Jo-Jo. – Przecież ci wszystko wytłumaczyłam przez telefon. Zrobię kawy, co?

Ellen gestem dała Hermione do zrozumienia, by została z panią Clarke, a sama poszła do kuchni za Jo-Jo. Zamknęła za nimi drzwi.

– Jo-Jo – zaczęła szeptem. – Jesteś pewna, że to dobry pomysł z tym powrotem?

Jo-Jo się uśmiechnęła.

– Mama ma dzisiaj dobry dzień.

* * *

Gdy przyszła pora odjazdu, pani Clarke została w dużym pokoju, gdzie odpałała jednego papierosa od drugiego, a Jo-Jo odprowadziła przyjaciółki do drzwi. To była niezręczna chwila. Stały w ciasnym korytarzu, a długie, wąskie lustro za ich plecami odbijało posmutniałe twarze.

– No, dalej – powiedziała Hermione. – Miejsmy to już za sobą. – Przytuliła Jo-Jo i wsadziła jej w dłoń zwinięty banknot dziesięciofuntowy. – To na wypadek, jakby znowu

zachciało ci się dać nogę z domu.

Ellen zobaczyła, że Jo-Jo trzęsie się podbródek. Bała się, że jeśli dziewczyna się rozpłacze, to ona pójdzie w jej ślady, więc szybko wzięła ją w ramiona i mocno przytuliła.

– Dzwon, gdybyś czegoś potrzebowała, dobrze? Obiecujesz? – Otworzyła torebkę i wyjęła z niej kartę telefoniczną. – Masz, to dla ciebie.

Hermione z Ellen dołączyły do Matthew i Simona w samochodzie. Pomachali na do widzenia i Jo-Jo zniknęła za drzwiami.

– To nie do zniesienia – wydusiła z siebie Ellen wzruszonym głosem. – Nie spodziewałam się, że będzie aż tak źle. Byłoby jej lepiej u nas, to chyba oczywiste. – Nagle odwróciła się do Hermione. – To wszystko przez ciebie! – zawołała. – Po coś się wtrącała.

– Ej, mamo, to niesprawiedliwe – powiedział Simon. – Jo-Jo sama podjęła decyzję o powrocie do domu.

– Została zmanipulowana! – Spojrzała na niego wyzywająco.

– Niby jak? – odpowiedział bardzo spokojnie.

Ellen odwróciła się od niego. W głębi ducha wiedziała, że syn ma rację. Ostateczna decyzja o tym, co chce ze sobą zrobić, należała do Jo-Jo, nikt jej za nią nie podjął.

– Przepraszam – pociągnęła nosem. Zaczęła grzebać w torebce w poszukiwaniu chusteczki. – Chyba zachowuję się irracjonalnie. Nie zwracajcie na mnie uwagi.

– To jeden z tych dni – stwierdził cicho Matthew. Podał do tyłu chusteczkę dla Ellen. Zapomniała się i spotkała jego spojrzenie w lusterku.

– Dziękuję – wymamrotala, po czym schowała twarz w chusteczce.

– A najgorsze z tego wszystkiego jest to – odezwała się Hermione, której uwadze nie umknęła mała wymiana spojrzeń między Ellen a Matthew – że matka Jo-Jo wzięła mnie za kogoś z opieki społecznej! To już szczyt!

Rozdział dziewiętnasty

Duncan zaparkował auto na firmowym parkingu i zaciągnął hamulec ręczny. Zdecydował się. Zrobi to. Jest idiotą, że tak długo zwlekał.

Wczoraj późnym wieczorem Nadia sprowokowała go do tego stopnia, że niewiele brakowało, a straciłby panowanie nad sobą. Kłótnia zaczęła się zgodnie z oczekiwaniami. Nadia oskarżyła Ellen o to, że chodzi jej tylko o pieniądze. Cóż za ohydny banał! Następnie Nadia zasugerowała, że Duncan stanowi idealny obiekt zainteresowania dla takiej kobiety.

– Nic nie wiesz o Ellen – odpowiedział spokojnie. – Wiesz tylko to, co ty i twoje przyjaciółki plotkary sobie ubzduraliście. Bądź tak miła i zatrzymaj swoje oszczerstwa dla siebie.

– Ależ Duncanie...

– Jeszcze nie skończyłem. Już sama sugestia, że masz mnie za głupca, który mógłby paść ofiarą takiej intrygi, to czysty absurd. Powinnaś wiedzieć, że jestem wystarczająco przenikliwy, by się w czymś takim zorientować!

– Twoje piękne słowa nie robią na mnie najmniejszego wrażenia – rzuciła beznamiętnie.

– Każdy wie, że mężczyźni zmieniają się w kompletnych kretynów, gdy chodzi o seks. Nie dostrzegają tego, co się tak naprawdę dzieje.

Zirytowało go, że jego związek z Ellen został tak bezceremonialnie upodlony i zwulgaryzowany, powiedział więc tylko:

– Uważam, że powinniśmy przerwać tę rozmowę zanim oboje powiemy coś, czego będziemy jutro rano żałować.

Ale Nadia, jak to ona, chciała oczywiście mieć ostatnie słowo, więc dodała jeszcze:

– Na twoim miejscu byłabym ostrożniejsza, Duncanie. Seks nawet najlepszych potrafi doprowadzić do lekkomyślnego zachowania. Ostatecznie sam jesteś rezultatem czyjeś lekkomyślności.

Zerwał się rozwścieczony z krzesła, lecz Nadia już opuściła jego gabinet. Przez kilka chwil krążył po pokoju. Oczekiwał, że odzyska panowanie nad swoimi rozchwianymi emocjami, ale tak się nie stało. Ściany gabinetu tylko wzmagaly w nim poczucie zniewolenia. Nalał sobie dużą porcję brandy z karafki stojącej na orzechowej komodzie, otworzył przeszkłone drzwi naprzeciwko biurka i wyszedł na taras. Wpatrując się w chłodną, ciemną noc, próbował ze wszystkich sił zrationalizować swoją reakcję na słowa matki.

W pracy jego zadanie polegało na tym, by – w ramach prawa – osiągnąć rezultat możliwie najlepszy dla klienta. W tym celu musiał analizować, rozkładać na czynniki pierwsze i brać pod lupę wszystko, co dotyczyło sprawy. Dobry prawnik musi umieć wczuć się w pobudki i ukryte motywy innych. A on uważał siebie za przyzwoitego fachowca. Gorzej radził sobie z analizą własnych zachowań. Introspekcja jakoś nigdy go nie pociągała. Jego zdaniem autoanaliza nigdy nie prowadzi do niczego dobrego. Lecz teraz, pod tym ciemnym, nocnym niebem, musiał zadać sobie pewne pytanie i znaleźć na nie odpowiedź. Dlaczego aż tak się zdenerwował?

Jego gniew sięgnął poziomu, który był godny pożałowania i skandaliczny. Nigdy wcześniej mu się coś takiego nie przydarzyło. Już dawno nauczył się sztuki robienia uników przed przesadną opiekuńczością Nadii i obrony przed jej zaborczością, ale tym razem przyłapała go z odkrytą przyłbicą. Nigdy nie odwołała się do jego pochodzenia z nieprawego łoża w tak

okrutny sposób. Jej słowa tak go zabolaly, że niewiele brakowało, a by ją uderzył.

Przyznanie się do tego przed sobą samym przepełniło go przerażeniem. Wrócił do środka, do gabinetu, i zamknął drzwi balkonowe. Wiedział, że nadeszła pora przystąpić do działania.

Teraz, następnego dnia rano, otworzył drzwi do biura i był gotowy do podjęcia działań. Jak zwykle przyszedł do pracy jako pierwszy. O tej porze większość jego kolegów z pracy wycierała z krawatów wyplutą kaszkę albo odwoziła właśnie dzieci do szkoły. Gdy już w końcu dotarli do biura, opowiadali o tym wszystkim, jakby były to osiągnięcia na olimpijską miarę.

W porównaniu z nimi jego własne życie wydawało się bezgranicznie przyjemniejsze, a teraz być może poprawi się jeszcze bardziej. Podniósł pocztę leżącą na wycieracze i zabrał ją do swojego gabinetu. Położył listy w równej stercie z boku uporządkowanego biurka. Wyjął pióro wieczne z kieszeni na piersi, usiadł i przyciągnął do siebie papier. Zaczął sporządzać listę. Pierwsza pozycja brzmiała: „kwiaciarnia”, kolejna: „jubiler”. Już miał nałożyć nakrętkę na pióro, gdy się zawahał. Po kilku sekundach wrócił do pisania: „biuro podróży”. A czemu nie? Jeśli już coś robić, to porządnie.

Ellen nadal nie otrząsnęła się z ponurego nastroju z wczorajszego dnia. Cały czas miała przed oczami twarz biednej Jo-Jo, gdy się żegnały. Dziewczyna zasługiwała na coś lepszego.

Jej zamyślenie przerwały odgłosy nadjeżdżającego samochodu. Najpierw pomyślała, że może to Simon, ale zaraz sobie przypomniała, że jego stary fiat robi dużo więcej hałasu. Zresztą przy śniadaniu powiedział, że wróci późno, a była dopiero pierwsza. Ciekawość oraz nadzieja na sprzedanie czegoś drogiego popychały ją do okna, by oszacować potencjalnego klienta. Wiedziała jednak, że nie ma nic gorszego niż nadgorliwy sprzedawca, więc nie oderwała się od układania na półkach girland, które skończyła robić wczoraj późno wieczorem.

Nie podniosła wzroku, nawet, gdy otworzyły się drzwi do stodoły. Niech trochę poczekają... Odwróciła się z uśmiechem na twarzy dopiero, gdy usłyszała dźwięk domykających się drzwi.

– Duncan!

Podbiegł do niej szybko, po drodze przewracając spory kosz, który stał przed główną częścią ekspozycji.

– Ellen – powiedział pośpiesznie i szybko ustawił kosz we właściwej pozycji. – Nie jestem człowiekiem, który oddaje się spontanicznym porywom, ale chciałbym, byś poszła teraz ze mną. Natychmiast.

– Teraz? – powtórzyła oszołomiona. To nie był Duncan, jakiego znała. – Czemu, co się dzieje?

– Bardzo cię proszę, zamknij wszystko i chodź ze mną. Wytłumaczę ci w samochodzie.

– Na Boga, Duncan, stałeś się wcieleniem spontaniczności!

Zawiesiła na drzwiach tabliczkę z napisem „Zamknięte”, przekreśliła klucz i poszła prędko za Duncanem, który już stał przy aucie i otwierał przed nią drzwiczki.

Jechał szybko, w kompletnym milczeniu, ignorując wszystkie jej pytania. Czuła, że jest zdenerwowany. Zaparkował w odludnym miejscu piknikowym i odpiął pas.

– Chcę, żebyś zamknęła oczy – powiedział tylko.

Miała ochotę się roześmiać. To wszystko było bardzo dziwne.

– Chyba nie próbujesz mnie porwać, co? – zawołała za nim, gdy wysiadł i podszedł do bagażnika.

Nie odpowiedział.

– Nie otwieraj oczu, dopóki nie powiem. Mam coś dla ciebie.

Postąpiła zgodnie z poleceniem, ale przypomniała sobie słowa wypowiedziane pewnej nocy przez Rogera:

– Zamknij oczy, mam tu coś dla ciebie.

Wyszedł wtedy z sypialni, a gdy pozwolił jej otworzyć oczy, kilka centymetrów od siebie zobaczyła parę świdrujących oczu wpatrzonych w nią zza przerażającej maski z czarnej skóry. Wrzasnęła i wyskoczyła z łóżka jak z procy. Prawie pozbawiła się przytomności, gdy potknęła się na parze butów i uderzyła głową w toaletkę. Figlarna erotyka, mówił na to Roger. Ona raczej nazwałaby ją zabójczą, gdy wracała nad ranem z izby przyjęć ze wstrząsem mózgu i kilkoma szwami.

– Już – powiedział Duncan. – Możesz już otworzyć oczy.

Tak też zrobiła. Na kolanach miała największy bukiet czerwonych róż, jaki kiedykolwiek widziała. Był tak ogromny, że niewiele ponad nim widziała.

– Duncan, jakie śliczne. – Odetchnęła głęboko w nadziei, że róże pachną. Pachniały. To był niebiański zapach, słodki, przywodzący na myśl idealny, letni dzień. – Są wspaniałe.

– Tak jak ty. – Wsadził rękę do kieszeni i wyciągnął z niej niewielkie, kwadratowe pudełko. – Ellen... – Nagle spowaźniał. – Chciałbym... chciałbym, byś za mnie wyszła. – Wolno uniósł wieczko pudełka. Pierścionek, podobnie jak róże, był przepiękny. – Sprawdźmy, czy pasuje?

Ellen była w szoku. To się wydarzyło, to się naprawdę wydarzyło. Duncan jej się oświadczył. Poprosił ją o rękę. Czekala na ten moment, wiele mentalnego wysiłku włożyła w wyobrażanie sobie tej chwili, każdej idealnej sekundy, ale teraz nie mogła w to uwierzyć.

I słusznie, odezwał się szeptem jakiś głosik w jej głowie. To zbyt piękne, by było prawdziwe. Smutna prawda jest taka, że nie jesteś warta, zostać żoną tego człowieka, bo wszystko ukartowałaś. A miłości nie da się zaplanować.

Zagryzła wargę i zacisnęła powieki. Nie to chciała usłyszeć.

– Ellen? Wszystko w porządku?

Otworzyła oczy.

– Och, Duncan – powiedziała. – Nie wiem, co powiedzieć. Ja...

– Powiedz „tak”. To proste.

Nie jesteś go warta, zasyczał głos w jej głowie.

– Owszem, jestem!

Na poważnej twarzy Duncana pojawił się niepewny uśmiech.

– Czy to znaczy, że, owszem, wyjdiesz za mnie?

– Nie! To znaczy... Och... – Co ona wyprawia? Przecież chce za niego wyjść, więc czemu, do licha, pozwala, by jakiś zmyślony, wyszczekany głosik w głowie, zwany również nieczystym sumieniem, decydował za nią? Wzięła głęboki wdech. – Och, Duncan – powiedziała w nadziei, że uspokoi tym sumienie. – Zaslugujesz na kogoś lepszego ode mnie.

To już coś, ale może lepiej powiesz mu prawdę? Możesz zacząć od tego, jak atrakcyjnie wygląda jego wyciąg z banku. Potem możesz dodać scenkę jak z opery mydlanej, podczas której całujesz się z nieznanym wśród skał i głazów, gdzie miałaś rzekomo podziwiać widoki?

– Ellen. Nigdy w życiu się nikomu nie oświadczyłem. Czy mam rozumieć, że zanim dostanę ostateczną odpowiedź, muszę się przygotować na uniki?

Jego głos brzmiał prawie srogo i natychmiast wyrwał Ellen z jej stuporu. Zignorowała natarczywy głosik wewnętrzny, pomachała mu na do widzenia i powiedziała:

– Duncan, oczywiście, że za ciebie wyjdę. Powiedz tylko kiedy!

Chciała go pocałować, ale on się uśmiechnął i delikatnie ją od siebie odsunął.

– Jeszcze nie skończyłem – oznajmił. Nachylił się i z tylnego siedzenia auta wziął dużą kopertę. Podał ją Ellen. – Co powiesz na miesiąc miodowy we Florencji?

Wpatrywała się z zachwytem w broszurę.

– O wszystkim pomyślałaś, co?

– Taki już jestem. Ale przecież dobrze o tym wiesz. No, a teraz, co z tym pocałunkiem?

Z powrotem jechali już spokojniej. Duncan chyba odzyskał już swoje normalne opanowanie, z nią było jednak inaczej. Było jej niedobrze i cała się trzęsła w środku, tak była podekscytowana przyszłością.

Zerknęła na róże i piękny pierścionek, który dla niej wybrał. Znowu pomyślała o tym, jaki jest zorganizowany i metodyczny. Uśmiechnęła się. Jest cudowny. I jej życie od teraz również będzie cudowne. Koniec z suszonymi kwiatami! Koniec z tanimi, pokruszonymi ciastkami! Koniec z małym, zawilgoconym domkiem! Koniec ze zmartwieniami! Och, jak wspaniale!

– Gdzie zamieszkamy? – wyrwało się jej, bo właśnie wyobraziła ich sobie, jak wracają samolotem z miesiąca miodowego i próbują wcisnąć Duncana i wszystkie jego rzeczy do Domku Nad Strumieniem.

– Na początku moglibyśmy zamieszkać w Crantsford Hall – odparł, parkując auto obok Johnny’ego Zagranicznika. Oboje spojrzeli na mikroskopijny domek. – Pomyślałem, że może ci się tam spodobać – dodał. Miał rację. Miał świętą rację! Nachyliła się do niego i pocałowała go. – Może być? Znaczy... Wiem, że Nadia potrafi grać na nerwach, ale tam będziemy mieli mnóstwo miejsca dla siebie. Aż znajdziemy własny dom.

Pocałowała go jeszcze raz.

– Będzie dobrze, nic się nie martw. A propos, jak twoja matka zareagowała na wieść, że zostanę jej synową?

Jego mina się zmieniła.

– Eee...

– Duncan?

– Chciałem najpierw porozmawiać z tobą – odparł, całkiem zresztą sensownie. – Może przyjdiesz dzisiaj wieczorem na drinka i razem jej powiemy?

– Dobry pomysł. Ach, czekaj, nie mogę. Dostałam zaproszenie na przyjęcie. I to do Buchananów, którzy kupili ode mnie Sadowy Dom.

– No, to do nich zadzwoń i powiedz, że nie możesz przyjść. Tylko nie mów dlaczego. Nie chcę, by ktokolwiek się o tym dowiedział przed Nadią.

Zmarszczyła brwi.

– Ale ja obiecałam, że przyjdę. Mam przygotować dekoracje do dużego pokoju i muszę zobaczyć...

– Kochanie – Duncan poklepał ją po ręce. – Tym już teraz nie musisz się martwić. Gdy się pobierzemy, nie będziesz musiała harować. No, a teraz zmykaj. Muszę jechać, za pół godziny mam spotkanie z klientem.

Ellen uśmiechnęła się i otworzyła drzwi auta.

– Biedaku – powiedziała. – Jeszcze jeden koszmarne rozwód...

– Tylko nie zapomnij zadzwonić do tej Buchananowej i odwołać wizytę. Do zobaczenia wieczorem o ósmej.

Odprowadziła auto Duncana wzrokiem, gdy zniknęło za rogiem. Pomachała mu na do widzenia, otworzyła drzwi stodoły i weszła do środka. Odłożyła róże na stół i szybko podeszła do telefonu. Chciała zadzwonić, ale nie do Susie Buchanan, lecz do Hermione. Chciała powiedzieć Hermione, co się wydarzyło. Ścisnęła słuchawkę w ręce, modląc się, by przyjaciółka odebrała, ale telefon nadal dzwonił. Odczekała dłuższą chwilę, po czym uznała, że Hermione pewnie rozsądza rośliny w szklarni i nie słyszy stamtąd telefonu, tak, jak pewnie nie zauważyłaby, gdyby dom stanął nagle w płomieniach.

Rozczarowana odłożyła słuchawkę, po czym przypomniała sobie, że miała zadzwonić do Susie Buchanan. Niestety, nie miała jej numeru. Cóż, zamknie sklep na resztę dnia i się tam przejdzie. Świat się nie zawali, jeśli straci teraz kilku klientów.

Susie rozmawiała przez telefon i jednocześnie opróżniała zmywarke.

– Nie wiem, czy on przyjdzie, Janey – wyszeptała do przenośnej słuchawki. – To taki typ Heathcliffa. Wiesz, raz jest w koszmarnym humorze, jakbym powiedziała coś okropnego, a kiedy indziej potrafi być całkiem uroczy. Wydaje mi się, że ma słabość do Millie. Tak czy inaczej, muszę lecieć, mam mnóstwo roboty z suszonymi pomidorami. Do zobaczenia wieczorem. Pa! I nic się nie martw, przedstawię cię.

Odłożyła telefon i przeszła na palcach do ogrodu zimowego, który teraz był odarty z muślinowych draperii, roślin i mebli. Matthew ślezczał nad kilkoma fotografiami rozłożonymi na dużym kawałku papieru ze wstępnym szkicem ich rodzinnego murala.

– Zaparzyć kawy? – zapytała. Nie usłyszał jej. – Kawy? – powtórzyła, tym razem głośniejszym głosem. Nadal jej nie słyszał.

Przewróciła oczami. Właśnie spędziła dziesięć minut rozmawiając szeptem przez telefon z Janey o człowieku, który nie słyszy jej głosu nawet, gdy znajduje się kilka metrów od niego. Odwróciła się, gotowa zostawić go w spokoju.

– Dziękuję – powiedział, podnosząc głowę znad papieru. – Bardzo chętnie.

– Jak idzie? – zapytała, podchodząc nieco bliżej.

Liczyła przynajmniej na kilka maźnięć farbą na ścianie do dzisiejszego przyjęcia, ale jak na razie był tylko ołówkowy szkic, w którym trudno było dopatrzeć się podobieństwa do kogokolwiek, nie wspominając o jej najbliższych.

– Dobrze.

– A miał pan może okazję zastanowić się nad udziałem w dzisiejszym przyjęciu? Mnóstwo ludzi bardzo chciałoby pana poznać.

Pokręcił głową.

– Nie wydaje mi się... – zaczął, ale przerwał mu dzwonek do drzwi.

Susie poszła otworzyć, a Matthew uciekł z powrotem w pracę. Wolał się nie wychylać, na wypadek, gdyby była to jedna z licznych przyjaciółek Susie, które „po prostu umierają z pragnienia”, by go poznać. Do tej pory już trzy znalazły się na łożu śmierci. Z przedpokoju dobiegł go głos Susie:

– Proszę wejść – powiedziała. – Nie, wcale pani nie przeszkadza. Proszę zostać na chwilę, nastawię czajnik.

Przez otwarte drzwi z ogrodu zimowego zobaczył Susie wprowadzającą swojego gościa do kuchni. Natychmiast wziął do ręki ołówek i wszedł na drabinkę przy ścianie.

– Jak pani widzi, w kuchni niewiele zmieniliśmy – usłyszał Susie. – Wygląda prawie tak samo, jak za pani czasów.

Zamarł. Czy Hermione nie powiedziała przypadkiem, że dom należał wcześniej do Ellen? Odwrócił lekko głowę i zobaczył Ellen stojącą do niego tyłem. Śmieszne, nie spodziewał się, że ona i Susie mogą być przyjaciółkami.

– Ja tylko na chwilę – powiedziała Ellen. – Przyszłam przeprosić. Obawiam się, że nie dam rady przyjść na dzisiejsze przyjęcie.

– Och, jaka szkoda – powiedziała Susie, wyraźnie rozczarowana, ale zaraz dodała pogodnie: – Ktoś złożył pani lepszą ofertę?

Ellen się roześmiała.

– W pewnym sensie.

– Och, proszę powiedzieć. A jeśli jest naprawdę dużo lepsza, to pani wybaczę.

Ellen się zawahała. Duncan poprosił ją, by nikomu nic nie mówiła, ale... Ale co tam! Zresztą musiała się tym z kimś podzielić, czegoś takiego nie trzyma się w sekrecie.

– Wychodzę za mąż.

– Dzisiaj?

Łomot, po którym rozległ się zduszony jęk, ściągnął Susie i Ellen do ogrodu zimowego. Matthew leżał na podłodze przy drabinie.

– Witam – powiedział, wstając wolno z ziemi i rozcierając obolałe miejsca. – To w końcu zmusiłaś go do oświadczeń, tak? Moje gratulacje.

– Od jak dawna pani go zna? – zapytała szeptem Susie, zajęta parzeniem kawy po powrocie do kuchni, gdy Matthew zapewnił, że nic sobie nie złamał i że ma za sobą gorsze wypadki. – Chodzi mi o Matthew.

– Tylko od wczoraj, choć znam go z opowieści Hermione.

– I co pani o nim myśli? Ach, nie, proszę teraz nie odpowiadać, zrobię mu najpierw kawy, a pani tymczasem może pójdzie do salonu. Drugie drzwi na... Och, przecież pani doskonale to wie, prawda? Jaka ze mnie idiotka.

Ellen uśmiechnęła się i wyszła do przedpokoju domu, który kiedyś był spełnieniem jej marzeń. Weszła do salonu i wstrzymała oddech. To był jej ulubiony pokój: szerokie, wychodzące na południe drzwi otwierały się na patio i tarasowy ogród. Podeszła do nich, żeby wyjrzeć na zewnątrz. Po przeprowadzce spędziła tygodnie sadząc rośliny cebulkowe, a teraz Susie zbiera plony jej ciężkiej pracy. Na patio wypatrzyła też tulipany w małych, schludnych, drewnianych beczkach. Ellen nigdy nie przepadała za tulipanami. Były jak dla niej zbyt porządne i poukładane.

Odwróciła się tyłem do ogrodu. Jej reakcja na pobyt w Sadowym Domu mile ją zaskoczyła. Odnotowała brak smutku i bólu. Niczego nie żałowała, nie była o nic małostkowo zazdrosna. Nietrudno było się domyślić dlaczego – niedługo zostanie żoną Duncana Cartera. Jej przyszłość lśniła przed nią niczym brylanty, które miała na palcu.

Gdy do pokoju weszła Susie, Ellen stała nadal przy drzwiach na patio, z lewą ręką wyciągniętą do światła.

– Mogę zobaczyć? – zapytała gospodyni, odstawiając tacę z kawą na wypolerowaną ławę.

Ellen pokazała jej pierścionek.

Susie była pod wrażeniem.

– Śliczny. A teraz proszę powiedzieć mi wszystko o tym boskim mężczyźnie, za którego pani wychodzi. Jak on się nazywa?

Ellen odpowiedziała na jej pytanie.

– Duncan Carter! – zawołała Susie. – Ten z firmy prawniczej Church Walk Mews Solicitors?

– Ten sam. Zna pani Duncana?

– O, tak. Czy też raczej słyszałam o nim. Niezły wyczyn, że go pani usidliła. Cukier?

Ellen pokręciła głową i przyjęła podaną jej filiżankę ze spodkiem.

– Od kogo słyszała pani o Duncanie?

– Matka jednej ze szkolnych koleżanek Floss z nim pracuje. Kiedyś poszliśmy z nią i jej mężem na kolację i powiedziała żartem, że na świecie zostało już niewiele mężczyzn takich jak Duncan. Jest godny polecenia, jeśli wierzyć słowom Miriam. Podobno porzucone żony ciągną do nich jak pszczoły do miodu, zwabione jego urokiem i manierami. Miriam mówi, że w biurze od

lat krążą żarty, że on się jeszcze nie ożenił, bo czeka, aż kobieta idealna przestąpi próg jego gabinetu. Jejku, pomyśleć tylko, w jakim świetle stawia to panią! Musi pani być chodzącym ideałem! Jak cudnie.

– Nie chodzi o to, że jestem ideałem...

– Sama się pani przekona, że tak. Ciasteczko? Obawiam się, że nie są domowej roboty, ale blisko, bo ze sklepu Marks and Spencer. – Podała Ellen talerz z maślanymi herbatnikami oraz śliczną serwetkę. – Muszę powiedzieć, że cieszę się, iż to nie mnie przyjdzie zmierzyć się z tak wygórowanymi oczekiwaniami – ciągnęła dalej. – Gdy Wariatuńcio mi się oświadczył, doskonale wiedział, w co się pakuje. „Kochanie,” powiedziałam do niego „widziały gały, co brały.” Od początku wiedział, czego się może po mnie spodziewać. Dolać kawy?

Ellen podsunęła jej swoją filiżankę. Miała nadzieję, że zostanie też poczęstowana kolejnym herbatnikiem. Nie potrafiła sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz kupiła ciastka w Marks and Spencer.

– Proszę się częstować – Susie dolewała jej kawy z dzbanka. – My tu nie dbamy o ceremonie. Proszę się czuć jak u siebie w domu... – Odstawiła dzbanek z kawą i zasłoniła sobie usta ręką. – Ojej, bardzo panią przepraszam – dodała. – Wiecznie z czymś wyskakuję, prawda? Co pani sobie o mnie myśli?

– Niech się pani nie przejmuję – Ellen roześmiała się życzliwie. – To mi zupełnie nie przeszkadza. To jest teraz pani dom. Proszę zapomnieć, że ja tu kiedykolwiek mieszkałam.

Jak łatwo być wspaniałomyślnym, gdy życie jest piękne!

– Czasem mam ochotę nieźle się zdzielić po głowie za własną głupotę.

– Proszę tego nie robić. Nie zrobiła pani nic, co mogłoby urazić moje uczucia. Zresztą to ja powinnam przepraszać za to, że dzisiaj nie przyjdę.

– Jest pani pewna, że nie może pani przyjść?

– Duncan chce, bym była przy nim, gdy powie matce o naszych zaręczynach.

– Och, załóż się, że tak! Ojej, znowu... Ależ ja mam długi jęzor.

Ellen się uśmiechnęła. Kimkolwiek jest ta Miriam, sporo wie o życiu Duncana.

– Obawiam się, że naprawdę za dużo kłapię dziobem – przeprosiła Susie. Przez kilka chwil skubała herbatnika maślanego w milczeniu, po czym się uśmiechnęła. – Mam pomysł, może przyjdzie pani do nas razem z Duncanem po spotkaniu z jego matką? Proszę się zgodzić, byłoby wspaniale, gdybyście mogli oboje przyjść. Może pani powiedzieć Duncanowi, że Miriam też tu będzie, więc zna przynajmniej jednego z gości.

Ellen się zawahała. Może to nie taki zły pomysł? W ten sposób ona i Duncan nie będą musieli siedzieć w Crantsford Hall po poinformowaniu Nadii o ślubie. Zwłaszcza, jeśli Nadia zareaguje tak, jak się Ellen spodziewa.

– Dobrze – odparła. – Zapytam Duncana i zobaczę, co na to powie.

– Cudownie! No, to teraz pozostaje mi tylko przekonać Matthew, żeby też przyszedł. – Wskazała głową w stronę przedpokoju i ogrodu zimowego znajdującego się po jego drugiej stronie. – Przyjdzie siostra Wariatuńcia, Janey. Strasznie chce go poznać. – Zniżyła głos: – Szuka kogoś... Zbyt długo była sama... No, wie pani, o czym mówię. To urocza dziewczyna, tylko trochę znerwicowana. Moim zdaniem świetnie by do siebie pasowali. Muszę go tylko przekonać, by się dzisiaj zjawił.

– Na pewno ma pani rację – powiedziała Ellen i pomyślała, że nieźle rozbawiłoby ją oglądanie Matthew uciekającego po Sadowym Domu przed frustratką Janey! Coś przyszło jej do głowy: – Jeśli naprawdę chce pani, by Mathew przyszedł, niech pani zaprosi na przyjęcie Hermione. Mogę się założyć, że Mathew nie puści jej samej.

Ha! To go nauczy powstrzymywać się w przyszłości przed tym sarkastycznym tonem.

„To w końcu zmusiłaś go do oświadczeń, tak?” Ha!

– Ellen, jest pani nieoceniona. I bardzo sprytne. A teraz zajmijmy się kwiatami dla mnie, dobrze? Załatwimy to i potem nie będziemy musiały sobie tym zawracać głowy. Wieczorem będzie pani mogła się oddać przyjemnościom, a nie pracy.

Zdecydowanie, pomyślała Ellen.

Rozdział dwudziesty

Hermione świetnie się bawiła. Rano Bernie wystawił głowę z za cyprysowego żywopłotu i zapytał, co by powiedziała na odrobinę seksu. Kazała mu wrócić po lunchu, bo musiała najpierw skończyć czyścić pojemnik na wodę.

Seks sobie podarowali, ale wypili prawie całą butelkę rozkosznego bordeaux przyniesionego przez Berniego. Siedzieli w szklarni i Bernie opowiadał jej jedną ze swoich barwnych historyjek. Chyba nigdy nie poznała nikogo, kto opowiadałby tak szokujące dowcipy. Odebrała tradycyjne wychowanie. Gdy dorastała, młode damy, takie jak ona, przestrzegano przed typami w rodzaju Berniego Malloya. Dyrektorka jej szkoły nieustannie opowiadała Hermione i jej koleżankom z klasy o zagrożeniach ze strony czupurnych kogutów, z postawionymi grzebieniami i nastroszonymi piórkami, które chcą tylko zawrzeć znajomość z ich „funkcjami cielesnymi” i w konsekwencji skazać je na piekło. To nie była jasna metafora. Dopiero lata później Hermione zrozumiała, że wcale nie musi unikać wiejskich podwórek.

Sytuacja nie uległa znacznej poprawie później, nawet gdy wyszła za Arthura. Owszem „funkcje cielesne” zostały zgłębione, ale się o nich nie rozmawiało. Stanowisko Arthura w tej kwestii było jasne. Może gdyby więcej o tym rozmawiali, udałoby się im wyprodukować choć jedno dziecko? Tyle razy poroniła, że biedny Arthur bał się ją dotknąć. Był taki sztywny, tak skrępowany swoją wrodzoną galanterią, że praktycznie prosił ją o pozwolenie, nim pocałował na dobranoc.

Poznali się w trudnych czasach, trudnych dla całego kraju. Trwała wojna, rodzice Hermione niedługo wcześniej zginęli w wypadku samochodowym, a Roberta wyszła za Kita.

Po pogrzebie rodziców ich rodzinny prawnik, prawdziwy dandys z zamiłowaniem do kapeluszy i cygar, wyjaśnił Hermione, że przez ostatnie pięć lat jej ojciec wszedł w kilka ryzykownych inwestycji. Nie chciał jej martwić, ale jego obowiązkiem było poinformowanie jej, że ma dość pieniędzy tylko na kilka lat skromnego życia. W jego profesjonalnej opinii powinna pomyśleć o sprzedaży Domu Pod Żłotokapem.

– Albo to albo proszę wyjść za mąż za kogoś bardzo zamożnego – zażartował.

Ona też zawsze miała poczucie humoru, nawet w tak młodym wieku – miała wtedy zaledwie dwadzieścia dwa lata. Zapytała go szybko, ile zarabia i czy byłby zainteresowany posadą małżonka?

Bardzo grzecznie odmówił.

Później tego samego roku, w odpowiedzi na apel Ernesta Bevina do żeńskiej części społeczeństwa o przyłożenie ręki do pomocy w wojennym wysiłku, Hermione poszła do pracy w fabryce jedwabiu, gdzie teraz produkowano tkaninę na spadochrony. Właśnie tam, gdy „przykładała rękę”, poznała Arthura. W dzieciństwie cierpiał na nawracające ataki gruźlicy i w związku z tym nie nadawał się do walki za króla i ojczyznę. Nie pozostało mu nic innego, jak zostać w domu i pomagać ojcu prowadzić rodzinną firmę. Hermione zauważyła go po raz pierwszy, gdy gapił się na nią przez oszklone okno swojego gabinetu wychodzącego na fabrykę. Uśmiechnęła się do niego. Następnego wieczora opuścił gabinet i udawał, że przeprowadza inspekcję warsztatu tkackiego, przy którym pracowała. Pobrali się pół roku później, w poczuciu przeogromnego szczęścia, jakie towarzyszyło większości młodych par żyjących w czasach strachu i wojennego trudu.

Lecz Hermione zawsze miała poczucie, jakby dopuściła się zdrady na Arthurze: nie była w stanie dać mu syna, którego tak pragnął i, co gorsza, nie kochała go tak, jak powinna. Był

dobrym, przyzwoitym człowiekiem, który ochoczo pomógł jej rozwiązać kłopoty finansowe i uparł się, by zamieszkali tam, gdzie ona była najszczęśliwsza, czyli oczywiście w Domu Pod Złotokapem. Umarł na zapalenie płuc wkrótce po swoich pięćdziesiątych urodzinach. Podejrzała, że umarł ze świadomością, iż jakiejś części siebie nigdy mu nie oddała. Niewielkiej części.

Własnego serca.

– Wiesz, moja mała Hermaseto, masz błysk w oku, który wiele mówi. Zastanawiasz się pewnie, czemu ten Bernie się nie zamknie i nie skupi na grze wstępnej.

– Jeśli już musisz wiedzieć, to się zastanawiałam, co te biedne, zramolałe staruszki w Domku Myśliwskim sobie o tobie myślą – skłamała.

Nalał jej resztę wina do kieliszka i się roześmiał.

– Uważasz, że tam nie pasuję, co? Że nie jestem wystarczająco la-di-da? Zgadza się?

– Szczerze mówiąc tak, właśnie to sobie myślałam.

Zaśmiał się znowu, aż jego duży, okrągły brzuch zakołysał się nad paskiem spodni.

Niestety, płuca wzięły górę i rozkaszał się głośno, a potem rządził jeszcze przez chwilę, nim udało mu się złapać oddech. Nie brzmiało to za dobrze. Hermione znowu przypomniał się Arthur. Nie potrafiła ocenić, jak poważny jest stan Berniego.

– To wszystko przez seks – wycharczał, sięgając do kieszeni marynarki. Wyciągnął z niej inhalator i przyłożył go sobie do ust. – Cały czas im mówię, że trzy razy dziennie to dla mnie za dużo, ale nie słuchają.

– Och, zamknij się wreszcie, ty stary kretynie.

– Hermaseto, kochanie – powiedział, gdy w końcu złapał oddech. – Jestem w szoku. Cóż za język w ustach kogoś, dla kogo jestem zbyt wulgarny, by można się było ze mną pokazać.

– Nie odpowiedziałeś na moje pytanie – rzuciła, ignorując jego pełne udawanego horroru spojrzenie. – Co o tobie myślą za płotem?

– To, co zawsze ludzie o mnie myślą.

– Czyli?

– Ścielą mi się u stóp.

Hermione się poddała.

– Czy ty kiedykolwiek gadasz z sensem?

– Nie, jeśli mogę coś na to poradzić. A teraz może zadasz mi jakieś mniej poważne pytanie, co?

– Na przykład?

– Na przykład, jakie mamy plany na dziś wieczór?

– To proste. Podczas gdy ja spędzę miły wieczór z Matthew, ty będziesz jadł przecier z marchewki, po czym zostaniesz zapięty w wyłożonym folią fotelu w świetlicy przed telewizorem z podkreconą głośnością.

Znowu zaczął się śmiać.

– Nie, lepiej się już nie śmieć – stwierdziła. – Zaraz mi tu padniesz trupem w szklarni.

– Skoro już musisz wiedzieć – odparł – dziś wieczorem mam w planach roladę z krewetek, jagnięcinę, a na koniec crème caramel. A po kolacji utnę sobie partię lub dwie bilarda. Owszem, są tam plastikowe krzeselka, ale tylko na tarasie. I z tego, co mi wiadomo, nie są wyposażone w zapinane paski.

Hermione prychnęła i spojrzała na niego uważnie spod ciężkich powiek.

– Całkiem ci tam dobrze – powiedziała cicho.

– Z drugiej strony mogłabyś do mnie dołączyć. Wolno nam przyjmować gości.

– Co? I dać ci szansę, żebyś się mną chwalił przed wszystkimi, jakbym była twoją nową

laską?

Plasnął się otwartą dłonią w czoło.

– A niech mnie, zostałem rozszyfrowany!

– No, chodź – powiedziała. – Pójdziemy do domu. Mam ochotę na herbatę. Pić mi się chce po tym czerwonym winie.

Gdy dotarli do oranżerii, natknęli się na Ellen, która właśnie weszła na małe podwórko. Hermione wystarczyło jedno spojrzenie na minę Ellen, by się domyślić, co przyjaciółka przyszła jej powiedzieć. Lecz zamiast się ucieszyć, serce aż się jej ścisnęło. Nagle przestała jej się podobać perspektywa zamążpójścia Ellen. Jeśli wyjdzie za męża, Hermione będzie musiała się nią z kimś dzielić. Albo, co gorsza, Duncan zupełnie ją zmonopolizuje i Ellen nie będzie miała czasu dla starej przyjaciółki. Zbulwersowała się własnym egoizmem i szybko przedstawiła sobie Ellen i Berniego, po czym zaprowadziła wszystkich do środka.

– No, cóż – oznajmiła, bo już dłużej nie dało się uciekać przed rewelacjami Ellen. –

Sądząc po twoim idiotycznym uś-miechu, masz mi coś do powiedzenia.

Ellen się nie odezwała, wyciągnęła tylko rękę przed siebie.

Hermione zagwizdała, a Bernie nachylił się nisko, by lepiej przyjrzeć się pierścionkowi.

– Bernie – oświadczyła stanowczo Hermione. – Sugeruję, byś trzymał buzię na kłódkę w obecności Ellen. Ona nie ma ochoty wysłuchiwać twoich sprośnych żartów, nie teraz, gdy czeka ją awans społeczny. Wychodzi za męża za pieniądze, i to duże.

– Moje gratulacje – skłonił głowę Bernie. – Popieram w całej rozciągłości. Wznenienie się w pieniądze to moim zdaniem jedyna droga do prawdziwego szczęścia.

– Ja wcale nie wychodzę za męża dla pieniędzy – zaprotestowała Ellen. Czemu Hermione musi to w kółko powtarzać? Żałowała, że kiedykolwiek się jej zwierzyła. – Duncan jest uroczym człowiekiem – ciągnęła dalej. – Jest...

– Na pewno – wszedł jej w słowo Bernie. – Ale założę się, że pękające w szwach konto nie czyni go mniej uroczym!

Hermione i Bernie zachichotali jak para współników. Ellen wyszła stamtąd rozłoszczona. Żałowała, że w ogóle przyszła. Nie chciała zostać na herbatę, zamiast tego wróciła do domu wstawić róże od Duncana do wody.

Susie weszła na palcach do ogrodu zimowego.

– Wychodzę na chwilę – poinformowała Matthew. – Dziewczynki są w pokoju do gier.

Czy byłby pan aniołem i nadstawił ucha, czy nic się tam nie dzieje, jak mnie nie będzie? Wracam błyskawicznie.

I zniknęła, nie czekając na odpowiedź.

Gdy tylko zamknęły się drzwi wejściowe, w ogrodzie zimowym pojawiła się Floss, a za nią Millie. Przez kilka minut stały i gapiły się na Matthew. Spojrzał na nie ze szczytu drabiny. Próbował zdobyć się na uśmiech, ale ich twarzyczki pozostały poważne.

– Nie macie dzisiaj szkoły? – zapytał.

– Są jeszcze ferie – poinformowała go Panna Przenikliwe Oczy tonem, który sugerował, że powinien to wiedzieć. – Wracamy do szkoły w poniedziałek. Niewiele pan zrobił, co? Tatus mowi, że lepiej będzie, żeby się pan dobrze spisał, albo każe panu zacząć od nowa.

Matthew zszedł z drabiny i zrobił parę kroków w ich stronę.

– A wasz ojciec zapewne uważa się za eksperta – mruknął pod nosem.

– Tatus jest takim specjalnym lekarzem – ciągnęła Panna Przenikliwe Oczy.

– Wiem – odarł Matthew i wrócił na drabinę.

– A wie pan, co robi?

– Chyba wiem.

– No, to co?

Matthew zacisnął palce na ołówku. Zastanawiał się, kiedy wróci Susie.

– Mam panu powiedzieć?

– A mam wybór?

– Zagląda paniom do cizi.

– Fascynujące zajęcie. W telewizji nie ma przypadkiem czegoś, co byście chciały obejrzeć?

– Wolno nam oglądać telewizję tylko, jak mama nam pozwoli. Krótko nas trzyma. Najwyraźniej nie dość krótko, pomyślał Matthew.

– A co z grą na fortepianie? – zapytał, bo bardzo chciał się ich pozbyć. – Nie musisz poćwiczyć?

Floss przez chwilę się nad tym zastanowiła.

– No, dobrze – oznajmiła, jakby właśnie udało im się dojść do porozumienia, po czym odróciła się i wymaszerowała z ogrodu.

Za to Millie nie ruszyła się z miejsca. Zrobiła krok w stronę ściany, nad którą pracował Matthew.

– To ja, prawda? – zapytała cicho, wskazując na szkic dziewczynki trzymającej w rękach pluszowego królika.

– Zgadza się – odpowiedział Matthew. Podszedł do niej i stanął obok. – Podoba ci się? Podniosła na niego swoją małą, poważną twarzyczkę z dużymi, roztropnymi oczami.

– Tak – kiwnęła głową. – Bardzo mi się podoba, jak pan narysował Ogoniaka. Narysuj mi go pan też na kartce papieru? Poproszę?

Uśmiechnął się i obiecał to zrobić. Dom wypełniły tymczasem dochodzące z holu charakterystyczne dźwięki „Marszu Imperialnego”. Matthew już się nie mógł doczekać powrotu matki dziewczynek.

Susie była zachwycona. Hermione przyjęła zaproszenie i obiecała przyprowadzić ze sobą tego zabawnego pana, który był u niej w kuchni, gdy Susie zjawiała się w Domu Pod Złotokapem. Nie była pewna, co Wariatuńcio powie na dodatkowych gości, ale na pewno uzna, że było warto, jeśli uda się znaleźć kogoś dla tej biedaczki, Janey. Pozostawało tylko mieć nadzieję, że Ellen się nie pomyliła i Matthew również się zjawi, skoro zaproszona została Hermione.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Duncan zerknął na zegarek.

Spóźniała się. Nigdy wcześniej się nie spóźniła, więc czemu teraz, w taki ważny wieczór? Powiedział jej w samochodzie, by przyjechała na ósmą, co do tego nie miał wątpliwości. Gdy zadzwoniła wcześniej, żeby go poinformować, że oboje zostali zaproszeni do Buchananów, przypomniał jej jeszcze raz, o której ma się zjawić.

Jego sypialnia wychodziła na trawnik ciągnący się wzdłuż długiego podjazdu. Podszedł do niewielkiego okna z szybami w ołowianych ramkach, otworzył zasuwkę i wychylił się na zewnątrz. Rozglądał się za reflektorami auta Ellen. Ani śladu. Pociągnął się za krawat. Zauważył niewielką plamkę na jedwabiu. Zerwał go z szyi, rzucił na podłogę i otworzył szafę, by wybrać inny. Uniósł kołnierzyk koszuli, zarzucił na szyję nowy krawat i starannie go zawiązał.

Dziś sprawy miały iść gładko. Zależało mu, by wszystko było idealne.

Więc gdzie, do licha, podziewa się Ellen?

Im szybciej się zjawi, tym szybciej będą to mieli za sobą.

Na dole w salonie Nadia naląła sobie pale cream sherry Crofta z butelki stojącej na rozkładanym stoliku za kanapą.

– Na zdrowie – powiedziała wznosząc kieliszek do własnego odbicia w lustrze w złożonej ramie nad kominkiem. Opróżniła kieliszek i naląła sobie kolejny.

O dziwo nie mogła się doczekać tego wieczora.

– Zaprosiłem dziś Ellen na drinka. – Duncan zadzwonił z biura późnym popołudniem. – Pomyślałem, że spędzimy w trójkę miły wieczór – dodał.

Uniosła kieliszek do góry i zadrwiła w duchu. Miły? A niby dla kogo?

Ellen już wychodziła, gdy zadzwonił telefon.

– Dzień dobry, to ja, Jo-Jo.

– Wszystko u ciebie w porządku? – zapytała zaniepokojona Ellen. Przez jej głowę przelatowała lista okropności, które mogły się od wczoraj przydarzyć Jo-Jo. Nim jeszcze dziewczyna zdążyła odpowiedzieć, oczami wyobraźni Ellen już wyciągała konsekwencje w stosunku do jej ojczyma.

– Tak, proszę się nie martwić. Nic mi nie jest, poza tym, że jestem traktowana jak wyrzutek społeczny przez wiadomo kogo. Staram się nie wchodzić mu w drogę.

– A twoja matka? Jak sobie z nią radzisz?

– Tak samo, jak zawsze.

– A co z lekarzem? Umówiłaś się na wizytę?

– A nawet lepiej. Byłam dziś na badaniach prenatalnych, a za dwa tygodnie jestem umówiona na spotkanie w agencji adopcyjnej. W poniedziałek wracam do szkoły. Choć średnio się cieszę na ponowne spotkanie z Alanem.

– W ogóle o nim nie myśl – powiedziała jej Ellen. – Skup się na sobie. Trzymaj się, muszę już lecieć. Umówiłam się z Duncanem i już jestem spóźniona. O, Simon właśnie wszedł, chcesz z nim pogadać?

Podala słuchawkę synowi, bezdźwięcznie przekazała mu, że zobaczą się później, złapała torebkę i wybiegła z domu. Prawie się potknęła w ciemnościach, śpiesząc się do Johnny'ego Zagranicznika. Jechała szybko, jednocześnie nakładając sobie szminkę i poprawiając włosy. Skręciła na brukowany podjazd do Crantsford Hall dwadzieścia minut po czasie. Nigdy wcześniej nie spóźniła się na spotkanie z Duncanem i – biorąc pod uwagę to, co się miało dzisiaj wydarzyć – pewnie był to najgorszy możliwy moment na

niepunktualność. Ta myśl nie uspokoiła jej i tak już mocno rozstrojonego żołądka.

Po południu była tak podekscytowana, że bez trudu zgodziła się zamieszkać pod jednym dachem z La Carter. Teraz jednak nie miała najmniejszych wątpliwości, że tego nie chce. Już wolałaby celę wybitą gąbką i wyposażoną w kaftan bezpieczeństwa. Zaparkowała Johnny'ego Zagranicznika koło bmw Duncana i podniosła wzrok na dom.

W ciemnościach Crantsford Hall wydawał się większy, bardziej niepokojący i złowieszczy. Zniknęła gdzieś przyjazna aura, która powitała ją w słoneczny Wielki Piątek. W oknie na pierwszym piętrze dostrzegła jakiś ruch. Uśmiechnęła się. Sytuacja błyskawicznie przemieniała się w scenę z powieści gotyckiej: za moment pojawi się Duncan ubrany w bryczesy, w otoczeniu sfory warczących psów, z dzikim, udręczonym grymasem na twarzy.

Zamykała właśnie samochód, gdy drzwi frontowe się otworzyły i ze środka padło światło, sięgając aż tam, gdzie stała.

– Co się stało? Martwiłem się.

– Przepraszam cię, Duncan – odpowiedziała i szybko do niego podeszła. – Już wychodziłam, gdy zadzwoniła...

– Nieważne, najważniejsze, że w końcu dotarłaś. Chodź do środka, miejmy to już z głowy.

Zdenerwowanie Duncana było wyraźnie nie mniejsze, niż jej własne. Zamiast jednak znaleźć w tym pokrzepienie, Ellen poczuła się rozczarowana. Szła za nim po schodach włąb domu i ogarnęło ją poczucie zawodu – jak to, jej mężny sir Galahad boi się własnej matki?

Gdy Ellen z Duncanem weszli do pokoju, Nadia nie wstała nawet z fotela. Ostatecznie to jej dom i może się zachowywać, jak jej się podoba.

– Ellen – powiedziała. – Jakże miło znów panią zobaczyć. To już trzeci raz w ciągu niewiele ponad tygodnia.

Ellen roześmiała się i, szykując się do starcia, zaczęła:

– Owszem, prawie jakbym należała do rodziny, czyż nie?

Duncan odchrząknął, a Nadia wbiła w Ellen lodowate spojrzenie. Następnie zerknęła na syna.

– Jeszcze jedno sherry dla mnie. I na pewno wiesz, co pije Ellen.

– Białe wino? – zasugerował.

Gdyby nie było jej żal Duncana, który tkwił teraz między młotem a kowadłem, poprosiłaby o jakiś koktajl, coś skandalicznego, na przykład Orgazm. Uznała jednak, że to stary dowcip i z tego zrezygnowała.

– Bardzo chętnie napiję się białego wina – odpowiedziała układnie.

Nikt nie zaproponował jej, by usiadła, stanęła więc niezręcznie koło ładnej sekretery z żółtodrzewu, bogato dekorowanej dużymi, intarsjowanymi kwiatami. Przez chwilę przyglądała się meblowi, po czym skupiła uwagę na Duncanie, który rozlewał alkohole.

Panowała cisza. Zdaniem Ellen pokój wyglądał jak scena przygotowana do przedstawienia. Jedynym źródłem światła były dwie lampy umieszczone po bokach Nadii, w kącie, gdzie siedziała – jakby chciała w ten sposób ściągnąć na siebie całą uwagę. Jeśli o to rzeczywiście chodziło, to się jej powiodło. Tego grubokościstego kolosa nie dało się nie zauważyć.

Duncan podał Nadii jej sherry, po czym podszedł do Ellen.

– Proszę – powiedział. – Usiądź.

Przycupnęli oboje na sofie, dokładnie naprzeciwko Nadii, która już wychyliła swoje

sherry. Pije jak smok, pomyślała Ellen. Nadia odstawiła pusty kieliszek na stolik obok.

– Ach, jak miło. – Z jej tonu można było wywnioskować, że wcale tak nie myśli. – Powinniśmy się częściej spotykać. Rzecz w tym, że Duncan ma tak mało czasu na życie towarzyskie. Żal mi biedaczki, która go poślubi. – Zaśmiała się ponuro. – Prawie go nie będzie widywała, przy jego godzinach pracy i golfie, który pochłania mu niemal całe weekendy. Nie, tylko kompletna idiotka by się na coś takiego zgodziła, nie uważa pani, Ellen?

– Raczej cierpliwa i wyrozumiała kobieta – odparła Ellen z uśmiechem, zachęcając w myślach Duncana, by przejął pałeczkę.

No, dalej, Duncan, miała ochotę powiedzieć, do roboty, powiedz tej starej wiedźmie!

– Mamo, myślę, że przesadzasz – powiedział cicho Duncan, opadając na oparcie kanapy, zakładając sobie nogę na nogę i obracając w palcach nóżkę swojego kieliszka. – Moje godziny pracy wcale nie są absurdalne. I średnio gram jedną partię golfa tygodniowo.

Nadia zignorowała jego słowa machnięciem ogromnej ręki.

– Dobrze, dobrze. Dolać pani wina, Ellen?

Wino Ellen było prawie nietknięte, żołądek jej się buntował.

– Nie, dziękuję – odpowiedziała grzecznie.

– A ja chyba się jeszcze napiję – stwierdziła Nadia. Spojrzała znacząco na Duncana, a gdy ten nie ruszył się z miejsca, powtórzyła: – Powiedziałam, że ja się jeszcze...

Niechętnie wstał z kanapy.

Nadia zmarszczyła brwi, gdy podał jej kieliszek.

– Oszczędzamy dzisiaj? – zapytała.

Dolał jej więcej. Ellen była pewna, że coś przy tym wymamrotał pod nosem.

– Duncanie, czasami potrafisz być taki nieokrzesany – obsztorcowała go matka. – Trochę sherry mi nie zaszkodzi.

Podniosła kieliszek do ust i opróżniła go jednym haustem.

Ellen przyglądała się jej z fascynacją. Wcale by się nie zdziwiła, gdyby ta koszmarna baba wytarła sobie teraz usta dłonią, odstawiła z hukiem pusty kieliszek na stół i zażądała kolejnego. Następną kolejkę, panie barman! Gdy to nie nastąpiło, Ellen przeniosła wzrok na Duncana. Zaalarmowało ją to, co zobaczyła. Cały się gotował, szczękę miał mocno zaciśniętą w ponurą, twardą linię, a mięśnie na skroniach niebezpiecznie mu pulsowały.

Tak nie ogłasza się zaręczyn, pomyślała Ellen. Postanowiła odwrócić uwagę zgromadzonych.

Pozwoliła swojemu kieliszкови prześlizgnąć się między palcami.

– Ojej, bardzo przepraszam! – zawołała. – Ależ ze mnie niezdara.

– Duncanie, idź po ścierkę – rozkazała Nadia, sama nie ruszając się z miejsca.

Duncan też ani drgnął. Nie spuszczał wzroku z matki.

– Najpierw wysłuchasz, co mam ci do powiedzenia.

– Ale dywan, Duncanie! Będzie nie do uratowania.

– Do diabła z pieprzonym dywanem! – eksplodował. – Ellen i ja postanowiliśmy się pobrać.

Gdy podjechali pod Sadowy Dom, jedyne miejsca do parkowania znaleźli dużo dalej, aż za Domem Pod Złotokapem. Duncan wysiadł z auta i obszedł je dookoła. Ani słowem się nie odezwał, odkąd zostawili Nadię w stanie totalnego osłupienia, z ręką wyciągniętą po kolejny kieliszek trunku Crofta.

Ellen wciąż myślała o La Carter i całym tym sherry. Tego się naprawdę nie spodziewała. Domyślała się, że Duncan chce utrzymać ten rodzinny sekret w tajemnicy, było jej jednak przykro, że tak bardzo się wstydził zachowania matki, iż o niczym

jej nie wspomniał.

Drzwi otworzyła im Susie. Miała na sobie prostą, czarną sukienkę, idealnie dopasowaną do szczupłej sylwetki.

– Ellen! – Jej wysoki, przenikliwy głos pasował do imprezowej atmosfery. – Jednak pani przyszła! A to musi być ten wspaniały Duncan, o którym tyle słyszałam. Złe wieści, Miriam i Charlie ostatecznie nie przyszli, bo ich malec złapał wirusa żołądkowego.

– Kochanie? – z innego pokoju dobiegł ich głos, który przebił się przez nagły wybuch śmiechu. – Mamy więcej bąbelków? Zaraz się skończą, znikają w przerażającym tempie!

– Tutaj jestem, skarbie. Pani Ellen właśnie przyszła – odkrzyknęła Susie.

W przedpokoju pojawił się Wariatuńcio z pustą butelką w ręce. Miał na sobie muszkę z jedwabiu w turecki wzór i dobraną do niej kamizelkę. Wyglądał trochę bezradnie.

– Nigdzie nie mogę znaleźć pełnych butelek. Gdzieś ty wszystko pochowała?

– Wariatuńciu, nie bądź niegrzeczny, przywitaj się z naszymi gośćmi. Pamiętasz panią Ellen, prawda? A to jest jej narzeczony, Duncan. Zabierz ich do środka, a ja pójdę po szampana.

Wariatuńcio poprowadził ich do salonu, gdzie nieoczekiwanie klasnął w ręce.

– Uwaga! – wrzasnął. – To jest Ellen i Duncan. Bądźcie dla nich mili.

Ellen miała ochotę wpełznąć pod stojący najbliżej mebel.

Tak właśnie czuła się jako małe dziecko, gdy podrzucano ją gdzieś na przyjęcie urodzinowe. Była ciekawa, co chodzi po głowie Duncanowi. Gdy Wariatuńcio został wezwany do innego pokoju, zerknęła na niego kątem oka.

Nie wyglądał na uszczęśliwionego.

Czyżby był nadal zły na Nadię? A może żałuje, że tu przyszedł? Miała przeczucie, że nie zagrzeją tu miejsca. Duncan zauważył, że Ellen mu się przygląda.

– Skąd ona wie, że się zaręczyliśmy? – zapytał niskim tonem.

Ellen zmarszczyła brwi.

– Powiedziałam jej dziś popołudniu... Nie wydawało mi się, że...

– Przecież ci mówiłem, żebyś trzymała to w tajemnicy, dopóki nie rozmówimy się z Nadią.

– Przepraszam, Duncan – odparła, zbita z tropu widokiem zaciśniętej znowu szczęki. – Nie wydawało mi się to takie ważne.

Spojrzał na nią, jakby jej nie rozumiał.

– Takie ważne... – powtórzył jej słowa. – To bez znaczenia, czy to było ważne, czy nie.

– Duncan, co w ciebie wstąpiło?

Przez chwilę zastanawiał się chyba nad jej pytaniem, po czym pokręcił głową.

– Masz rację – powiedział. – To nie jest ważne. Przepraszam, że na ciebie warknąłem.

Wybacz mi, kochanie.

– Oczywiście – odparła, obserwując z ulgą, jak na jego twarz wraca typowe dla niego opanowanie. – Napijmy się czegoś i wmieszajmy w tłum, skoro już zostawiono nas samych sobie.

Niedługo potem Ellen wypatrzyła Janey, a w każdym razie kobietę, którą wzięła za Janey. Duncan był pogrążony w rozmowie z dyrektorem szpitala. Ją ta rozmowa nudziła, więc odeszła na bok, do nieśmiałej kobiety, która stała samotnie z pustym kieliszkiem w ręce. Miała burzę farbowanych, kasztanowych włosów spiętrzonych na czubku głowy przy pomocy wetkniętego w nie patyka. Przeszepowywała z nogi na nogę, z czego Ellen wywnioskowała, że albo jest bardzo nerwowa, albo bardzo chce się jej do łazienki.

– Dzień dobry – powiedziała Ellen, podchodząc do niej. – Czy pani jest szwagierką Susie,

Janey?

– Tak – odpowiedziała i od razu zrobiła się czujna, a jej oczy zamigotały niespokojnie przez kilka warstw tuszu do rzęs i konturówki do oczu. – Skąd pani wie?

Próbowała się napić z pustego kieliszka.

– Och, po prostu zgadłam.

Ellen przedstawiła jej się.

– Ach, tak, to od pani Susie i Wariatuńcio kupili dom, prawda? Śliczne miejsce. A pani gdzie teraz mieszka? W jakimś jeszcze większym i ładniejszym domu?

– Poszłam w coś mniejszego – odparła Ellen wymijająco i odetchnęła z ulgą, gdy Janey postanowiła nie drażnić tematu.

– Pewnie pani tu wszystkich zna, co? – zapytała Janey. – Susie mi powiedziała o artyście przystojniaku, który dla niej pracuje. Zna go pani?

– Owszem, znam.

– Jaki on jest? – dopytywała się szeptem Janey, przysuwając się bliżej na lekko chwiejnych nogach.

Ellen zastanowiła się nad tym pytaniem. Matthew Collins był dla niej prawdziwą zagadką. Był dziwny, inny od większości mężczyzn, jakich w życiu poznała.

– Obawiam się, że nie znam go na tyle dobrze, by odpowiedzieć na to pytanie.

– No, to chociaż pierwsze wrażenia.

Ellen się zaśmiała.

– Te są dość groźne.

– Ale zwykle najlepsze.

Zdaniem Ellen Matthew potrafił być małomówny i tak szorstki, że graniczyło to z nieuprzejmością. Ellen zgodziłaby się też z opinią Hermione, że postępuje tak specjalnie, by dystansować się w ten sposób od innych. Już miała to powiedzieć, lecz przypomniało jej się, jak zareagował, gdy powiedziała, że Dark Peak jest piękny.

– Moim zdaniem to człowiek pełen pasji – oświadczyła. – Człowiek, który, gdy coś czuje, czuje to bardzo mocno. – W pamięci ożył jej niespodziewany pocałunek. – Potrafi być spontaniczny.

– Brzmi jak marzenie. Hej, ale nie jesteśmy chyba rywalkami, co? Pani nie chce przypadkiem sama podbić jego serca?

– Dobry Boże – roześmiała się Ellen. Podsunęła rozmówczyni dłoń pod oczy. – Proszę zobaczyć, dzisiaj się zaręczyłam.

Janey obejrzała pierścionek z podziwem.

– To znak – zachowywała się teraz niczym jakaś wróżka. Zapatrzyła się w przestrzeń. – Czuję to. Pani mi dzisiaj przyniesie szczęście.

Po czym znowu podjęła bezskuteczną próbę napicia się z pustego kieliszka.

Tylko Hermione jest w stanie przemienić wejście na przyjęcie w wydarzenie, pomyślała Ellen, gdy w progu stanęło trio z Domu Pod Złotokapem. Hermione, niczym Królowa Matka, całe wieki stała w holu pomiędzy Matthew a swoim nowym sąsiadem Berniem, jakby czekała, aż wszyscy goście ustawią się do niej w kolejce na audiencję. Miała na sobie pastelową, szyfonową kreację – kolejne echo Królowej Matki. Gdy już opuściła przedpokój, chciała poznać tak wielu znajomych Susie i Wariatuńcia, jak się tylko da.

– Na Boga – uszu Ellen dobiegł głos Hermione, której właśnie przedstawiano kolejnego kolegę z pracy Wariatuńcia. – Ilu my tu dzisiaj mamy ginekologów? A propos, jak się mówi na grupę ginekologów?

– Może grono? – zasugerował Wariatuńcio. Muszka wisiała mu luźno na szyi, jakby to

był sznur kiełbasek.

– Chyba raczej łono – podsunął Bernie.

– Czy to jest ta dziwaczka, którą poznałem w zeszłym tygodniu u ciebie w domu? – zapytał Duncan podchodząc do stojącej samotnie Ellen.

– Owszem – uśmiechnęła się Ellen. – To właśnie nasza Hermione, królowa przyjęcia.

Prawdziwa z niej gwiazda, co?

– Tak się tylko zastanawiam, czy ona ma po kolei pod sufitem?

– Och, raczej wątpię, ale miałam w niej prawdziwe wsparcie po odejściu Rogera.

Uściskała jej dłoń.

– No, ale teraz masz mnie, kochanie.

Nachyliła się do niego i cmoknęła go w policzek.

– Mam.

– Przyniosę ci coś do picia.

Ellen patrzyła za Duncanem, który ruszył w poszukiwaniu kuchni, gdzie pewnie rzędy butelek stoją na granitowych blatach, wybór których zajął jej tygodnie, gdy powstawała kuchnia. To było dziwne uczucie być gościem w domu, w którym kiedyś było się gospodarzem. Miała momenty, gdy chciała podejść do innych gości i zaoferować im coś do jedzenia i picia.

– Zamyśliłaś się.

To był Matthew.

– Przypominam sobie minione dni – odparła, gdy podszedł i stanął obok niej.

– Moim zdaniem przyjdzie tutaj, biorąc pod uwagę okoliczności, wymagało od ciebie sporej odwagi.

– Nie tyle odwagi, co od ciebie.

Wbił w nią pytające spojrzenie.

– Nie rozumiem, co masz na myśli.

– Och, nieważne.

– Kłamiesz.

– No, dobrze, powiem ci. Susie chce ci kogoś naraić. Właśnie ją poznałam. Interesująca osobka...

– O, do licha!

– Zawsze istnieje szansa, że jednak wpadnie ci w oko.

– Akurat, już to widzę. Zrób coś dla mnie i nie zostawiaj mnie z nią samego.

Roześmiała się.

– Matthew, jesteś dużym chłopcem, potrafisz sam o siebie zadbać.

Skrzywił się.

– Założę się, że to typowy scenariusz: rozwódka polująca na nowego męża, której Susie powiedziała, że jestem samotny.

– Jeśli nadal będziesz taki okropny i arogancki, to zostaniesz samotny aż do śmierci.

Dostanie ci się to, na co zasługujesz.

– Oświeć mnie. Na co zasługuję?

– Na samotną, żalną starość.

Roześmiał się cynicznie.

– Podczas gdy ty, Ellen, będziesz szczęśliwą utrzymanką. O, tak – ciągnął dalej, na widok jej rozszoszczonej miny. – Hermione powiedziała mi o twoim planie usiedlenia bogatego męża.

Musisz być z siebie bardzo zadowolona, choć nie wiem, jak się będziesz czuła za kilka lat, gdy do ciebie dotrze, jaki popełniłaś błąd. Być może to ty będziesz samotna i żalna.

Ellen aż się gotowała.

– Nie mam ci nic więcej do powiedzenia. Do widzenia.

Zaczęła się od niego oddalać.

– Prawda zawsze boli! – zawołał za nią.

Wróciła.

– Prawda – wysyczała – jest taka, że nie masz zielonego pojęcia, o czym mówisz. Duncan i ja się kochamy i...

– Kochacie się! Nie rozśmieszaj mnie! Właśnie natknąłem się na tego twojego cudownego Duncana w kuchni. To osobnik nie bardziej zdolny do miłości niż do wspięcia się na Mount Everest.

– A ty, jak się domyślam, jesteś ekspertem w obu dziedzinach?

Matthew otworzył usta, żeby zareagować, ale przypomniały mu się wszystkie jego katastrofalne związki.

– No, wspiąłem się na Helvellyn – rzucił z krzywym uśmiechem. Wbrew sobie Ellen odwzajemniła uśmiech. – Przepraszam – powiedział. – Nie powinienem był tak na ciebie naskoczyć. Mam za sobą ciężki dzień. Niełatwo się tu pracuje, w kółko mi ktoś przerywa. Jak mi powiedziałaś, że Susie kogoś dla mnie szykuje, przelało to szalą goryczy.

– Zapomnij o tym – odpowiedziała Ellen, której gniew już przygasł.

– A skoro przeprosiłem już za jedno, to... Jest jeszcze coś, za co winien ci jestem przeprosiny. Ja...

Zawahał się i spuścił wzrok. Nagle ogarnęło go zażenowanie.

Ellen domyślała się, co teraz nastąpi. Była ciekawa, jak on się wytłumaczy.

– Tak? – zapytała.

Odchrząknął.

– Mogłabyś spróbować mi to trochę ułatwić.

Oczy Ellen zrobiły się wielkie jak spodki.

– Niby jak? – zapytała niewinnie. – Przecież nie wiem nawet, o czym mówisz.

– Oczywiście, że wiesz, do jasnej cholery – warknął.

Podwinął rękawy dzinsowej koszuli, po czym skrzyżował ręce na piersi i wbił wzrok we własne buty. Jego wysoka sylwetka lekko się przygarbiła.

Uśmiechnęła się. Ujęło ją jego zakłopotanie.

– Chodzi o coś związanego z wczorajszym dniem?

– Oczywiście, że tak. A o co innego może chodzić?

– Jak na kogoś, kto przeprasza, jesteś niespecjalnie skruszony. Czy to dla ciebie nowe doświadczenie?

– Na Boga! W życiu nie spotkałem tak irytującej kobiety, jak ty!

– Musisz częściej spotykać się z ludźmi.

Przewrócił oczami.

– Zamknij się na chwilę i daj mi powiedzieć, co mam do powiedzenia. Gdy cię pocałowałem... – Rozsupłał skrzyżowane ramiona, wsadził ręce do kieszeni i podjął kolejną próbę: – Nie wiem, co mnie naszło i chcę, żebyś wiedziała, że normalnie się tak nie zachowuję. – Przesunął sobie dłonią po podbródku i w końcu podniósł na nią wzrok. – Czy w jakiś sposób mógłbym ci to wynagrodzić?

– Owszem – odpowiedziała. Właśnie zobaczyła, że zbliża się do nich Duncan. – Nigdy więcej o tym nie wspominaj.

– Kochanie, bardzo cię przepraszam, że zniknąłem na tak długo. Proszę, twoje wino. Wypij i zabierajmy się stąd. Nudzi mnie to całe lekarskie gadanie.

– Matthew nie jest lekarzem – rzuciła lekkim tonem. – Może z nim porozmawiasz?
Duncan dokonał pobieżnych oględzin Matthew.

– Poznaliśmy się?

– Parę minut temu, w kuchni.

Ellen zauważyła minę Matthew.

– Matthew jest malarzem – pośpieszyła z wyjaśnieniem. – Pracuje nad zleceniem dla Susie i Wariatuńcia.

– Nie wydaje mi się, by Sadowy Dom wymagał przemalowania – stwierdził Duncan.
Matthew miał już dość.

– Do zobaczenia, Ellen. – Odwrócił się i wpadł na kobietę z absurdalnym, ptasim gniazdem na głowie. – Przepraszam – mruknął, nawet się nie zatrzymując. Ale ona poszła za nim.

– Matthew Collins? – zapytała. – Malarz Susie?

Zamarł. Czy to właśnie ta kobieta, która chce go poznać?

– Nie – odparł. – Zaczepiła pani niewłaściwą osobę. Nie należę do Susie.

Po czym wymaszerował z pokoju i z Sadowego Domu.

Rozdział dwudziesty drugi

Ellen z Duncanem poszli poszukać Susie i Wariatuńcia, żeby się pożegnać. Znaleźli ich w kuchni, z Janey, która była wyraźnie wytrącona z równowagi.

– Możemy jakoś pomóc? – zapytała niepewnie Ellen.

Była świadkiem krótkiej wymiany między Matthew a Janey kilka chwil temu. Janey praktycznie się wtedy rozsypała i chwiejnym krokiem pomaszzerowała w stronę kuchni. Co też takiego Matthew jej powiedział?

– Sprawy rodzinne najlepiej jest pozostawić rodzinie – stwierdził Duncan, złapał Ellen stanowczo za łokieć i zaczął ją sterować w stronę wyjścia.

– Powiedziała mi, że on jest człowiekiem pełnym pasji – Ellen usłyszała przepęnlony wyrzutem głos dochodzący zza Wariatuńcia, więc pozwoliła się szybko wyprowadzić z kuchni. – Powiedziała, że jest spontaniczny.

Susie przypomniała sobie o dobrym wychowaniu i szybko poszła za nimi.

– Jejku – oświadczyła w przedpokoju. – Nie wiem, co powiedzieć. Biedna Janey, zawsze była znerwicowana. Poczula się mocno dotknięta, gdy Matthew odmówił rozmowy z nią. Podobno był dość niegrzeczny. Nie mam pojęcia, gdzie on się podział. A państwo wiecie?

Ellen pokręciła głową.

– Przykro mi, ale nie wiem. Nic jej nie będzie?

– Nie, nie. Porcja czarnej kawy i będzie jak nowa. Nie powinna tyle pić. Wariatuńcio jest oczywiście w stosunku do niej zbyt miękki. To jasne jak na dłoni, że powinien ją trochę wziąć w karby, ale sami państwo wiecie, jak to jest z mężczyznami, gdy chodzi o ich krewnych. Poczucie obowiązku i potrzeba zachowania pozorów sprawiają, że są jak plastelina.

Duncan aż zeszywniał, bo Susie niechcący dotknęła drażliwego tematu. Ellen pociągnęła narzeczonego w stronę drzwi i wyciągnęła rękę do gospodyni.

– Bardzo nam było miło – powiedziała. – Mamy za sobą długi dzień, więc powinniśmy się już zbierać. Proszę powiedzieć Hermione, że jutro się do niej odezwę. Dobranoc.

Podczas krótkiej podróży do Domku Nad Strumieniem Ellen pograżyła się w rozmyślaniach na temat minionego wieczoru. Były dalekie od przyjemnych. Biedny Duncan, to musiał być dla niego prawdziwy koszmar. Najpierw Nadia i chłodne przyjęcie, jakie mu zgotowała, a potem impreza, na której wyraźnie nie czuł się jak w domu.

– Nie wejdę – powiedział, zatrzymując się przed domem, obok Johnny’ego Zagranicznika. – Jak powiedziałaś swojej znajomej, to był długi dzień. – Nachylił się i cmoknął ją lekko w policzek. – Dobranoc, kochanie. Zadzwoń rano.

Duncan nie pojechał jednak prosto do domu – dobrze wiedział, co czeka na niego po powrocie. Chciał spędzić trochę czasu w samotności. Przeciął Crantsford i wyjechał na autostradę. O tej godzinie prawie nie było już ruchu. Podkręcił głośność „Das Lied von der Erde” Mahlera i docisnął pedał gazu. Silnik ryknął głośniejsze, a on od razu poczuł się lepiej.

Jechał dwieście na godzinę. W pewnym momencie zobaczył w lusterku wstecznym błyskanie niebieskich świateł. Szybko zdjął stopę z pedału gazu, licząc na to, że wypatrzył policyjne auto, nim oni zdążyli zarejestrować jego prędkość. Była też zawsze szansa, że pędzili zająć się czymś ważniejszym.

Pomylił się. Policyjne auto zwolniło, gdy go dogoniło i błysnęło światłami, dając znak, że ma zjechać do pierwszej zatoki na poboczu.

Z Forda Sierry wysiadło dwóch funkcjonariuszy i wolno ruszyło w jego stronę.

– Dobry wieczór – powiedział jeden z nich, gdy Duncan otworzył sterowane elektrycznie

okno. Drugi policjant już spisywał numery z tablicy rejestracyjnej. – Proszę pana, nie będę obrażał pana inteligencji i pytał, czy pan się gdzieś śpieszy, ale czy ma pan pojęcie, jak szybko...?

– Och, proszę mi oszczędzić tych subtelności i przejść do rzeczy, dobrze?

Policjanci popatrzyli po sobie.

– Z przyjemnością.

Matthew nie potafił powiedzieć, co wyprowadziło go z równowagi bardziej: przeogromna głupota Ellen czy wyniosłe zachowanie Duncana.

– Co za wybitny dupek! – powiedział na głos. – Jakie fochy i fanaberie.

Opadł na fotel w dużym pokoju u Hermione i zrzucił buty.

– Co ona w nim takiego widzi?

Wsadził palec w dziurę na pięcie jednej ze skrapet z Wallacem i Gromitem, które dostał w zeszłym roku pod choinkę od Bridget.

Zmarnowany wieczór. Już nigdy nie pozwoli nikomu namówić się na coś, na co nie ma ochoty. Dość miał takich sytuacji z Bridget.

– Przyjęcia są ważne – mówiła, próbując wyrwać go z apatii. – Pomagają budować przydatne układy, dzięki nim idzie się do przodu.

Po tym następował otepiający wieczór, podczas którego nudził się jak mops otoczony młodymi, odzianymi w garniturki ludźmi o ostrych rysach, coraz bardziej przekonany, że zdecydowanie nie chce iść do przodu. Nie był na tyle głupi, by twierdzić, że pieniądze go nie obchodzą. Jako malarzowi wystarczająco często zdarzało mu się, że ledwo wiązał koniec z końcem, więc doceniał zalety stałego dochodu. Nie wyobrażał sobie jednak nic gorszego, niż poświęcenie samego siebie na ołtarzu sukcesu i ambicji ze strachu, że inaczej wezmą go za przegranego.

Związek z Bridget od początku był szaleństwem. I to nie przez różnicę wieku pod koniec stali się niekompatybilni – była od niego dwanaście lat młodsza – a przez różne style życia. W którymś momencie dotarło do niego, że właśnie to się Bridget w nim podoba. Dla inteligentnej dziewczyny z Londynu facet, który nie tylko jest artystą, ale jest od niej starszy i mieszka – jak mówiła – w krainie Melvyna Bragga, to była propozycja równie pociągająca, jak brutal dla gospodyni domowej z klasy średniej. Rozśmieszyło go to porównanie oraz fakt, że na początku ich znajomości pochlebiali mu zainteresowanie kogoś takiego, jak Bridget.

Z przedpokoju dobiegł go śmiech, a potem odgłos kroków. Do pokoju weszła Hermione, a za nią Bernie. Matthew uderzyło, że wyglądali na tak zżytych. Miał poczucie, jakby milion razy widział ich razem w tych drzwiach.

– Ach, jesteś, Matthew! – zawołała Hermione. Opadła na kanapę i zakryła przeważającą jej część swoją szyfonową suknią. Bernie wcisnął się obok. – Nie uwierzyłbyś, jakie zamieszanie wywołałeś u sąsiadów. Na Boga, coś ty powiedział tej biedaczce?

Matthew wzruszył ramionami.

– Nie wiem, o czym mówisz. Nic jej nie było, gdy wychodziłem. Nawet ją przeprosiłem.

– Oj, to musiały być niezłe przeprosiny. Ta głupia idiotka wpadła w prawdziwą rozpacz.

– Moim zdaniem – wtrącił się Bernie – ma trochę nierówno pod sufitem.

Oboje z Hermione parsknęli śmiechem.

Matthew zaskoczyła opryskliwość Hermione względem Ellen. To było do niej niepodobne. Zwykle była bardzo lojalna w stosunku do osób, które darzyła sympatią.

– Nie spodziewałem się, że określiłabyś Ellen mianem głupiej idiotki – stwierdził.

– Na Boga, nie mówimy o Ellen – zawołała Hermione.

– No, to o kim, do cholery?
– O siostrze Wariatuńcia, Janey.
– Nie wiedziałem nawet, że on w ogóle ma siostrę – zbył to Matthew. – Nigdy jej nie poznałem.

– Musiałeś ją poznać. Twierdzi, że wrednie ją potraktowałeś.
– Coś jej się musiało pomylić. Albo rzeczywiście upadła na głowę.

Bernie zachichotał.

– Obstawiam tę drugą opcję.

Matthew zmarszczył brwi.

– Próbujecie mnie podpuścić, czy oboje się ubzdryngoliliście u sąsiadów?

– Nic podobnego – oznajmiła stanowczo Hermione. – Wariatuńcio tak się wściekł, że rozważyła nawet wycofanie zamówienia.

– Że co? – Matthew miał już tego dość. Nie chodziło o utratę pracy, chodziło o to, co ludzie o nim mówią. – Spędziłem tam niecałe pół godziny i jedyna kobieta, z jaką rozmawiałem, to Ellen.

– I nie zamieniłeś słowa z babą z włosami spiętrzonymi na czubku głowy?

– A była taka jedna... – powiedział wolno Matthew. – Chciała wiedzieć, kim jestem...

– I?

– Skłamałem. Powiedziałem, że wcale się nazywam Matthew Collins. I tyle. Potem wróciłem do domu. Z waszej relacji można by wywnioskować, że się na nią rzuciłem.

– Pewnie robiłaby mniej hałasu, gdybyś tak właśnie zrobił! – zażartował Bernie.

Matthew wstał. Wcisnął ręce do kieszeni i przygarbił się.

– Jej problem. Idę spać.

– Na mnie też już pora – powiedział Bernie i podniósł się z kanapy.

– Tak, tak – ziewnęła Hermione. – Lepiej leć z powrotem, żeby cię siostra przełożona zdążyła otulić kołderką.

– Hm, niezły pomysł.

Po wyjściu Berniego Matthew zaproponował, że wszystko pozamyka i przyniesie Hermione kubek ciepłego mleka. Zapukał do drzwi jej pokoju i wszedł do środka. Była już w łóżku, na ramiona zarzuciła stary sweter w warkocze. Szczotkowała włosy. Zawsze widział te włosy upięte. Zdziwił się teraz, jakie są długie. Robiła wrażenie starszej, jakby trochę mniejszej. Nie wyglądała jak Hermione, którą znał.

– Co się tak na mnie gapisz? – zapytała, odkładając szczotkę na stolik nocny i biorąc od niego kubek.

– Przepraszam.

Przysiadł na brzegu łóżka.

– Coś cię gryzie? – chciała wiedzieć.

– Nie, nic specjalnego.

– Na pewo?

– Wypij mleko i pilnuj swoich spraw.

Uniosła kubek do ust. Wpatrywała się w siostrzeńca nad jego brzegiem.

– No, to za co przeprosiłeś Ellen?

Wstał i podszedł do komody naprzeciwko jej łóżka. Leżało na niej mnóstwo taniej biżuterii, stały stare słoiczki z kremami i pudrami. Gruba warstwa kurzu nadawała wszystkiemu odcień pieprzu, wszystkiemu, poza naszyjnikiem, który Hermione włożyła na przyjęcie. Wziął do

ręki sznur bursztynów. Dostała go w prezencie od jego ojca. Zwykle trzymała go w szufladzie, bo – jak mu powiedziała wiele lat temu – była to jedyna wartościowa rzecz w tym domu. Chodziło oczywiście o wartość sentymentalną. Przekomarzał się z nią wtedy, że tak mało ceni sobie jego obrazy wypełniające Dom Pod Złotokapem.

– Czy to miało coś wspólnego z tym, że pocałowałaś Ellen na pikniku? – zapytała Hermione, łapiąc jego spojrzenie w lustrze nad komodą.

Wcześniej słowem się nie zająknęła o tym, co zobaczyła przez lornetkę. Aż dziw, że tak długo zwlekała, by poddać go przesłuchaniu. Wrócił do łóżka i znowu na nim przysiadł.

– Być może – odpowiedział.

– Co to niby znaczy? – obruszyła się.

– Powiedziałem jej też to i owo... Chyba posunąłem się za daleko.

Przez chwilę się w siebie wpatrywali.

– No, to mów – zachęciła go Hermione. – Powiedz, co jej powiedziałaś albo dzisiaj oka nie zmrużę.

– Ja... Zaraz, zaraz, Hermione – stwierdził i wstał na równe nogi. – Nie jestem jakiś tam głupim uczniakiem, który musi się z wszystkiego spowiadać.

– No, to przestań się zachowywać jak uczeń. Jeśli się zakochałeś w Ellen, to zrób coś w tej sprawie, zanim będzie za późno.

Naburmuszył się i stanął w nogach łóżka. Oparł ręce na brązowej poprzeczce.

– A kto powiedział cokolwiek o zakochaniu się?

Hermione posłała mu spojrzenie spod ciężkich powiek i uś-miechnęła się.

– Matthew, widziałam cię przez lornetkę. Widziałam, jak obejmowałaś Ellen i jak ją pocałowałaś. Nie wiem, co Ellen sobie o tym myśli, ale ja dość dobrze potrafię sobie wyobrazić, co działo się wtedy w twojej głowie. A teraz wracaj tu i siadaj koło mnie. Musimy się zastanowić, co zrobisz.

Huknął teatralnie głową w zagłówek łóżka.

– Nic! – wybuchnął. – Nic nie zrobię, bo ona się zaparła, że poślubi tego dupka prawnika i spędzi resztę życia w obłudzie i przepychu!

– Matthew, nie bądź takim czarnowidzem.

– Ale to prawda. Sama mi powiedziałaś, że ona chce się wżenić w pieniądze, a Duncan dokładnie to jej oferuje.

– No, to jej uświadom, że byłoby lepiej, gdyby wyszła za mąż z miłości.

Pokręcił energicznie głową.

– Do licha z miłością! Ona chce kasy.

– Nie, Matthew – powiedziała Hermione. – Ellen nie jest aż taka chciwa. Ona potrzebuje bezpieczeństwa i wierzy, że

Duncan jej to zapewni.

– Co za cholerna idiotka.

Hermione się uśmiechnęła.

– Być może, ale zanim ją zupełnie potępisz, może lepiej się uspokój i pozwól, że powiem ci, przez co przeszła Ellen. Może wtedy zrozumiesz, dlaczego tak chce wyjść za Duncana.

Rozdział dwudziesty trzeci

Janey bardzo się kajała.

– Przepraszam – wychrypiała i skupiła całą swoją uwagę na odsunięciu od ust filiżanki z czarną kawą. Gdy w końcu udało się jej bezpiecznie zaparkować ją na spodku, zaryzykowała podniesienie załzawionego spojrzenia na Susie, która siedziała po drugiej stronie stołu nad śniadaniem. – Przepraszam – powtórzyła.

Susie dalej czytała informacje na temat dziennej dawki niacyny w jednej miseczce płatków Raisin Wheats.

– Co więcej mogę powiedzieć?

Szwagierka spojrzała na nią znad opakowania płatków.

– Ale to przecież nie pierwszy raz, prawda? – Próbowiała zdobyć się na surowość, ale nie przychodziło jej to z łatwością.

Rozmawiali z Wariatuńciem o Janey jeszcze długo po tym, jak się położyli do łóżka. Było dobrze po trzeciej nad ranem, od wyjścia ostatniego gościa minęło parę godzin, ale Janey uspokoiła się zaledwie kilka minut wcześniej. Wariatuńcio zgodził się z żoną, że coś trzeba z tym zrobić, ale nie bardzo wiedział co.

Zdaniem Wariatuńcia, Janey zawsze miała skłonność do dramatyzowania. Gdy miała jedenaście lat, wysłano ją do szkoły z internatem w błędnym przekonaniu, że trochę się uspokoi i zrobi bardziej zrównoważona. Susie uważała jednak, że internat pomaga tylko tym, którzy już wcześniej są dość zrównoważeni. Jak na przykład ona sama – bardzo mile wspominała dzieciństwo z dala od rodziny. Wysłanie kogoś tak nadpobudliwego jak Janey do szkoły oddalonej paręset kilometrów od domu, było być może na rękę jej krewnym, którym dało to trochę wychnienia, ale dla tej biedaczki – nie wspominając już o biedakach, którzy znaleźli się z nią w szkole – życie zapewne nie było usiane różami. Wariatuńcio chętnie opowiadał o pobycie Janey w internacie. O Janey uciekającej ze szkoły, Janey przemycającej królika do akademika, którego potem zamknęła w skrzyni i zupełnie o nim zapomniała, by znaleźć go parę dni później, sztywnego i śmierdzącego. O Janey, która się głodziła oraz – najgorsza z nich wszystkich – o Janey wypijającej codziennie przed śniadaniem szklanekę wody z solą, żeby wywołać wymioty i udawać poranne nudności.

Susie oczywiście dobrze wiedziała, że te akty nieposłuszeństwa były wołaniem o pomoc. Było jej szczerze żal szwagierki, ale coś trzeba było z tym zrobić. Janey miała dwadzieścia dziewięć lat. Pora, by zaczęła zachowywać się jak dorosła osoba.

– Janey – zaczęła stanowczo. – Jesteś kochana i dobrze wiem, jak bardzo jesteś zżyta z Wariatuńciem, z Millie i Floss też, ale wczorajszy wieczór przeważył szalę. Wariatuńcio się zresztą ze mną zgadza. Ktoś ci musi pomóc uporządkować twoje poplątane życie.

– Znaczący kto? – wyszeptwała Janey. – Faceci w białych fartuchach?

– No, sama popatrz, Janey, znowu przesadzasz.

– No, to co próbujesz mi powiedzieć?

– Nie przyszło ci nigdy do głowy, że może jesteś... no, wiesz...?

Janey wbiła w Susie tępe spojrzenie.

– Może jestem co?

Na Boga, jak należy coś takiego powiedzieć? Jak delikatnie zasugerować swojej szwagierce, że jest trochę nie ten tego, że jest niestabilna jak dwunogi stółek.

– Janey, posłuchaj – zebrała się w sobie. – Nie myślałaś nigdy, żeby iść na terapię?

Twarz Janey cała się zmarszczyła.

– Masz mnie za czubka, co? – Na widok Wariatuńcia, który właśnie wszedł do kuchni, zerwała się z trudem na równe nogi i podbiegła do niego. Po jej policzkach płynęły łzy. – Susie uważa, że mam nierówno pod sufitem – załkała i wtuliła się w jego szlafrok.

– Oczywiście, że nie – odparł i poklepał ją pocieszająco po plecach.

Wariatuńcio posłał Susie bezradne spojrzenie, na które ona odpowiedziała spojrzeniem z gatunku: „Przecież ustaliliśmy, że coś w tej sprawie trzeba zrobić”.

Godzinę później Janey była już spakowana i gotowa wsiąść do samochodu i wracać do swojego mieszkania w Chester, gdzie – jak powiedziała – czekał na nią Dionizjusz, z którego strony nie grozi jej nic gorszego niż lekko śmierdząca kuweta.

Atmosfera w przedpokoju podczas pożegnania była chłodna i zacięta. Gdy Janey odjechała, Wariatuńcio poszedł za Susie do kuchni. Byli wczoraj tak pochłonięci jego siostrą, że nadal czekało na nich sprzątanie po przyjęciu. Puste butelki walczyły o miejsce z talerzami i półmiskami z niedojedzonymi daniami. Gdzie nie spojrzeć, wały się zmięte serwetki i brudne kieliszki.

A teraz do tego całego bałaganu doszły naczynia ze śniadania. Susie zakasała rękawy, gotowa wziąć się za robotę. Była zła. Nawet bardzo. Rzadko gniewała się na Wariatuńcia, ale dziś tak było. Wyczuła, że stoi za jej plecami.

– Mógłbyś pomóc – powiedziała, nachylając się, żeby otworzyć kosz na śmieci. No, bo niby czemu nie? W końcu to przez jego siostrę nadal panował tu taki bałagan.

– Co mam zrobić, skarbie?

Zamknęła kosz z hukiem.

– Na początek przestań do mnie mówić „skarbie”!

Wariatuńcio cofnął się o krok.

– Susie, o co chodzi?

Odwróciła się do niego.

– O ciebie. Ciebie i twoją głupią siostrę. Próbowałam przemówić jej do rozsądku, a ty przyszedłeś do kuchni i zupełnie podważyłeś moje słowa. „Oczywiście, że nie” – przedrzeźniała go. – Bardzo przepraszam, ale jestem innego zdania. Wczoraj w łóżku zgodziłeś się, że coś trzeba w tej sprawie zrobić. Zgodziłeś się, ale w kluczowym momencie podkuliłeś ogon pod siebie.

Wariatuńcio się roześmiał.

– Susie, chyba bierzesz to wszystko zbyt poważnie, nie uważasz?

– To wcale nie jest śmieszne!

– Owszem, jest. – Podeszedł do niej i ją objął. – Moja droga, kochana Susie. W życiu nie widziałem, żebyś była czymś taka nakręcona. Może wybierzesz się do miasta i kupisz sobie coś na poprawę humoru, a ja tymczasem zajmę się sprzątaniami?

Susie zastanowiła się nad jego propozycją. Rzadko zostawiała Wariatuńcia samego w kuchni, ale z drugiej strony nie miałyby nic przeciwko parze nowych butów.

Samochód Simona był już gotowy do drogi. Ellen patrzyła teraz, jak syn zbliża się do stodoły.

– Wszystko spakowałeś? – zapytała, gdy wszedł do środka.

– Pomijając to, o czym zapomniałem.

Uśmiechnęła się.

– To kiedy cię teraz znowu zobaczę? Nie, żebyś próbowała wyrzucić na tobie presję...

– Nigdy tego nie robisz, mamu. Chyba nieprędko. To będzie zwariowany semestr.

– Hm... Te wszystkie imprezy i zabawa nad rzeką Cherwell, jak się domyślam...

– Mówiłem o pracy, mamu.

– No, chodź. – Zaśmiała się. – Powinieneś już jechać.

Podeszli razem do pękającego w szwach fiata. Było ciepło i słonecznie. W nocy padało, ale teraz na niebie zostały tylko delikatne kłaczkę chmur. Ostre światło migotało na powierzchni strumienia, nad którą zwieszały się pędy wierzby białej.

– Pewnie niedługo wystawisz dom na sprzedaż, co? – zapytał Simon, wiodąc wzrokiem dookoła.

– Chyba tak – odparła.

– Szkoda.

– Simon?

– Nie, nic.

Otworzył drzwi auta.

– O, nie, nie tak łatwo – oznajmiła Ellen. – Nigdzie nie pojedziesz, aż mi nie powiesz, co miałeś na myśli.

– Nic takiego. – Wzruszył ramionami. – Całkiem lubię to miejsce. Ma coś w sobie.

– Zgadza się – powiedziała. – Mnóstwo wilgoci, próchna i innych zabójczych przypadłości, o których nawet nie wspomnę.

– Mamo, daj spokój, nie bądź taka niewrażliwa.

– Och, wyczerpały mi się już zapasy wrażliwości.

– No, to je odnow. Owszem, wychodzisz za bogatego faceta, który może ci dać wszystko, czego tylko chcesz, ale to nie znaczy, że rzeczy, które w życiu nic nie kosztują, nagle przestały się liczyć.

Wbiła w niego zszokowane spojrzenie.

– Simon, czy ty naprawdę uważasz, że taka właśnie jestem?

– Zdarza się nawet najlepszym.

– Ale...

– Pa, mamó. Zadzwoń w przyszłym tygodniu.

Ellen odprowadziła auto Simona wzrokiem. Jakie to dziwne, że często najważniejsze rzeczy, jakie ludzie mają do powiedzenia, zostają rzucone w formie postscriptum do rozmowy. Czy Simon zrobił to celowo? Czy powstrzymał się ze swoimi krytycznymi osądami do czasu, aż będzie za późno, by je przedyskutować?

Niewiele powiedział na temat jej ślubu z Duncanem. Próbowwała sprowokować go do rozmowy na ten temat wczoraj wieczorem, gdy Duncan odwiózł ją do domu po przyjęciu w Sadowym Domu. Udało jej się z syna wydusić jedynie stwierdzenie, że ma nadzieję, iż Ellen będzie szczęśliwa.

Ta niezobowiązująca uwaga ją martwiła. Nie potrzebowała aprobaty Simona, żeby wyjść za mąż. Szło raczej o to, że nie mogła znieść jego obojętności. Uważała, że od obojętności bardzo blisko jest do dezaprobaty.

– Mamo, to twoje życie – powiedział jej. – Jeśli to jest odpowiedni facet dla ciebie, to się nie zastanawiaj.

Nie to chciała usłyszeć. Chciała, by powiedział:

– Duncan to super facet i widzę, jak bardzo cię kocha.

To takiego potwierdzenia i wsparcia oczekiwała ze strony syna, a nie formułki z gatunku: „Jesteś dorosła, sama decydujesz o sobie”.

Była zdeprimowana.

Wracała właśnie do sklepu w stodole, gdy usłyszała czyjeś kroki na wysypanej żwirem drodze za domem. Odwróciła się i zobaczyła Matthew, który pomachał jej na powitanie. Ciekawe, czego chce? Po wczorajszej rozmowie w Sadowym Domu uznała, że powiedzieli już

sobie wszystko, co mieli do powiedzenia. Teraz jednak, ku własnemu zaskoczeniu, ucieszyła się, że jest inaczej. Było coś przyjemnie swojskiego w widoku Matthew przecinającego parking. To pewnie przez te jego codzienne ciuchy. Jak zawsze miał na sobie wyświechtane džinsy i luźną koszulę z podwiniętymi do łokci rękawami.

– Spotkałem listonosza na szczycie drogi i pomyślałem, że oszczędzę mu podróży – oświadczył, gdy się zrównali. Podał jej pakiet listów.

– Dziękuję.

Spojrzał w stronę domu, a potem brzegu strumienia. Wydawał się zatopiony w myślach. Gdy wreszcie skupił swoją uwagę na niej, powiedział tylko:

– Ładnie tu.

Co jest, najpierw Simon, a teraz Matthew wpadają w zachwyty nad jej cudnym domkiem?

– Ale ty pewnie wolałabyś wrócić do Sadowego Domu, co? Mogę obejrzeć stodołę?

– Proszę bardzo.

Wpuściła go do środka i weszła za nim. Poszła prosto do stołu roboczego, gdzie pracowała nad girlandą z ziół i suszonych kwiatów przeznaczoną do kuchni klientki. Przejrzała stertę listów doręczonych właśnie przez Matthew. Już myślała, że to tylko rachunki, gdy ostatni z nich okazał się kolejnym listem z Francji. Roger jakoś zdobył jej nowy adres.

Wbiła wzrok w kopertę. Nie była przygotowana na kolejny atak z Prowansji. Pierwszy list nadal leżał nieotwarty na kuchennym parapecie. Nie zdobyła się na odwagę, by go przeczytać. A teraz miał towarzystwo.

– Mam nadzieję, że to nie same rachunki – powiedział Matthew, podchodząc do niej.

– Nie – odpowiedziała. – A szkoda.

– Złe wieści?

Zagryzła wargę.

– Prawdopodobnie. – Postukała kłopotliwą kopertą o blat. – To od mojego byłego męża.

– Aha. – Matthew nie bardzo wiedział, co powiedzieć. Po wczorajszej rozmowie z Hermione, od której dowiedział się więcej o Rogerze, przyszedł tu dzisiaj rano z intencją zawarcia rozejmu z Ellen i pokazania jej, że wcale nie jest tak wrednym czortem – to określenie Hermione – na jakiego wygląda. Nie spodziewał się, że mimowolnie stanie się posłańcem jej eks-małżonka. – Jak myślisz, czego chce?

– Nie mam pojęcia.

– Otwórz i sprawdź.

Zmarszczyła brwi.

– Daj spokój, co takiego straszego mógł napisać?

– Że przeprasza i chce do mnie wrócić – powiedziała prawie szeptem.

– A zastanowiłabyś się nad taką opcją? – Wstrzymał oddech. Nie dość, że konkurował z Nadzianym Duncanem, to jeszcze teraz na horyzoncie pojawił się były mąż, który być może również stanie w szranki o uczucia Ellen.

– Oczywiście, że nie! – warknęła. – Nie chcę nigdy więcej widzieć Rogera na oczy.

– To super!

Spojrzała na niego.

– Znaczący, dobrze, że wiesz, czego chcesz. No, to przeczytaj list i miej to już z głowy.

– Problem polega na tym, że w kuchni jest drugi. – I też go nie przeczytałaś?

Pokręciła głową.

– Chciałam, żeby Simon to zrobił za mnie, ale jakoś wypadło nam to z głowy, w całym tym zamieszaniu z Duncanem i zaręczynami. A teraz Simon już wyjechał.

Matthew zastanowił się nad tym, co Ellen mu właśnie powiedziała. Skoro poprosiła

Simona, by przeczytał ten list za nią, to znaczy, że nie chciała zawracać tym głowy Duncanowi. Czyżby to była jego szansa na odkupienie win? Powinien jej zaproponować swoje usługi w tym zakresie?

– A może dasz list do przeczytania komuś nieznanemu?

Podniosła na niego wzrok znad koperty, którą dzierzyła w dłoni.

– Znaczy tobie?

– A czemu by nie?

– Nie określiłabym cię mianem nieznanego.

– A jakim mianem byś mnie określiła?

Cholera! Sam nie mógł uwierzyć, że to powiedział. Co mu odbiło, że zachowuje się jak wyszczekany bohater literacki?

– Nie wiem – odpowiedziała, uśmiechając się ostrożnie. – Nie jesteś już dla mnie kimś zupełnie nieznanym, ale z drugiej strony słabo cię znam i uważam, że jesteś dziwny. Robisz dziwne rzeczy, na przykład całujesz kobiety, które dopiero co poznałeś.

Spodziewała się, że Matthew odwróci się ze wstydem, zgarbi i skrzyżuje ręce na piersiach, jak to zrobił w Sadowym Domu. Nic podobnego.

– Jeśli myślisz, że znowu zacznę cię za to przepraszać, to jesteś w błędzie – oświadczył. – Nieczęsto mi się to zdarza.

– Całowanie czy przepraszenie?

Uśmiechnął się do niej półgębkiem.

– Jedno i drugie.

– Jeśli mnie pamięć nie myli, wczoraj powiedziałaś, że nigdy nie spotkałeś tak irytującej kobiety, jak ja. Skąd więc ta nagła chęć pośpieszenia mi z pomocą?

– Jeśli wysilisz pamięć, to sobie przypomnisz, że zapytałem cię również, czy jest coś, co bym mógł zrobić, by ci wynagrodzić moje zachowanie. Chciałbym pomóc... jeśli mi na to pozwolisz.

Ellen zastanowiła się. Spuściła znowu wzrok na kopertę, którą trzymała nadal w ręce. Kusilo ją. Nawet bardzo. Miałaby z głowy. Jemu pozostawałoby tylko przeczytać zapisane kartki i powiedzieć jej, że nie ma się czym martwić. W głębi ducha wiedziała jednak, że to nie będzie takie proste.

– Zawsze możesz poprosić Duncana. – Matthew wyczuł jej niezdecydowanie i postanowił poddać ją próbie.

– Nie – odparła błyskawicznie. – Nie chcę tym zawracać Duncanowi głowy. Jest zajęty. Zresztą to by nie było w porządku, prawda? Żeby mój narzeczony czytał listy od byłego męża?

– Chyba masz rację.

– Potrzebny mi ktoś obiektywny, ktoś... ktoś, kto ma do mnie dystans.

Matthew się zawahał. Jej słowa stanowiły bolesne przypomnienie rozmowy, którą odbył któregoś wieczora w łóżku z Bridget.

– Zawsze, gdy się kochamy, mam poczucie, że to nie jesteś prawdziwy ty – powiedziała wtedy Bridget. – Trzymasz się czasem na dystans, nawet w najbardziej intymnych momentach. Taki dystans nie jest dobry. Musisz się otworzyć.

To małe kazanie zawierało sporo prawdy. Chyba nigdy nie był do końca sobą, gdy był z nią.

– Myślę, że jestem wystarczająco zdystansowany – powiedział zupełnie spokojnie.

Ellen przeczesła dłonią włosy. Pora podjąć decyzję.

– No, dobrze – przypomniała sobie w końcu, że jej życie ma być teraz spontaniczne i wolne od powątpiewania w siebie. – Chodźmy od razu do domu. Pomożesz mi raz na zawsze załatwić sprawy z Rogerem. A potem możemy się razem pośmiać ze mnie i mojej głupoty.

Rozdział dwudziesty czwarty

Ellen uważnie przyglądała się twarzy Matthew. W każdym ruchu gałek ocznych dopatrywała się wskazówek na temat tego, co napisał Roger. Oczywiście prościej byłoby samej przeczytać list, ale nie była teraz w stanie się na to zdobyć. Taki z niej tchórz, że nie sprawdziła nawet, jak długi jest list od Rogera.

– No i? – zapytała w końcu, gdy Matthew nic nie powiedział. – Co pisze? Pieniądze mu się skończyły?

Matthew próbował zapanować nad wyrazem twarzy.

– Na to wygląda – powiedział tylko.

– I?

Spuścił wzrok i zabrał się za staranne składanie listu.

– To nie może być wszystko, na pewno napisał coś więcej.

– Napisał, ale nie ma powodu, byś sobie tym zaprzętała głowę.

– Nie chce wrócić?

Matthew pokręcił głową.

– Poprosił o pieniądze?

– Jak już mówiłem, nie zwracaj sobie tym głowy.

To bez sensu. Musiała się dowiedzieć.

– Ile? O ile poprosił?

– A co to za różnica, czy poprosił o dziesięć, czy o tysiąc funtów?

W pierwszej chwili nie odpowiedziała, ale potem podeszła do siedziska przy oknie i poprawiła poduszki.

– Czy napisał na co potrzebuje pieniędzy? Jest chory? Czy o to chodzi?

Rysy Matthew stwardniały.

– Owszem, powiedziałbym, że jest chory, nawet bardzo.

Ellen przypominała sobie wszystkie te chwile, gdy życzyła Rogerowi, by padł ofiarą jakiejś nieuleczalnej choroby.

– W skali od jeden do dziesięciu, jak poważnie jest chory?

Matthew wbił w nią wzrok. Nie miał zielonego pojęcia, co powiedzieć. Wiedział tylko, że przyszedł tu dziś, by wkraść się w łaski Ellen, a w efekcie znalazł się w sytuacji bez wyjścia. Popenił błąd, nie powinien się tu w ogóle zjawiać. Skoro w weekend nie spodziewano się go w Sadowym Domu, trzeba było wrzucić kilka rzeczy do torby, wybrać się na wycieczkę i znaleźć jakiś interesujący widok do namalowania. Ale nie! W swojej arogancji myślał, że wystarczy okazać Ellen trochę sympatii i ona zaraz padnie mu w ramiona. A teraz znalazł się w samym środku czegoś, o czym wolałby nie wiedzieć. Zerknął na list trzymany w dłoni. Gdyby tylko mógł się go pozbyć w sposób, który uniemożliwiłby Ellen jego przeczytanie. Tylko jak? No, i był jeszcze ten drugi list.

– Co się dzieje, Matthew? On... czy on jest umierający?

– Moim zdaniem powinnaś mu urządzać ceremonialne ognisko na pożegnanie – pomachał w powietrzu przeczytanym listem oraz tym drugim, nieotwartym. – A potem powinnaś o nim zapomnieć.

Miał nadzieję, że jego głos brzmiał niezobowiązująco, nawet nonszalancko.

– Nie odpowiedziałeś na moje pytanie – nie poddawała się Ellen. Wymijające odpowiedzi Matthew zaczynały jej działać na nerwy. – To co, jest umierający czy nie?

Życzyła Rogerowi jak najgorzej, ale myśl, że jej życzenie być może się spełniło, wytrąciła ją z równowagi. Przypomniała sobie, jak Hermione kiedyś powiedziała, że życzeniami nie wolno szafować, bo niektóre się spełniają.

– Uważaj, czego sobie życzysz – ostrzegła wtedy.

Matthew nadal nie odpowiedział na jej pytanie.

– Och, dość już tego – oświadczyła. – Daj mi ten list, niech sama zobaczę, co napisał.

– Nie!

Ale nie był wystarczająco szybki. Ellen wyrwała mu list z ręki.

– Muszę się dowiedzieć – wyjaśniła. – Potem mogę o tym wszystkim zapomnieć...

Zamilkła, gdy zaczęła czytać list napisany znajomą ręką Rogera i dotarł do niej jego przekaz.

Matthew widział rysujące się na twarzy Ellen niedowierzanie, potem przerażenie, a wreszcie upokorzenie. Na koniec dotarło do niej, że on również przeczytał te obraźliwe słowa. Szybko zwinęła list w ciasną kulkę. Nawet nie spojrzała na Matthew.

– Musiał być pijany, gdy to pisał – zauważył pragmatycznie. Nadal nie podniosła na niego wzroku. – Albo, jak już mówiłem, jest chory. Na głowę. – Odłożył drugi list na kredens za plecami i wyciągnął rękę do Ellen. Dotknął lekko jej ramienia. Zesztywniała. – Zapomnij o nim – powiedział łagodnie. – Próbuje cię sprowokować. Bądź silna i zignoruj ten list. Szantaż działa tylko wtedy, gdy ofiara jest słaba.

– Ale dlaczego? – wymamrotała i odwróciła się od niego, bo nie była w stanie na niego spojrzeć. – Czemu on mi to robi? Nie dość już nakręcił? – Zaczęła płakać. – Zabrał wszystko, co miałam – łkała. – Poniżył mnie, odrzucił... A teraz to. – Schowała twarz w dłonach. – Dlaczego?

Matthew nie był w stanie znieść widoku jej cierpienia. Wziął ją w ramiona, by ją ukoić. To było instynktowne, nie zastanawiał się nad tym. Tulił ją mocno, chciał, by jej ból minął. Dobrze jednak wiedział, że to nie będzie łatwe. Roger musiał w przeszłości mocno skrzywdzić Ellen i – sądząc po tym ohydny liście – nie miał zamiaru przestać. Matthew ścisnęło się serce na tę myśl, chciał ją za wszelką cenę ochronić. Odruchowo zaczął gładzić jej ramiona, a potem, wolno, ale pewnie przesunął ręce na jej szyję i zaplątał palce w delikatne włosy. Nagle zdał sobie sprawę z tego, jak mocno bije mu serce. Zabrakło mu tchu w piersiach, przelknął ślinę i z największym wysiłkiem powstrzymał ręce przed posunięciem się dalej. Ellen bardzo wolno uniosła głowę z jego piersi. Nie rób tego, pomyślał, nie patrz na mnie. Nie teraz.

Obojętna na jego niewypowiedziane słowa, spojrzała mu prosto w oczy. Przelknął znowu ślinę, ale dobrze wiedział, że usidliło go to, co zobaczył w jej przepełnionych smutkiem, zamglonych, niebieskich oczach, a także siła własnego pożądania. Przypomniał sobie ten moment kilka dni temu, gdy dosłownie stracił głowę i ją pocałował. Czuł się teraz tak samo. Nie miał kontroli nad własnymi emocjami, podobnie jak nie miał jej tamtego dnia, na pikniku. Nie napotykając oporu z jej strony znowu ją pocałował, delikatnie rozdzielił jej wargi językiem. Gdy odpowiedziała na jego pocałunek, zarzuciła mu ręce na szyję i przysunęła się bliżej, pozwolił sobie zamarzyć, że być może ona czuje do niego choć szczyptę tego, co on do niej. Chciał się z nią kochać. Nie był w stanie myśleć o niczym innym niż o radości, jaką by mu to dało. Gdy Ellen zaczęła rozpinąć mu guziki koszuli, zyskał pewność, że ona też tego chce.

Nie odezwali się ani słowem i ani na moment nie przestali się całować, nawet gdy szarpali się z ciuchami i osunęli bez tchu na podłogę, mocno w siebie wtuleni. Kochali się niezręcznie i gorączkowo. W pewnym momencie oboje zaczęli się śmiać, bo uderzyli głowami w nogę krzesła. Po fackie Matthew uświadomił sobie, że nigdy wcześniej nie był tak trawiony prostym aktem kochania się

z kobietą... i nigdy wcześniej tak się nie otworzył. Odwrócił się, by popatrzeć na Ellen i w jej oczach dostrzegł łzy.

Oboje usłyszeli dźwięk nadjeżdżającego auta, ale to Ellen zareagowała na to jako pierwsza.

Zerwała się z podłogi i zaczęła zbierać rozrzucone ubrania. Z jedną nogą w dzinsach podskoczyła do okna.

– A niech mnie – zawołała. – To La Carter! Szybko, ubieraj się i zabieraj się stąd. Albo nie, lepiej zostań, gdzie jesteś i nie ruszaj się z miejsca aż wrócę.

Gdyby to nie był tak przykry kontrast w stosunku do tego, co się właśnie wydarzyło, Matthew parsknąłby śmiechem. Przyglądał się Ellen z rozczarowaniem, jak kończyła się ubierać i wybiegła z domu. Naciągnął spodnie i poszedł do kuchni. Zrobił sobie kawy. Czekał, aż zagotuje się woda, wrzucił listy od Rogera do kosza. Ciekawe, co teraz wydarzy się między nim a Ellen?

Szczerze mówiąc wołał się nad tym nie zastanawiać.

Zabrał kawę i poszedł na górę w poszukiwaniu prysznicza.

Ellen z trudem zachowywała spokój, gdy Nadia co rusz to atakowała ją jakąś dwuznaczną uwagą.

– Wychodząc za Duncana – oświadczyła – musi pani mieć świadomość, że nie wychodzi za jakiegoś przeciętniaka. Duncan ma swoje dziwactwa.

– Owszem – odpowiedziała Ellen, która ledwo słuchała.

Była zbyt zajęta zerkaniem przez okno w stronę domku, by przejmować się słowami Nadii. Przez głowę przelatowała jej też jedna czy dwie inne myśli, które wymagały jej uwagi, i to natychmiastowej!

To niewiarygodne, co się właśnie wydarzyło. Będzie musiała zamienić słowo z Matthew, poważnie z nim porozmawiać. To, co zrobili, to szaleństwo. Porwała ich chwila. To się czasem ludziom zdarza.

Ale nie jej!

Na Boga, przecież nie jej!

Zamknęła oczy i starała się nie myśleć o minie Matthew, gdy dotykał jej ciała. To jej wina. On tylko próbował ją pocieszyć, lecz gdy znalazła się w jego ramionach ogarnęło ją przemożne pragnienie dotyku jego dłoni. Tyle czasu minęło odkąd ktoś trzymał ją w ramionach, tak naprawdę trzymał ją w ramionach. Zaskoczyła ją siła własnej reakcji na jego pocałunek. Jej zmysły znalazły się w stanie zamętu i chciała tylko jednego – kochać się z nim. Nigdy w życiu nie doświadczyła tak przenikliwego pożądania. Seks z Rogerem był zawsze na serio i zogniskowany wokół jego potrzeb. Nawet na wczesnym etapie ich małżeństwa nigdy nie był to spontaniczny akt miłości, nigdy nie osunęli się na podłogę, głodni swoich ciał. A pod koniec ich wspólnego życia jego pożądanie i pasja ustąpiły miejsca obsesjom i fantazjom, w efekcie których zmuszał ją do wcielania się w taką rolę, jaką akurat dla niej wymyślił.

Zagryzła wargę. Przypomniał jej się list od Rogera. Wyparła z pamięci te zdjęcia, które jej kiedyś zrobił. Teraz groził, że wyśle je Duncanowi, jeśli nie dostanie od niej pieniędzy.

– Ellen, pani mnie nie słucha!

Odwróciła się do swojej przyszłej teściowej. Posłała jej pojednawczy uśmiech.

– Przepraszam, mam za sobą pracowity poranek.

Nadia powiodła pogardliwym wzrokiem po pustej stodole.

– Nie widzę jakoś żadnych klientów.

– Mam mnóstwo zamówień, nad którymi pracuję – odparowała Ellen.

Znowu to samo spojrzenie, tym razem skierowane na Ellen.

Uwadze Nadii nie umknął fakt, że Ellen wygląda niechlujnie. Była zarumieniona, miała nieuczesane włosy, jakby ich nie dotknęła, odkąd wstała z łóżka, jej koszula była pognieciona, jakby ktoś na niej siedział, a najgorsze było to, że guziki miała nierówno zapięte, więc jedna strona była dłuższa od drugiej.

I wtedy Nadię olśniło. To dlatego Ellen wypadła tak szybko z domu i biegła jej na spotkanie do stodoły. Była zajęta czym innym.

Czyli Duncan ją okłamał. Powiedział jej dziś rano, że idzie na golfa, podczas gdy tak naprawdę przyszedł tutaj by oddać się nie wiadomo jakim bezeceństwow z Ellen. No, już ona im obojgu da nauczkę.

– Ojej! – zawołała i przyłożyła sobie dłoń do czoła. – Słabo mi. To pewnie dlatego, że tu nie ma czym oddychać. Może mogłabym chwilę odpocząć w pani ślicznym, małym domku?

– Nie! – wyrwało się Ellen prawie krzykiem.

Aha!, pomyślała Nadia. Czyli się nie pomyliłam.

Złapała się lady dla równowagi.

– To chyba jedna z moich migren.

Ellen była przerażona.

– Świeże powietrze na zewnątrz dobrze pani robi.

Podprowadziła Nadię do drzwi, licząc na błyskawiczne ozdrowienie. Nadia jednak stwierdziła, że słońce jest zbyt ostre.

– Przysiadłabym sobie tylko na chwilę w pani chłodnym, słodkim domku... – powiedziała błagalnie. – Szklanka wody też by mi dobrze zrobiła.

Ellen czuła się jak Królowna Śnieżka. Miała ochotę zapytać, czy Nadia na pewno nie chce jej wcisnąć soczystego, czerwonego jabłka.

– Może pójdzie pani usiąść w cieniu nad strumieniem, a ja przyniosę pani wody? – zapytała z nadzieją, że może ten pomysł się sprawdzi.

– Raczej nie – odparła zwięźle Nadia i posłała Ellen nienawistne spojrzenie, po czym wygładziła nieistniejące zagniecenia na drogiej spódnicy firmy Jaeger. Następnie z zaskakującą energią ruszyła w stronę domku.

Ellen pobiegła za nią. Jej wzrok powędrował do okien w poszukiwaniu Matthew.

– Śliczny dziś dzień, prawda? – powiedziała głośno, licząc na to, że go zaalarmuje. – Naprawdę śliczny! – zawołała.

Nadia uśmiechnęła się do siebie. Świetnie się bawiła. Spanikowana mina Ellen to był bezcenny widok. Wyraz twarzy Duncana, gdy zostanie przyłapany, też pewnie będzie interesujący.

– Ojej, proszę popatrzeć! – zawołała, napierając na drzwi wejściowe. – Niezamknięte. Powinna pani bardziej uważać, Ellen. Nigdy nie wiadomo, kto może się zjawić.

Święta prawda!

Duży pokój był pusty. Na twarzy Ellen odmalowała się przemożna ulga. Nadia szybko ogarnęła wzrokiem wnętrze domu. Na dole była jeszcze tylko kuchnia, ale widziała jak na dłoni, że nikogo tam nie ma. Pozostało więc piętro.

– Mogłabym skorzystać z łazienki? – zapytała.

Ellen poczuła, że zalewa się potem. Była pewna, że jej oddech przyśpieszył. Jeszcze chwila i zemdleje.

– A może szklankę wody? – spróbowała.

– Proszę pani. – Ton Nadii wyraźnie nie dopuszczał dyskusji. – Jest mi niedobrze, muszę iść do łazienki. I to natychmiast!

Ellen nie miała wyjścia. Zaprowadziła ją na górę. Może Matthew gdzieś się schował, gdy

usłyszał zbliżające się głosy? Och, błagam, niech siedzi pod łóżkiem albo w szafie, gdziekolwiek, byle nie w łazience.

Stały na małym podeście przed łazienką, gdy uszu Ellen dobiegł łatwo rozpoznawalny dźwięk. Miała wrażenie, że zaraz spadnie ze schodów.

Ktoś właśnie wyciągnął korek z wanny!

Złapała się kurczowo barierki za plecami. Nadia uśmiechnęła się tylko triumfalnie i sięgnęła do klamki.

Rozdział dwudziesty piąty

Ellen aż się zapowietrzyła, Nadia zacisnęła rękę na jedwabnej apaszcze, którą miała pod szyją, a Matthew sięgnął po ręcznik i owinał się w nim w pasie.

– To matka Duncana – pisnęła Ellen.

Kiwnął głową do Nadii, po czym posłał jeden z tych swoich krzywych uśmiechów w stronę Ellen.

– Miło z twojej strony, że pozwoliłaś mi się u siebie wykąpać, gdy u Hermione jest awaria w łazience – powiedział. – Pani też ma kłopoty z hydrauliką? – skierował pytanie do Nadii.

Ellen odruchowo się uśmiechnęła, Nadii natomiast para praktycznie szła uszami i już maszerowała na dół. Ellen pobiegła za nią i dogoniła ją w dużym pokoju. La Carter odwróciła się do niej.

– Niech się pani nie zdaje, że ta mała szarada zamydliła mi oczy – syknęła. – Jak tylko zobaczę Duncana, powiem mu, co się tutaj dzieje. – Ruszyła w stronę drzwi, po czym jeszcze raz posłała mordercze spojrzenie w stronę gospodyni. – Od początku wiedziałam, że z pani jest niezłe ladaco. Ostrzegałam Duncana, ale nie chciał mnie słuchać. Teraz będzie musiał – oświadczyła z wyraźną satysfakcją.

– Uroczą kobietą – zauważył Matthew, gdy zszedł na dół i dołączył do Ellen w dużym pokoju. Porcelana w kredensie przestała już dygotać po tym, jak drzwi wejściowe zamknęły się z hukiem.

Był już ubrany. Oczekiwał wybuchu złości Ellen. Na kimś będzie musiała to wyładować, więc czemu nie na nim?

Ale ona wcale go nie zaatakowała. Zamiast tego przeszła na drugą stronę niewielkiego pokoju i opadła na siedzisko przy oknie. Ze smutkiem patrzyła za autem Nadii znikającym w perspektywie ulicy.

– Wiedziałam, że to zbyt piękne, by było prawdziwe – stwierdziła ponuro, oparła czoło o szybę i podciągnęła kolana pod brodę. – Teraz już nigdy się stąd nie wydostanę. Jestem bez pieniędzy. Bez przyszłości. I bez cholernych ciastek z Marks and Spencer! On miał mi zapewnić ucieczkę od tego wszystkiego! – zawołała. – Skończę jako samotna staruszka, która robi zakupy w funciaku, nosi foliowy płaszcz przeciwdeszczowy i używa okropnych, ściąganych sznurkiem toreb na zakupy.

– Nie przesadzaj. Oczywiście, że tak nie skończysz.

Odwróciła się do niego, a jej oczy pociemniały. Zbyt późno zdał sobie sprawę z tego, że potraktował ją za ostro.

– A skąd ty to możesz wiedzieć, co? – zapytała ze złością.

Przeszedł na drugą stronę pokoju.

– Posłuchaj – powiedział łagodnie i przyklęknął obok niej. – Dlaczego myślisz, że musisz stąd uciec? To, co tutaj masz, jest...

Odepchnęła go do siebie, wstała i odeszła dalej.

– Nie zrozumiałbyś, bo nic o mnie nie wiesz.

– Myślę, że wiem – oświadczył. – Hermione mi powiedziała, jak ciężko ci było po odejściu męża.

– Aha – rzuciła z zapamiętaniem i zrobiła się czerwona. – Hermione o mnie plotkuje, tak?

– Hermione nie plotkuje – bronił się. – Próbowала mi po prostu wytłumaczyć, dlaczego zdecydowałaś się wyjść za Duncana. To wszystko.

– Wychodzę za mąż za Duncana... – Przerwała. – Poprawka, miałam wyjść za mąż za Duncana, bo ja... bo ja...

– Nie chce ci to nawet przejść przez gardło, co? – rzucił jej wyzwanie i podszedł bliżej. – Nie jesteś w stanie powiedzieć, że kochasz Duncana, bo go wcale nie kochasz.

– Co za bzdura! Oczywiście, że kocham Duncana. O, widzisz, powiedziałam to. Naburmuszył się i wsadził sobie ręce do kieszeni.

Ellen ogarnęło znużenie.

– Zresztą jakie to ma teraz znaczenie? Nadia już pewnie oznajmiła Duncanowi, że zastała cię u mnie w domu.

Popatrzył na nią.

– A co ze mną, Ellen? – zapytał cicho.

– Z tobą?

– Tak – odparł spokojnie. – Chyba powinniśmy porozmawiać o tym, co się wydarzyło. A może postanowiłaś wymazać to z pamięci?

– Nie! – zawołała. – Nie chcę o tym rozmawiać. – W miejsce wcześniejszego znużenia pojawił się teraz gniew. – To twoja wina, że nie wyjdę za Duncana. Gdybyś tu dzisiaj rano nie przylazł, nic by się nie wydarzyło. Żałuję, że pozwoliłam ci przeczytać list od Rogera.

– Ale pozwoliłaś. – Wyciągnął rękę, żeby jej dotknąć. – Posłuchaj, Ellen, chcę, żebyś wiedziała...

Ale nie dane mu było dokończyć.

– No i gdzie jest drugi list od Rogera, co? – zapytała ostro. – Gdzie go położyłeś?

– Wsadziłem oba do kosza na śmieci – odparł stanowczo. – Tam jest ich miejsce.

Pomaszerowała do kuchni. Widział, jak otworzyła kosz. Na jego oczach wyciągnęła kopertę, rozdarła ją i wysunęła zapisaną kartkę papieru. Zauważył zdjęcie. Odwrócił wzrok, by zapewnić Ellen trochę prywatności. Usłyszał dźwięk darcia papieru, po czym zduszony jęk. Podszedł do niej, ale go odepchnęła.

– Nie! – Po jej policzkach płynęły łzy. – Nie dotykaj mnie! Po prostu zostaw mnie w spokoju. Po coś tu w ogóle przyszedł. Nie widzisz, ile szkód narobiłeś? Gdybyś się nie wtrącił w sprawę tych okropnych listów, nigdy byśmy... Och, błagam, idź już!

Nie było sensu się z nią kłócić. Gniew i ból sprawiały, że nie myślała racjonalnie. Zrobił więc to, o co go prosiła.

Zatrzymał się na moment na Crescent przed Sadowym Domem, żeby porównać go z domkiem, w którym teraz mieszkała Ellen. Dobrze wiedział, który bardziej mu się podoba. Potrafił też jednak zrozumieć, jak trudna musiała być wyprowadzka z dużego, eleganckiego domu do sporo skromniejszego. Zwłaszcza, że nie było w tym winy Ellen. Pomyślał o mężczyźnie, którego żoną była. To niemożliwe, by Roger zawsze był taką świnią. Przecież Ellen nie zostałaby z nim tak długo. Próbował sobie wyobrazić, co myślał Roger, gdy zwrócił się przeciwko komuś, kogo musiał przecież kiedyś kochać? A może on nigdy nie kochał Ellen? Ludzie biorą ślub z przeróżnych powodów. Na przykład jego własny ojciec. Nigdy nie pojął, co opętało Kita, że ożenił się z kimś takim, jak Roberta. Byli tak różni... Tak samo, jak Ellen i Duncan.

Do licha, ta kobieta ma wybitny antytalent do wybierania sobie mężów!

Stał nadal przed Sadowym Domem, gdy usłyszał, że ktoś go woła. To ten cholerny Wariatuńcio.

Jeszcze to mu teraz potrzebne. Nie miał siły na ochrzan od nakręconego Terry'ego Thomasa, którego siostrę rzekomo niegrzecznie potraktował.

– Posłuchaj pan – zaczął Wariatuńcio, plaskając kłapkami w jego stronę. – Musimy

zamienić słowo.

Matthew posłał mu przeciągłe, ostre spojrzenie.

– Owszem – powiedział gwałtownie i bardzo miał ochotę dodać: – No, dalej, gnojku, zrób to dla mnie.

Wariatuńcio odchrząknął.

– To nieakceptowalne – powiedział. – Nie mogę pozwolić, by pan obrażał członka mojej

...

– Zgadza się.

– Błagam, niech mi pan nie przerywa. Po prostu nie mogę przymknąć oka na...

– Zgadzam się w całej rozciągłości.

– Zaraz, daj mi pan dojsć do głosu. Próbuję panu powiedzieć, że...

– Tak, a ja panu próbuję powiedzieć, że absolutnie się z panem zgadzam. Jestem, by użyć wyświechtanego powiedzenia, kanalią najgorszego sortu i nie powinienem więcej kłaść swoją obecnością pańskiego domostwa. Nie ma sprawy. Pójdę panu na rękę i zrzeknę się nawet opłaty za zmarnowany czas. Może być? To chyba rozsądna propozycja, co, stary?

Wariatuńciowi szczęka opadła prawie do kolan. Próbował coś powiedzieć, ale z jego rozdziawionych ust wydobyło się tylko skrzeknięcie:

– No, tak, dzięki.

– Nie ma o czym mówić – odparł Matthew przez zaciśnięte zęby. Odwrócił się na pięcie i odszedł.

Wariatuńcio poplaskał z powrotem do Sadowego Domu. Był przerażony. Miał przeczucie, że po powrocie Susie z miasta rozpęta się istna burza. Chciał zmusić Matthew do przeprosin i zagrozić zerwaniem kontraktu, ale tylko po to, żeby mu pokazać, kto tu rządzi. Sprawa wymknęła się spod kontroli. Susie będzie mocno zawiedziona, gdy się dowie, że nici z jej malowidła.

Staął w kuchni i rozejrzał się dookoła. Nadal panował tu bałagan po wczorajszym wieczorze. Jeszcze nie zabrał się za sprzątanie, bo uciął sobie drzemkę w dużym pokoju, gdy dziewczynki bawiły się na górze. Lepiej będzie, jak zabierze się do roboty, bo inaczej Susie będzie na niego podwójnie wściekła.

W Domu Pod Złotokapem było pusto. Matthew wyszedł do ogrodu w poszukiwaniu Hermione. Nie wypatrzył jednak jej zgarbionej sylwetki pomiędzy kępami ziół. Nie było jej też w szklarni.

Przysiadł tam na starym fotelu z wikliny i wyciągnął przed siebie długie nogi. W drodze z Sadowego Domu postanowił, co teraz zrobi. Nie było sensu dalej tu siedzieć. Stracił pracę u Buchananów. A jeśli chodzi o Ellen, to – bez względu na swoje uczucia do niej – nie liczył na to, że ona się uspokoi i zacznie myśleć racjonalnie. Lepiej wracać do domu, zanim zrobi z siebie jeszcze większego głupka. Gdy tylko Hermione wróci do domu, powie jej, że wyjeżdża i zbierze się do drogi.

Próbował pocieszać się myślą o tym, że wczesnym wieczorem będzie w domu, a jeśli pogoda będzie ładna, jutrzejszy dzień może spędzić zajęty malowaniem z łódki na Coniston Water. Przy odrobinie szczęścia jezioro będzie spokojne, a większość turystów zajęta oglądaniem żonkili na Polu Dory.

Hermione właśnie pobiła Berniego w krokieta i teraz odpoczywała na leżaku na tarasie Domku Myśliwskiego. Pomijając jednego czy dwóch rezydentów, którzy byli w zbyt kiepskiej formie, większość pojechała na wycieczkę do Manchesteru na popołudniowy pokaz przeboju scen teatralnych „Grease” w Palace Theatre.

– Nie jest tu aż tak źle, co, moja mała Hermaseto? – zapytał Bernie, po czym wziął

plasterek pomarańczy ze swojej wysokiej szklanki i wyssał z niego sok.

– Jak ktoś lubi takie rzeczy... – zgodziła się.

Wbrew sobie Hermione musiała przyznać, że Domek Myśliwski zrobił na niej spore wrażenie. Kierownictwo przeobraziło duże, zaniedbane, rozsypujące się domiszcze we wspaniałą posiadłość. Panowała tu atmosfera wygodnej, eleganckiej rezydencji na wsi, która przypominała Hermione dawne czasy, gdy nie brakowało pieniędzy na utrzymanie Domu Pod Złotokapem.

Gdy przyjęła zaproszenie Berniego na partyjkę krokieta, starszy pan uparł się, że ją oprowadzi. Szła więc z pokoju do pokoju, zdumiona bogactwem licznych kryształowych żyrandoli i antykamiapełniającymi budynek. Wszędzie stały delikatne stoliki z kolorowymi magazynami i ślicznymi, szklanymi misami pełnymi cukierków. Była tam nawet biblioteka, którą nie pogardziłby żaden mól książkowy, a także pokój do gry w bilard, już naznaczony charakterystycznym zapachem cygar i koniaku. W nowej dobudówce krył się podgrzewany, kryty basen o kształcie nerki. Był wprawdzie niewielki, a pod sufitem umieszczono wyciągarę, co niespecjalnie przypadło do gustu Hermione, ale ostatecznie co basen, to jednak basen. Było tam też kilka jacuzzi. Od razu wyobraziła sobie w jednym z nich Berniego w damskim towarzystwie. Wszędzie unosił się aromat lawendowego środka czystości oraz bardziej luksusowa woń ciętych kwiatów kunsztownie ułożonych w cennych wazonach.

Dom był urządzony z gustem, a jednocześnie bezpretensjonalnie. Oraz komfortowo. Zupełnie nie tak wyobrażała sobie Domek Myśliwski.

Gdzie się podział zapaszek środka dezynfekującego maskujący smród nasączonych moczem foteli i materacy? Gdzie instytucjonalny odór kapusty i dorsza na parze? I gdzie, chciała wiedzieć, szmer śmierci i rozkładu? Przecież powinien czaić się gdzieś pomiędzy okazałymi zasłonami z brokatu i puszystymi dywanami? Starła się jak mogła – choćby tylko po to, by udowodnić, że się nie myliła – ale za nic nie potrafiła dopatrzeć się w Domku Myśliwskim żadnych wad. Nawet przybudówka, gdzie kiedyś mieściły się stajnie, a teraz było skrzydło medyczne, nie miała w sobie nic przesadnie złowieszczego. Bernie zauważył, jak przyglądała się butlom z tlenem i zażartował, że używają ich podczas lekcji nurkowania w poniedziałki rano.

Żarty żartami, ale Domek Myśliwski miał sporo do zaoferowania.

– Ile to kosztuje? – zapytała, gapiąc się na dobrze utrzymane trawniki i bramki do krokieta. – Znaczy, żeby zostać rezydentem? Ile trzeba mieć kasy?

Bernie zachichotał.

– A co, chcesz zamieszkać ze mną na kocią łapę?

Spojrzała na niego.

– Mogłabym gorzej trafić.

Roześmiał się znowu, aż mu w piersiach zarzęziło.

– No, ale nie każdego starego pryka tu przyjmują – wychrypiał.

– Ciebie przyjęli!

Było już późne popołudnie. Słońce stało nisko nad horyzontem i wpadało do środka przez małe okna stodoly. W promieniach słońca tańczył kurz.

Ellen czekała przy telefonie. Była przekonana, że zadzwoni. Przecież Nadia na pewno już podzieliła się z Duncanem swoimi toksycznymi wieściami, więc skąd ta cisza? A może już nigdy więcej się do niej nie odezwie? Może czeka ją milczące potępienie i nigdy nie będzie miała szansy powiedzieć, jak bardzo żałuje tego, co się stało? Bo żałowała, i to bardziej niż była w stanie wyrazić.

To było smutne, przygnębiające popołudnie, nawet mimo rzeki klientów, z których żaden nie wyszedł z pustymi rękami. Każdego innego dnia byłaby zachwycona tym stanem, ale dziś było to bez znaczenia. Tęskniła za Duncanem i za życiem, które mogły razem zbudować –

w miejsce tego, które wciśnięto jej na siłę.

Telefon w końcu zadzwonił i od razu wyciągnęła rękę po słuchawkę. Niech to będzie Duncan, proszę, niech to będzie Duncan. Zawahała się jednak. A co, jeśli to rzeczywiście on? Co ma mu powiedzieć? Jak ma się wyprzeć tego, co jego matka zobaczyła na własne oczy? Nagiego mężczyzny u niej w łazience!

Telefon dalej dzwonił, głośno i przesywając, domagając się jej uwagi. Podniosła słuchawkę.

– Nad Strumieniem – Suszone Kwiaty – powiedziała, siląc się na normalny, a nawet służbowy ton.

– Ellen?

To on!

– Ellen?

Przełknęła ślinę.

– Tak, Duncan, to ja.

– Słabo cię słyszę, możesz mówić głośniej?

Co tu powiedzieć? Cokolwiek?

– Co u ciebie?

– Świetnie. Słuchaj, dzwonię z komórki, z samochodu. Mogę do ciebie przyjechać? Jest coś, o czym musimy porozmawiać.

Nogi się pod nią ugięły. A więc Nadia mu wszystko powiedziała, a on teraz zgrywa opanowanego. Jedzie tu, bo chce zobaczyć, jak ona się wije jak piskorz, wyznając swoje grzechy. Cóż za ironia losu – prawnik, który kiedyś ją reprezentował, teraz będzie jej sędzią i ławą przysięgłych.

– Nie możesz... – Głos jej się załamał. – Nie możesz mi powiedzieć przez telefon?

– Nie. Chcę porozmawiać z tobą osobiście. To ważne. Stoję na światłach na szczycie Church Walk. Będę u ciebie za niecałe dwie minuty.

Cała się trzęsła, gdy zobaczyła jego auto w perspektywie uliczki. Patrzyła, jak metodycznie zamyka samochód i włącza alarm. Bmw piknęło i zamrugało światłami, a on już maszerował w stronę stodoły. Zaschło jej w gardle. Nie miała pojęcia, jak zdoła wydusić z siebie choćby słowo, nie wspominając już o tym, co ma mu powiedzieć. Została po swojej stronie lady i udawała, że jest zajęta liczeniem pieniędzy w kasie.

– Ellen, robisz wrażenie zdenerwowanej. – Wszedł do środka i stanął koło niej. – Wyobrażam sobie, że to ma coś wspólnego z poranną wizytą Nadii. Mam rację?

Kiwnęła głową. Niech już powie, co ma do powiedzenia. Jeszcze chwila, a założy prawniczą perukę, oprze się łokciami o ladę i weźmie ją w krzyżowy ogień pytań.

A ona, czy przyzna się do winy?

Oczywiście. Była winna w całej rozciągłości. Nie potrafiła powiedzieć, co w nią wstąpiło, ale, tak i owszem, dziś rano, w przypiływie szaleństwa, zdarła z siebie ubranie i kochała się na podłodzie z mężczyzną, który nie jest jej narzeczonym.

– Ellen – powiedział, biorąc jej dłoń w swoje. – Bardzo cię przepraszam za to, co dzisiaj wyprawiała moja matka. Najwyraźniej przyszła tu powodowana pragnieniem, by nas poróżnić. Jestem świadom tego, co jej chodzi po głowie i chcę, żebyś wiedziała, że nic mnie nie powstrzyma przed poprowadzeniem cię do ołtarza. Nic a nic. Nie zmienię zdania.

Ellen nie była pewna, czy jej uszy nie mylą. Zaraz, zaraz. A może to taka subtelna sztuczka sądowa by oskarżona dała się przyłapać?

– Nadia opowiedziała mi jaką absurdalną historię o tym, że dzisiaj rano złapała u ciebie w łazience nagiego mężczyznę. – Pokręcił głową z lekceważeniem. – Wiem, że jej się nie

podoba, że się z tobą żenię, ale żeby zniżyć się do takiego poziomu?! Zachowała się niestosownie i, szczerze mówiąc, zasługuje na litość. Sama wczoraj widziałas, jaka ona jest. W pewnym sensie cieszę się, że teraz już wiesz, co muszę znosić. Nieźle ją obsztorcowałem. Dostała jasne polecenie, że ma się od ciebie trzymać z daleka. – Obszedł ładę dookoła i otoczył Ellen ramieniem w pasie. – Kochanie, chcę, żebyś wiedziała, że Nadia nie zdoła wbić między nas klina.

CZEŚĆ DRUGA

Sierpień

Pieśń Elfa Psianki

Mówią na mnie psianka albo też słodkogórz

Ach, ludzie mili, uważajcie już!

Trzymajcie się ode mnie z daleka,

odwróćcie oczy, gdy na was czekam.

Strońcie od kwiatów i jagód urodzai,

bo tam trucizna się czai.

Cicely Mary Barker

Rozdział dwudziesty szósty

Agentka nieruchomości Mów-mi-Trudi z firmy Harker and Company maszerowała zdecydowanym krokiem z pokoju do pokoju. Co jakiś czas zatrzymywała się i kiwała głową.

– Ślicznie – mówiła.

Często następowała przy tym pełna entuzjazmu uwaga w rodzaju: „Piękny widok na dwie strony” czy: „Ciekawy kominek we wnęce”. „Rozległy widok” również należało do jej ulubionych określeń, podobnie jak: „Łatwo adaptowalna przestrzeń”. „Potężny potencjał” zdawał się nie mieć końca. Lecz gdy młoda kobieta, która mówiła z eleganckim akcentem i była odziana w nie mniej elegancki kostium, zaczęła się zachwycać znajdującym się w oranżerii zlewem typu Belfast z drewnianym ociekaczem, jakby to był jakiś skarb narodowy, Hermione zaczęła się zastanawiać, czy agentka przypadkiem nie przesadza. Jej zdaniem stary zlew nadawał się już tylko do tego, żeby go wyrwać ze ściany, zabrać do ogrodu i użyć jako doniczki dla roślin alpejskich. Bardzo poszukiwany, akurat!

Hermione pozwoliła Mów-mi-Trudi pójść samej na najwyższe piętro. Nie, żeby brakowało jej energii, by wspiać się tam za młodszą kobietą, po prostu nie chciała patrzeć na oskarżycielskie miny Kita i Matthew na obrazie na strychu.

Gdy postanowiła w końcu sprzedać Dom Pod Złotokapem, od razu poczuła, że tak właśnie należało postąpić, nawet jeśli podjęcie tej decyzji zajęło jej prawie całe lato. Na wieść o sprzedaży jej księgowy zabrał się za przygotowywanie czegoś, na co mówił „arkusz kalkulacyjny”. Miało to pomóc w opowiednim rozlokowaniu pieniędzy za dom, by starczyło na pokrycie kosztów następnego etapu życia Hermione. O swoich planach powiedziała tylko Berniemu i Kierownictwu Domku Myśliwskiego, które dało jej dyskretnie do zrozumienia, że teraz i tak nie mogliby jej przyjąć, bo nie mają miejsc.

– Znaczy że muszę poczekać, aż ktoś umrze – palnęła bezceremonialnie do Berniego zaraz po spotkaniu z Kierownictwem.

Ta niewesoła myśl przypominała jej o tym, czym tak naprawdę jest Domek Myśliwski. Gdy jechali z Berniem jego stareńkim jaguarem do miasta na popołudniową herbatę i ciastka w kawiarni, powiedziała mu, że zmieniła zdanie.

– Nie mam zamiaru czekać, aż ktoś umrze tylko po to, by zająć jego miejsce. Mam wskakiwać w kaptur po jakimś nieboszczyku?

– Po co ta makabra? – zapytał Bernie. – Przecież wszyscy kiedyś wyciągniemy kopyta – ciągnął dalej pojednawczo. – Popatrz tylko na mnie. Przy życiu trzyma mnie jedynie seks, narkotyki i krokiet.

Bernie okazał się idealnym towarzyszem na lato. Zachęcał ją, by mniej czasu spędzała na rozmowach z groszkiem pachnącym, który teraz wspinał się na wigwam z bambusowych palików w ogrodzie i kwitł jak szalony, a więcej na rozmowach z nim. Traktował ją ze szczerością i bezpośredniością, co zawsze sobie ceniła u ludzi. Cały czas jej mówił, że musi mieć nierówno pod sufitem, skoro chce spędzić resztę życia zamartwiając się utrzymaniem Domu Pod Złotokapem.

– Sprzedaj ten cholerny dom i pożyj trochę! – zawołał kiedyś, w pewną późną, rozgwieżdżoną noc, gdy siedzieli sobie w altanie nad butelką bordeaux z piwnicy winnej Domku Myśliwskiego. – On cię kontroluje, wysysa z ciebie wszystko co do ostatniego grosza. Zapomnij o tym całym sentymentalnym bajdurzeniu, że tu jest całe twoje życie. Ten dom jest wart kupę kasy. Spienięż go i użyj jej na lepsze cele, zamiast tkwić tu w samotności. Sprzedaj dom i jedź na

wakacje życia, o których w kółko czytasz.

Wiedziała, że Bernie ma dużo racji. Wpatrując się w białe księżyc nad ich głowami, uświadomiła sobie ze zdziwieniem, że rzeczywiście wiecie samotnicze życie. Nigdy tego nie planowała.

Nie tak dawno temu, gdy zatrzymała się u niej Jo-Jo, po raz pierwszy przyznała się przed samą sobą, że czuje się samotna. To uczucie ogarniało ją krok po kroku na przestrzeni lat. Dopiero gdy w sąsiedztwie pojawiła się Ellen, a potem się wyprowadziła, dotarło do niej, jak bardzo ceni sobie towarzystwo drugiej osoby.

A teraz kochana Ellen, która pełniła tak ważną rolę w jej życiu, praktycznie z niego zniknęła, bo każdą wolną chwilę spędza z Duncanem. Hermione podejrzewała, że Duncan nie chce, by jego przyszła żona miała inne życie, niż to, które on dla niej zaplanował. Niech i tak będzie. Ostatecznie małżeństwo często tak właśnie wygląda. Jej własna krótka kariera małżeńska również była podobna. Nawet ten biedak Arthur chciał kształtować i kontrolować jej życie. A ona całkiem ochoczo mu na to pozwoliła – w nadziei, że to ukoi jej wyrzuty sumienia. Niestety, tak się nie stało. Prawda była taka, że nigdy nie powinna była wyjść za Arthura. Przyjęła jego oświadczenia tylko dlatego, że Kit ożenił się z Robertą, a ona nie mogła znieść myśli o samotności.

Chciała też trochę dokuczyć Kitowi, chciała mu pokazać, że może wieść szczęśliwy żywot z innym mężczyzną. Pomyliła się.

Pojawił się w Domu Pod Złotokapem w pewien słoneczny dzień latem 1940 roku. Był na przepustce. Jego poszarzałą twarz przesłaniała chmura wojennych doświadczeń, a ciało było obolałe z wycieńczenia. Przywitał się w ogrodzie z jej rodzicami. Zachowywał się sztywno i oficjalnie – nigdy go takim nie widziała. Od razu wyczuła, że coś jest nie tak. Jak ręką odjął zniknęła ekscytacja, z jaką na niego czekała od poprzedniego wieczora, gdy zatelegrafował, że przyjedzie do nich w drodze do Cumberland. W jej miejsce pojawił się paraliżujący strach, poczucie, że zaraz wydarzy się coś koszmarnego. Siedzieli przy zasłanym białym obrusem stole na zewnątrz, grzecznie pili herbatę i podawali sobie talerze z kanapkami, a letnia bryza rozwiewała im delikatnie włosy i ubrania. Rozmawiali przyciszonymi głosami o nazistowskiej swastyce powiewającej z Wieży Eiffela i o dwóch milionach mieszkańców Paryża uciekających z miasta. Hermione wiedziała jednak, że ta utykająca rozmowa przyniesie jeszcze coś gorszego. Po jednej stronie miała Kita, którego pełne melancholii, piwne oczy były cały czas opuszczone – nawet na nią nie spojrzął – jego szczupłe ciało nerwowo spięte, a dłonie zajęte guzikami munduru. Po jej prawej stronie siedziała Roberta, spokojna, rozmarzona i zrelaksowana, z pełnym zadowolenia uśmiechem na twarzy.

Gdy Kit opuścił Dom Pod Złotokapem później tego samego popołudnia i ruszył dalej na północ, ich los był już przypieczętowany. Roberta była w drugim miesiącu ciąży i miała wyjść za Kita tak szybko, jak tylko uda mu się załatwić urlop. Tamtej nocy przed pójściem spać Roberta pastwiła się nad Hermione.

– Pamiętasz ten dzień, gdy przyłapałam was w altanie? – zapytała. – Już wtedy ci powiedziałam, że będę go miała dla siebie. Nie jesteś zazdrosna?

Nie chodziło o zazdrość. Hermione miała złamane serce. Zakochała się w Kicie i wierzyła, że on również ją pokochał, na swój cichy, nieostentacyjny sposób. Jak i kiedy przespał się z Robertą?

Cztery miesiące po ślubie Roberta urodziła martwą córeczkę. Nim minął kolejny rok, Hermione wyszła za Arthura.

– Jejku, jejku, ależ tam gorąco – zawołała Mów-mi-Trudi, schodząc na dół i wachlując się teczką.

Hermione uśmiechnęła się współczująco. O tej porze roku na strychu panował wściekły upał. Grasowały tam rozszalałe muchy, które bzyczały i rozbijały się o szyby oraz o każdego, kto tam zawitał.

– To może porozmawiamy o sprawach zasadniczych? – zapytała dziarsko. – Ile mogę dostać za dom i ile wynosi wasza prowizja?

– No, cóż. – Młoda kobieta położyła rękę na balustradzie. – Nie widziałam jeszcze ogrodu, ale przez telefon wspomniała pani, że ma blisko dwa akry. Oczywiście będzie to trzeba sprawdzić, ale możemy chyba bezpiecznie powiedzieć, że mówimy o sumie w okolicach czterystu pięćdziesięciu tysięcy funtów. Czy o takiej kwocie pani myślała?

– Myślałam konkretnie o czterystu pięćdziesięciu pięciu tysiącach – odpowiedziała Hermione. Wcześniej w tym tygodniu odrobiła zadanie domowe i zajrzała do licznych w Crantsford agencji nieruchomości. Wszyscy wycenili dom na mniej więcej tę samą sumę. Decydujący był inny aspekt sprawy. – Ile mniej więcej wyniesie prowizja?

– Zwykle bierzemy...

– Jeden i jedną czwartą procenta – zniecierpliwiła się Hermione, która nie miała ochoty po raz kolejny wysłuchiwać tej samej gadki. – Oczywiście prowizja tylko w przypadku doprowadzenia do sprzedaży.

– Oczywiście.

Hermione odprowadziła Mów-mi-Trudi na dół. Kobieta wzięła aktówkę z kuchennego stołu i podała Hermione swoją wizytówkę.

– Wróć do biura i wszystko zaraz spiszę. Proszę się nie martwić, ani się pani obejrzy, a dom będzie sprzedany. Mam nawet na myśli konkretnego kupca, który pewnie wyłoży pieniądze na stół, jak tylko dam mu znać, że dom jest na sprzedaż.

Otwierając auto i sadowiąc swoje szczupłe ciało za kierownicą, Trudi dodała w myślach, że chętnie się tego konkretnego kupca pozbędzie. Wiecznie do niej wydzwaniał i pytał, czy coś nowego nie pojawiło się na rynku. I nigdy mu się nic nie podobało. Ten dom jest dla niego idealny. Położony w jednej z najpopularniejszych dzielnic Crantsford, na pewno mu się spodoba.

Duncan zamknął teczkę sprawy Conley kontra Conley i odłożył ją na półkę za swoimi plecami. Ta bitwa była już na finiszu. Należała do przyjemniejszych spraw, bo w swojej głupocie pan Conley wymyślił, że ukryje pieniądze i uda biedaka. Większość osób jest zbyt tępa, by skutecznie ukryć większą sumę pieniędzy, bo każda transakcja finansowa zostawia ślad na papierze. Świadomość, że przechytrzył pana Conleya, dawała Duncanowi sporo satysfakcji.

Po ukończeniu studiów prawniczych nie planował zostać specjalistą od rozwodów, ale szybko odkrył, że ma do tego talent. Jeden z ciekawszych aspektów jego pracy polegał na przyglądaniu się, jak sprawa posuwa się do przodu. Na początku, gdy zjawiał się u niego klient – w dziewięciu na dziesięć przypadków kobieta – był on zagubiony i zaskoczony sytuacją, w jakiej się znalazł. Tacy klienci przychodzili do niego nie tylko po poradę prawną, ale również po emocjonalne wsparcie. Nie wystarczało samo objaśnienie klientom wszelkich zawiłości i ostatnich zmian w prawie rozwodowym. Chodziło raczej o pokazanie im, że ich życie nie kończy się na rozwodzie. Bardzo rzadko mu się to nie udawało.

Owszem, w sumie była to satysfakcjonująca praca. I całe szczęście, bo ostatnie kilka miesięcy okazało się trudniejsze, niż się spodziewał. Nadia zawsze była niełatwa, z tymi jej dziecinnymi gierkami, ale odkąd zaręczył się z Ellen, nie dało się z nią po prostu żyć pod jednym dachem. Dlatego tak istotną kwestią było znalezienie domu dla niego i Ellen. Po namyśle wykluczył zamieszkanie w Crantsford Hall. Nawet jeśli miałoby to być tymczasowe rozwiązanie, nie mógł ryzykować, że jego małżeństwo zacznie się od zgrzytu.

Lata pracy wymagające szczegółowej, prawniczej precyzji zrobiły z niego cierpliwego,

metodycznego człowieka. Jednak po raz pierwszy w życiu zaczynał się niepokoić. Pragnął ożenić się z Ellen, ale najpierw musiał znaleźć im odpowiedni dom. Chciał, by ich wspólne życie rozpoczęło się dokładnie tak, jak powinno. Półśrodki nie wchodziły w grę.

Sięgnął po kolejną teczkę, sprawa Moss kontra Moss. Zaczął się zastanawiać, czy sytuacja wyglądałaby inaczej, gdyby jego ojciec nie zmarł przedwcześnie. Jedno było pewne – Ellen by się ojcu spodobała. Zawsze lubił ładne blondynki. Pewnie właśnie dlatego Nadia z miejsca zapalała do Ellen niechęcią. Ciekawe, czy odziedziczył po ojcu skłonność do jasnowłosych kobiet? Zaraz się jednak upomniał, że to niemożliwe. Jego ojciec nie był wcale jego ojcem.

Często się łapał na takich myślach. Położył z hukiem teczkę Moss kontra Moss na biurku, przewracając przy tym filiżankę stojącą koło telefonu. W stronę papierów popłynęła struga zimnej herbaty. Zerwał się na równe nogi, podniósł teczkę i zaczął wycierać biurko chusteczką. Zaklął głośno i wyrzucił ociekającą herbatą szmatkę do kosza na śmieci. Był teraz zbyt wyprowadzony z równowagi, by skupić się na proponowanym nakazie alimentacyjnym na rzecz pani Moss. Odsunął mankiet koszuli i zerknął na zegarek. Była już prawie pora lunchu.

Wychodząc z biura, poinformował sekretarkę, że wróci przed spotkaniem umówionym na wpół do trzeciej. Wyjechał z parkingu i dołączył do samochodów czekających na zmianę świateł na szczycie Church Walk, gdzie już drugi raz w tym roku droga była rozkopana. Było gorąco, bardzo gorąco i na chodnikach kłębili się opaleni, skąpo odziani ludzie w samych tylko T-shirtach i szortach. Młoda matka wyszła mu przed maskę samochodu i przeszła przez ulicę, pchając przed sobą obładowany wózek. Pomiedzy torbami pełnymi zakupów, które zwisały z rączek wózka, Duncan zobaczył małą, zarumienioną twarzyczkę dziecka w śmiesznych okularach słonecznych. Malec dzierżył kapiącego loda na patyku. Nieco dalej jeden z robotników z młotem pneumatycznym przerwał robotę i otarł czoło. Był bez koszuli, jego spalone słońcem ciało lśniło od potu.

Duncan odwrócił się i włączył klimatyzację. Zabębnił palcami po kierownicy, ustawił radio na wiadomościach i próbował się uspokoić. Po tym, jak w kwietniu dostał mandat za szybką jazdę, przysiągł sobie, że już nigdy nie pozwoli, by go poniosło za kierownicą. Choć przychodziło mu to z trudnością, zwłaszcza w obliczu niedorzecznego zachowania Nadii oraz niemożności znalezienia odpowiedniego domu. Ostatnie kilka miesięcy nie należały do łatwych.

Nacisnął klakson. Czy ten stary niedojda za kierownicą Austina Metro nie widzi, że światła zmieniły się na zielone? Znowu zatrąbił. Metro ruszyło wolno z miejsca. Ryknął silnikiem bmw, poczekał, aż droga się rozszerzy i szybko je wyprzedził.

Coraz częściej zdarzały mu się huśtawki nastrojów i to go martwiło. Wiedział, że to kwestia presji, pod jaką się znajduje, nie tylko prywatnie, ale także w biurze – brakowało im rąk do pracy, bo jedna z prawniczek była na przedłużonym urlopie macierzyńskim. Chyba jedynym lekarstwem na to wszystko była Ellen. Na niej mógł polegać. Mógł do niej przyjechać o każdej porze dnia i nocy i zawsze miała dla niego czas. Uważał się za farciarza. Każdego dnia przypominał sobie, jakie to szczęście, że ma w swoim życiu Ellen. Tak dobrze się dobrali, byli tacy kompatybilni. Pod każdym względem.

Nawet w kwestii seksu.

Seks potrafi być źródłem konfliktu. Z doświadczenia wiedział, że często jest główną przyczyną rozpadu małżeństwa – większość klientów, na rzecz których działał, liźła rany zadane przez zdradę partnera. Zdawał sobie sprawę z tego, że z prostym aktem pożądania wiążą się liczne przyjemności, ale wiedział też, że seks to potężna i niebezpieczna broń.

Na początku podchodził do tego doniosłego kroku z Ellen z pewną ostrożnością, bo... bo, szczerze mówiąc, uważał, że jest w tym raczej kiepski. Ze wstydem to przyznawał, ale w tej

dziedzinie życia brakowało mu pewności siebie. Pewnie właśnie dlatego w przeszłości nigdy nie starał się podtrzymywać dłużej żadnego ze swoich związków. Dla niego seks nigdy nie był bardzo ważny, a na przestrzeni lat stał się tylko pobieżną czynnością. Nie miał pojęcia, czy Ellen martwi się jego brakiem zapału w tej kwestii, bo nigdy nie rozmawiali o seksie. Zdecydowanie nie miał ochoty na analizę swojej sprawności w łóżku. Wyczuwał jednak, że – podobnie jak jemu – jej również nie zależało na seksualnych maratonach za każdym razem, gdy szli do łóżka.

Skręcił w Beggarman's Lane, na górze której do drzewa przybita była tablica z napisem: „Na sprzedaż”. Jechał wolno zakurzoną, dziurawą drogą, aż do parkingu. Od razu się zorientował, że peugeota Ellen nie ma. Zamknął auto i podszedł do stodoły. Ani śladu po Ellen. Następnie poszedł do domku. Zastukał kołatką do drzwi. Nikt nie odpowiedział, a dźwięk kołatki rozszedł się głośnym echem w pustce gorącego, bezwietrznego popołudnia.

Rozczarowany i rozdrażniony wrócił do biura. Na biurku czekała na niego wiadomość. Wykręcił numer i poprosił o połączenie z Trudi Jennings.

Rozdział dwudziesty siódmy

Na stacji w Crantsford panował spory ruch. Lada moment miał wjechać pociąg z Manchesteru, planowany przyjazd pierwsza czterdzieści pięć. Czekala na niego grupa uczniów z wymiany zagranicznej, którzy zajęli cztery drewniane ławki stojące na peronie pod koszami z geranium, petuniami i burzą nasturcji. Dzieci przyjechały z Francji, były głośnie, żywiołowe i nieco onieśmielające. Pomimo trwających od ponad tygodnia upałów wszyscy francuscy uczniowie mieli na sobie dżinsy, sznurowane buty na grubych podszwach oraz bluzy dresowe. Ellen zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem nie są z Prowansji. Może angielskie lato jest dla nich chłodne w porównaniu z suchymi upałami w domu?

Przeszła do innej części peronu w poszukiwaniu spokojniejszego miejsca i obsztorcowała się za myślenie o Prowansji. Bo Prowansja oznaczała tylko jedno: Rogera.

Od kwietnia dostała trzy kolejne listy od Rogera i zapłaciła mu ponad pięćset funtów. Pięćset funtów, na które nie mogła sobie właściwie pozwolić. Zdawała sobie sprawę z tego, że zachowuje się jak tchórz, ale co miała zrobić? Duncan nie mógł się o tym dowiedzieć. Nie chciała, by znał jej przeszłość. Nie chciała, by przeszłość skalala przyszłość. To, co dzieliła z Duncanem było zupełnie inne od jej życia z Rogerem. Duncan był jej oddany, można było na nim polegać i był uczciwy. Oraz, co najważniejsze, zapewniał jej spokój i poczucie bezpieczeństwa, którego tak bardzo potrzebowała. Przy nim wszystko wydawało się w porządku. Jego pełen powściągliwości stosunek do seksu było kompletną antytezą podejścia Rogera. Uznała to za kolejny dowód, że do siebie pasują.

Uśmiechnęła się na myśl o tym, że niektórym powściągliwość Duncana w sprawach łóżkowych wydałaby się dziwna... Na przykład komuś takiemu, jak Matthew.

Uśmiech natychmiast zniknął z jej twarzy. Nie słyszała Matthew od tamtego koszmarnego dnia w kwietniu, gdy straciła głowę po przeczytaniu okropnego listu Rogera. Jeszcze tego samego dnia wieczorem wyjechał i zaszył się z powrotem w Krainie Jezior, za co była mu bezgranicznie wdzięczna. Nie zniosłaby kolejnego spotkania po tym, co zrobili. Była ciekawa, czy do niej zadzwoni albo napisze, ale w ogóle się nie odezwał. Ani słowem. I to ją cieszyło, choć wiedziała, że to kolejny dowód jej tchórzostwa. Myśl o tym, że Matthew wie, do czego zmusił ją Roger, napełniała ją wstydem. Łatwo powiedzieć, że to co ludzie robią w zaciszu własnej sypalni, to tylko ich sprawa i nikomu nic do tego. To prawda, ale... tylko w przypadku, gdy chcą tego obie osoby, a ona wcale nie chciała. Zgodziła się, bo próbowała w ten sposób utrzymać miłość swojego męża. A on teraz rzucał jej w twarz cały ból i upokorzenie związane z tym epizodem.

Spuściła wzrok na swoje dłonie i zobaczyła, że są mocno zaciśnięte. Pobielałe kostki przezierały mocno przez skórę. Były takie brzydkie. Cała czuła się brzydka. Rozluźniła palce i jednocześnie usłyszała dźwięk nadjeżdżającego pociągu. Pociągu Jo-Jo.

Telefon wyrывał ją z łóżka o siódmej rano w jej jedyny wolny dzień, więc była trochę skwaszona, gdy podniosła słuchawkę. Humor jej się poprawił, gdy tylko rozpoznała głos Jo-Jo.

– Wszystko w porządku? – zaniepokoiła się.

– Nie do końca – odpowiedziała nerwowo Jo-Jo. – Mama jest w szpitalu, na oddziale psychiatrycznym. Nikt nie jest w stanie powiedzieć, jak długo tam zostanie. Próbowała się zabić... Wysłałam tylko na krótki spacer, a gdy wróciłam, była... Och, proszę pani, była w wannie. Tyle krwi.

– Kto jest teraz z tobą? – chciała wiedzieć Ellen. – Kto się tobą opiekuje?

– Nikt. Ale mną się nie trzeba opiekować. Nic mi nie jest.

Ellen już kiedyś słyszała podobne słowa od Jo-Jo. To było w kawiarni. Jej dzielne słowa maskowały wtedy wołanie o pomoc.

– Aha – oświadczyła. – Masz jeszcze te pieniądze, które dała ci Hermione?

– Tak, ale...

– Spakuj się i wsiadaj w następny pociąg do Manchesteru. Zadzwoń do mnie stamtąd, jak będziesz wiedziała, o której dojedziesz do Crantsford. Zrozumiano?

– Ale przecież nie mogę jej tak zostawić. To nie w porządku.

– Twoja matka jest teraz w dobrych rękach, Jo-Jo – powiedziała łagodnie Ellen. – Tobie też nie zaszkodzi chwila oddechu przez parę dni.

Choć Jo-Jo nic nie powiedziała, Ellen wyczuła przez telefon jej ulgę.

– Tylko nie zapomnij zostawić informacji, gdzie jedziesz – dodała. – Tym razem nie uciekasz z domu, tylko jedziesz w odwiedziny do przyjaciół.

Pociąg wjechał na stację. Francuskie dzieci rzuciły się do przodu, ale Ellen została tam, gdzie była. Drzwi zaczęły się otwierać, na peron wychodzili pasażerowie i przepychali się przez rozkrzyczaną ciżbę. Ellen wypatrzyła Jo-Jo szarpiącą się z tłumem i podeszła do niej. Objęły się, a gdy Ellen się odsunęła od Jo-Jo, zobaczyła, że dziewczyna jest na krawędzi łez.

– No, chodź – powiedziała Ellen. – Zabierajmy się stąd.

Johnny Zagranicznik czekał na nie przed stacją. Ellen otworzyła drzwi przed Jo-Jo. Zaskoczyło ją, jaka jest ogromna. No, tak, przecież dziecko urodzi się już za parę tygodni.

Jo-Jo zauważyła, że Ellen się jej przygląda.

– Ale jestem wielka, co? – rzuciła z zawstydzonym uśmiechem.

– No, cóż, jesteś w ciąży – zaśmiała się lekko Ellen. – Ile ci jeszcze zostało?

– Cztery tygodnie. Chociaż nie wydaje mi się, bym tak długo dotrwała. Mam wrażenie, że w każdej chwili mogę eksplodować.

Po dojechaniu na miejsce poszły usiąść na brzegu strumienia w cieniu pod wierzbą. Trawa, na której siedziały, była sucha jak wiór, a ze strumienia została tylko strużka wody. Kamyki lśniły na dnie w cętkach słonecznego światła. Nad wodą unosiła się ważka. Po drugiej stronie, ponad paprociami, pokrzywami i wilczą jagodą, rósł barszcz z kwiatami wielkości talerzy. Jo-Jo wachlowała się dużym liściem szczawiu. Wspaniale było tu wrócić.

– A niech mnie! – rozległ się głos Susie wyciągniętej na leżaku. Czytała ostatni z niedzielnych, kolorowych dodatków, których nie miała czasu wcześniej przejrzeć. Ustawiła oparcie leżaka do pozycji siedzącej i usiadła prosto.

– Co się stało, mamusiu? – zapytała Millie, podnosząc wzrok znad obrazka przedstawiającego dom od ogrodu.

– Matthew – odpowiedziała Susie i pokazała córce magazyn. – Patrz, całe dwie strony o nim. Chodź i zobacz.

Millie podeszła i stanęła obok matki. Kiepsko jeszcze radziła sobie z czytaniem i przerastała ją duża kolumna tekstu wydrukowanego małymi literkami, ale uśmiechnęła się na widok znajomej twarzy Matthew patrzącej na nią ze strony w magazynie.

– Czy on jest teraz sławny? – chciała wiedzieć.

– Tego nie wiem, ale pewnie jest rozchwytywany.

Millie nie bardzo wiedziała, co jej matka ma na myśli przez „rozchwytywany”, nadal jednak wpatrywała się w zdjęcie Matthew. Przypomniało jej się, że lubiła jego uśmiech, choć rzadko mu się to zdarzało. Na zdjęciu też się nie uśmiechał. Wyglądał na poirytowanego.

– Czemu on nie skończył naszego obrazu? – zapytała. – Nie lubi nas?

– To nie do końca tak – powiedziała z roztargnieniem Susie.

Przypominała sobie swój powrót do domu z zakupów tamtego kwietniowego dnia, gdy w kuchni czekał na nią nie mniejszy bałagan, niż przed wyjściem, a w dodatku dowiedziała się, że Wariatuńcio postanowił wziąć sprawy w swoje ręce i – by użyć jego sformułowania – posłać Matthew na zieloną trawkę. To była ich pierwsza prawdziwa kłótnia. Wariatuńcio nie chciał ustąpić i powtarzał, że za nic nie wpuści tego człowieka z powrotem pod swój dach. Ona boczyła się potem na niego przez większą część dnia, a nawet wieczorem, w łóżku.

– Może zapytamy go, czy by nie wrócił?

Susie opuściła magazyn i uśmiechnęła się do młodszej córki.

– Chciałabyś?

Millie pokiwała głową i skierowała na matkę błagalne spojrzenie swoich dużych oczu.

– On jest miły. Jak wróci, to może mi narysuje Ogoniaka. Obiecał.

– Obawiam się, że twój ojciec tak łatwo się na to nie zgodzi – stwierdziła

z powątpiewaniem Susie, ale jednocześnie zaczęła się zastanawiać, co by się stało, gdyby sama skontaktowała się z Matthew, po czym przedstawiła to Wariatuńciowi jako fakt dokonany. Czy naprawdę odrzuciłby szansę posiadania dzieła sztuki, które na pewno zyskałoby szacunek, a pewnie też wzbudziło podziw i zazdrość wśród ich przyjaciół? Zerknęła znowu na pismo i wróciła do czytania artykułu, który potwierdzał jej opinię na temat wartości Matthew.

Gdy skończyła czytać, zaczęła się poważnie zastanawiać nad tym, czy istnieje realna szansa ściągnięcia malarza z powrotem do Crantsford.

Matthew zawsze uważał Coniston Water za najpiękniejsze z szesnastu jezior położonych w Krainie Jezior. Otaczające je zalesione wzgórza, bujne i zielone, schodziły aż do samego lustra wody. Za nimi zaś rozciągały się falujące wrzosowiska. Takie widoki zawsze potrafiły go zainspirować.

Przy wschodnim brzegu leżały wyspy Fir Island i Peel Island, gdzie rozgrywa się akcja książki Arthura Ransome'a *Jaskółki i Amazonki*. Najważniejszym punktem okolicy jest jednak Old Man of Coniston, góra mocno zryta kamieniołomami i kopalniami. To właśnie ją malował Matthew ze swojej starej, drewnianej łódki.

O jego obrazach mówiło się, że potrafią uchwycić ducha i spokój Krainy Jezior. On sam nie miał żadnych pretensjonalnych poglądów na temat malarstwa, a już zwłaszcza na własne możliwości w tym zakresie, wierzył jednak w naturalną więź z naturą, która pozwalała mu oddać na papierze lub płótnie to, co było do zobaczenia. Był samoukiem, zwolennikiem nauki detalicznej obserwacji. „Widzieć jasno to zarazem poezja, prorocstwo i religia”, napisał John Ruskin. Te słowa stały się dla Matthew jak jego własne credo.

Odłożył na chwilę pędzel i odwrócił się, by popatrzeć na imponujący dom, który miał za plecami. Było to Brantwood, gdzie Ruskin spędził ostatnie dwadzieścia dziewięć lat życia. Jako młody chłopak Matthew długo ślęczał tam nad szkicami i akwarelami Ruskina, w których znalazł sporo inspiracji.

Wrócił do malowania i cały się na tym skupił. Jego dłoń poruszała się zręcznie, bez wahania. Od czasu do czasu podnosił wzrok, osłaniał ręką oczy od ostrego słońca odbitego od wody i skupiał uwagę na którymś fragmencie ogromnej góry. Utrwalał ten widok w głowie, potem opuszczał wzrok i po prostu pozwalał farbie na pędzlu zreprodukować to, co miał przed sobą.

Pracował szybko i wkrótce skończył. Spakował farby i pędzle, po czym wyciągnął butelkę piwa z małej chłodziarki na dziobie łódki o poszyciu zakładkowym. Otworzył butelkę przy pomocy scyzoryka i wypił połowę piwa jednym, długim haustem. Był tak pochłonięty pracą, że zapomniał, jak jest gorąco. Spojrzał na swoje ramiona. Słońce dodatkowo pogłębiło kolor jego już i tak opalonej skóry, która teraz była ciemna jak mahoń. Zerknął na zegarek.

Dochodziła szósta. Rozejrzał się po jeziorze. Poza jedną czy dwiema łódkami w dalszej jego części i mężczyzną z psem, który szedł brzegiem, był zupełnie sam. Dopił piwo i wbił wzrok w puste, błękitne niebo, wsłuchał się w wodę chlupoczącą delikatnie o kadłub łodzi.

To był błąd, bo gdy tylko jego ciało się rozluźniło, a jego umysł nie miał się na czym skupić, w myślach poszybował do Ellen.

Każdego dnia od czterech miesięcy próbował o niej nie myśleć. Specjalnie nie dzwonił do Hermione, bo bał się, że nie wytrzyma i zapyta o Ellen. Nie chciał się dowiedzieć, że wyszła za mąż... że jest szczęśliwa. Czy ona ma prawo do szczęścia, gdy jego własne życie przemieniła w piekło?

Uporządkował swoje rzeczy i zaczął wiosłować w stronę brzegu. Napierał z całych sił na wiosła, by w ten sposób pozbyć się myśli o Ellen.

Gdy opuszczał Crantsford, nie miał pojęcia, co go czeka, nie zdawał sobie sprawy z tego, że ma przed sobą taki koszmar. W swojej głupocie myślał, że ucieczka do Coniston wystarczy, by zostawić za sobą w Cheshire wszystkie problemy. A przecież kto jak kto, ale on powinien dobrze wiedzieć, że to niemożliwe. Zaparkował wtedy auto i otworzył drzwi do łupkowego domu w Krainie Jezior. Jego piekło przyjechało razem z nim. Tamtej nocy nie mógł zmrużyć oka, nie mógł pozbyć się wspomnienia o tym, jak kochał się z Ellen. Przeleżawszy bezsennie prawie całą noc, zszedł na dół do swojego studia i naszkicował jej twarz – oczami wyobraźni widział ją tak wyraźnie, jakby siedziała przed nim i mu pozowała. Wyłączył światło, gdy na niebie pojawiły się już pierwsze oznaki morelowego świtu, po czym poszedł z powrotem na górę, do łóżka. W studiu zostawił z tuzin rozrzuconych, nieudanych prób uchwycenia kobiety, którą kochał.

Miłość? Chyba oszalał.

Jak to się mogło stać? Jak to możliwe, że kobieta, której prawie nie znał, wyrwała jego życie do góry nogami, i to tak nagle? I jak to, do cholery, możliwe, że do tego dopuścił?

Gdy dotarł do brzegu, podwinął dzinsy i zdjął płócienne buty, po czym wszedł do chłodnej wody i wciągnął niewielką łódkę na kamienisty brzeg. Przywiązał ją do przysadzistego, drewnianego pala, gdzie jego najbliżsi sąsiedzi trzymali własną okazalszą jednostkę pływającą. Pozbierał swoje rzeczy i ruszył do domu.

Na sekretarce czekało na niego kilka wiadomości.

– Dzień dobry. Mówi Joy Reynolds z Rady Turystycznej Kumbrii. Chcielibyśmy zamówić u pana serię pocztówek z widokami okolicy. Zadzwoń jutro o tej samej porze.

Druga wiadomość była od właścicieli galerii w Windermere.

A trzecia od Susie Buchanan.

Wbił rozgniewane spojrzenie w automatyczną sekretarkę i wysłuchał, co Susie miała mu do powiedzenia.

Rozdział dwudziesty ósmy

Hermione otworzyła drzwi.

Kilka godzin po opuszczeniu Domu Pod Złotokapem Mów-mi-Trudi zadzwoniła z wiadomością, że ma klienta, który chciałby obejrzeć nieruchomość jeszcze dziś wieczorem. Hermione trochę się zdziwiła – nie tylko tempem pracy agentki, ale także nazwiskiem potencjalnego kupca. Duncana Cartera.

Od przyjęcia u Buchananów Hermione chciała usiąść i poważnie porozmawiać z Ellen, ale nigdy jakoś nie było okazji. Ellen była albo zajęta w sklepie albo z Duncanem. A to właśnie o nim chciała z nią porozmawiać Hermione. Nie mogła przecież zaprosić ich oboje na drinka, żeby powiedzieć przyjaciółce, że jej zdaniem popełnia wielki błąd.

Hermione była poirytowana na samą siebie, że zachęcała Ellen, by zainteresowała się Duncanem. Wykazała się niezłą impertynencją tamtego dnia w kawiarni, gdy rozmawiały o nim jako o sposobie na wyjście z kłopotów finansowych Ellen. Teraz, nie dość, że Ellen chce wyjść za człowieka, który jest dla niej zupełnie nieodpowiedni, to jeszcze Hermione przyłożyła do tego rękę i będzie musiała jakoś z tym żyć.

Po rozwodzie Ellen Hermione nigdy nie przyszło do głowy, że jej przyjaciółka i Matthew mogliby przypaść sobie do gustu. Zakładała, że chrześniak powtórzy błędy swojego ojca i poślubi nieodpowiednią kobietę – Bridget. Zrealizowałyby się wtedy jej najgorsze przeczucia, lecz czy nie tak właśnie potoczyły się sprawy z Robertą? Obawiała się, że syrenie wdzięki siostry znęca Kita i odciągną go od niej. I tak się właśnie stało.

Nie miała pojęcia, co słyhać teraz u Matthew. Znała go jednak na tyle dobrze, by wiedzieć, że nagłe zniknięcie z Crantsford nie miało nic wspólnego z pilnym spotkaniem, którym się wymówił.

– Pilne spotkanie, akurat – powiedziała do niego. – Uciekasz.

Nie dał się sprowokować i dalej wrzucił swoje rzeczy na tył auta.

– Zadzwoń – oznajmił.

To było kolejne kłamstwo. Nie dzwonił, zabrakło zwykłych, cotygodniowych telefonów, by sprawdzić, jak ona się miewa. To milczenie wiele mówiło. A niech go cholera!

I niech cholera weźmie Duncana Cartera i wszystkie jego pieniądze!

– Pani Rowlands? – na dźwięk męskiego głosu Hermione zmusiła się do powrotu do terażniejszości i wbiła wzrok w wyniosłą sylwetkę w drzwiach. Gość wyciągnął do niej rękę. – Duncan Carter, my się już znamy. Poznaliśmy się parę miesięcy temu u...

– Dobry wieczór – ucięła szorstko. Ogarnęło ją rozczarowanie, że przyszedł sam. Miała nadzieję, że Ellen będzie mu towarzyszyć. Potem przyszło jej do głowy, żeby się trochę zabawić. Tak dla sportu. Postanowiła wcielić się w rolę ekscentrycznej staruszki. – Tak się cieszę, że pan przyszedł – oświadczyła tonem słynnej aktorki lady Edith Evans w roli koszmarnej lady Bracknell. – Proszę wejść, tędy, tędy. Zostawił pan torbę z narzędziami w aucie? Ach, poradzi pan sobie bez niej, jak to sprytnie z pana strony.

Duncan przechylił głowę na bok.

– Proszę?

Przeciągnęła go przez próg i powiedziała z dezaprobatą:

– Ależ, drogi chłopcze, musi się pan trochę bardziej postarać. Jak się pan nie pośpieszy, to ominie mnie dzisiejszy odcinek *Allo, allo*, a ja tak lubię to ich „Dziń Dybry”.

Schyliła się i udawała, że traci równowagę. Wyciągnęła rękę, by oprzeć się na Duncanie.

– Zdaje się, że przyszedłem w nieodpowiednim momencie – zasugerował, próbując

wyswobodzić się z zadziwiająco mocnego uścisku Hermione, która zaczęła go ciągnąć szybko przez dom. Wariatka! Kompletna wariatka! Od razu tak pomyślał, gdy tylko ją pierwszy raz zobaczył.

Zatrzymali się w pokoju, który był chyba jadalnią. Duncan próbował skupić uwagę na tym, po co tutaj przyszedł i zabrał się za oszacowywanie rozmiaru pomieszczenia oraz elementów jego wystroju, takich jak oryginalne, alabastrowe listwy przysufitowe i temu podobne. Jego wzrok spoczął na ciekawej akwareli wiszącej nad kominkiem. Był to pejzaż z wodą i łagodnymi wzgórzami w półświetle zapadającego zmroku. Nim jednak zdążył się jej lepiej przyjrzeć, został odholowany na drugą stronę pokoju.

– O, proszę, co za szokujący obraz. Nic nie widać, co? Zupełnie tego nie rozumiem, wczoraj wszystko działało jak trzeba.

Spojrzał tam, gdzie patrzyła starsza pani – na masywną komodę. Na Boga! Ona myśli, że to jest telewizor! Naprawdę ma niezłego fioła.

– No, dalej, niech pan pokręci gałkami i zobaczy, co się da zrobić.

– Proszę pani – powiedział, próbując odzyskać kontrolę nad sytuacją, która szybko mu się spod niej wymykała. – Chyba się coś pani pomyliło. Ja nie naprawiam telewizorów, ja...

– Nie naprawia pan? A wygląda pan na kogoś od telewizorów, drogi chłopcze. – Zjeżył się, co nie uszło jej uwadze. – Ale może pan mimo wszystko spróbuje, co? Pewnie trzeba tylko porządnie pokręcić tymi gałkami. – Popchnęła go bliżej i zmusiła, żeby się pochylił. – O, proszę – powiedziała. – Niech pan kręci, ile się panu żywnie podoba, a ja stanę dalej i powiem panu, jak obraz się poprawi.

Nie pozostawało mu nic innego jak wypełnić jej polecenie.

Za jego plecami Hermione z trudem zachowywała poważną minę. Duncan, w swoim drogim garniturze, na czworaka, zabierający się za kręcenie poluzowanymi, drewnianymi gałkami starej komody.

– Niech pan spróbuje ruszyć tą po lewej – poleciła, dławiąc chichot. – O, tak, teraz dużo lepiej. Nieźle się pan spisał. Skoro pan jeszcze nie naprawia telewizorów, to może należałoby się zastanowić nad zmianą zawodu.

Duncan się wyprostował. Przyszło mu do głowy, że może wykorzystać bzika tej kobiety na swoją korzyść, gdy złoży ofertę kupna domu. Jeśli uda mu się go kiedykolwiek obejrzeć.

– Odprowadzę pana do drzwi – nie odpuszczała.

Uważnie przyglądała się minie Duncana i widziała, że się zastanawia, jak się teraz zachować.

– Jeśli nic więcej nie wymaga już naprawy, pani Rowlands, to chętnie obejrzałbym teraz dom. Po to tu przyszedłem.

Dziesięć punktów na dziesięć, pomyślała. Większość mężczyzn uciekałaby teraz gdzie pieprz rośnie. Nieźle się spisał, trzeba mu to przyznać.

– Ojej, to czemu pan od razu nie powiedział?

Rozluźnił się.

Ale ona jeszcze nie skończyła.

– Zacznijmy od samej góry – zaproponowała, myśląc o chmarze much. – A teraz niech mi pan przypomni, jak się pan nazywa?

– Duncan Carter, narzeczony pani przyjaciółki...

– Chyba nie jest pan tym Duncanem? Duncanem Ellen, co? – Uśmiechnęła się ujmująco.

Gdzieś zniknęła lady Bracknell, a zastąpiła ją ukochana ciocia, której kompletnie na starość odbiło.

Kiwnął głową.

– No, to myśmy się już spotkali, prawda? – Zachichotała. – U Ellen w domu, a potem na przyjęciu u Buchananów. Jak pan mógł o tym zapomnieć?

Gdy wspinali się po schodach na najwyższe piętro, Duncan poluzował krawat. Zauważył plamy wilgoci, pęknięcia w tynku, odłóżającą tapetę i ogólne zaniedbanie domu. Za każdy negatywny punkt odliczał w myślach pięć tysięcy funtów od ceny wyjściowej. W ten sposób szybko dojdzie do bardziej realistycznej kwoty.

Gdy tylko agentka nieruchomości podała mu adres domu, od razu wiedział, że choćby nie wiem w jak kiepskim był stanie, idealnie się nada dla niego i Ellen. Co nie znaczy, że był głupcem. Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że aby przemienić Dom Pod Złotokapem w dom jego marzeń, będzie musiał wydać kolosalną sumę pieniędzy.

– Musi być pani ciężko utrzymać taki wielki, stary dom – powiedział ze współczuciem.

Próbował odwołać się też do emocji starszej pani, licząc na to, że pomoże mu to w negocjacjach. Zrobił unik przed rozwścieczoną muchą plujką, gdy stanęli w progu pierwszego zagraconego pokoju na strychu.

– To istny koszmar – odpowiedziała. – Koszta są przegromne. Nie pomyślałby pan, ile pieniędzy pochłania ten dom. Każdemu bym odradzała kupno takiej starej chałupy.

Zaśmiał się uprzejmie, po czym machnął w powietrzu, bo kolejna mucha bzykała koło niego. Trzeba stąd uciekać.

– Idziemy dalej? – zapytał z ręką na kłamce.

Pozostałe pokoje na strychu były równie odrażające, co pierwszy: zakurzone, zapchane pudłami i wielkimi, brzydkimi meblami. I było w nich jeszcze więcej much.

– Te pokoje kryją mnóstwo wspomnień – zauważył taktownie.

– Pierdoły – odparła.

Popatrzył na nią.

– Znaczy, to wszystko są tylko pierdoły do wyrzucenia na śmietnik.

Ruszyła w stronę schodów.

– A ten pokój? – Wskazał na zamknięte drzwi.

– Och, kolejna zagracona pakamera. Nie ma po co tam iść.

– Chyba powinienem obejrzeć wszystkie pokoje, nie uważa pani? Jestem poważnie zainteresowany tym domem.

– Chyba pan żartuje?

– Proszę?

Hermione postanowiła zabawić się kosztem Duncana, gdy tylko stanął w progu. Teraz jednak wróciły do niej wspomnienia z przeszłości i uświadomiła sobie, że Duncan Carter jest ostatnią osobą, której chciałaby sprzedać swój ukochany dom. Nie ma mowy, by pozwoliła mu węszyć w pokoju, który jest dla niej taki ważny, a który dla niego absolutnie nic nie znaczy. Pierwszą rzeczą, którą by pewnie zrobił, gdy tylko dostanie klucze do ręki, byłoby zatapetowanie malowidła Matthew.

– A co Ellen myśli o tym, żeby tu zamieszkać? – chciała wiedzieć.

– Jeszcze z nią o tym nie rozmawiałem – odparł i miał ochotę dodać, że to nie jej sprawa.

Od razu po powrocie do biura z Domku Nad Strumieniem zadzwonił do agentki nieruchomości, a potem nie miał czasu odezwać się do Ellen. Postanowił, że najpierw sam obejrzy Dom Pod Złotokapem i że zaskoczy ją wiadomością, że znalazł dla nich idealny dom.

Hermione wbiła w niego uważne spojrzenie swoich małych, ciemnych, przenikliwych oczu. Pod naciskiem tego spojrzenia poczuł się niewyraźnie i zaczął przestępować z nogi na nogę.

– Jakoś trudno mi sobie wyobrazić, że Ellen będzie chciała zamieszkać w bezpośrednim sąsiedztwie Sadowego Domu – powiedziała. – Nie uważa pan, że to mało taktowne z pana strony tego od niej oczekiwać?

– Ellen nie jest osobą sentymentalną – odparł stanowczo. – A teraz może pójdziemy dalej, została mi jeszcze reszta domu do obejrzenia?

– Zmieniłam zdanie – oznajmiła energicznie i rzeczowo. – Jednak nie chcę sprzedać domu.

Duncan wziął głęboki wdech, po czym zrobił krok w kierunku Hermione.

– Ale ja go chcę kupić – powiedział wolno.

Uwadze Hermione nie umknęła ręka Duncana mocno zaciśnięta na słupku balustrady. Dostrzegła też na jego twarzy coś, co jej się nie spodobało. Odwróciła się do niego plecami i zaczęła schodzić w dół.

– Przykro mi, że przeze mnie zmarnował pan czas – rzuciła przez ramię, zadowolona, że dzieli ich teraz pewien dystans. – Na pewno znajdzie pan coś bardziej w pana stylu, a może nawet w stylu Ellen.

Otworzyła przed nim drzwi. Szedł już z chrzęstem po żwirze do zaparkowanego samochodu, gdy zawołała za nim:

– Ach, i dziękuję za naprawienie telewizora.

Duncan pokonał niewielki dystans między Domem Pod Złotokapem a Domkiem Nad Strumieniem.

– Głupie, stare babsko! – powiedział do siebie, skręcając w Beggarman's Lane. – Jak śmie robić ze mnie głupca?

Na podeście schodów na strychu zauważył, że uważnie mu się przyglądała spod tych swoich ciężkich powiek i dopiero wtedy zrozumiał, że Hermione Rowlands wcale nie ma nierówno pod sufitem, wręcz przeciwnie, jest całkiem bystra. Naprawa telewizorów, też mi coś!

Ellen siedziała na krześle ogrodowym przed domem. Nie była sama.

– Jak długo ona tu zostanie? – zapytał narzeczoną, gdy weszli do domu, zostawiając Jo-Jo wyciągniętą na kocu w ostatnich promieniach wieczornego słońca.

– Nie jestem pewna – odpowiedziała Ellen, wyraźnie speszona złym humorem Duncana. Nauczyła się już uspokajać jego rozbuchany temperament, ale teraz wyczuwała, że nie będzie łatwo. – Co się stało? – zaryzykowała. – Problemy w pracy?

– Nie. – Odwrócił się do niej. – Właśnie byłem obejrzyć dom, który moim zdaniem, byłby dla nas idealny, ale właścicielka okazała się niewiarygodnie niegrzeczna i nie wiadomo dlaczego nagle postanowiła, że dom nie jest na sprzedaż.

– Och – powiedziała tylko Ellen.

Przez ostatnie parę miesięcy Duncan obejrzał dziesiątki domów i żaden mu się nie podobał. Były albo zbyt małe, albo położone w niewłaściwej okolicy, albo – co jeszcze bardziej go frustrowało – ktoś inny sprzątnął mu je sprzed nosa.

– A najgorsze jest to, że to twoja znajoma – rzucił oskarżycielsko. – To ta stuknięta Hermione Rowlands.

Ellen zabrakło słów.

– Nie wiedziałam nawet, że ona wystawiła dom na sprzedaż. Gdzie planuje się przeprowadzić?

Na dźwięk własnych słów poczuła ukłucie wyrzutów sumienia. Ile czasu minęło odkąd widziała się z Hermione? Z Hermione, która była dla niej taka dobra i kochana po odejściu Rogera.

– Nie w tym rzecz – stwierdził Duncan. – Była w stosunku do mnie niegrzeczna.

Ellen zmarszczyła brwi.

– Ona ma specyficzne poczucie humoru, jest trochę dziwaczna...

– Kochanie, mam wrażenie, że mnie nie słuchasz.

– No, dobrze, dobrze – powiedziała uspokajająco. – Zamienię z nią słowo.

– A przy okazji daj jej jasno do zrozumienia, że jestem poważnie zainteresowany domem.

– Ale, Duncan, czy to naprawdę to, czego szukamy? – Zdaniem Ellen to nie było to.

Pomijając sąsiedztwo, nie była w stanie sobie wyobrazić, że miałyby zamieszkać w domu Hermione. Czułaby się jak intruz. – Trzeba by przeprowadzić wielki remont.

– Wiem – odparł, a na widok niepewnej miny Ellen dodał: – Kochanie, to idealny dom dla nas. Im szybciej podpiszemy umowę, tym szybciej będziemy się mogli pobrać. Przecież tego chcesz, prawda? – Cmoknął ją w czoło. – Idź odwiedzić tę szurniętą babcie i spróbuj ją udobruchać, co? Chcę dla nas Domu Pod Złotokapem. I to szybko.

– Nie nazywałabym Hermione „szurniętą babcie” – dobiegł ich głos zza progu. Do dużego pokoju weszła Jo-Jo i posłała Duncanowi mrożące krew w żyłach spojrzenie.

– Zdaje się, że masz w zwyczaju podsłuchiwać rozmowy innych, co? – powiedział Duncan głosem równie lodowatym, co spojrzenie, którym odpowiedział dziewczynie.

W tym momencie zadzwonił telefon i Ellen poszła do kuchni odebrać. Zerknęła z niepokojem przez ramię na Jo-Jo i Duncana.

– Po coś przyjechała z powrotem do Crantsford? – zapytał Duncan.

Przeszedł przez pokój i rozsiadł się w fotelu przy kominku. Nie patrzył na Jo-Jo. Z jakiegoś dziwnego powodu widok jej dużego, nabrzmiałego ciała go drażnił.

– Nie pana sprawa, ale Ellen mnie do siebie zaprosiła.

– Ellen to moja sprawa, podobnie jak wszystko, co jej dotyczy – odparł, opierając łokcie na podłokietnikach i łącząc palce przed sobą.

Jo-Jo nic na to nie powiedziała. Próbowwała zrozumieć, co jest źródłem jej głębokiej antypatii do Duncana.

– No, to po co tu przyjechałaś, co? Tatuś dziecka ci dokucza?

Spojrzała mu prosto w oczy.

– Skoro już musi pan wiedzieć, moja mama właśnie próbowała się zabić.

– Aha – odparł, trochę zbity z tropu. – Przykro mi to słyszeć. – Po czym ciągnął dalej: – No, to czemu tu jesteś? Przecież w takich okolicznościach córka powinna być z matką, a nie uciekać gdzieś...

– Słuchaj pan – powiedziała rozzłoszczona – Niech pan zostawi moje życie w spokoju, dobrze? Nic pan o mnie nie wie, więc...

– Dzwoniła moja mama – wtrąciła się Ellen, która właśnie weszła z powrotem do dużego pokoju. – Chce, żebyśmy do niej przyjechali w ten weekend. Sugerowała niedzielę.

– Gram w golfa – odparł Duncan. – Wizyta będzie musiała poczekać.

– Och. – Ellen była rozczarowana. Wyczuła napięcie między Jo-Jo i Duncanem i zastanawiała się, jak je rozładować. – Zrobię nam na kolację rybne szaszłyki. Może do nas dołączysz, Duncan?

– Nie, dziękuję – odmówił i zerwał się na równe nogi. – Nie chcę przeszkadzać.

– Mogłeś zostać – powiedziała. – Nikomu byś nie przeszkadzał.

Pokręcił głową.

– Ta twoja ciężarna awanturniczka chyba niespecjalnie za mną przepada.

– Ona nie jest żadną awanturniczką. Zresztą odnoszę wrażenie, że to ty jej nie lubisz. Położył jej palec na wargach.

– Nonsens. – Uśmiechnął się. – Po prostu nie lubię się tobą dzielić. Chcę cię mieć tylko dla siebie. To taka moja słabość.

Pocałowała go. Cieszyła się, że humor mu się poprawił.

Wsiadł za kierownicę i otworzył okno.

– Tylko nie zapomnij iść się zobaczyć z tym babskiem z Domu Pod Złotokapem. Jeśli ktokolwiek jest w stanie nakłonić ją do sprzedaży, to tylko ty.

Ellen pomachała mu na pożegnanie.

Jo-Jo patrzyła za podskakującym na wybojach samochodem Duncana z okna dużego pokoju. Gdy Ellen wróciła do domu, dziewczyna nadal zachodziła w głowę, dlaczego czuła się tak nieswojo w towarzystwie Duncana.

Wariatuńcio własnym uszom nie wierzył. Rzucił na bok powieść Jeffreya Archera.

– Że co?

– Och, tylko się nie nakręcaj. Robię to dla nas wszystkich. Przecież to chyba jasne?

Wariatuńcio wybałuszył na nią oczy.

– Niezła gadka. A niby jak?

– Nie bądź grubiański.

– Wcale nie jestem!

Susie podeszła do niego i usiadła obok na łóżku.

– To inwestycja.

– Też mi coś! A co się stanie z naszą inwestycją, gdy się stąd wyprowadzimy?

– Sam mówiłeś, że nigdy się stąd nie wyprowadzisz. Jeśli dobrze pamiętam twoje słowa, powiedziałeś: „Już chętniej dałbym sobie jaja...”

– Człowiekowi wrywają się takie rzeczy pod wpływem chwili.

– Owszem, a ja pod wpływem chwili zaprosiłam Matthew Collinsa, żeby wrócił i ukończył mural.

– No, to będziesz musiała sama mu za to zapłacić.

Susie uśmiechnęła się do niego.

– Mówię poważnie – oświadczył, podniósł Jeffreya Archera z kołdry i znalazł właściwą stronę. – Skoro chcesz, by ten nieokrzesaniec tutaj wrócił, to sama mu zapłać za robotę! Jeśli o mnie chodzi, możesz tu sobie zafundować miniwersję Kaplicy Sykstyńskiej, pod warunkiem, że to nie ja będę musiał zapłacić temu krętaczowi.

– Niby jak? Dzieła sztuki nie są tanie, a ja nie zarabiam.

– Cóż, skarbie, no to masz problem.

– To niesprawiedliwe!

– Jakbym słyszał Floss. – Bonkers się uśmiechnął.

Matthew pożegnał się z Hermione. Odłożył telefon, wyszedł na zewnątrz i usiadł w ogrodzie. Było już ciemno, ale na atramentowym, nocnym niebie i tak dało się dostrzec niewyraźny zarys Old Man of Coniston. Zapalił dwie duże świece stojące na drewnianym stole i nalał sobie kolejny kieliszek czerwonego wina z butelki, którą otworzył wcześniej.

Zdawał sobie sprawę z tego, że decyzja, którą podjął parę godzin temu, a która wprawiła Susie w zachwyt, była z jego strony głupotą. Gdy tylko usłyszał piskliwy głos Susie po drugiej stronie słuchawki, pożegnał się ze zdrowym rozsądkiem. Oddał się bezmyślnej pogawędce tylko po to, by zadać pytanie, którego nie śmiał zadać nikomu innemu.

– A jak się miewa Ellen?

– Jejku, szczerze mówią nie wiem. Ładne parę tygodni jej nie widziałam. Jakby się pod ziemię zapadła.

– Może życie małżeńskie tak ją pochłonęło?

– Och, nie – odparła Susie. – Jeszcze się nie pobrali. Tak między nami mówiąc, podobno to Duncan zwleka, bo wydziwia i nie może znaleźć dla nich odpowiedniego domu.

Matthew tak zachwyciła ta wiadomość, że miał ochotę posłać Susie całusa przez telefon, ale zamiast tego zapytał:

– No to kiedy mam przyjechać i zabrać się do roboty? Pojutrze?

– Ojejuniu, byłoby cudownie. Wiem, że to bezczelne z mojej strony, ale czy mógłby pan znowu zatrzymać się u swojej matki chrzestnej? Bo Wariatuńcio nie...

– Nie ma sprawy. Zadzwoń do Hermione i to z nią załatwię.

Załatwianie właśnie zostało zakończone. Hermione zaregowała na wieści o jego przyjeździe ze swoim zwykłym tupetem.

– A co, ostatnim razem zwędziłeś za mało rodzinnych sreber?

– Liczę na to, że tym razem załapię się na złoto – odparł wymijająco.

A niech go! Jak mógł powiedzieć coś tak idiotycznego, zastanawiał się, sącząc wino i wpatrując się w ciemność za migoczącym płomieniem. Jeśli miłość to właśnie robi z człowiekiem, to lepiej mu było bez niej!

Dopił wino i podjął decyzję. Jakoś musi przekonać Ellen, że planuje wyjść za niewłaściwego człowieka.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Ellen obudziła się i poczuła słodki zapach wiciokrzewu.

Całą wiosną i lato uparta roślina pięła się coraz wyżej po ścianie jej małego domku, wyciągając pędy i pachnące kwiaty w stronę okna sypialni Ellen. Teraz wysyłała pierwsze liściaste wypustki w stronę budzika stojącego na parapecie okiennym oraz oprawionej w ramki fotografii Simona w wieku niemowlęcym.

Ellen podniosła się z łóżka owinięta samym tylko prześcieradłem. Rozsunęła kremowe, koronkowe firanki, oparła się o parapet maleńkiego okna i wciągnęła do płuc wonny zapach.

Cudownie było tak się obudzić. Choć raz nie przeklinała faktu, że jej sypialnia jest taka mała i ledwo mieści się w niej łóżko. Przy przeprowadzce z Sadowego Domu rozważała pozbycie się podwójnego łóżka, ale spanie w pojedynczym wydało jej się krokiem wstecz, więc się na to ostatecznie nie zdecydowała. Nie było łatwo wcisnąć łóżko do tego niewielkiego pomieszczenia.

Zerknęła na budzik, który stał koło jej łokcia. Było dopiero wpół do ósmej, ale poranne słońce zapowiadało kolejny, upalny, letni dzień. Wychyliła się trochę bardziej z okna i pozwoliła prześcieradłu zsunąć się na podłogę. Zerwała różowo-żółty kwiat wiciokrzewu i zaciągnęła się jego zapachem. Był niebiański. Po raz pierwszy od miesiący ogarnęło ją poczucie spokoju.

Życie jest piękne.

Naprawdę piękne.

Uśmiechnęła się, położyła z powrotem na łóżku i obróciła kwiat między kciukiem a palcem wskazującym. Gdy zamknęła oczy, z wolna ogarnęły ją inne emocje. Do głowy przychodziły jej słowa takie jak tęsknota, pragnienie i namiętność. Zadygotała – choć wcale nie było jej zimno – a żołądek aż jej podskoczył do gardła, gdy poszła o krok dalej w diagnozie swoich uczuć i znalazła bardziej realistyczne słowa na ich opis.

Kobieta ma swoje potrzeby – tak brzmiała jej konkluzja.

Uśmiechnęła się. Minęło kilka tygodni odkąd spała z Duncanem, a jeszcze więcej czasu odkąd poczuła spontaniczne uderzenie silnego pożądania i pragnienia, by się kochać. Zupełnie nie była przygotowana na to, że jej ciało weźmie sprawy w swoje ręce, a jej strefy erogenne się nagle odezwą.

Tylko, że to wcale nie było tak dawno temu, prawda? Był ten szalony moment na podłodze na dole z Matthew.

Nie miała jednak zamiaru się na tym teraz zastanawiać i zamiast tego skierowała swoje myśli w innym kierunku. Czyżby zaczynała z wolna dochodzić do siebie po tym, co zrobił jej Roger?

Przez jakiś czas żyła w przekonaniu, że wstyd i poniżenie, jakie zostawił po sobie jej eks-mąż, nigdy jej nie opuszczą. Teraz zastanawiała się jednak, czy następstwa jego seksualnych upodobań nie byłyby łatwiejsze do zniesienia, gdyby miała odwagę komuś o tym opowiedzieć. Ale nie miała. Z nikim o tym nie rozmawiała, bo – bez względu na to, co pisze się o seksie w magazynach i bulwarowcach – jest to nadal temat tabu i nikt nie rozmawia o tym, co naprawdę dzieje się w sypialni.

Przyjaciółki i znajome Ellen całkiem ochoczo dyskutowały między sobą na temat rozmiaru, jakości i częstotliwości, ale nikt nigdy nie poruszał tematów bardziej intymnych. Oczywiście przez lata nasłuchiwała się standardowych dowcipów przy stole o tym, że mężczyźni zawsze tego chcą, podczas gdy dla kobiet ważniejsza jest czysta pościel i dobra książka. Były też opowieści o stosunku przerywanym, gdy w sypialni pojawiały się ciekawskie, małe dzieci. Była

nawet historia o dalmatyńczyku, który wlaź pod kołdrę i wsadził swój zimny, mokry nos nie tam, gdzie trzeba. Ale nikt nigdy nie zwierzał się z tego, że mąż każe żonie co noc przebierać się w kostium jak z *Dziewczyn z St. Trinian*.

Nie, nie powinna myśleć o Rogerze, naprawdę nie powinna wracać myślami do przeszłości. Jest inteligentną kobietą, która regularnie słucha radiowego programu *Woman's Hour* i wie, że seks to emancypacja, dużo radości i samozadowolenia dla obu płci.

Szkoda, że Roger nie miał w przychodni odbiornika ustawionego na stację Radio Four i nie słuchał Jenni Murray, gdy grzebał pacjentom w zębach. Może wtedy byłby trochę mniej samolubny i nie traktował jej jak przedmiot przeznaczony do zaspokajania własnych potrzeb.

A najbardziej szkoda, że ona nie potrafiła mu się przeciwstawić.

Ellen z Jo-Jo zjadły śniadanie w ogrodzie. Jo-Jo siedziała w fotelu ogrodowym z talerzem tostów balansującym na ogromnym brzuchu. Czowała się szczęśliwa i rozluźniona. W zamyśleniu sączyła sok pomarańczowy i przyglądała się parze wróbli, które kąpały się w błocie na drodze.

– Uwielbiam tu być – powiedziała. – Wszystko jest takie proste i nieskomplikowane. Wie pani, co mam na myśli?

Ellen zastanowiła się nad jej słowami, po czym doszła do wniosku, że jest w nich sporo prawdy.

– Chodzi ci o to, że nie ma tu nic zbędnego? Że masz to, co widzisz?

Skrzywiła się.

– Co jest?

Ellen pokręciła głową.

– Ktoś mi to niedawno powiedział, tylko nie mogę sobie przypomnieć kto i w jakim kontekście.

– Pewnie Duncan.

Ellen wyczuła sarkazm w tonie Jo-Jo.

– Nie przepadasz za Duncanem, co?

Jo-Jo odwróciła wzrok i spojrzała na drozda siedzącego na uginającym się ogrodzeniu z siatki po drugiej stronie strumienia.

– Niespecjalnie.

– Czemu?

Jo-Jo spojrzała znowu na Ellen.

– Bo on mnie nie lubi.

– Jesteś zbyt inteligentna na to, by być tak małostkowa.

Jo-Jo wzruszyła ramionami i nachyliła się, żeby odstawić swój pusty talerz na stojący obok mały stolik. Nagle skrzywiła się z bólu. Wyprostowała plecy i potarła sobie brzuch.

– Ciagle zapominam, że nie mogę już robić takich rzeczy.

Ellen spojrzała na obrzmiałe ciało Jo-Jo.

– Od przyjazdu prawie nie wspominałaś o dziecku.

– Nie ma o czym mówić. Wszystko jest już zorganizowane. Agencja adopcyjna czeka. Mnie pozostaje tylko jeszcze się powiększyć i znaleźć siłę na poród. Wie pani, że oni próbują nawet dobierać rodziców adopcyjnych pod kątem prawdopodobnego wyglądu dziecka? Niewiarygodne.

– To znaczy, że nie wahasz się, nie masz wątpliwości?

Jo-Jo zaprzeczyła ruchem głowy.

– Wcale. Wiem, że podjęłam słuszną decyzję. A jak się to wie, to się nie ma żadnych wątpliwości. – Spojrzała uważnie na Ellen. – Pani pewnie tak właśnie się czuje w kontekście

ślubu z Duncanem, co? Po prostu wie pani, że to słuszna decyzja.

– Nie myślałam o tym w takich kategoriach, ale tak, myślę, że tak można to określić.

– Czy to dlatego, że myśli pani, iż on zapewni pani poczucie bezpieczeństwa, którego pozbawił panią Roger?

Ellen aż się zapowietrzyła. Ostrożnie odstawiła pustą miseczkę po płatkach śniadaniowych na mały stolik między nią a Jo-Jo i nalała sobie trochę soku pomarańczowego.

– Z wiekiem poczucie bezpieczeństwa nabiera coraz większego znaczenia – odpowiedziała wyważonym tonem. – Zmieniają się człowiekowi priorytety. Choć nie spodziewam się, że

ty to zrozumiesz. Nie w twoim wieku.

Jo-Jo postanowiła spróbować innej taktyki.

– A co o Duncanie myśli Simon?

– Jakoś się dogadują.

Ellen miała nieprzyjemne przeczucie, że Jo-Jo do czegoś zmierza.

– A Hermione?

– Posłuchaj, Jo-Jo, to ja wychodzę za Duncana, nie Simon i na pewno nie Hermione.

– No, dobrze, dobrze.

Jo-Jo znowu spojrzała w kierunku ogrodzenia z siatki i drozda, który nadal im się przyglądał.

Ellen wstała i zaczęła sprzątać po śniadaniu.

– Muszę się zbierać – wyjaśniła. – Chcę się zobaczyć z Hermione przed otwarciem sklepu. Powiem jej, że przyjechałaś. Na pewno zapragnie się z tobą spotkać.

Jo-Jo odprowadziła Ellen wzrokiem w stronę domku. Gdyby nie była jej tak wdzięczna za to, że ją do siebie zaprosiła, zdobyłaby się na więcej szczerości podczas rozmowy o Duncanie.

Wczoraj wieczorem w łóżku udało jej się w końcu wydedukować, co konkretnie nie podoba jej się w narzeczonym Ellen.

Nie ufała mu.

Zbiornik na wodę był pusty, Hermione przykręciła więc końcówkę węża ogrodowego do zewnętrznego kurka, nie przejmując się zakazem podlewania. Podniosła głowę w chwili, gdy Ellen właśnie wyszła zza rogu na podwórko.

– Wieki całe... – powiedziała. Zamiast ucieszyć się na widok Ellen, była na nią zła, że tak długo się nie widziały. Obraziła się jak dziecko i chciała odegrać się na przyjaciółce. – Obawiam się, że nie mogę teraz zrobić sobie przerwy – rzuciła. – Muszę podlać pomidory, bo inaczej nie zrobię w tym roku chutneya na powitanie następnego tysiąclecia.

Ellen zastanawiała się nad nieco chłodnym przyjęciem Hermione. Przyglądała się kaloszom przyjaciółki wystającym spod spłowiałej, bawełnianej sukienki i słomianemu kapeluszowi, który zaczynał się rozsypywać.

– Jak się masz? – zapytała.

– Nienajgorzej. A ty?

– Świetnie. Słyszałam, że wystawiłaś dom na sprzedaż.

Hermione odkręciła wodę i skierowała strumień na pierwszą z brzegu sadzonkę pomidora. Delikatne liście zadygotały pod ostrą kaskadą wody. Na ziemię spadła kiść małych pomidorków. Hermione próbowała odpowiednio ustawić końcówkę węża, ale skończyło się tylko na tym, że oblała się wodą.

– Nie wiedziałam, że chcesz się wyprowadzić – ciągnęła dalej Ellen, trzymając się z daleka od węża.

Hermione przerwała podlewanie pomidorów.

– No pewnie, że nie wiesz, bo jak byś miała wiedzieć? – rzuciła lakonicznie. Zakręciła wodę.

Ellen była przerażona. Hermione była na nią bardzo zła. Gdzie się podziała ich zażyłość? Zdecydowanie nie oczekiwała zimnej wrogości ze strony dobrej przyjaciółki.

– Hermione, wiem, że byłam zajęta całe... – zaczęła, ale nie dane jej było dokończyć.

– Muszę umyć ręce – przerwała jej Hermione.

Ellen ogarnął przemożny smutek. Weszła za Hermione do domu i przyglądała się starszej pani, gdy ta myła ręce nad zlewem w oranżerii.

– Jesteś jakaś niespokojna, Ellen – powiedziała Hermione, wycierając ręce w sukienkę po bokach. – Jak ktoś, kto ma coś do powiedzenia. Pewnie właśnie dlatego w ogóle przyszedłaś.

– Prawdę mówiąc tak. – Miała Hermione mnóstwo do powiedzenia, ale czuła taki smutek i dławiące wyrzuty sumienia z powodu wielu tygodni zaniedbywania przyjaciółki, że nie była w stanie wyartykułować tego, co naprawdę czuła. Bardzo chciała przeprosić, ale bała się, że przeprosiny mogą zostać odrzucone, dlatego wybrała tchórzliwe rozwiązanie. – Chodzi o dom – powiedziała cicho. – Duncan chce ci złożyć poważną ofertę.

Hermione zmrużyła oczy.

– I przysłał cię tutaj, żebyś mnie nakłoniła do zmiany zdania, co? Masz mnie zmiękczyć, tak? O to chodzi?

Ellen wzięła do ręki glinianą doniczkę z zatłoczonej półki i strzepnęła zaschniętą ziemię z przebarwionej powierzchni.

– Powiedział, że potraktowałaś go niegrzecznie.

– Być może.

Wpatrywały się w siebie.

– Ale dlaczego?

– Nie jestem pewna dlaczego – skłamała Hermione. – Po prostu w tamtym momencie uznałam, że to zabawne. Opowiedział ci o telewizorze?

Ellen zrobiła zdeorientowaną minę.

– O jakim telewizorze?

Hermione parsknęła śmiechem.

– Ach, nie, oczywiście, że ci nie powiedział. Chodź, usiądziemy sobie w ogrodzie i opowiem ci, jaki numer wywinęłam temu twojemu kochanemu Duncanowi. Bardzo się przy tym ubawiłam.

Było jak za starych, dobrych czasów.

A jednak wcale nie.

– Mam niewiele czasu – odparła chłodno Ellen. – Muszę wracać otworzyć sklep.

Odstawiła doniczkę na półkę. Jeśli rzeczywiście Hermione zabawiła się kosztem Duncana, to ona musi jej uświadomić, że to nie w porządku. I jeśli ktoś miał za coś przeproszać, to ewidentnie ruch należał teraz do Hermione.

– Och, Ellen! – zawołała Hermione. – Posłuchaj sama, co wygadujesz. Na litość boską, co się z tobą stało? Kiedyś tak świetnie się razem bawiliśmy, a teraz przemieniłaś się w nudnego i zadzierającego nosa osobnika, jak ten idiota, którego chcesz poślubić!

– On nie jest idiotą i nie jest nudny!

– Ale zgadzasz się, że zadziera nosa?

– Och, jesteś nie do wytrzymania!

Mierzyły się nawzajem wyzywającymi spojrzeniami. W końcu Ellen odwróciła się i wyszła. Chyba już wszystko sobie powiedziały. Dopiero gdy dotarła do domu, uświadomiła

sobie, że

zapomniała przekazać Hermione, że w Crantsford jest Jo-Jo.

Hermione zdenerwowała się bardziej, niż była gotowa to przyznać. Była wściekła, że Ellen przysłała tylko po to, by przekazać jej propozycję Duncana. Niedługo potem zajął Bernie i od razu się zorientował, że przyjaciółka jest mocno nie w sosie.

– No, moja mała, krnąbrna Hermaseto, powiesz starymu Berniemu, co cię gryzie, czy będziesz się boczyć przez resztę dnia?

– Nic mnie nie gryzie – odparła Hermione, odepchnęła go na bok i poszła powiesić pranie.

– Babciu, ależ ty masz dzisiaj wielki zły humor. – Zachichotał. – I jakie śliczne gatki. Pstryknął w parę najsolidniej wyglądających majtasów na sznurku.

– Och, wracaj lepiej do swojego haremu i zostaw mnie w spokoju.

– Ale najpierw powiedz prawdę.

Hermione zacisnęła usta w wąską kreskę i wróciła do swojego zajęcia.

Bernie wszedł do środka, żeby wziąć sobie coś zimnego do picia. Nic nie znalazł, więc wyszedł na zewnątrz do Hermione.

– Zdejmij kalosze i chodź ze mną.

– Czemu?

– Bo cię proszę.

– Nie!

– Hermione Rowlands, gdybym był dwadzieścia lat młodszy i dwadzieścia kilo lżejszy, przerzuciłbym cię sobie przez kolano. A teraz rób, co ci każę i chodź ze mną.

Hermione poszła na kompromis. Dała mu się zaprowadzić do Domku Myśliwskiego, ale kaloszy nie zdjęła. Bernie zabrał ją do swojego pokoju, zmusił do tego, by usiadła w wygodnym fotelu z widokiem na boisko do krokieta, przyniósł jej lodowatą puszkę piwa z lodówki stojącej w jego schludnej, małej kuchence i czekał, aż zacznie mówić.

Czekał długo.

– Właśnie straciłam przyjaciółkę – w końcu się poddała i odezwała cicho. – Bardzo bliską przyjaciółkę.

– Kogo?

– Ellen. To było okropne. Przysłała do mnie i obie byłyśmy w stosunku do siebie paskudne. – Pociągnęła nosem i zaczęła szukać w kieszeni chusteczki. – To wszystko przez tego cholernego Duncana – ciągnęła dalej. – Odkąd się zaręczyli, wszystko jest według zasady „dziel i rządź”. Strasznie jest patrzeć, jak ktoś się tak dramatycznie zmienia na twoich oczach. Jeszcze trochę, a ona stanie się dokładnie taka, jak on. Nie powinna za niego wychodzić, to nie jest mężczyzna dla niej.

– A co dokładnie ci się w nim nie podoba?

– Nie pamiętasz go z przyjęcia u Susie i Wariatuńcia?

Pokręcił głową.

– Niespecjalnie. A powinienem?

– To cholerny snob i chce kupić mój dom.

Opowiedziała mu, co zaszło poprzedniego wieczora. Bernie tak się śmiał, że prawie znowu się rozkaszał, gdy mu opisała, jak zmusiła Duncana do padnięcia na kolana i nastrojenia komody.

– To nie było miłe z twojej strony – rechotał.

– On taki właśnie jest. Budzi we mnie najgorsze instynkty.

- Och, Hermione, co ja z tobą pocznę?
- Tylko mnie nie pouczaj – warknęła.
- Ale nie odmroziś sobie swoich ślicznych uszu na złość mamie, co? – zapytał Bernie, teraz już zupełnie poważnie. – Jeśli on ci zaproponuje dobrą cenę, to się zgodzisz na sprzedaż?
- A muszę?
- Bernie wziął jej dłoń między swoje.
- O, tak, Hermione – powiedział cicho. – Musisz.

Rozdział trzydziesty

Susie dobrze wiedziała, że Wariatuńcio zapomniał o urodzinach swojej siostry, które przypadały pojutrze. Sama przypomniała sobie o nich dopiero dzisiaj rano i postanowiła wybrać się do Crantsford w poszukiwaniu prezentu.

– Dziewczynki! – zawołała. – Idziemy po zakupy.

W drzwiach pojawiła się naburmuszona – zgodnie z oczekiwaniami – twarz Floss.

– Jest za gorąco, żeby być na dworze – stwierdziła.

– Jest za gorąco na wszystko – zgodziła się z nią Susie. – Ale musimy kupić cioci Janey prezent. W niedzielę są jej urodziny. Pośpiesz się i wkładaj sandałki. Zaraz idziemy.

– Nigdzie nie idę – oświadczyła Floss. – Zakupy to nuda.

– Tylko dlatego, że w kółko jęczysz.

– A ja nie jęczę – do rozmowy dołączyła Millie, która pojawiła się w holu ze swoimi sandałkami w dłoniach. Wyczuła, że przynajmniej raz ma szansę być w czymś lepsza od starszej siostry. – Lubię zakupy.

– A ja nie. Nigdzie nie idę!

Susie ze wszystkich sił starała się zachować cierpliwość.

– Już wiem – powiedziała. – Chodźmy do sklepu z suszonymi kwiatami i tam wybierzmy coś dla Janey? Pójdziemy na piechotę. Może pani Ellen pozwoli wam nawet pochlapać się w strumieniu. Co myślicie?

Parę minut później przecinały już główną drogę prowadzącą do Crantsford i skręcały w Beggarman's Lane. Droga była sucha i zakurzona, po obu stronach obrastały ją wybudzące krzewy głogu. W niektórych miejscach trawa sięgała prawie do ramion, a wśród niej rosły barszcze, jaskry, pokrzywy, stokrotki, powoje, a gdzieniegdzie nawet różowe, spiczaste naparstnice. Dziewczynki zatrzymały się na moment i zaczęły bawić powojami, ściskając palcami podstawy śnieżnobiałych kwiatów w kształcie trąbek i strzelając w siebie delikatnymi kwiatkami.

Na parkingu stało sporo samochodów, a drzwi do stodoły były szeroko otwarte. W środku panował przyjemny chłód. Susie wypatrzyła Ellen za ladą, przy której ustawiała się kolejka osób do obsłużenia. Pomachała do niej dyskretnie i weszła między półki, żeby poszukać czegoś odpowiedniego dla szwagierki.

– O, to jest ładne, mamusiu. – Millie wskazała na ogromnych rozmiarów bukiet. – Podobałoby się cioci Janey?

– Myślałam o czymś trochę mniejszym – odparła Susie.

I tańszym.

– Tu jest nudno. Idę na dwór – oświadczyła Floss. – Idziesz, Millie?

– Trzymajcie się razem – zawołała za nimi Susie. – I nigdzie się nie oddalajcie.

Wróciła do oglądania małego bukietu czerwonych róż w ślicznej, glinianej doniczce. Jakoś nie potrafiła sobie wyobrazić tak wyrafinowanej dekoracji u Janey w mieszkaniu. Szwagierka wołała raczej dekoracje w typie dwóch czy trzech patyków zatkniętych w pustą butelkę po winie. Mimo to musiała znaleźć dla niej prezent, więc czemu nie to? Poza tym aranżacja nie była zbyt droga.

Odkąd Wariatuńcio powiedział jej, że będzie musiała sama zapłacić za mural, łamała sobie nad tym głowę. Przede wszystkim postanowiła zaoszczędzić na niektórych rzeczach, oczywiście w tajemnicy przed mężem, i przeznaczyć te pieniądze na opłacenie Matthew. Zrezygnowała już z kupowania markowych produktów, być może daruje sobie nawet ich

ulubione steki z polędwicy wołowej. Będzie też trzeba rozstać się z codzienną butelką wina, jak również z kosztownymi sosami do zakąsek oraz umytymi i pokrojonymi, paczkowanymi warzywami. Susie postanowiła też przekonać Wariatuńcia, że powinni uważać na wagę i że ona znalazła im odpowiednią dietę. Jednak małe oszczędności na tym czy tamtym zdecydowanie nie wystarczą na pokrycie rachunku za obraz. Musiała iść do pracy. Coś na pół etatu, niezbyt męczącego, a dobrze opłacanego. Nie mogła wrócić do pracy jako sekretarka – a tym zajmowała się przed narodzinami Floss – bo musiałyby najpierw odświeżyć swoje kwalifikacje, a na to nie było czasu. Pieniądze potrzebne jej były teraz, a nie za pół roku.

– Dzień dobry.

Podniosła wzrok znad róż, które miała w rękach i zobaczyła, że stodoła opustoszała.

– Och, Ellen – powiedziała i podeszła do lady. – Jak się pani miewa? Wygląda na to, że biznes nieźle się rozkręcił.

– Zdecydowanie – potwierdziła Ellen. – I tak jest już od ładnych paru tygodni. Jestem tak zajęta przy ladzie, że nie mam kiedy robić nowych aranżacji, a jak ich nie będę robić, to nie będę miała co sprzedawać. Ironia losu, prawda? Niedługo nie będę już musiała pracować, a tymczasem biznes kwitnie. Zamówiono u mnie nawet dekoracje do pokazowych domów na nowym osiedlu, które budują w Holmes Chapel.

Susie była pod wrażeniem.

– A ma pani już kupca na firmę?

Ellen pokręciła głową.

– Nie. I zupełnie tego nie potrafię zrozumieć. Myślałam, że w Crantsford znajdzie się mnóstwo kobiet, dla których byłoby to miłe hobby. Choć z drugiej strony kupno firmy razem z domem może się już wydać mniej pojętne.

– To czemu nie wystawi ich pani na rynek oddzielnie?

– Pewnie tak w końcu zrobię, ale Duncan uznał, że na początku spróbujemy sprzedać wszystko razem. Chce pani to kupić?

– Tak, poproszę. – Susie postawiła doniczkę z różami na ladzie. – To dla Janey. Nie jestem pewna, czy to w jej stylu, jeśli wie pani, co mam na myśli.

Ellen uśmiechnęła się i zobaczyła Floss z Millie w drzwiach.

– Mamusiu, kupisz nam lody? – zapytała Millie.

– Przykro mi, kochanie, ale będziecie musiały poczekać, aż wrócimy do domu. W zamrażarce są dwa lody na patyku, jeśli ich jeszcze nie zjadłyście.

– Pić mi się chce – dodała Floss.

Susie odwróciła się z powrotem do Ellen, podała jej banknot dziesięciofuntowy i poczekała na resztę.

– A to właściwie całkiem niezły pomysł... – stwierdziła.

– Co?

– Sprzedaż przekąsek. Kawa, herbata, jakieś ciastka i takie tam.

– I lody.

Millie uśmiechnęła się przez ramię i poszła za siostrą na zewnątrz.

– Miałyby tu pani wielkie wzięcie – ciągnęła Susie. – Mogłaby pani ustawić stoliki i krzesła pod ładnymi parasolami z widokiem na strumień. Już to sobie wyobrażam. Idealne miejsce. Ludzie by do pani przyjeżdżali całymi autokarami...

Ellen się roześmiała.

– Jakoś nie potrafię sobie wyobrazić autokaru na Beggarman's Lane.

– No, może nie, ale warto się nad tym zastanowić, nie uważa pani?

– Zapomina pani jednak, że ja to wszystko chcę sprzedać.

– Ach, no, tak – powiedziała Susie nieuważnie. Coś jej chodziło po głowie. – A nie będzie się pani nudzić?

– Raczej nie – odpowiedziała Ellen, choć musiała przyznać, że teraz, po roku intensywnej pracy, z trudem wyobrażała sobie, że siedzi w dużym, pustym domu i przebiera palcami, czekając na Duncana. – Będę chyba miała pełne ręce roboty, gdy się z Duncanem pobierzemy. Urządzanie nowego domu to dość czasochłonne zajęcie.

Susie powiodła wzrokiem po stodole i uszczuplonych zapasach na półkach. Postanowiła wypróbować swój pomysł.

– A nie byłaby pani zainteresowana przyjęciem kogoś do pomocy na następne kilka miesięcy, zanim nie sfinalizuje pani sprzedaży?

Ellen wysłuchiwała tego, co Susie miała jej do powiedzenia. Szczerze mówiąc nie była pewna. Czy Susie powiedziała kiedyś, że musi się mocno skupić, by pamiętać o przyniesieniu mleka spod drzwi?

– Ale czemu? Dlaczego chce pani iść do pracy?

– A dlaczego ktokolwiek chce iść do pracy? Potrzebuję pieniędzy.

Ellen zamurowało. Odniosła wrażenie, że Susie i Wariatuńcowi nieźle się powodzi. Nie próbowali nawet negocjować ceny Sadowego Domu. Susie, ubrana w dżinsy od Versace, koszulkę polo od Lacoste, z okularami słonecznymi Ray Bana na czubku głowy była ostatnią osobą, od której Ellen spodziewała się usłyszeć, że jest bez grosza. Chyba, że... Chyba, że narobiła sobie kłopotów z kartami kredytowymi i nie chce, żeby Wariatuńcio się o tym dowiedział.

– Bardzo bym chciała jakoś pomóc – oświadczyła z przekonaniem Ellen. – Ale w tej chwili nie miałyby to większego sensu, bo i tak sprzedaję firmę.

Susie była w desperacji. Przed nosem zamajaczyła jej szansa na zarobienie paru groszy, więc nie zamierzała się tak łatwo poddać.

– Niech mnie pani zatrudni tylko do czasu, aż pojawi się kupiec. Kilkilka minut temu powiedziała pani, że jest bardzo zapracowana. Gdyby mnie pani przyjęła na parę dni w tygodniu, może nawet pojawiłoby się trochę czasu na przygotowania do ślubu.

Kuszająca propozycja. Tylko, czy to ma szansę powodzenia? Praca razem z Susie?

– A co z dziewczynkami? Jak sobie pani da radę?

– Nie ma problemu. Moja mama mieszka w Plumley, bardzo chętnie się nimi zajmie. Błagam panią, niech się pani zgodzi. To na szczytny cel. – Postanowiła powiedzieć Ellen, na co potrzebne jej są pieniądze. – Chcę, żeby Matthew przyjechał dokończyć nasz mural. A Wariatuńcio niech się przekona, że ze mną trzeba się liczyć.

– No, cóż – roześmiała się Ellen. – Ostatecznie jako kobiety powinnyśmy się wspierać. Kiedy chce pani zacząć?

– Porozmawiam z mamą, jak tylko wrócę do domu i odzwonię do pani. Jejku! Już się nie mogę doczekać, aż zobaczę minę Wariatuńcia!

Ellen przyglądała się Susie, która poszła po Floss i Millie nad strumień. Miała nadzieję, że nie pożałuje właśnie podjętej decyzji.

To, czego być może pożałuje, to kolejne spotkanie z Matthew.

Jeśli przez następne kilka tygodni będzie mieszkał u Hermione – a tego dowiedziała się od Susie – Ellen nie potrafiła sobie wyobrazić, że gdzieś na siebie nie wpadną. Jego powrót do Crantsford oznaczał też, że będzie musiała zmierzyć się z tym, co między nimi zaszło tamtego kwietniowego dnia. Wraz z nagłym zniknięciem Matthew zniknęło też jej poczucie winy w związku z tym, że zdradziła Duncana. A teraz Matthew miał się tu znowu zjawić, więc będzie musiała temu stawić czoła.

Jaka szkoda, że nie są już z Duncanem po ślubie. Czułaby się bezpieczniej. Przy Matthew nigdy nie czuła się bezpiecznie. Emanowała z niego brawura, która zdawała się jej przy nim udzielać.

– Krążą plotki, że w twoim życiu pojawił się mężczyzna.

Nadia opuściła wgnieciony imbryk z platerowanego srebra i wbiła przenikliwe, przeciągłe spojrzenie w Phyllis Winstanley, która siedziała po drugiej stronie stolika w cukierni.

– Czyżby?

Phyllis i Cynthia Kovel uśmiechnęły się do siebie znacząco.

– No, dalej, Nadio – popędzała ją Cynthia. – Nam możesz powiedzieć. Jaki on jest?

Nadia wróciła do nalewania herbaty.

– Na pewno doskonale znacie odpowiedź na to pytanie, bo bez wątpienia zasięgnęłyście już języka we wszystkich możliwych źródłach, czyli w klubie golfowym.

– Nic podobnego! – roześmiała się Phyllis i sięgnęła po drugiego makaronika z piętrowej patery.

Nadia też się zaśmiała. Była ciekawa, ile czasu upłynie, nim jej mały sekret wyjdzie na światło dzienne. Podsumowując: Nigel Wade niedawno przeniósł się do Crantsford. Był sześćdziesięcioletnim wdowcem, który na późnym etapie życia zaczął grać w golfa i – jak sam twierdził – starał się nadrobić stracony czas. Poznali się po turnieju dla pań, który Nadia wygrała bez trudu. Podczas wręczenia nagród w barze stali koło siebie. Przedstawił ich sobie sekretarz do spraw członkostwa w klubie Magnus Jefferson, po czym zostawił samych nad ginem z tonikiem, bo musiał odebrać telefon. Tydzień później zagraли razem partyjkę golfa, potem kolejną, następnie zjedli razem lunch w klubie. Nigel był emerytowanym biznesmenem, w którego życiu dużo się działo – miał czwórkę dzieci i bandę wnuków. Często wyjeżdżał, jak to nazywał, „dopilnować spraw” w Londynie. To wszystko, co o nim wiedziała.

– A co Duncan myśli o...

– Duncan nie wie – Nadia przerwała Cynthii.

– Ależ czemu...

– Nie ma najmniejszego powodu, bym spowiadała się synowi z tego, co robię – stwierdziła Nadia. – Fakt, że mieszka w moim domu, nie czyni z niego mojego dozorczy.

– Oczywiście, że nie – zgodziła się Phyllis, porzucając wyraźnie drażliwy temat.

Ona i Cynthia nieraz rozmawiały o dziwnej relacji łączącej Nadię z synem.

– Szczypta miłości ze szczyptą wrogości – często mówiła do Cynthii. – Zwłaszcza teraz, gdy po tylu latach Duncan postanowił się ożenić. Nadii jest to chyba trudno zaakceptować. Podejrzewam, że czuje się odrzucona i zdradzona.

Obie z Cynthią wielokrotnie spekulowały na temat przyszłości Nadii po ślubie Duncana. Czy sprzeda Crantsford Hall? Czy odbuduje swój związek z Duncanem? Czy sama kiedykolwiek wyjdzie powtórnie za mąż?

– A może spotkamy się na kolacji? – zasugerowała Cynthia, bo uznała, że to najlepszy sposób na wyciągnięcie przyjaźni Nadii z Nigelem Wade'em na światło dzienne. – Od dawna nie urządziliśmy żadnego przyjęcia. No, dalej, drogie panie, wyciągajcie kalendarze i od razu ustalimy datę. Nadio, może przyprowadzisz Nigela?

Nadia uniosła brew.

– Cynthio, wiesz za co cię lubię? – zapytała i sięgnęła po torebkę. – Za twoją uczciwość i bezpośredniość. Nie ma w tobie nawet szczypty przebiegłości.

Matthew osłupiał na widok tablicy: „Na sprzedaż”.

Gdy rozmawiali wczoraj wieczorem przez telefon, Hermione słowem się nie zająknęła o tym, że wystawiła Domu Pod Złotokapem na rynek. Kiedy zdążyła podjąć tak ważną decyzję?

I co ją do tego skłoniło? Czyżby w ciągu ostatnich kilku miesięcy podupadła na zdrowiu? A może w końcu doszła do wniosku, że ten dom ją przerasta? Może jej finanse przedstawiają się gorzej, niż myślała? Obsztorcował się w myślach za to, że nie dzwonił przez całe lato.

Zatrzasnął bagażnik i przeszedł z torbami na podwórko, gdzie zastał Hermione zajętą podlewaniem pomidorów.

– Wcześniej przyjechałaś – zauważyła.

– Łamiesz prawo. – Pocałował ją i poszedł zakręcić wodę. – Chodź do środka i opowiedz mi, co się dzieje.

– Nie jestem pewna, czy podoba mi się twój ton, Matthew – zaperzyła się. – Zwłaszcza, że jesteś dziś już drugim mężczyzną, który próbuje mnie rozstawić po kątach. Nie jestem głupiutkim dzieckiem, które...

– No, to przestań się zachowywać jak dziecko i daj mi szansę. Czemu mi nie powiedziałaś, że chcesz sprzedać Dom Pod Złotokapem?

– A jak miałam ci powiedzieć? – odparowała. – Nie odzywałeś się przez całe lato. Zresztą to mój dom i mogę go sprzedać, jeśli mam ochotę.

W jej głosie brzmiało zmęczenie, a nawet wyrzuty. Stała w kącie podwórka w starych kaloszach z miękkim wężem w dłoni, a od kałuż wody, które były jej dziełem, odbijało się niskie, wieczorne słońce. Wyglądała jak małe, bezradne dziecko. Ku przerażeniu Matthew jej oczy napędlły się łzami. Podeszedł do niej i wziął ją w ramiona.

– Przepraszam – powiedział. – Wcale nie chciałem cię tak obsztorcować. Po prostu zszokował mnie widok tablicy z napisem: „Na sprzedaż”. Proszę cię, chodź i wszystko mi opowiedz.

Wolno poprowadził ją dookoła, na tyły domu, po schodach i przez trawnik do szklarni. To było ich miejsce na poważne rozmowy. To tam poszli po śmierci Kita i spędzili prawie całą noc wzajemnie się pocieszając.

Słońce przesunęło się na niebie i teraz szklarnię ogarniał głęboki cień. Mimo to było tam nadal ciepło i duszno. Matthew posadził Hermione na jej starym krześle ogrodowym i otworzył wszystkie okna, oprócz tych, których ramy były zbyt spróchniałe.

– Chyba miałaś tu niezłą imprezę – powiedział, przyglądając się butelkom od wina, które stały rzędem pod ławką. Wziął jedną do ręki. – Pouilly Fume – przeczytał etykietę. – Jestem pod wrażeniem.

– To Bernie – wyjaśniła. – Wodzi mnie na pokuszenie.

– Czy to właśnie Bernie zasugerował, żebyś sprzedała Dom Pod Złotokapem?

– Po części, ale tylko dlatego, że mam już tego dość. Matthew, jestem starą kobietą, chcę odpocząć. Czy to taka zbrodnia?

Podeszedł i usiadł obok niej.

– Nic podobnego. No, to jakie masz plany?

Opowiedziała mu o Domku Myśliwskim.

– To ma sens – stwierdził Matthew, gdy już jej wysłuchał. – Coś mi się jednak wydaje, że to wcale nie sprzedaż Domu Pod Złotokapem tak cię wyprowadziła z równowagi. Mam rację? W tej kwestii wydajesz się całkiem zdecydowana. Co jeszcze się wydarzyło?

Opowiedziała mu o wizycie Duncana i o tym, do czego go zmusiła, by potem odmówić mu sprzedaży.

– Być może potraktowałam go trochę okrutnie – wyznała.

Matthew parsknął śmiechem.

– Ile bym dał, by to zobaczyć! Hermione, jesteś nie do przebiccia, naprawdę.

– Ale konsekwencje tego są zatrważające. Och, Matthew, gdybyś widział, jak Ellen i ja

się nazwajem potraktowałyśmy dziś rano... Jakbyśmy były sobie zupełnie obce. Jestem zresztą pewna, że ona przyszła tu tylko w roli posłańca Duncana, żeby spróbować mnie przekonać do zmiany zdania. Całe lato jej nie widziałam, a teraz, proszę bardzo, puka do moich drzwi i mówi mi, że nieuprzejmie potraktowałam Duncana. – Hermione pokręciła głową i znowu zebrало jej się na płacz. – A najbardziej wkurza mnie to, że to wszystko moja wina. Sama ją do tego namawiałam, Matthew. Równie dobrze mogłam powiedzieć: „Idź się sprzedaj za łatwe życie i kupę kasy”. Tak bardzo bym chciała to wszystko odkręcić. Tyle szkody narobiłam. Cały dzień zastanawiam się nad tym, czy nie powinnam do niej pójść i wytłumaczyć jej jakoś, że Duncan to jedna, wielka pomyłka. Bo tak jest, nie mam co do tego wątpliwości.

Matthew opadł na oparcie krzesła. Przez kilka chwil siedział zamyślony, po czym zabrał głos:

– Od kwietnia dużo myślałem o Ellen... – Przerwał i pokręcił głową. – Pewnie sama potrafisz sobie wyobrazić, że to wielkie niedopowiedzenie.

Wyciągnęła rękę i ścisnęła mu dłoń.

– Chyba potrafię.

– No i doszedłem do wniosku, że nikt nie jest w stanie zdecydować za Ellen, czy powinna wyjść za Duncana, czy nie. Jeśli ty czy ja powiemy jej, że z Duncana będzie kiepski mąż, tylko się jeszcze bardziej zaprze. Pamiętasz, jak miałem dziesięć lat i chciałem wspiąć się na starą jabłonkę na dole za posągami Kita i ty mi powtarzałaś, jakie to niebezpieczne i że mam się do tego drzewa nie zbliżać? Przez ciebie jeszcze bardziej chciałem się na nie wspiąć.

– Prawda – uśmiechnęła się. – I gałąź się pod tobą załamała, dokładnie tak, jak przewidywałam, i niewiele brakowało, a skrzyłbyś sobie kark. Doskonale to wszystko pamiętam. Roberta nigdy mi nie wybaczyła.

– Rzecz w tym, że chyba nigdy nie wyrastamy z tego dzieciennego pragnienia udowodnienia swojej niezależności – ciągnął dalej Matthew. – Z Ellen będzie tak samo.

– No, to co możemy zrobić? Nie chcę, żeby sobie skrzyła kark, Matthew.

– Nie skrzy. Już ja o to zadbam. Ale najpierw, dla własnego spokoju, powinnaś chyba przeprosić Ellen. Duncana też, jeśli jesteś w stanie się do tego zmusić. W ten sposób odzyskasz przyjaciółkę, a to właśnie wytrąciło cię tak bardzo z równowagi, prawda?

Kiwnęła głową.

– Co będzie z tobą i Ellen?

Westchnął i przeczesał włosy palcami.

– Spróbuję jeszcze jeden raz. Po to tu przyjechałem.

– Tak myślałam. Czy raczej, taką miałam nadzieję.

– Chyba kompletnie zwariowałem. Nie mam pojęcia, co w niej takiego jest, ale tego lata prawie przez nią postradałem zmysły.

Wyjaśnił Hermione dlaczego poprzednim razem tak nagle wyjechał. Opowiedział jej o listach od Rogera, o tym, że kochał się z Ellen i że potem na scenie pojawiła się Nadia Carter.

Hermione była zszokowana.

– Nigdy mi nie powiedziała, co zrobił Roger...

– Nielatwo o czymś takim rozmawiać. Zwłaszcza, gdy wpędzono cię w poczucie wstydu.

– Biedna Ellen. Biedna, zdezorientowana Ellen. Nic dziwnego, że tak się wyrывa do małżeństwa z Duncanem. Chce wznieść możliwie wysoką barierę, żeby się odgradzić od tego cholernego Rogera. Teraz rozumiem, dlaczego zgadza się z każdym słowem swojego nowego pana i władcy. Była tak blisko utracenia go w kwietniu, że robi wszystko, by mu dogodzić.

– Zgadza się – potwierdził Matthew. – Nie ma to jak groźba utraty czegoś, by naprawdę to docenić... Nawet gdy to nie jest wiele warte.

– To co powinnam zrobić z Domem Pod Złotokapem? Jeśli Duncan złoży ofertę, powinnam ją odrzucić?

– Proszę cię, nie poświęcaj własnego szczęścia dla mnie, nawet o tym nie myśl – stwierdził stanowczo Matthew. – Nigdy bym sobie tego nie wybaczył. – Zauważył, że Hermione się zamyśliła. – O co chodzi?

– Nie jestem pewna. Przypomniła mi się mina Duncana, gdy mu powiedziałam, że zmieniałam zdanie i że dom jednak nie jest na sprzedaż. W jego oczach błysnęło wtedy coś niepokojącego. – Spojrzała na Matthew. – Mnie nie tak łatwo przestraszyć, ale jemu na moment się udało.

Matthew dobrze wiedział, że Hermione nie należy do osób, które fantazjują. Jej opis Duncana mocno go zaniepokoił.

Było już późno. Za oknem pokoju Jo-Jo ledwie wyczuwalna bryza szumiała w drzewach, szeleściła liśćmi i sprawiała, że kraciate zasłonki trzepotały nad parapetem w nogach łóżka.

Przez cały dzień nie robiła nic poza spaniem. Do końca ciąży zostało jej tylko kilka tygodni i czuła coraz większe zmęczenie. Nie pomagało też zamartwianie się próbą samobójczą matki. Po śniadaniu, gdy Ellen poszła się zobaczyć z Hermioną, Jo-Jo zadzwoniła do szpitala. Rozmawiała z pielęgniarką, która była w pracy, gdy jej matkę przyjęto do szpitala. Mama była teraz na oddziale z dwiema innymi kobietami mniej więcej w tym samym wieku, które – z różnych powodów – również znalazły się w podobnej sytuacji. Jo-Jo doszła do wniosku, że pewnie wszystkie miały potwornych mężów, takich jak jej ojczym. Skąd się biorą faceci, którzy czują potrzebę dominowania nad najbliższymi? Czy chodzi o to, że ich żony i dziewczyny to łatwy obiekt? Poczowała ruchy dziecka w brzuchu, i to bardzo mocne. Z miejsca pomyślała, że to musi być dziewczynka i że wymachuje teraz pięścią w odpowiedzi na jej myśli. Bardzo dobrze, powiedziała Jo-Jo do dziecka, nie daj się zdominować mężczyznom... tak, jak ja się dałam.

Po powrocie do szkoły Alan – który podczas ferii wielkanocnych zaczął nosić włosy związane w cienki ogonek – zupełnie ją ignorował. Było to nie lada wyczynem, biorąc pod uwagę fakt, że uczył ją angielskiego i że kilka razy w tygodniu mieli lekcje w małych, dwunastoosobowych grupach. Potem, po blisko dwóch tygodniach, podczas których unikał jej jak ognia, podszedł do niej na korytarzu i oznajmił, że jeśli ma zamiar go szantażować, to wszystkiego się po prostu wyprze, przywoła kwestię jej sytuacji w domu, zasugeruje, że jest urodzoną wicherzycielką z niestabilnej rodziny.

– Och, cóż za polityczna poprawność! – odparowała. – A co, martwisz się, że opieka społeczna zapuka do twoich drzwi i uświadomi twojej żonie, jakim jesteś smętnym cieniem?

Od tego dnia unikał jej jak ognia. O dziwo reszta kadry nauczycielskiej, nie wyłączając dyrekcji, traktowała ją całkiem życzliwie. Spodziewała się, że wyrzucą ją ze szkoły, że będą oskarżać, że jest złym wzorcem dla młodszych uczniów, ale nie padło ani jedno takie słowo. Nawet koledzy z klasy, z którymi przestała się zadawać, gdy zaczęła się spotykać z Alanem, znowu się do niej zbliżyli, powodowani ciekawością. Chcieli wiedzieć, jakie to uczucie, gdy człowiekowi coś rośnie w środku? Dopytywali się kto jest ojcem dziecka? Żartowała, że ufoludki ją porwały i że przespała się z sobowtórem agenta Muldera. Po fackie mogła stwierdzić, że to pewnie byłoby przyjemniejsze niż to, co zaszło w rzeczywistości.

Zamknęła oczy, gotowa pogrążyć się we śnie i wtedy sobie przypomniła, że w poniedziałek dostaną wyniki matur. Zasnęła, trzymając kciuki.

Rozdział trzydziesty pierwszy

Susie powiedziała Matthew, żeby nie przychodził, zanim po niego nie zadzwoni.

– Wariatuńcio wyjdzie z domu dopiero gdzieś koło wpół do jedenastej – wyszeptała przez telefon wieczorem poprzedniego dnia. – Ale na wszelki wypadek, jakby się spóźnił albo jakby nam się przydarzyło coś dramatycznego przy śniadaniu, lepiej niech pan przyjdzie dopiero, jak zadryndam. Dziewczynki już się nie mogą pana doczekać.

Matthew zadzwonił właśnie do drzwi. Jakoś wątpił, że Panna Przenikliwe Oczy czeka z zapartym tchem na jego ponowne pojawienie się w Sadowym Domu.

Po drugiej stronie usłyszał szarpanie się z zamkiem. Gdy w końcu drzwi się otworzyły, stanęła w nich Millie. Uśmiechnęła się do niego nieśmiało. W ręce trzymała swojego pluszowego królika, Ogonka.

– Dzień dobry – wyszeptała. – Mamusia rozmawia przez telefon.

A kiedy ona nie rozmawia?

– Przyniósł pan wszystkie swoje farby?

– Pewnie, że przyniósł – zza pleców Millie odpowiedziała jej starsza siostra, Panna Przenikliwe Oczy. – Inaczej po co by przychodził? No, wpuść go.

Zaprowadziły Matthew do ogrodu zimowego.

Było tam jak w piekle. Nawet z drzwiami balkonowymi otwartymi na oścież nie było czym oddychać. Słońce grzało mocno przez szyby. Matthew pomyślał o czekającej go duchocie. Już teraz był spocony. Zaczął rozstawiać swoje rzeczy na podłodze. Spojrzał na ścianę i z ulgą stwierdził, że szkice były nietknięte. Ten idiota Wariatuńcio przynajmniej nie posunął się do zniszczenia jego dzieła. Nie przyszło mu też do głowy, żeby je zamalować. Matthew uśmiechnął się pod nosem na myśl o tym i stwierdził, że pewnie przerastałoby to możliwości Wariatuńcia.

– Ach, Matthew, jest pan! – zawołała Susie, gdy w końcu do niego dołączyła. – Jak to wspaniale! Bardzo pana przepraszam za te wszystkie wybiegi. Co za ekscytująca sytuacja, czyż nie? Pewnie tak czują się ludzie, którzy mają romanse. Jejku, nie, żebym coś sugerowała... A tak na poważnie to już myślałam, że Wariatuńcio nigdy dzisiaj nie wyjdzie do pracy. Rzadko pracuje w szpitalu w soboty i już zaczęłam się bać, że mi się daty pomyliły. – Przerwała, by złapać oddech. – To, co, zostawić pana, żeby mógł pan się zabrać do roboty?

– Tak pewnie będzie najlepiej – odparł szybko.

Wróciła dziesięć minut później.

– Będzie to panu potrzebne, prawda?

Podąa mu drabinkę.

Pół godziny później pojawiła się znowu.

– Na pewno umiera pan z pragnienia.

Podąa mu szklankę wody mineralnej.

A potem przyszła pora na lunch.

Wrócił do pracy po zjedzeniu kanapki z kurczakiem i wypiciu puszki piwa. Minęło dwadzieścia minut, gdy ona znowu wsadziła głowę przez drzwi.

– Da mi pan znać, gdyby pan czegoś potrzebował?

Co za beznadzieja. Kompletna beznadzieja! Czy ona go kiedykolwiek zostawi w spokoju?

Och, Ellen, mam nadzieję, że jesteś tego warta!

Hermione zrzuciła kalosze i wsunęła rozgrzane stopy w parę starych, skórzanych sandałów. Jeden z pasków ledwo się trzymał i pewnie nie dotrwa do końca lata. Zerknęła do lustra nad zlewem w oranżerii i przyglądała włosy. Zauważyła, że ręce ma uwalane błotem, bo

właśnie wykopywała młode ziemniaki. Odkręciła kran i zaczęła się myć. Zamierzała wybrać się do Ellen i chciała przynajmniej wyglądać czysto i schludnie.

Zadzwoił telefon.

– Pani Rowlands? Dzień dobry. Mówi Trudi... Trudi z Harker and Company.

– Dzień dobry – odpowiedziała Hermione, z pewną powściągliwością.

Spodziewała się obsztorcowania za odstraszenie potencjalnego kupca.

– Dobra wiadomość jest taka, że złożono ofertę.

– A zła?

– Obawiam się, że jest niższa niż cena wyjściowa.

– A... Eee... Kto złożył ofertę?

– Pan Carter. Właśnie dzwonił. – Po drugiej stronie słuchawki Trudi ścisnęła kciuki i wszystkie inne palce. – Wspomniał o jakiejś niezręcznej sytuacji, do której doszło między państwem w czwartek wieczorem, gdy przyszedł obejrzeć dom. Coś o tym, że pani zmieniła zdanie i jednak nie chce sprzedać domu. – Wstrzymała oddech. Boże, błagam, niech to się okaże nieprawdą. Może to tylko głupie nieporozumienie? Zaciśnęła mocno dłoń na słuchawce. Myślała o półtoraprocentowej prowizji, którą miała już prawie jak w banku.

Hermione przypomniała sobie słowa Berniego o tym, żeby nie dała sobie odmrozić uszu na złość mamie. Myślała też o tym, co powiedział jej Matthew w szklarni.

– Na Boga! Co też ten żartowniś opowiada? Oczywiście, że chcę sprzedać dom. Ile zaoferował?

Trudi odetchnęła z ulgą, puściła kciuki i inne palce i rozsiadła się wygodniej w fotelu.

– Proszę pamiętać, że na rynku panuje teraz zastój...

– Nie to słyszałam kilka tygodni temu w wiadomościach. W zeszłym miesiącu sprzedało się więcej domów niż w ciągu ostatnich...

– Niestety średnia państwowa niekoniecznie oddaje sytuację w konkretnych hrabstwach...

– Proszę mi po prostu powiedzieć, na ile próbuje mnie naciągnąć, dobrze?

– Złożył ofertę na trzysta tysięcy.

– I?

– I tyle. Trzysta tysięcy funtów.

Szyderczy śmiech Hermione rozniósł się po Domu Pod Złotokapem, podobnie jak po wyłożonym fioletowo-zielonymi dywanami biurze Harker and Company.

– Co mam mu powiedzieć, pani Rowlands?

– Jest pani kochana – odpowiedziała oschle Hermione. – Nie wydaje mi się jednak, by nadawała się pani do przekazania tego, co miałabym do powiedzenia panu Carterowi.

– Myślę, że nie należy postępować pochopnie – powiedziała cierpliwie Trudi, nachylając się do przodu w swoim fotelu. Starsi wiekiem klienci potrafią być naprawdę kłopotliwi, nie mają pojęcia o tym, jak działa rynek i jak rozgrywać takie sytuacje. – Pan Carter jest poważnie zainteresowany, może spróbujemy go lekko docisnąć i wynegocjować odpowiedniejszą sumę?

– Lekko go docisnąć? Jego trzeba by przejechać walcem!

– Czy mam mu powiedzieć, że...

– Proszę mu powiedzieć, żeby zaproponował bardziej realistyczną sumę albo niech o tym zapomni. Do widzenia.

Hermione odłożyła słuchawkę i zdecydowała, że lepiej będzie pójść od razu do Ellen i się z nią pogodzić, nim Mów-mi-Trudi zadzwoni do Duncana, a on znowu zacznie Ellen suszyć głowę.

Była w połowie Beggarman's Lane i zatrzymała się, żeby popatrzeć na rusałkę admirała,

który trzepotał swoimi pięknymi skrzydełkami na kwiecie powoju, gdy dostrzegła znajomą sylwetkę drepczącą ociężałe w jej stronę.

– Jo-Jo! Co ty tu robisz? Rany boskie, ależ ty jesteś wielka!

Jo-Jo się uśmiechnęła i przejechała dłonią po swoich bawełnianych ogrodniczkach.

– Zaraz się rozsypię, co?

Hermione ją ucałowała.

– Kiedy przyjechałaś?

– Przedwczoraj. – Opowiedziała Hermione o swojej matce i o tym, że Ellen ją do siebie zaprosiła. – Nie chciałam zostać sama z ojczymem. Nie mogłam znieść perspektywy milczenia i spojrzeń pełnych oburzenia.

Hermione poczuła przyływ cieplejszych uczuć do Ellen. Być może siedziała Duncanowi pod pantoflem, ale przynajmniej w kwestii Jo-Jo postąpiła, jak należy. Szkoda tylko, że nie przyszło jej do głowy, by poinformować Hermione o wizycie ich młodej przyjaciółki.

Jo-Jo czytała jej chyba w myślach:

– Co zaszło między panią a panią Ellen? Wróciła wczoraj od pani straszliwie skwaszona.

– To trochę skomplikowane, ale przyszłam przeprosić Ellen. Miałyśmy małą kłótnię.

– To miało coś wspólnego z Duncanem?

– Jakaż ty jesteś spostrzegawcza. No, chodź, tu jest za gorąco, żeby tak stać i plotkować.

Dokąd szłaś?

– Do pani, więc oszczędziła mi pani spaceru.

Poszły razem w stronę stodoły, przed którą zaparkowanych było kilka samochodów.

– Ojej – zmartwiła się Hermione. – Miałam nadzieję złapać Ellen na osobności. Nie będę się przecież kajać przy obcych.

– Proszę się nie martwić – roześmiała się Jo-Jo. – Ja tu wszystkiego przypilnuję, a wy idźcie się pogodzić.

– Może pójdziesz do środka i powiesz Ellen, że przyszłam?

Ellen wyszła na zewnątrz i uśmiechnęła się niepewnie do

Hermione.

– Jo-Jo mówi, że chcesz ze mną porozmawiać. Pójdziemy do domu?

Hermione pokręciła głową.

– Nad strumieniem panuje chyba przyjemny chłód.

Usiadły w cieniu pod wierzbą. Na początku ani jedna ani druga nie bardzo wiedziały, co powiedzieć. Ellen bawiła się długim źdźbłem trawy, a Hermione poprawiała pasek swojego sandała niczym małe dziecko, które się martwi ruszającym się zębem. W końcu pasek się urwał.

– Ojej, będę się musiała wybrać do sklepu charytatywnego Oxfamu po zakupy.

Ellen podniosła na nią oczy znad źdźbła trawy.

– Lubiłyśmy grzebać w Oxfamie, prawda?

Hermione uśmiechnęła się do Ellen.

– Pamiętasz, jak kupiłyśmy torebkę i znalazłyśmy w niej dziesięć funtów?

– Poszłyśmy prosto do kawiarni i wydałyśmy wszystko na herbatę i ciastka.

Obie znowu zamilkły.

– Przepraszam cię, Ellen – powiedziała w końcu Hermione. – Przepraszam, że byłam nieuprzejma w stosunku do Duncana i że zrobiłam z niego głupka.

– Ja też cię przepraszam. Zaniedbałam cię przez te ostatnie kilka miesięcy. To niewybaczalne.

Hermione pokręciła głową.

– Nic nie jest niewybaczalne, Ellen.

– Wiem, że nie przepadasz za Duncanem – oznajmiła Ellen. – Wiem, że on może się wydać nieco nudny. Taki już jest. Lubi ład i porządek. Chyba nie nawykł do ludzi, którzy robią sobie z niego żarty. Sprawy między nim a Nadią są teraz napięte, ona naprawdę mu niczego nie ułatwia. To dlatego tak desperacko chce znaleźć dom, żebyśmy się mogli pobrać.

Hermione z trudem powstrzymywała się przed wyrażeniem swojej opinii. Miała teraz ochotę krzyknąć do Ellen, że Duncan nadaje się na męża dla niej nie bardziej niż Kaczor Donald. Ale obiecała Matthew, że rozegra sprawy tak, jak chciał, a to znaczyło, że musiała trzymać buzię na kłódkę.

– Ellen, czy wiedziałaś, że Duncan złożył dziś rano ofertę kupna mojego domu?

– Nie – odpowiedziała. – Nie wiedziałam.

– Rzecz w tym, że jego oferta jest za niska, więc... więc ją odrzuciłam.

– Och.

– Spójrz na to z mojej perspektywy. Muszę wycisnąć z tego domu tyle, ile się da, bo chciałabym się przeprowadzić do Domku Myśliwskiego.

– Do Domku Myśliwskiego? Zawsze myślałam, że nie znosisz idei domu starców. Tyle się z nich naśmiewałaś.

– Uwierz mi, to nie jest zwykły dom starców, a luksusowa rezydencja dla emerytów. Nie podjęłam tej decyzji pochopnie. Całe lato o tym myślałam. – Strzepnęła mrówkę, która maszerowała jej po kostce. – Jestem już zmęczona szarpaniem się z Domem Pod Złotokapem. Chcę odpocząć. Tyle lat ledwie wiązałam koniec z końcem, należy mi się teraz trochę przyjemności z życia.

– Duncan już wie, że odrzuciłaś jego ofertę?

Hermione zerknęła na zegarek. Od rozmowy z Mów-mi-Trudi minęła godzina.

– Pewnie już wie.

Ellen westchnęła. Nie spieszyło jej się do następnej rozmowy z Duncanem.

Rozdział trzydziesty drugi

Nie będę mógł przyjść – odezwał się Duncan ze spiżarni, dokąd poszedł po nowy słoik kawy. Zamiast tego rozglądał się jednak za butelkami sherry należącymi do Nadii. Ku swojemu zaskoczeniu nic nie mógł znaleźć. Pewnie zrobiła się sprytniejsza i przeniosła je do innego schowka z miejsca za starym pojemnikiem na mąkę na górnej półce.

Opuścił spiżarnię i zastał matkę siedzącą przy długim stole, zajętą lekturą „Daily Telegraph”.

– Zapomniałeś o kawie – powiedziała, podnosząc głowę znad kolumny sportowej i patrząc na jego puste dłonie.

– Skończyła się.

– Nie gadaj głupstw. Oczywiście, że się nie skończyła. – Wstała i poszła do spiżarni. – A nie mówiłam? – Wróciła prawie natychmiast z nowym słoikiem Nescafe. Podała go synowi, po czym wróciła do przerwanej lektury artykułu na temat amerykańskiej golfistki w daszku przeciwsłonecznym wyposażonej w duże, nieskazitelne zęby. – Dla mnie czarna.

– Czarna?

– Owszem, to właśnie powiedziałam, Duncanie. Słuch też ci już wysiada, nie tylko wzrok? Aha, i tylko jedna łyżeczka cukru.

Duncan odstawił słoik z kawą na blat kuchenny koło czajnika. Można by pomyśleć, że Nadia jest na diecie. Ostatnio na śniadanie jadła tylko pół grejpfruta zamiast normalnego zestawu dwóch tostów i dużej miseczki płatków śniadaniowych Fruit'n'Fibre. Lodówka pękała w szwach od pożywienia dla królików.

– Nie odpowiedziałeś na moje pytanie. – Nadia podniosła wzrok. – Dlaczego nie możesz iść na kolację u Kovalów w przyszłą sobotę? Cynthia zaprosiła nawet Ellen.

Odkręcił nakrętkę słoika z kawą i wyjął nóż z szuflady ze sztućcami, żeby przebić foliową osłonkę.

– Mam kolację Towarzystwa Prawniczego w Manchesterze – powiedział.

– Nieprawda. Już to sprawdziłam z twoją sekretarką.

Cisnął nóż i odwrócił się do niej.

– Nie masz prawa wtrącać się w moje życie prywatne.

– Ta zasada działa w dwie strony? – zapytała.

Przyglądała mu się z zaciekawieniem.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Myślę, że wiesz. – I ciągnęła dalej tonem, którego Duncan nie rozpoznawał: – Nie bez powodu zależy mi, żebyś zjawił się w sobotę u Kovalów. Chciałabym przedstawić ci przyjaciela. Nazywa się Nigel.

Duncanowi przetrwanie tej informacji zabrało kilka sekund.

– Przyjaciel? Co chcesz przez to powiedzieć?

– Wydaje mi się, że całkiem jasno się wyraziłam. Jeśli musisz wiedzieć, Nigel i ja stworzyliśmy związek.

Duncan odsunął się i stanął na szczycie stołu, gdzie zwykle siedział. Oparł dłonie na oparciu krzesła.

– Nigel – powtórzył. – Co za Nigel? Z takim imieniem mógłby sprzedawać samochody.

Po drugiej stronie stołu Nadia starannie wygładziła gazetę. Zamknęła ją, złożyła na pół i jeszcze raz na pół. Gdy skończyła, oznajmiła:

– Jeśli chcesz się czegoś dowiedzieć o Nigelu, to sugeruję, byś przyszedł do Cynthii

w przyszłą sobotę. – Wstała. – Zmieniłam zdanie, już nie chcę kawy. Myślałam, że jest wcześniej. Wrócę późno.

- Dlaczego? Gdzie idziesz?
- Do fryzjera.
- Znowu? Przedwczoraj byłaś.
- Idę znowu.
- O której wrócisz?
- Wrócę jak wrócę.

I wyszła z kuchni. Duncan zastanawiał się nad potencjalnymi konsekwencjami tego, czego się właśnie dowiedział od matki.

Nigdy nie przyszło mu do głowy, że Nadia mogłaby powtórnie wyjść za mąż. Nawet w najśmielszych snach nie brał takiej ewentualności poważnie pod uwagę.

Niedługo nad tym rozmyślał, bo zadzwonił telefon.

Rozmowa z agentką nieruchomości nie poprawiła mu humoru. Hermione Rowlands odrzuciła jego ofertę.

Przez następną godzinę snuł się rozgniewany po domu. Wiedział, że nie ma sensu jechać do Ellen. W sobotnie popołudnie jest na pewno zbyt zapracowana, by z nim porozmawiać. Poszedł więc do swojego gabinetu i wyładował złość na panu Yatesie ze sprawy Yates kontra Yates – nagrał na dyktafon miażdżący atak do przepisania dla sekretarki w poniedziałek z samego rana. Podyktował jeszcze kilka innych listów, a o szóstej zadzwonił do Ellen do domu. Odebrała wojownicza przyjezdna.

- Jest Ellen? – zapytał.
 - Jest.
 - I?
 - I co?
 - Chcę z nią rozmawiać.
 - Chyba chciał pan zapytać, czy mógłby pan z nią rozmawiać?
 - Robisz to specjalnie?
 - Niby co?
 - Och, na litość boską, daj mi Ellen do telefonu.
- Minęło kilka minut i w końcu usłyszał głos Ellen.
- Witaj, Duncanie – powiedziała pogodnie.
 - Przyjadę się z tobą zobaczyć. Będę za kwadrans.

Ellen uznała, że – biorąc pod uwagę nastrój, w jakim zdaje się jest Duncan – najlepiej będzie, jeśli Jo-Jo zniknie z horyzontu na czas jego wizyty.

– Może pójdziesz sprawdzić, co słychać u Hermione? – zapytała, wchodząc do kuchni, gdzie Jo-Jo była zajęta sprzątaniami. – Na pewno ucieszą ją twoje odwiedziny.

Jo-Jo przerwała pracę i odłożyła ścierkę.

– O niego chodzi, tak? Jedzie tutaj?

Ellen kiwnęła głową.

– Jest w kiepskim humorze, bo Hermione odrzuciła jego ofertę. Chyba będzie najlepiej, jak zostanę sama, gdy przyjedzie. Nie obrazisz się?

– Oczywiście, że nie.

Niedługo po wyjściu Jo-Jo samochód Duncana skręcił w uliczkę prowadzącą do domu. Ellen przygotowała się na najgorsze. Gdyby tylko mogła przekonać go do kupna innej posiadłości!

Próbowała załagodzić sytuację kieliszkiem wina. Gdy tylko skończyła rozmowę

z Duncanem, włożyła butelkę do niewielkiego zamrażalnika lodówki. Miała nadzieję, że trunk zładźy się wystarczająco schłodzić i że dzięki temu Duncan się nie zorientuje, że to tanie wino, jakiego normalnie nawet by nie tknął. Próbowwała namówić go na spacer po ogrodzie, ale odmówił.

– Nie, wolę zostać w środku.

Krażył po pokoju, a ona przysiadła na siedzisku przy okiennej wnęce, wdzięczna za lekki wietrzyk wpadający do środka zza otwartego okna. Czekwała, aż się odezwie.

– W głowie mi się nie mieści, że tak postąpiła. Myślałem, że zamienisz z nią słowo.

Miałaś pójść się z nią zobaczyć.

No i się zaczęło.

– Poszłam, Duncan – powiedziała spokojnie. – Widziałam się z Hermione dwa razy, ale nie mogę jej zmusić do zrobienia czegoś, czego ona nie chce zrobić. Nikt tego zrobić nie może. Nie mógłbyś jej zaproponować wyższej kwoty?

– Zaproponowałem zdecydowanie więcej, niż ten dom jest wart. Nie dostanie lepszej...

– To może powinniśmy rozejrzeć się gdzie indziej.

Zamarł, podszedł i stanął przed nią.

– Ellen, zupełnie cię nie rozumiem. Nie chcesz Domu Pod Złotokapem?

Wyciągnęła do niego ręce.

– Właściwie nie bardzo – powiedziała cicho.

Wpatrywał się w nią w osłupieniu.

– Dlaczego nie?

– Bo... bo mam poczucie, że to nie na miejscu. To dom Hermione i zawsze tak zostanie.

– Cóż, nie zgadzam się z tobą. Moim zdaniem to idealny dom dla nas i nie zamierzam się wycofać tylko dlatego, że ciebie poniosły sentymenty. Poza tym ja się chcę ożenić. Jestem zmęczony czekaniem. Pomyśl tylko, w przeciągu kilku miesięcy moglibyśmy być małżeństwem i mieszkać we własnym domu. Nie chcesz tego?

Uśmiechnęła się i pomyślała, jak miło by było mieć to wszystko już załatwione. Niechby już znikły te wszystkie konflikty i niechby Duncan znowu był sobą.

– Oczywiście, że chcę. Najbardziej na świecie.

– No, to może pójdziemy razem zobaczyć się ze starszą panią? Zadzwońmy do niej i sprawdźmy, czy będzie współpracować, co, Ellen?

Ellen zrobiła to, o co ją poprosił.

– Doskonały pomysł – zawołała Hermione po drugiej stronie słuchawki, gdy Ellen przedstawiła jej propozycję Duncana. – Najlepiej tego nie odkładajmy. Może wpadniecie za jakąś godzinę? Jest Bernie i Jo-Jo, no, ale to przecież wiesz. Aha, jest też Matthew. Urządzimy sobie małe przyjęcie, co?

Ellen przekazała Duncanowi zaproszenie Hermione. Dobrze wiedziała, że nie o to mu chodziło.

– Czy z tą cholerną kobietą nic nie jest proste? – zapytał.

Roześmiała się i stwierdziła, że już nie może się doczekać reszty wieczoru.

Ellen zaprowadziła Duncana przez podwórko z boku Domu Pod Złotokapem, gdzie natknęli się na dwa sznurki z praniem schnącym w niskim, wieczornym słońcu. Gdy się pod nimi przemykali, guzik marynarki Duncana zaplątał się w bieliznę Hermione. Klamerka puściła i teraz z rękawa sugestywnie zwisał mu stanik. Dokładnie w tym momencie pojawił się Matthew.

– Dobry wieczór – powiedział, odnotowując zażenowanie Duncana. – Dobrze wyglądasz, Ellen.

Nie próbował jej pocałować, co ją zaskoczyło. Co więcej, trzymał dłonie przy sobie.

Odniosła wrażenie, że próbuje ograniczyć kontakt fizyczny między nimi, jakby bał się nie mniej niż ona, że powtórzy się to, co wydarzyło się w przeszłości.

– Hermione zaraz zejdzie na dół – oznajmił Matthew. – Właśnie się przebiera.

Po czym odwrócił się do Duncana, który poradził już sobie z kłopotliwym elementem świeżo wypranej garderoby. Uścisnęli sobie dłonie.

– Tym razem mnie pan pamięta? – zapytał Matthew.

Uwagze Ellen nie umknął ostry ton głosu Matthew, ale Duncan zdaje się nie wyłapał jego sarkazmu.

– Czy myśmy się nie poznali u Buchananów? – odparł.

– Ma pan doskonałą pamięć – powiedział Matthew wspaniałomyślnie i klepnął Duncana po ramieniu, jakby byli kumplami. – Może przejdziecie do ogrodu? – zwrócił się do obojga. – Bernie i Jo-Jo już się rozgrzewają.

– Rozgrzewają się? – powtórzył Duncan ostrożnie, idąc za Matthew.

– Postanowiliśmy urządzić przyjęcie z krokietem. Dobry pan jest w krokietu, Duncanie? Duncan się rozluźnił i uśmiechnął.

– Kiedyś byłem niezły. Grałem na studiach.

Matthew też się uśmiechnął.

– Tak myślałem.

Jo-Jo i Bernie siedzieli po dwóch stronach dużego, nakrytego obrusem stołu przed altaną. W dalszej części ogrodu czekały już bramki do krokietu. Jo-Jo sączyła sok pomarańczowy, podczas gdy Bernie przygotowywał sobie szklankę alkoholowego koktajlu owocowego Pimm's. Miał na sobie kremowe spodnie i kremową koszulę z podwiniętymi rękawami. Wyglądał odpowiednio do okazji. Zawiązał sobie nawet fular pod szyją.

– Ellen – zawołał Bernie. – Jak miło cię znowu zobaczyć i jak pięknie wyglądasz! Już się nie mogę doczekać aż cię skrokietuję w krzaki.

Duncan przewrócił oczami. I wtedy zauważył Hermione, która szła do nich przez trawnik od strony domu. Miała na sobie jaskrawozielony, ortalionowy dres, dobraną kolorystycznie opaskę na głowie i duże adidas-y.

– Świetna zabawa, co? – zawołała z uszczęśliwionym uśmiechem na twarzy. – Pomyślałam, że się ubiorę stosownie do okazji, skoro czeka nas sportowe przyjęcie.

Ellen też się uśmiechnęła. Znała ten dres. Hermione kupiła go pod wpływem impulsu razem z adidasami w sklepie charytatywnym Oxfamu.

– To Matthew wpadł na ten pomysł – ciągnęła dalej rozentuzjasmowana Hermione. – Znalazł mój stary zestaw do krokietu na strychu i zasugerował, żebyśmy go trochę przewietrzyli. Co kto pije? Bernie, ile już wypieś?

– Jeszcze nie dość, moja mała Hermaseto.

Zachichotał i już miał napelnić dwie wysokie szklanki koktajlem owocowym, jedną dla Ellen, a drugą dla Duncana.

Duncan odmówił gestem.

– Ja się napiję czegoś bezalkoholowego, bo prowadzę.

– Och, nie zostaje pan u Ellen na noc pełną namiętności?

– Hermione! – rzucił ostrzegawczo Matthew.

Hermione powiodła dookoła niewinnym wzrokiem.

– Kochani, bardzo przepraszam, ale to zupełnie naturalne założenie w dzisiejszych czasach, nie uważacie? To co, dobieramy się w pary i zaczynamy?

Duncan przysunął się bliżej Ellen.

– O, nie – roześmiała się Hermione. – Duncan, pan zagra ze mną. W ten sposób pomieszymy interesy z przyjemnością. Ellen, ty będziesz w parze z Matthew. Oczywiście, jeśli dasz się odciągnąć od swojego amanta. Bernie i Jo-Jo stworzą śliczną parę baryłeczek. Prawdziwi Tweedledum i Tweedledee.

– Ale jak my będziemy grać w szóstkę? – dopytywał się Duncan. – W przeszłości grałem tylko w klasycznego krokietu.

– Och, co za nuda, drogi Duncanie – powiedziała Hermione. – Nigdy nie jest za późno na naukę czegoś nowego. Proszę ze mną, wytłumaczę panu zasady naszej gry.

Wszyscy odstawili szklanki i ruszyli za Hermione i Duncanem do słupka początkowego, gdzie wybrali sobie młotki i kolory.

– Ale to są niewłaściwe kolory – stropił się Duncan. – Powinniśmy mieć tylko cztery kule: czerwoną, czarną, żółtą i niebieską. To wszystko jest wysoce niekonwencjonalne. Nigdy nie widziałem fioletowej i pomarańczowej kuli.

– Zgadza się – zgodziła się z nim Hermione. – To niekonwencjonalne, ale tak właśnie działamy w Domu Pod Złotokapem. W ten sposób każdy będzie miał swoją kulę. Tak jest weselej i przynajmniej nikogo nie pominiemy.

– Duncan, skoro jest pan ekspertem, to może pan zacznie? – zasugerował Matthew.

– Nie nazwałbym siebie ekspertem.

Schylił się i ustawił swoją czarną kulę w odpowiedniej odległości od pierwszej bramki. Dłuższą chwilę przydeptywał wysuszoną trawę i ustawiał się w odpowiedniej pozycji, następnie wykonał kilka próbnych zamachów.

Matthew z trudem panował nad śmiechem.

– Całe lata nie grałem – oświadczył Duncan, wbijając kulę prosto przez bramkę.

Zatrzymała się w połowie odległości do kolejnej bramki, idealnie ustawiona do strzału.

Duncan podszedł tam, by ustawić się do następnego uderzenia.

– Wybrałam sobie idealnego partnera, co? – powiedziała Hermione. – Ellen, teraz twoja kolej.

Ellen nie trafiła.

Podobnie jak Jo-Jo.

Matthew i Berniemu też nie poszło, za to Hermione trafiła bez trudu i dołączyła do Duncana.

Duncan wykonał kolejny zamach. Kula przeleciała przez bramkę.

– Niewiarygodne, jak szybko człowiek sobie wszystko przypomina – zawołał w stronę grupki stojącej nadal przy pierwszej bramce.

Ellen pierwszy raz widziała Duncana w dobrym humorze pośród jej przyjaciół, więc trochę się rozluźniła. Nie wpłynęło to jednak na poprawę jej gry. Jo-Jo z Berniem gonili już Duncana i Hermione, podczas gdy ona z Matthew pozostali z tyłu.

– Oszukujemy? – zapytał szeptem.

Roześmiała się.

– Trochę wstyd, gdy się nie jest w stanie pokonać nawet pierwszej bramki, co?

– Coś o tym wiem! – mruknął, myśląc o sobie i Ellen. Szturchnął ukradkiem jej czerwoną kulę i ustawił ją do strzału. – No, dalej – powiedział. – Nikt się nie zorientuje.

Stuknęła kulę i uśmiechnęła się uszczęśliwiona, gdy przeleciała przez metalową bramkę. Uderzyła jeszcze raz i poczekała, aż Matthew odda swoje strzały. Stali koło siebie i patrzyli przez trawnik na Duncana, który zamachnął się mocno i posłał swoją kulę w kulę Jo-Jo.

– Myślisz, że Hermione przemyśli jeszcze raz ofertę Duncana? – Ellen zapytała Matthew.

– A ty myślisz, że zaoferuje więcej?

– Być może, chociaż nie mów mu, że tak powiedziałam. Wiem po prostu, że bardzo chce kupić ten dom.

– A ty? – Udała, że trenuje zamach. – Ellen?

Podniosła na niego wzrok.

– Nie – odparła. – Nie bardzo, ale jeśli tego chce Duncan... Jeśli to go uszczęśliwi...

– A co z twoim szczęściem?

– Ależ ja jestem szczęśliwa.

– Lepiej weźcie się do roboty – zawołała do nich Jo-Jo, która była już za drugą bramką. – Ellen, twoja kolej.

Ellen stanęła w rozkroku i zamachnęła się lekko młotkiem, żeby się przygotować do uderzenia w kulę z maksymalną siłą. Wstrzymała oddech, by lepiej się skoncentrować.

W tym momencie wyczuła ruch Matthew za swoimi plecami.

– Przestań się ruszać – powiedziała. Znowu się poruszył. – Dekoncentrujesz mnie.

Stanął obok niej.

– Ellen, wyjdiesz za mnie?

Czerwona kula Ellen poszybowała pod kątem w powietrze, wpadła pod stół z napojami i przeleciała na jego drugą stronę, prosto do altany.

– Ellen, proszę cię...

– Usłyszałam cię za pierwszym razem – powiedziała słabym głosem i poszła poszukać swojej kuli.

– Matthew, twoja kolej – zawołał Bernie, oparty nonszalancko o swój młotek.

Bez najmniejszej finezji Mathew posłał swoją kulę w stronę altany.

– Coś kiepsko wam idzie, co? – krzyknął Duncan, który był już blisko trzeciej bramki.

– A żebyś wiedział – mruknął do siebie Matthew. – No i?

– zwrócił się do Ellen, gdy stanął obok niej. – Nie odpowiesz mi?

– Dobrze wiesz, że wychodzę za mąż za Duncana, więc czemu to robisz?

Opadła na kolana i zabrała się za szukanie kul w najdalszym zakątku altany, pośród chaosu tac z sadzonkami, potłuczonych doniczek i starych narzędzi ogrodniczych. Znalazła ją pod wiklinowym fotelem zaraz obok Matthew.

– Proszę – Popchnęła jego kulę, gdy przyklęknął obok niej.

Zignorował to, wziął jej rękę, uniósł do ust i pocałował otwartą dłoń.

– Przestań, ludzie zobaczą.

– Niech zobaczą, mam to gdzieś.

– Ale ja nie. Mam dużo do stracenia.

– A ja mam wszystko do zyskania.

Próbowała wyrwać mu dłoń, ale trzymał ją mocno i znowu całował, delikatnie muskając wargami skórę. Serce zaczęło jej bić mocno, poczuła prąd wędrujący z dłoni w górę ramienia.

– Proszę cię, nie rób tego.

Zrobił to znowu.

– Matthew, przestań.

Była przerażona reakcją własnego ciała. Jeśli czegoś zaraz nie zrobi – i to szybko – to skończy się tak, jak wtedy, na podłodze w dużym pokoju.

– Nie. Aż cię przekonam, że poprosiłem cię o rękę, bo cię kocham.

Ich twarze dzieliło zaledwie kilka centymetrów. Wpatrywała się w ciemniejące otchłanie jego piwnych oczu. Na jego twarzy malowało się głębokie oddanie i miłość. Wiedziała, że powiedział prawdę.

– Wychodzę za mąż za Duncana – wyszeptała, ze wszystkich sił starając się trzymać

resztek zdrowego rozsądku, jakie jej jeszcze pozostały.

– Ellen, nie mogę ci na to pozwolić. Nie mogę stać i patrzeć, jak wychodzisz za kogoś innego. Nie rozumiesz, jak bardzo cię Kocham?

Nie mogła znieść tego, co malowało się w jego oczach. Bała się też, co on może dostrzec na jej twarzy. Zebrała się więc w sobie i spuściła wzrok. Wolno uwolniła swoją dłoń z jego uścisku.

– Proszę cię, Matthew, nie rób mi tego... ani sobie.

– Nie jestem w stanie nad sobą zapanować – wymamrotał przygnębiony. – A ty naprawdę mi nie ułatwiasz.

– Przepraszam, wcale nie miałam takiego zamiaru. – Podała mu jego kulę. – Chyba powinniśmy wracać do pozostałych.

– Owszem, i udawać przed wszystkimi, że nic się nie wydarzyło, tak jak wcześniej udawaliśmy, że się nie kochaliśmy na podłodze u ciebie w...

Powstrzymała go gestem dłoni.

– Matthew, błagam cię. To była pomyłka. Nie jestem dumna z tego, co zrobiłam.

– A powinnaś być. Wyglądałaś wtedy przepięknie.

Zażenowana, odwróciła wzrok.

– Nie będziesz utrudniał?

Jego twarz pociemniała.

– Będę wzorem dyskrecji, Ellen. Nie masz się czym martwić.

– To dobrze.

– No, to by było na tyle – powiedział beznamiętnie.

– I już mi się więcej nie oświadczysz?

Pokręcił głową.

– I nie będzie więcej pocałunków?

– Ellen, przestań się nade mną znęcać. I tak zrobiłem z siebie idiotę, nie musisz tego jeszcze pogarszać. A jeśli odważysz się zaproponować, byśmy zostali przyjaciółmi, to, niech mi Bóg miły, zabiję Duncana gołymi rękami, i to z przyjemnością.

Ellen się uśmiechnęła. Zapadło milczenie, które przerwało uderzenie drewna o drewno i triumfalny okrzyk Duncana:

– Zdaje się, że jestem generalnym zwycięzcą!

Było już późno, gdy wracali do niej do domu. Niebo było ciemne, a powietrze gęste i ciepłe. Nad strumieniem unosiły się insekty, a nad stodołą krążyły nietoperze.

Ellen dawno nie widziała Duncana w tak dobrym humorze. Miał ku temu powody. Nie dość, że wygrał trzy rundy krokieta, to jeszcze Hermione Rowlands zgodziła się ponownie rozważyć jego ofertę kupna Domu Pod Złotokapem.

– Teraz już nie ma żadnych przeszkód, żebyśmy się pobrali – powiedział, gdy Jo-Jo poszła przodem i weszła do domku, a oni zostali sami.

– Absolutnie żadnych – wymamrotała Ellen, wpatrując się w otaczającą ich ciemność.

Rozdział trzydziesty trzeci

W poniedziałek rano Duncan odzyskał z powrotem kontrolę nad sytuacją.

Czuł się tak, jakby w sobotę wieczorem ktoś zdjął mu z ramion ogromny ciężar. Jeden z młodszych partnerów w firmie już rozpoczął przygotowywanie dokumentów przeniesienia własności Domu Pod Złotokapem, a Howard, stary kolega, zajęty był organizowaniem oględzin rzeczoznawcy. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, to być może w ciągu miesiąca podpiszą umowę, a on i Ellen będą mogli zostać mężem i żoną.

Postanowili wziąć tylko ślub cywilny, bo żadne z nich nie chciało zamieszania ani problemów ze znalezieniem księdza gotowego udzielić ślubu rozwódce. Oczywiście Nadii się ten pomysł nie spodobał. Uświadomił sobie jednak, że ostatnio praktycznie przestała się odzywać na temat jego zbliżającego się małżeństwa. Znał swoją matkę na wylot, więc uznał, że pewnie postanowiła spróbować innej taktyki. Kilka razy zaserwowała mu milczącą naganę. Dopiero teraz zrozumiał jednak, jak bardzo się pomylił. Przez kilka ostatnich tygodni Nadia nie wyzłościwała się na jego i Ellen temat, bo przestało ją to interesować. Była zbyt zajęta Nigelem – Nigelem! – by wtrącać się w sprawy Duncana.

Zaśmiał się przelotnie. Nic dziwnego, że lodówka Crantsford Hall nagle zapełniła się sałatą i grejpfrutami. Nic dziwnego, że Nadia tyle czasu spędza u fryzjera. Wczoraj po południu przyłapał ją nawet na tym, jak się wdzięczyła przed lustrem w salonie.

Co za absurd.

Już się nie mógł doczekać następnej soboty. Postanowił przyjąć zaproszenie na kolację u Kovalów, bo, szczerze mówiąc, nie mógł przepuścić takiej okazji. Zasugerował nawet, by Nigel wpadł do nich wcześniej na drinka, skąd razem pojedą do Henry'ego i Cynthii. Chciał dobrze się przyjrzeć mężczyźnie, który walczy o miejsce dla siebie w Crantsford Hall.

Wczoraj podczas lunchu w klubie golfowym Duncan próbował zabawić się w detektywa, ale dowiedział się tylko tego, co powiedziała mu już wcześniej sama Nadia: że Nigel Wade jest wdowcem, że dopiero niedawno przeprowadził się do Crantsford, by rozpocząć nowe życie i zapisał się do klubu. Magnus Jefferson zasugerował, że raczej nie przewiduje problemów z opłacaniem składek w klubie.

– Jest chyba całkiem nieźle ustawiony – zwierzył mu się przy barze. – Przynajmniej sądząc po aucie, jakim jeździ. Niewiarygodne, ale na ten model czeka się dziewięć miesięcy.

Duncan dobrze wiedział, co to znaczy. Sam czekał na swoje bmw trzy miesiące. Za to Magnus jeździł standardową toyotą corollą.

Jego myśli przerwało pojawienie się sekretarki, która przyniosła mu listy do podpisania. Przeczytał pierwszy z nich. Sprawa Yates kontra Yates, list, który dyktował w sobotę po południu.

– Tego nie można tak wysłać, Gail – powiedział ostro. – Trzeba to przeredagować.

Zmiął kartkę i wyrzucił ją do kosza, rozwścieczony tym, że życie prywatne naraża na szwank jego profesjonalizm.

Dziś Susie miała rozpocząć pracę w sklepie w stodole. Czekając na nią, Ellen rmyślała o Duncanie i o tym, jaki jest zadowolony.

Podczas gdy ona sama była przygnębiona.

Tłumaczyła to sobie zmęczeniem, presją, pod jaką oboje z Duncanem byli przez ostatnie kilka miesięcy, ale dobrze wiedziała, że to nie o to chodzi. Jej kiepski nastrój był bezpośrednio związany z kupnem Domu Pod Złotokapem. Nie chciała tam mieszkać.

Lecz Duncan chciał.

Wczoraj wieczorem byli w restauracji w mieście i opowiadał jej z przejęciem o tym, co chce zrobić w Domu Pod Złotokapem.

– Jeśli przebijemy ścianę między oranżerią a kuchnią, to powstanie przyzwoitych rozmiarów pomieszczenie w rodzaju kuchni w Crantsford Hall. Na początek trzeba się pozbyć tej rozpadającej się altany. Poważnie, kochanie, tam w każdej chwili może dojść do tragedii. Zauważyłaś, że dachówki ledwo się trzymają? Spadnie ci taka na głowę, a na pewno o tym szybko nie zapomnisz.

– Całkiem lubię starą altanę Hermione – oświadczyła.

– Och, Ellen, w jej miejsce wybudujemy coś dużo elegantszego. – Sięgnął przez stół i poklepał ją po dłoni. – A teraz zastanówmy nad naszym miesiącem miodowym, co? Myślałem o tygodniu we Florencji i paru dniach albo w Wenecji albo w Rzymie. Zawsze chciałem zobaczyć Watykan i Kaplicę Sykstyńską. Może nawet uda nam się wybrać do Kaplicy Scrovegnich w Padwie i obejrzeć freski Giotta, nad którymi tak się trzęsą historycy sztuki. Lubię prawdziwą sztukę, a nie bohomyzy, jakimi jesteśmy dziś zasypywani. Jakie są obrazy Matthew?

Przypomniała sobie proste szkice i sugestywne akwarele rozsiane po Domu Pod Złotokapem. Przypomniała sobie też wczesny, ale namalowany ze sporą wrażliwością mural na strychu, który Hermione jej kiedyś pokazała.

– Są dobre – powiedziała tylko, bo nie chciała mówić o mężczyźnie, który zaledwie dzień wcześniej wyznał jej miłość.

Lecz teraz, czekając na Susie, Ellen pozwoliła swoim myślom powędrować w stronę Matthew.

Kilka miesięcy temu szwagierka Susie zapytała ją, co o nim myśli. Opisała go wtedy jako człowieka pełnego pasji i spontanicznego. Zdecydowanie się nie pomyliła, charakteryzowały go obie te cechy. Było w nim jednak coś jeszcze, coś, z czym nigdy u nikogo innego się nie spotkała, jakaś nieodparta siła, której nie dało się ignorować. Zawsze, gdy spędziła z nim trochę czasu, miała poczucie, jakby przypuszczono na nią mentalny atak. Był – jak dla niej – zbyt bezkompromisowy. W głębi ducha podejrzewała też, że się w kółko zakochuje. Może wielkie, uczuciowe deklaracje, w rodzaju tej, którą jej zaserwował w sobotę wieczorem, po prostu leżą w jego naturze.

Była praktycznie pewna, że gdy Matthew mówił o miłości, miał tak naprawdę na myśli namiętność. Może nawet szal, pożądanie i odrzucenie. Dla niej miłość była czymś dużo bardziej opanowanym. Musiała się łączyć z poczuciem bezpieczeństwa. Z pewnością. Miłość to zadowolenie i ufność.

I właśnie dlatego zostanie żoną Duncana.

Kobieta, która wyszłaby za Matthew, musiałaby się zmagać z codziennymi wzlotami i upadkami. Byłoby to życie w niepewności, a tego dość już zakosztowała. Aż za dużo.

– Jejku, mój pierwszy dzień i już się spóźniłam. Przepraszam panią, Ellen.

To była Susie, odziana odpowiednio do okazji w elegancki, dopasowany w talii garnitur w prążki, za który Ellen dałaby się pokroić. Susie wyglądała jak ktoś, kto mógłby za chwilę zasiąść za dużym, czarnym biurkiem i rozpocząć dzień pracy menedżera.

– Garnitur w porządku? – zapytała Susie, której uwadze nie uszło spojrzenie, jakim obrzuciła ją Ellen.

– Jak najbardziej. Po prostu jestem zazdrosna. Gdzie tam ja, w moim T-shircie i džinsach.

– Nic podobnego. No, to co mam robić?

– Może zaczniemy od kasy, co?

O dziwo, Susie błyskawicznie wszystko opanowała i do południa umiała już obsługiwać kasę, a klienci jedli jej z ręki. Ellen tak naprawdę spodziewała się, że Susie okaże się

totalną porażką i że się znudzi w ciągu godziny, ale okazało się, że zupełnie się pomyliła. Było teraz dla niej oczywiste, że Susie bardzo się jej przyda. Każdego potrafiła przekonać, że nie powinien opuszczać sklepu z pustymi rękami. A podczas gdy Susie sprzedawała ludziom to, co niekoniecznie było im potrzebne, Ellen miała czas na wykonanie zaległych zamówień, których lista była coraz dłuższa.

Ellen musiała też przyznać, że całkiem miło było mieć towarzystwo w pracy.

Matthew miał Sadowy Dom dla siebie. Susie stała już w drzwiach z Floss i Millie, gdy poinformowała go, że zaczyna pracę u Ellen w sklepie.

– Muszę zawieźć dziewczynki do mamy – oznajmiła. – Niech się pan częstuje, czym pan chce. Do widzenia.

Nigdy nie było mu w Sadowym Domu tak dobrze.

Otworzył drzwi balkonowe z ogrodu zimowego, przyjrzał się z namysłem muralowi i postanowił popracować nad Wariatuńcem. Najchętniej namalowałby jego karykaturę jako bełkotliwego głupca, ale dobrze wiedział, że to kiepski pomysł.

Zakasał rękawy, wyjął pędzle, przygotował paletę i zabrał się do roboty. Jego oczy od czasu do czasu przeskakiwały ze ściany na zdjęcie Wariatuńca.

Gdy wybiła trzecia po południu, kark i ramiona Matthew prawie odmówiły mu posłuszeństwa od stania tak długo w tej samej pozycji. Był też głodny. Pora zrobić sobie przerwę. Odłożył paletę, otworzył swój plecak i wyciągnął zapakowane w folię kanapki. Wgryzł się w nie łapczywie i wyszedł do ogrodu.

Na patio stał leżak, który robił wrażenie całkiem wygodnego, ale Matthew go zignorował i zamiast tego wyciągnął się na trawie. Wbił wzrok w niebo koloru wedgwoodowskiej porcelany, po czym zamknął oczy. Szybko je jednak otworzył. Przez ostatnie dwie noce nie zmrużył oka. Wiedział, że jeśli zostanie na trawie choć chwilę dłużej, to zaśnie.

Wstał i niechętnie wrócił do dusznego domu. Skończył już kanapki i teraz poszedł poszukać sobie czegoś zimnego do picia w lodówce w kuchni. Znalazł butelkę niegazowanej wody mineralnej, napełnił szklankę i wrócił do ogrodu zimowego, by zabrać się z powrotem do pracy. Tak było najlepiej – tylko, gdy pracował, był w stanie nie myśleć o Ellen.

Wcale nie planował, że powie jej to, co wyznał jej w sobotę, ale po czterech miesiącach zamartwiania się tym, czy jeszcze ją kiedykolwiek zobaczy, nie był w stanie się powstrzymać i wyznał jej miłość.

Było już jednak po wszystkim, to jasne jak słońce. Zrobił, co mógł, by przekonać ją do szczerości swoich uczuć. Może ona jednak kocha Duncana? Może Matthew się zupełnie pomylił? Może arogancja wzięła nad nim górę i przemieniła go w amanta z obnażonym torsem, któremu się wydaje, że każda kobieta na niego leci.

Hermione siedziała z Jo-Jo na tarasie. Starsza pani ze wszystkich sił starała się przekonać swoją młodą przyjaciółkę, by weszła do środka i zadzwoniła do szkoły.

– Ale ja się boję – powiedziała Jo-Jo. – A co, jeśli nie zdałam? Co wtedy zrobię?

– Podejdiesz do powtórki egzaminów. No, dalej, nie ma sensu dłużej tego odkładać. Im szybciej poznasz wyniki, tym szybciej uśmiech wróci na tę twoją śliczną twarzyczkę, która nabiera na słońcu ładnej opalenizny.

– Pójdzie pani ze mną do środka?

– Nawet będę cię trzymać za rękę.

Hermione przyglądała się, jak Jo-Jo wykręca numer, który zapisała wcześniej drżącą ręką w notesie. Dopiero po dłuższej chwili przełączono ją do odpowiedniej osoby. Hermione ogarnęło nie mniejsze zdenerwowanie, niż Jo-Jo.

– Tak, mów Jo-Jo Clarke. Dzwonię, żeby sprawdzić moje wyniki matury.... Tak,

poczekam... Chwileczkę, ołówek mi wypadł.

Hermione podała jej ołówek i patrzyła, jak Jo-Jo gryzmoli na kawałku papieru.

Obie płakały i tańczyły po kuchni z radości, gdy do drzwi od ogrodu zapukał Bernie.

– Oj, wy dwie, lepiej się uspokójcie, bo jeszcze zrobicie sobie krzywdę.

Jo-Jo nie była w stanie mówić, więc Hermione przekazała mu wieści.

– To jej matura. Dostała piątkę i dwie czwórki! Wspaniale, co? – Hermione znowu ją uściskała. – Jestem z ciebie bardzo dumna.

Jo-Jo skrzywiła się i nagle złapała się za brzuch. Opadła na najbliższe krzesło.

– Ojejku, chyba trochę za dużo tej ekscytacji, jak dla dziecka.

Hermione natychmiast się zaniepokoiła.

– Jeszcze się chyba nie zaczęło, co?

– No, co pani – odparła Jo-Jo, oddychając ciężko. – Mam przed sobą jeszcze trzy tygodnie.

– A kto to wie? Może dziecko chce się urodzić przed czasem? Czy nie powinnaś...

– Niech pani da spokój, nic mi nie jest!

– Hermione, rób, co ci młoda dama każe. Panuj nad sobą. Jeśli nawet ma zaraz urodzić, to nie potrzebna jej twoja nadopiekuńczość.

– Niech się państwo oboje zamkną! – wrzasnęła Jo-Jo. – Jeszcze nie rodzę! – Parsknęła śmiechem i zamachała notesem, w którym miała zanotowane wyniki. – Ale jestem wolna! – oświadczyła radośnie. – To moja przepustka do reszty życia.

– A skoro o tym mowa... – Bernie zwrócił się Hermione. – Poinformowałaś już swojego prawnika o sprzedaży domu?

– Tak, tak, tak – odparła niecierpliwie Hermione.

Nie chciała teraz o tym myśleć. Dobre wieści o maturze Jo-Jo odciągnęły jej uwagę od tego, co czekało ją w najbliższej przyszłości.

W sobotę wieczorem zgodziła się sprzedać dom Duncanowi. Wiedziała, że jeśli chce opuścić Dom Pod Złotokapem i przeprowadzić się do Domku Myśliwskiego, to musi myśleć o sobie. Szkoda tylko, że przyjmując ofertę Duncana, przykładając rękę do małżeństwa, którego zdecydowanie nie pochwałała. Ale, jak powiedział Matthew, Ellen sama musi do tego dojść.

– W głowie mi się nie mieści, ile zainkasowałyśmy – powiedziała Susie, wybałuszając oczy na dzienny utarg ułożony równiutko na ladzie, gotowy do zapakowania w torebki foliowe i zabrania do sejfu w mieście.

Ellen pomyślała, że to dziwne słowa w ustach kogoś takiego, jak Susie. Przecież dla niej to pewnie suma na drobne wydatki, prawda?

– Tak dobrze jeszcze nigdy nie było – odpowiedziała Ellen, wsuwając rzędy jednofuntówek do foliowego woreczka na monety. – Na samym początku tyle zarabiałam w tydzień, i to przy dobrym tygodniu.

– Moim zdaniem radzi sobie pani rewelacyjnie – stwierdziła Susie. – Powinna pani być dumna, że tyle udało się pani osiągnąć. Gdybym była na pani miejscu, nie zrezygnowałabym z tego tylko dlatego, że wychodzę za mąż. Dalej prowadziłabym tę firmę, to by był mój symbol niezależności. Gdybym mogła cofnąć czas, zadbałabym o zdobycie przyzwoitego wykształcenia zamiast tych głupot, którymi mnie karmiono u mnie w szkole. Wie pani co? Mama powiedziała mi niedawno, że posłali mnie z tatą do tej szkoły, a potem na pensję dla dziewcząt w Szwajcarii, żebyśmy mogła znaleźć sobie odpowiedniego męża.

– Myślałam, że tego rodzaju podejście odeszło w przeszłość razem z dinozaurami?

Susie parsknęła śmiechem.

– Nic podobnego.

– A Floss i Millie? Jak widzi pani ich przyszłość?

– Na pewno nie tak, jak moje życie. Floss jest inteligentna, mogłaby zostać politykiem, a Millie... No, cóż, Millie to prawdziwa marzycielka i jest najszczęśliwsza z ołówkiem w ręce, zajęta rysowaniem. Co mi przypomina... Jeśli już na dzisiaj skończyłyśmy, to polecę już do domu. Mama obiecała, że podrzuci dziewczynki. No, i chcę sprawdzić, ile dzisiaj zdziałał Matthew.

– Oczywiście. Ja już też praktycznie skończyłam. Odwiozę tylko utarg do Crantsford i zajrzę do Hermione.

– Mogę panią podwieźć.

Pozamykały na noc, zdeponowały pieniądze w sejfie i pojechały na Crescent. Susie zaparkowała przed Sadowym Domem i zaprosiła Ellen do środka.

– Może pani wejdzie i zerknie na mural?

Zastały Matthew w ogrodzie zimowym. Był w połowie wysokości drabiny, ze wzrokiem wbitym w błękitne niebo, które malował w górnym, prawym rogu.

– Matthew! – zawołała głośno Susie. Aż podskoczył. – Ależ pan dzisiaj dużo zdziałał! To przepiękne, naprawdę przepiękne.

Odwrócił się w jej stronę.

I wtedy zobaczył Ellen. Szybko skupił swoją uwagę z powrotem na ścianie.

– I co pani myśli, Ellen? – zapytała Susie. – Czyż on nie jest po prostu boski, że coś takiego potrafił stworzyć? Rany, oto i Wariatuńcio... oraz ja! – Podbiegła bliżej, żeby lepiej się przyjrzeć. – Świetnie udało się panu uchwycić minę Wariatuńcia. No i trochę mu pan poprawił urodę. Ale z pana spryciarz.

Gdy Susie zajęta była podziwianiem malowidła, Matthew zszedł z drabiny.

– Mogę wyjść do ogrodu? – Ellen zapytała Susie.

– Oczywiście, proszę bardzo.

Matthew odprowadził Ellen wzrokiem. Chciał za nią pójść, ale siłą woli się powstrzymał. Susie nadal trajkotała, ale jego myśli skupione były w całości na Ellen.

– Mam nadzieję, że nie przemienimy się w parę Dorianów Greyów – zaśmiała się Susie.

– Och, pewnie tak – odparł z roztargnieniem Matthew i wytarł ręce w szmatkę wystającą z kieszeni dzinsów.

Susie zmarszczyła brwi i odwróciła się do niego. Stał i patrzył w kierunku drzwi do ogrodu. Na jego twarzy malował się wyraz silnej tęsknoty. Susie powędrowała wzrokiem tam, gdzie on patrzył.

A niech mnie, pomyślała.

Rozdział trzydziesty czwarty

W następną sobotę Jo-Jo jadła kolację w ogrodzie przy Domu Pod Złotokapem, gdy Matthew zaproponował, że zabierze ją do kina.

– No, chodź – powiedział, kartkując lokalną gazetę w poszukiwaniu strony z listą kin. – Tylko ty i ja nie mamy na dzisiaj planów. Co byś chciała zobaczyć?

Jo-Jo zajrzała mu przez ramię i sprawdziła, co było w repertuarze kina w Crantsford.

– Może to? – pokazała na film z Sandrą Bullock.

– Komedia romantyczna? – wzdrygnął się Matthew z obrzydzeniem. – No, coś ty, chyba żartujesz?

Hermione podniosła wzrok znad broszury biura podróży, którą czytała.

– Nie ma nic w rodzaju *Śmierci wybitnie nudnego i pretensjonalnego prawnika*?

Jo-Jo popatrzyła uważnie najpierw na Hermione, a potem na Matthew, który natychmiast odwrócił wzrok.

Jo-Jo już w kwietniu zaczęła podejrzewać, że Matthew ma słabość do Ellen. Zauważyła, jak patrzył na nią na pikniku, przypomniała sobie też, że zerkał na nią we wstecznym lusterku w samochodzie. Nie była natomiast pewna, czy Ellen jest tego świadoma.

– Wszystko w porządku? – zapytał Matthew.

Potaknęła.

– Tak, tylko pewnie niedługo powinnam wracać do domu. Chcę, żeby dziecko urodziło się w szpitalu, gdzie jestem umówiona.

– Ktoś tam z tobą będzie? – zapytała Hermione.

Jo-Jo spojrzała na nią bez wyrazu.

– Hermione ma na myśli osobę towarzyszącą ci przy porodzie – wyjaśnił Matthew.

Jo-Jo prychnęła szyderczo i powachlowała się jedną z broszur Hermione.

– Naprawdę musisz – powiedziała z emfazą Hermione. – Nie powinnaś być tam sama. Jeśli trzeba, to jedno z nas będzie ci towarzyszyć.

– Niech pani da spokój, dobrze? Z tego, co się dowiedziałam od położnych, mam raczej małe szanse na bycie samą. Mnóstwo ludzi będzie się koło mnie kręcić i zdecydowanie nie jest mi potrzebny ktoś, kto tylko będzie im wchodzić w drogę.

Hermione nie była przekonana. Posłała Matthew spojrzenie z gatunku: „Z tym coś trzeba zrobić”.

Duncana rozbawił fakt, że matka nie chciała mu nic powiedzieć o Nigelu Wadzie. Dowiedział się od niej tylko, że jej przyjaciel lubi dżin z tonikiem z dodatkiem kruszonego lodu i z plasterkiem limonki.

No, cóż, Nigelu, pomyślał Duncan, krojąc niewielką, pomarszczoną limonkę, niedługo wszystkiego się dowiemy.

Zerknął na zegarek. Było dokładnie dziesięć po siódmej, co znaczy, że kochaś matki się spóźnia, podobnie, niestety, jak Ellen. Narzeczonej mógł to wybaczyć, ale nie mężczyźnie, którego wybór trunku jest tak afektowany.

Ktoś zadzwonił do drzwi, ale nim zdążył wytrzeć ręce, Nadia go uprzedziła. Dotarł do holu, gdy właśnie otwierała drzwi przed Ellen i Nigelem, którzy zjawili się jednocześnie.

Nadia nie zamieniła z Ellen słowa od kwietnia. Duncan ostrzegł ją, by zachowywała się przyzwoicie. Przyglądał się jej teraz uważnie, gdy goście przestąpili próg. Przyjrzał się też Wielmożnemu Panu N. Wade'owi.

Spodziewał się zobaczyć gorszą wersję swojego wąsatego, władczego, wyprostowanego

jak strzała ojca, okazało się jednak, że przyjaciel matki jest zupełnie inny. Nigel Wade był niski i pewnie miał ego jak Napoleon czy Hitler. Był też zbyt mocno opalony, zbyt obficie zlany wodą po goleniu, co pasowało do kruszonego lodu i limonki oraz – grzech nad grzechy – miał na sobie koszulę z rozpiętym kołnierzykiem.

Zdaniem Duncana wyglądał dokładnie jak ktoś, kto jeździ grać w golfa do Aljavre.

Wyciągnął do niego rękę.

– Dobry wieczór – powiedział. – Jestem Duncan. Zdaje się, że poznał pan już moją narzeczoną, Ellen.

Cmoknął Ellen dyskretnie w policzek.

– W rzeczy samej, Duncanie. Ma pan doskonały gust. Piękna narzeczona i urocza matka. Szczęściarz z pana, młody człowieku.

Duncan aż się skrzywił i z niedowierzaniem patrzył, jak matka została pocałowana prosto w usta. Z miejsca przemieniła się w rozchichotaną uczennicę, wzięła Nigela pod rękę i poprowadziła go przez dom do ogrodu różanego, gdzie kazała wcześniej Duncanowi ustawić krzesła i stół.

– Cóż za przemiły człowiek – wyszeptła Ellen. – Od jak dawna to trwa?

– Od zbyt dawna, jeśli chodzi o mnie – odparł oschle Duncan.

Ogarnęła go jeszcze większa determinacja, by odkryć prawdę o tym mikroskopijnym Romeo.

Gdy dołączyli do pozostałych w ogrodzie różanym, Nigel czuł się już jak u siebie w domu. Nalewał drinki sobie oraz Nadii i dyskutował na temat ostatnich wpadek golfisty Nicka Faldo.

Gdy Bernie zjawił się w Domu Pod Złotokapem, Hermione właśnie kończyła podlewać pomidory. Miała na sobie swoją najlepszą, wyjściową spódnicę i bluzkę oraz naszyjnik od Kita i stare, wierne kalosze. Na widok Berniego zakręciła wodę.

– Wyglądasz na zmęczonego – stwierdziła krytycznie. – Coś ty wyprawiał?

– Za dzień pełen cielesnych przyjemności trzeba zapłacić – odparł. Cmoknął ją w policzek.

– Mnie nie nabierzesz. Jesteś blady i wylądasz o dziesięć lat starszej niż wczoraj.

– To z tęsknoty za tobą, moja mała Hermaseto. A teraz pośpiesz się, wyskakuj z tych okropnych kaloszy i chodźmy do Crantsford rozkoszować się dobrym jedzeniem oraz moim porywającym towarzystwem.

Pojechali do miasta i po blisko kwadransie poszukiwania miejsca do parkowania w końcu dotarli do La Maison d'Or, gdzie Bernie zarezerwował im stolik. Przywitano ich w sposób, który sprawił, że Hermione pożałowała, iż zdjęła kalosze.

– Po coś ty mnie tu przyprowadził? – syknęła, gdy usadzono ich przy stoliku, jakby byli dekoracjami.

– Zachowuj się, bo jak nie, to się stąd wymknę przez okno w męskiej łazience, jak będziesz piła kawę, i zostawię cię z rachunkiem do zapłacenia.

– No, to wtedy udam, że mam zawał i wyniosą mnie stąd w wielkim stylu.

Bernie się roześmiał, ale nagle na jego twarzy odmalował się wyraz ostrego bólu. Walczył o odzyskanie oddechu. Sięgnął do kieszeni marynarki i wyciągnął inhalator.

– Jak często go teraz używasz? – chciała wiedzieć Hermione.

– Nie twój biznes – wychrypiął.

– Nie ma sprawy. To jak już skończysz umierać, zjem homara z majonezem na brandy, a potem filet wieprzowy w cieście.

– Jeszcze trochę groszku śnieżnego i małej kukurydzy, Ellen?

Ellen podziękowała i starannie ułożyła nóż z widelcem na swoim talerzu.

– Pyszności, Cynthio – stwierdziła dyplomatycznie.

Właśnie zjadła kawał zbyt wysmażonego rumsztyka. Była na siebie zła, że nie zdobyła się na odwagę, by powiedzieć, że już nie je wołowiny. Kolejna zasada wzięła w łeb, pomyślała ponuro.

– Mam nadzieję, że zostawiłaś trochę miejsca na deser. Nadia, a ty? Dokładka?

Nadia również odmówiła.

– Nadia uważa na wagę – roześmiała się Phyllis, zerkając ponad stołem w kierunku Nigela.

Nadal nie była w stanie ukryć swojego szoku związanego z umiejętnościami uwodzicielskimi przyjaciółki. Nigel wydawał się niezłym kąskiem, przynajmniej na pierwszy rzut oka. Jak na mężczyznę w jego wieku nadal był całkiem przystojny. Podejrzała nawet, że jest nieco młodszy od Nadii. I miał więcej włosów na głowie niż Maurice i Henry razem wzięci. W dodatku jego włosy były białosiwe, co podkreślało tylko opaleniznę. Jak na wdowca całkiem nieźle się też ubierał, choć, jeśli już miała się czepiać, może nieco zbyt mało formalnie. Pozostawała oczywiście kwestia wzrostu, ale czego nie dostawało mu w tej dziedzinie, zdecydowanie nadrabiał uroczym obejściem – w tym zakresie był prawdziwym gigantem. Za nic natomiast nie potrafiła zrozumieć, co on takiego widzi w Nadii. Mężczyzna taki jak on mógłby się podobać kobiecie o połowę od niego młodszej. W kółko się takie rzeczy widuje w winiarniach i restauracjach w mieście: białowłosa mężczyzna w rozpiętej pod szyją koszuli wsparty na jakiejś blond lali.

– A może w ogóle straciła apetyt. Miłość tak na człowieka działa – zakpiła Cynthia, która siedziała na drugim końcu stołu, przerywając zamyślenie Phyllis.

Ellen zrobiło się prawie żal La Carter, ale zupełnie niepotrzebnie, bo Nadia szybko ukróciła psotne żarty znajomych.

– Cynthio – powiedziała niebezpiecznie jedwabistym głosem. – Masz coś w prawym nozdrzu, lepiej się tym zajmij.

Twarz zażenowanej Cynthii zniknęła za serwetką. Szybko opuściła jadalnię pod pretekstem pójścia po kolejną butelkę wina i przy stole zapadło niezręczne milczenie.

Ellen pomyślała, że wolałaby być teraz w domu, wyciągnięta na leżaku w swoim małym, frontowym ogródku z kieliszkiem wina w ręce, zajęta oglądaniem słońca znikającego wolno za horyzontem. Następnie przypomniała sobie, że jej domem niedługo będzie Dom Pod Złotokapem. Wyobraziła więc sobie, że siedzi w ślicznej, starej altanie Hermione. Za wszelką cenę chciała przekonać Duncana, że należy zostawić ją w spokoju. Zerknęła w prawo, na siedzącego obok narzeczonego. Wpatrywał się w Nigela po drugiej stronie stołu, który dzielnie próbował rozkręcić rozmowę.

Henry-do-cholery-Koval, który dostał polecenie od żony, by zapytać nowego partnera Nadii od golfa, postanowił przypuścić atak:

– Od jak dawna mieszka pan w Crantsford?

– Och, będzie już z pół roku – odparł Nigel.

– Do cholery, pół roku i do tej pory nasze ścieżki się nie przecięły w klubie? Kto by pomyślał?

– Nie jestem członkiem od tak dawna.

– Czym się pan zajmuje?

No, właśnie, pomyślał Duncan i wychylił się do przodu. Czym dokładnie się zajmujesz, co? Poza tym, że szukasz odpowiednio zamożnej następczyni dla swojej zmarłej żony? Był

rozczarowany, że podczas drinków w ogrodzie różanym przed kolacją u Kovalów niewiele udało mu się dowiedzieć. Ustalił tylko, że Nigel Wade do bólu gada o golfie.

– Och, niczym specjalnym, próbuję tego i tamtego – odpowiedział Nigel, zaśmiał się lekko, napił się wina, po czym wyciągnął dłoń i poklepał rękę siedzącej obok niego Nadii. – Proszę zapytać Nadię – dodał. – Ona wam powie, jaki ze mnie nudziarz.

Wszyscy poza Duncanem spojrzeli odruchowo na Nadię. Duncan natomiast nie spuszczał wzroku z dłoni, która przykryła rękę jego matki. Zrobiło mu się niedobrze od tych tanich manifestacji uczuć. Co więcej, potrafił rozpoznać krętacza, bo dość się ich w życiu zawodowym naoglądał. Widział, w którą stronę wieje wiatr tego wieczora i był to praktycznie huragan, w pełni oczywisty.

– Tego i tamtego – powtórzył chłodno. – Niewiele nam pan mówi.

Ellen była zdziwiona tym, jak Duncan traktował Nigela, zwłaszcza, że mógł się on okazać darem niebios i uwolnić ich od natarczywości Nadii.

– Pan Nigel chyba po prostu nie chce się przechwalać – wtrąciła się.

– Całkiem możliwe – odparł zimno Duncan.

Dwaj mężczyźni wpatrywali się w siebie przez szerokość stołu. W końcu Nigel odrzucił nagle głowę do tyłu i parsknął rubasznym śmiechem.

– Nadio, świetnie wychowałeś syna, cóż za wspaniały, młody człowiek. Widzisz, jak bardzo troszczy się o twoje dobro? Jego zdaniem jestem tylko wyrachowanym łowcą posagów.

Nadia zaczęła się śmiać, wkrótce dołączyli do niej pozostali goście, poza Duncanem. Do jadalni wróciła Cynthia, niosąc ze sobą kolejną butelkę wina.

– Coś mnie ominęło? – zapytała, pocierając nerwowo koniuszek nosa.

– O, tak – odpowiedział Maurice czerwono nosy sędzia. – Nasz młody Duncan właśnie poddał Nigela przesłuchaniu.

Wszyscy znowu się roześmiali.

Duncan zmusił się do uśmiechu, ale Ellen czuła, że jest spięty i wrogo nastawiony. Miała nadzieję, że ktoś zmieni temat, ale wyglądało na to, że rozmowa dopiero się rozkręca.

– No, dalej – Maurice zachęcał wesoło. – Musi pan zaspokoić naszą ciekawość.

– No, tak, do cholery – zgodził się z nim Henry. – Zwłaszcza ciekawość Duncana. Biedak musi się upewnić, czy jego matce nic nie grozi w pana rękach.

Nigel się uśmiechnął i bardzo wolno opróżnił swój kieliszek. Po czym, równie wolno, oświadczył:

– No, to Duncan będzie musiał poczekać, aż sam się przekona.

Hermione kręciło się w głowie od zbyt dużej ilości wina, gdy otwierała drzwi do oranżerii. Chciała, by ten wieczór trwał nadal.

– Napijesz się brandy? – zapytała Berniego, który wszedł za nią do środka.

– Próbujesz mnie spić i uwieść? – zapytał, łapiąc ją za nadgarstek i odwracając do siebie.

– Myślałam, że to ty masz takie plany.

Przyciągnął ją bliżej.

– Szkoda, że nie poznałem cię sześćdziesiąt lat temu, moja mała Hermaseto.

Położyła mu głowę na ramieniu i westchnęła.

– Sześćdziesiąt lat temu nawet bym na ciebie nie spojrzała.

– Hmm – mruknął i uniósł jej twarz. – No, to komu się wtedy poszczęściło? Twojemu mężowi czy jakiemuś innemu niegodnemu nędznikowi?

Wysunęła mu się z objęć.

– To długa historia. Chodź na górę, to wszystko ci opowiem.

– Takiej propozycji się nie odrzuca.

Wzięli ze sobą małą butelkę brandy oraz dwa kieliszki i poszli na samą górę. Bernie nieźle się zasapał, nim dotarli do pokoju Matthew na strychu. Użył inhalatora i z wdzięcznością opadł na starą, skórzaną kanapę naprzeciwko malowidła. Hermione przyjrzała mu się z uwagą. Chyba trzeba zaakceptować fakt, że zdrowie Berniego się pogarsza. Była na niego zła. Dlaczego nie jest z nią szczery? Po co to głupie udawanie? Pewnie jest zbyt dumny, pomyślała, nalewając brandy i podchodząc z kieliszkami do kanapy. Usiadła obok niego. Sama zresztą nie była inna. Tyle lat mieszkała sama, szarpiąc się z utrzymaniem Domu Pod Złotokapem, walcząc o zachowanie niezależności, wierząc, że to ważniejsze niż cokolwiek innego, nawet samo życie.

– Coś ty się zrobiła taka cicha? – zapytał Bernie i wznosił toast. – Powiesz mi wreszcie, po coś ciągnęła biednego, starego człowieka aż dwa piętra na górę?

– O, to niby teraz jesteś biednym, starym człowiekiem, co?

Uśmiechnął się promiennie.

– Pomyślałam, że odwołam się do twojego współczucia w nadziei, że uda mi się zaciągnąć cię do łóżka. Oczywiście pod warunkiem, że dam radę zejść z powrotem na dół.

– Jak rozumiem nie ma szansy na to, byś porozmawiał ze mną otwarcie, co?

– Ależ absolutnie!

– Tak myślałam.

Minęło kilka chwil, nim Bernie powiedział:

– A o czym konkretnie chciałaś otwarcie porozmawiać?

Wzruszyła ramionami i napiła się brandy.

Bernie jej się przyglądał.

– Zastanowiłaś się może nad ofertą, jaką ci złożyłem podczas kolacji?

– Podczas kolacji złożyłeś dużo ofert.

– Wiesz, o czym mówię.

– Wiem?

– Wiesz – stwierdził stanowczo.

Uśmiechnęła się.

– No, wiem.

– I?

Uniosła głowę i spojrzała mu prosto w oczy.

– Bardzo chętnie. Odpowiedź brzmi „tak”.

Bernie zachichotał.

– Nie dość, że jestem zniedołężniały, to jeszcze rzuciło mi się chyba na słuch, bo założyłbym się, że powiedziałaś „tak”.

– Dobrze słyszałeś.

– A niech mnie! A gdzie kryje się haczyk? Czy boska Hermione zadeklaruje teraz, że...

– Bernie Malloy, zamknij się z łaski swojej, co? Przecież zgodziłam się tylko popłynąć z tobą w rejs po Nilu, jak tylko ten cymbał Duncan Carter mi zapłaci i...

– Och, sama siedź cicho i w końcu mnie pocałuj. Dość już się naczekałem.

* * *

Dokończyli butelkę brandy i siedzieli wtuleni w siebie, wpatrując się niewidzącymi oczami w malowidło przed sobą. Hermione opowiedziała Berniemu o Kicie.

Wszystko mu opowiedziała – jak się poznali pewnego lata, gdy przywiózł go do nich do domu z Oksfordu jeden z licznych narzeczonych Roberty. Jak od razu, choć nieśmiało, poczuli coś do siebie. Jak zostali przyjaciółmi, choć jeszcze nie kochankami. Jak cieszyli się swoim

towarzystwem, zdając sobie sprawę z tego, że połączyła ich rzadka nić porozumienia. Jak czasem byli razem, ale prawie się nie odzywali, bo nie było takiej potrzeby. Jak chodzili na długie spacerunki po Edge, gdzie Kit malował szpalery janowca, lepnice i delikatną dziką różę. Jak pewnego razu pojechali do Winnats Pass na piknik, podczas którego niebiosa się otworzyły i musieli szukać schronienia między skałami, gdzie spędzili ponad godzinę z kocem pod głową, nim udało im się dobiec do auta.

To było sielankowe lato.

Lecz rok później wybuchła wojna, która położyła kres marzeniom Hermione. Minął kolejny rok, nim zobaczyła znowu Kita. To właśnie wtedy niespodziewanie ogłosili z Robertą, że zamierzają się pobrać. Wiele lat później Kit wyznał Hermione, że tylko dwa razy spotkał się z Robertą w Londynie, gdy był na przepustce. Za pierwszym razem wpadli na siebie przez przypadek, ale za drugim razem już nie, przynajmniej jeśli chodzi o Robertę. Spotkali się na przyjęciu, gdzie wiele osób było mocno wstawionych, w tym Kit. Spędził noc z Robertą, a gdy siedem tygodni później powiedziała mu, że jest w ciąży, natychmiast zaproponował, że postąpi tak, jak od niego oczekiwano.

To była noc szaleństwa, za którą drogę zapłacił, do czego przyznał się Hermione w liście krótko po przyjeździe na świat Matthew w połowie lat pięćdziesiątych.

Dużo czasu musiało upłynąć, nim Hermione była w stanie wybaczyć Kitowi i Robertce to, co zrobili, ale stopniowo jej ból zelżał. W końcu – mimo, że była już wtedy żoną Arthura i miała wieść inne życie – pozwoliła sobie na luksus cieszenia się uczuciem do Kita, które jej nie opuściło. A także uczuciem, jakim on do niej nadal pałał.

Z upływem lat Roberta stawała się coraz bardziej nerwowa i nieprzewidywalna. Jej małżeństwo okazało się nieudane, ale nie miała zamiaru się poddać. Postrzegала swój związek jak coś, co do niej należy, tak samo, jak Kit i Matthew, choć Matthew gotowa była się dzielić.

– Kita nigdy nie będziesz mieć – powiedziała kiedyś Hermione. – Ale pozwolę ci cieszyć się Matthew, kiedy będzie mi to pasowało. Możesz być jego matką chrzestną. Niech ci przypomina o tym, co cię ominęło.

Okrutne słowa. Hermione nigdy nie potrafiła zdecydować, czy była to aluzja do faktu, że ona nie mogła mieć dzieci czy też raczej drwina, że wolno jej obdarzać miłością chrześniaka, ale nie jego ojca.

Gdy Kit w końcu poprosił Robertę o rozwód – było to krótko po śmierci Arthura – nie chciała go słuchać i próbowała się zabić. Kit czuł się winny, podobnie jak Hermione. To wtedy do nich dotarło, że nigdy nie będą razem – żadne z nich nie chciało mieć śmierci Roberty na sumieniu.

– To chyba najsmutniejsza historia, jaką kiedykolwiek słyszałem – powiedział Bernie, gdy Hermione zamilkła.

– Proszę cię, nie drocz się ze mną.

– Wcale się nie droczę.

– Chcesz powiedzieć, że choć raz jesteś poważny? Boże, Bernie Malloy, chyba nie zniosę tego szoku, muszę do łazienki! – Wstała z uśmiechem. – Nasze pęcherze już nie są takie, jak kiedyś, co?

– Mów za siebie – prychnął Bernie. – Ja tam nie narzekam.

Rozsiadł się wygodnie na kanapie, ziewnął i odprowadził ją wzrokiem.

Hermione zeszła wolno na dół. Naprawdę nie powinna tyle pić. Weszła do łazienki i przez chwilę szukała włącznika. Potem zeszła na dół do kuchni i zaparzyła kawę. Lepiej niech ten stary drań trochę wytrzeźwieje, zanim odeślę go za płot, pomyślała.

– Przepraszam, że tak długo mi zeszło – powiedziała, gdy wspięła się z powrotem na

strych i otworzyła drzwi do pokoju brzegiem tacy. – Bernie!

Odstawiła tacę na starą skrzynię i podbiegła do niego. Osunął się na bok kanapy, jego twarz wykrzywił ból, a oczy miał wytrzeszczone, niewidzące. Jedną z dłoni zwinął ciasno w pięść i trzymał przy piersi, podczas gdy drugą szukał inhalatora. Oddychał z ogromnym trudem. Niewielkie pomieszczenie wypełniały odgłosy walki jego płuc o tlen. Hermione przystawiła mu inhalator do ust. Nacisnęła. Tyle razy widziała, jak to robił. Czekwała, aż jego oddech zwolni, ale to nie nastąpiło. Nacisnęła znowu inhalator, zabrała się za rozluźnianie mu krawata i rozpinanie górnego guzika koszuli. Nie pomogło.

– Karetka. Muszę zadzwonić po karetkę.

Na dźwięk jej słów Bernie skupił na niej wzrok i resztką sił starał się poruszyć bezkrwistymi wargami. Próbował coś powiedzieć. Przysunęła się bliżej, jej twarz praktycznie dotykała jego twarzy.

– Tak, Bernie, o co chodzi?

Jego głos ledwo było słychać, ponad bolesne rzężenie jego wysłużonych płuc przebił się praktycznie tylko szept.

– Chyba pora się pożegnać – wyszeptał chrapliwie.

Hermione ukryła twarz w dłoniach.

– Nie – wymamrotała. – Błagam, nie.

Lecz w pokoju zapadła już cisza, spięte bólem ciało Berniego się rozluźniło, jego oczy się zamknęły, a głowa bardzo wolno opadła do tyłu.

Po policzkach Hermione płynęły łzy. Otarła je, ale zaraz pojawiły się kolejne i kapały na jej dłonie, które teraz były ciasno owinięte wokół rąk Berniego. Zaczęła się trząść.

– Nie! – krzyczała w bólu. – Bernie, nie masz prawa. Nie wolno ci umrzeć. Nie zostawiaj mnie. Nie wolno ci! Błagam cię, nie zostawiaj mnie samej.

Na nic się to jednak nie zdało. Jej drogi, kochany przyjaciel już jej nie słyszał. Bernie umarł.

Uklękła na podłodze obok niego i załkała.

Rozdział trzydziesty piąty

Matthew wysadził Jo-Jo przed domem Ellen i poczekał, aż wejdzie do środka, po czym zawrócił i odjechał.

Nigdzie nie znalazł Hermione. Założył, że zaraz po kolacji z Berniem położyła się spać, więc poszedł sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Gdy wszedł na pierwsze piętro, zobaczył, że świeci się na górze. Wdrapał się więc na drugie piętro, biorąc po dwa stopnie, coraz szybciej, bo miał przeczucie, że coś jest nie tak.

Znalazł Hermione na podłodze na strychu. Siedziała bez ruchu, z głową opartą o kolana Berniego. Gdy spojrzała w jego stronę, na jej twarzy odmalował się taki smutek, że od razu zrozumiał, co się stało. Delikatnie podniósł ją z podłogi, odprowadził dalej od Berniego i przytulił.

– On nie żyje – wymamrotała. – Umarł nieco ponad godzinę temu. – Spojrzała Matthew prosto w oczy. W jej własnych oczach lśniły łzy. – Tak mocno go bolało, a ja nie mogłam nic zrobić. Wyszłam tylko na parę chwil, a gdy wróciłam, on...

– Cicho, już cicho – uspokajał ją i łagodnie głaskał po pomarszczonym policzku. Wiedział, że słowa w obliczu takiego smutku zawodzą. Mógł tylko próbować ukoić Hermione, okazać jej swoją miłość i czułość, jak uczynił już kiedyś w podobnych okolicznościach.

– Położę cię spać i zadzwonię po lekarza – powiedział cicho. – Dasz radę zejść po schodach?

Kiwnęła głową i wysunęła się sztywno z jego objęć.

– Skontaktuj się też z kimś z Domku Myśliwskiego, trzeba im powiedzieć, co się stało.

– Niczym się nie martw, wszystkiego dopilnuję.

Matthew obudził się wcześniej. Było chwilę po piątej.

Przez duże okno w wykuszu do jego pokoju wpadało sporo słońca – gdy już pozałatwiał wszystko w związku z biednym Berniem, zapomniał zaciągnąć zasłony. Lekarz dał Hermione tabletkę na uspokojenie, po której niemal natychmiast zasnęła, ale on sam prawie nie zmrużył oka. Wspominał śmierć swojego ojca blisko dwadzieścia lat temu, w tym samym pokoju na strychu, w którym teraz umarł Bernie.

Jesienią 1978 roku Kit zapytał Hermione, czy może do niej przyjechać, gdy Roberta wybierze się na swoje wakacje z brydżem. Nikt z nich nie wiedział wtedy, że Kit jest chory. Umierający. Pół roku wcześniej dowiedział się, że ma raka wątroby. Przy odpowiednim leczeniu miał szansę dożyć końca roku. Lecz Kit nikomu o tym nie powiedział. Milczał na temat tego, co go czeka aż do przyjazdu do Domu Pod Złotokapem w październiku. Do dziś Matthew nie miał pojęcia, jak Hermione przyjęła te wieści. Nigdy nie chciała z nim o tym rozmawiać. Powiedziała mu tylko, że przez dwa cudowne dni ona i Kit żyli tak, jak zawsze chcieli żyć, jak mąż i żona. Potem zadzwonili do Matthew i zapytali, czy mógłby przyjechać na kilka dni do Domu Pod Złotokapem, bo mają mu coś do powiedzenia.

Zszokowała go wieść o tym, że jego ojciec jest na łożu śmierci.

– Ale dlaczego mi nic wcześniej nie powiedziałaś? – zapytał Kita, głęboko dotknięty faktem, że trzymano go w nieświadomości.

Na to pytanie nie było odpowiedzi. Kit umarł następnego dnia wieczorem, gdy szukał na strychu jakichś starych zdjęć.

Później dowiedzieli się z listu, który jego ojciec zostawił dla Hermione, że Kit z premedytacją przestał brać leki, które miały przedłużyć mu życie, by móc umrzeć tak, jak

chciał i kiedy chciał.

„To będzie najlepsza śmierć” – napisał. „Będę z dwojgiem ludzi, których kocham najbardziej na świecie”.

Biedna Hermione, pomyślał Matthew, wstając z łóżka i podchodząc do okna.

Miał nadzieję, że szok związany ze śmiercią Berniego nie powstrzyma jej przed sprzedażą domu i przeniesieniem się do

Domku Myśliwskiego. Teraz jeszcze bardziej niż wcześniej powinna pozbyć się Domu Pod Złotokapem, bo wiązało się z nim zbyt wiele wspomnień. To za duży ciężar jak dla jednej osoby.

Oparł się o parapet i zapatrzył na ogród roztaczający się poniżej. W szklarni coś się poruszyło.

To znaczy, że Hermione już wstała.

Jo-Jo nie mogła spać. Czuła się tak, jakby jej ciało było zbyt małe dla dziecka, które kręciło się i rozpychało w jej brzuchu, jakby mu tam było za ciasno.

Było jej też gorąco.

Odrzuciła prześcieradło, dźwignęła się do pozycji siedzącej i opuściła stopy na podłogę. Wciągnęła mocno powietrze do płuc, po czym wolno je wypuściła. Powtórzyła to kilkakrotnie i następnie wstała. Robiła to teraz codziennie, by nie zakręciło się jej w głowie. Podeszła do okna i rozprostowała plecy i ramiona. Poglaskała się po brzuchu przez T-shirt w dużym rozmiarze. Ciekawe, ile czasu minie, nim odzyska swoje ciało? Być może to samolubne, ale nie mogła się już doczekać chwili, gdy dziecko się urodzi, a ona będzie mogła rozpocząć nowe życie.

Ostrożnie zesza wąskimi schodami na dół, żeby wziąć sobie coś do picia. Na siedzisku koło okno zastała skuloną Ellen. Patrzyła na ogród przez otwarte okno.

– Też nie może pani spać? – zapytała, gdy Ellen się do niej odwróciła.

– Nie – odparła Ellen. – Jest za gorąco. W imbryku jest trochę herbaty. Nalać ci?

– Nie trzeba, sama sobie wezmę.

Po powrocie do dużego pokoju, usiadła obok Ellen przy oknie.

– Postanowiłam, że jutro pojedę do domu – oznajmiła. – Chyba powinnam, co? Nie chcę ryzykować, że zacznę tutaj rodzić.

– Pewnie masz rację. A możesz poczekać do wieczora? Będę cię mogła wtedy zawieźć. Nie musiałabyś się telepać pociągiem.

– Pewnie. Byłoby super.

– Jak udała się wyprawa do kina? – zapytała Ellen. – Spałaś jak zabita, gdy wróciłam do domu.

– Nieźle. Komedia romantyczna. Film raczej nie dla Matthew.

Ellen się uśmiechnęła.

– Jak on się miewa?

– Szczerze mówiąc równie dobrze mogłam pójść do kina sama. Przez cały wieczór prawie się nie odzywał i siedział ze skwaszoną miną. Kiepskie towarzystwo.

Prawda wyglądała tak, że cały wieczór go podpuszczała. Podczas krótkiej drogi do Crantsford próbowała wycisnąć z Matthew informacje na temat jego stosunku do Ellen. W co drugim zdaniu przywoływała jej imię, aż w końcu zaparkował na tyłach kina, zaciągnął hamulec ręczny i zapytał ją, o co jej, do diabła, chodzi. Poczuli się jak małe dziecko, które ktoś obsztorcował. Potulnie wysiadła z auta i bez słowa stanęła z nim w kolejce po bilety w holu kina. Jednego była jednak pewna: jeśli była w stanie wyprowadzić go tak mocno z równowagi, to jej podejrzenia na temat uczuć Matthew do Ellen były słuszne.

– Humorzysty jest, co? – zaśmiała się Ellen. – To pewnie ten twórczy geniusz.

– A może raczej chodzi o...

Jo-Jo zabrakło odwagi, by dokończyć zdanie, gdy poczuła na sobie spojrzenie Ellen.

– A może raczej chodzi o co? – zapytała wolno Ellen.

Och, do jasnej cholery!

– Może jest taki żaloszny, bo kobieta, do której ma słabość, nie odwzajemnia jego uczucia?

– Czemu tak mówisz? – rzuciła ostrożnie Ellen.

Wstała z siedziska przy oknie i poszła do kuchni.

Jo-Jo pomaszerowała za nią. Postanowiła nie odpuszczać. Zresztą jakie to ma znaczenie?

Jutro i tak jedzie do domu i nie ma nic do stracenia.

– Zabawna rzecz, ale mnie się wydaje, że on oszalał na pani punkcie. Co pani na to?

Ellen obróciła się na pięcie.

– To wcale nie jest zabawne. To zwyczajna głupota.

– Naprawdę tak pani myśli? – zapytała z namysłem Jo-Jo.

Po minie Ellen widziała, że trafiła w czuły punkt. Być może Ellen wie o Matthew? Być może Ellen odwzajemnia jego uczucia, tylko że... Tylko że jest jeszcze Duncan.

– Moim zdaniem jedyna głupota w tym wszystkim polega na tym, że zamierza pani wyjść za Duncana – dodała Jo-Jo, która postanowiła wykorzystać moment. – Nikt przy zdrowych zmysłach nie zakochałby się w takim dupku, jak Duncan, zwłaszcza, gdy na horyzoncie jest ktoś inny, kto jest dużo bardziej...

– Dość! – zawołała Ellen. – Jo-Jo, nie masz prawa wyrażać się tak o Duncanie.

– A czemu nie?

Lecz nim Ellen zdążyła odpowiedzieć na to pytanie, ktoś zapukał do drzwi. Poszła otworzyć, zadowolona, że dzięki temu jej ożywiona dyskusja z Jo-Jo została ucięta. Lecz gdy otworzyła drzwi, aż się cofnęła, i to nie tylko ze zdziwienia, lecz również z nieudawanego przerażenia.

W progu stał Roger.

Rozdział trzydziesty szósty

Gdyby to był wiktoriański melodramat, złapałaby się teraz za pierś i osunęła z wdziękiem na podłogę. Byłby to całkiem dobry sposób na pozbycie się szokującego widoku byłego męża stojącego w progu jej domu.

Zaniedbany i nieogolony, zmizerniały, z zapadniętymi policzkami, w pomiętych dzinsach i brudnej koszuli z rękawami podwiniętymi ciasno do łokci. Ledwie rozpoznała w nim mężczyznę, z którym spędziła prawie dwadzieścia lat, mężczyznę, którego kiedyś kochała i który zawsze dbał o swój wygląd.

– No i? – powiedział. – Nic nie powiesz? Nie zaserwujesz mi żadnych banałów w rodzaju, że dawno się nie widzieliśmy?

Zrobił krok do przodu i wszedł do środka.

To wtargnięcie zadziałało i natychmiast wyrwało Ellen z jej stuporu. Oto stał przed nią mężczyzna, który był przyczyną wszelkiego zła w jej życiu, mężczyzna, którego nauczyła się nienawidzić.

– Wynoś się! – zawołała, oburzona jego arogancją. Wydaje mu się, że może sobie tak po prostu wejść do niej do domu? – Nie chcę cię tutaj widzieć. Nigdy.

– Och, daj spokój – powiedział z beztróskim uśmiechem, który jeszcze bardziej ją rozłościł. – Po co ta przesadna reakcja? Przecież przez ostatnie parę miesięcy byłaś dla mnie bardzo hojna. Naprawdę spodziewałem się cieplejszego powitania. O, a to kto?

Ellen zupełnie zapomniała o Jo-Jo stojącej za jej plecami. Dziewczyna podeszła do przodu i zapytała niskim głosem:

– Co ważniejsze, kim pan jest?

Powiedziała to z przekonaniem aktora z oper mydlanych. Ellen zaczynała powoli tak właśnie postrzegać całą sytuację.

Nagle pojawienie się Rogera było zupełnie nierealne. Czowała się tak, jakby sytuacją manipulował jakiś wszechwładny autor scenariusza, który pracuje po nocach i bawi się w Boga ze swoimi postaciami, jednym ruchem pióra przenosi je ze sceny za kulisy i z powrotem, gdy uzna, że trzeba trochę podkreślić tempo i rozwinąć wątek.

A to jeszcze wcale nie był koniec.

Przez otwarte drzwi za plecami Rogera z niedowierzaniem zobaczyła, jak na scenie pojawia się kolejny bohater, Matthew!

Pokręciła do niego ledwie zauważalnie głową. Liczyła na to, że zinterpretuje ten gest jako uprzejme: „Znikaj stąd, i bez ciebie mam teraz dość na głowie”.

Stojąca obok niej Jo-Jo skierowała kolejne pytanie do Rogera:

– Wygląda mi na to, że pani Ellen tu pana nie chce, więc niech pan lepiej wpełźnie z powrotem pod ten kamień, spod którego pan wylazł, co?

Roger uśmiechnął się z wyższością.

– Ellen po prostu jest zaskoczona – powiedział lekkim tonem. Wszedł do dużego pokoju. – Chętnie bym się czegoś napił. No, co, Ellen? Kiedyś przyłaś świetną kawę. Propozycji śniadania też bym nie odmówił.

Wielkie jak spodki oczy Jo-Jo skierowały się na Ellen. I nagle to do niej dotarło.

– To jest Roger? – zapytała z przerażeniem.

Ellen pokiwała bezradnie głową. Nie miała pojęcia, jak się zachować teraz, gdy Roger wszedł już do niej do domu.

– Proszę cię, Roger – powiedziała. – Tyle już narobiłeś. Nie możesz zostawić mnie

w spokoju?

Roger wzruszył ramionami.

– Zastanowię się. – Rozejrzył się dookoła i dodał: – Mały domek, ale przytulny. Na dodatek masz też tę swoją firmę. Lepiej wyszłaś na naszym rozwodzie, niż ja. Ale, wiesz, co? Charmaine jest w ciąży! Znowu zostanę ojcem.

– Simon się ucieszy – rzuciła cierpko Ellen.

Coś błysnęło na jego twarzy. Czyżby wyrzuty sumienia?

– Jak się miewa Simon?

– A co cię to obchodzi? Oboje nas porzuciłeś i uciekleś.

– Cholera, Ellen, może byś już zostawiła przeszłość w spokoju, co? Wszystko musisz ustawiać w relacji do tego, co się stało? Takie rzeczy się zdarzają. Życie się zmienia.

– Moje zdecydowanie się zmieniło – odparowała. – A skoro już o tym mówimy, w moim nowym życiu nie ma miejsca na byłego męża, który wpada bez zapowiedzi i domaga się filiżanki kawy na powitanie.

– Racja, Ellen. Święta racja. No, to może przejdziemy od razu do rzeczy. Powiem ci, po co przyjechałem, a potem nie będziesz mnie już musiała oglądać. To, co? Umowa stoi?

Ellen spojrzała na niego z niedowierzaniem. Nie tylko nie wyglądał jak Roger, którego znała w przeszłości. Brzmiał też zupełnie inaczej. Kim jest ten obcy człowiek, który zachowuje się tak, jakby spędzał mnóstwo czasu na biznesowych negocjacjach?

– Niech go pani nie słucha – poradziła Jo-Jo. – Chce od pani pieniędzy. Ma to wypisane na twarzy.

– Sprytna ta twoja koleżaneczka.

– Wiem, Roger. Odpowiedź brzmi „nie”. Nie dam ci już więcej pieniędzy. Wyciągnąłeś już ode mnie wszystko, co mogłeś.

– A to szkoda. – Uśmiechnął się i podszedł do kredensu. – Pamiętam to. – Wziął do ręki talerz z chińskim wzorem, podrzucił go w powietrze i złapał. – Zabawne, że niektóre rzeczy z przeszłości z nami zostają.

– Ależ nie ma w tym nic specjalnie zabawnego.

Powiedział to Matthew. Wszedł do środka, wyjął Rogerowi talerz z rąk i ostrożnie odstawił go na komodę. Zerknął na Ellen.

– Wszystko dobrze? – zapytał.

Nim zdążyła odpowiedzieć, Roger roześmiał się głośno i złośliwie.

– A to zapewne Duncan Carter, przyszły mąż.

Ellen otworzyła usta, by go poprawić, ale Matthew powstrzymał ją gestem podniesionej ręki.

– Jo-Jo – powiedział. – Idź, proszę, na górę. Chcę zamienić z Rogerem słowo na osobności... Oczywiście, jeśli nie masz nic przeciwko temu, Ellen?

Jo-Jo ruszyła na górę i przycupnęła na najwyższym stopniu podestu, licząc na to, że będzie mogła stamtąd podsłuchiwać.

Jako pierwszy odezwał się Roger.

– A więc, Duncan, o czym to chciałbyś ze mną porozmawiać? – Rozsiadł się w fotelu i spojrzał na Matthew wyczekująco. – Mogę ci jakoś pomóc? Chcesz może wiedzieć jak wygląda małżeństwo z Ellen? O to chodzi? Moim zdaniem to niezbyt eleganckie pytanie z twojej strony.

Matthew zignorował uwagę Rogera i usiadł w fotelu naprzeciwko.

– Przejdę od razu do rzeczy – powiedział. – Wiem o tych ohydnych listach, które Ellen od ciebie dostała. Przeczytałem je nawet i widziałem zdjęcia. Jako prawnik informuję cię, że jestem gotowy podjąć odpowiednie kroki, by uniemożliwić ci zatruwanie życia mojej przyszłej żonie.

Bo, jak rozumiem, po to tu właśnie dzisiaj przyjechałeś, tak? Żeby sprawdzić, czy coś jeszcze uda ci się od niej wyciągnąć? Zgadza się?

Ellen wstrzymała oddech. Roger zaczął się wiercić na fotelu. Jedna powieka zadrgała mu nerwowo. Gdzieś zniknął zarozumiały cwaniak sprzed kilku minut. Na czole zbierały mu się kropelki potu, oblizywał nerwowo spierzchnięte wargi. Wstał nagle i przejechał dłonią po nieogolonym podbródku.

– Nie potrzeba mi wiele. Tylko tyle, żeby...

– Zapomnij o tym.

– Co to dla ciebie kilka tysięcy? Dobrze wiem, że możesz sobie na to pozwolić. Masz kasy jak lodu, i ty, i twoja matka.

– Fakt, że mogę sobie na to pozwolić, jest tu bez znaczenia. Na nic już mnie ani Ellen nie naciągniesz. Jasne?

Roger zwrócił się do Ellen.

– Ellen, a ty co powiesz? Może się zlitujesz i pożyczysz mi trochę kasy, aż...

Matthew zerwał się na równe nogi.

– Nawet o tym nie myśl! Dość już wyłudziłeś od Ellen. A teraz się stąd zabieraj.

– Niezłego obrońcę sobie znalazłeś, Ellen – powiedział Roger z szyderczym uśmiechem. – No, to chyba nie pozostaje mi nic innego, jak zbierać się do drogi. Lecz kto wie? Może jeszcze wrócę.

Zrobił krok w stronę drzwi, gdy Ellen zapytała:

– Roger, zanim sobie pójdiesz, powiedz mi, skąd wiesz o mnie i Duncanie?

– A ile to pytanie jest warte?

– Jest warte opuszczenia tego domu z obiema rękami w ich aktualnym stanie – odpowiedział Matthew.

Roger się roześmiał.

– Nie spodziewałem się usłyszeć czegoś takiego od prawnika. To tylko pokazuje, że pod powłóczką ogłady i przyzwoitości, jaką roztaczacie i ty, i twoja matka, jesteście tak samo wulgarni i chamscy, jak inni.

– Odpowiedz na moje pytanie – naciskała Ellen.

– Proszę bardzo. Mam swojego szpiega u Duncana w domu, w Crantsford Hall. Twoja sprzątaczką lubi sobie czasem poplotkować i mimowolnie opowiada o tym, co się u was dzieje różnym ludziom w mieście, w tym siostrze Charmaine. A tak przy okazji, twoja matka nadal pije?

Wyjście Rogera było równie nagłe, co jego pojawienie się. Ellen odprowadziła go wzrokiem, gdy oddalał się uliczką.

– Nie wiem, co powiedzieć – rzuciła w końcu, gdy zupełnie zniknął jej z oczu. –

W głowie mi się nie mieści, jak on się zmienił. Wygląda żałośnie. Taki wyniszczony. – Jej twarz rozjaśnił promienny uśmiech. – Matthew, byłeś wspaniały. Niewiarygodne, że odegrałeś rolę Duncana. Dziękuję ci. Naprawdę jestem ci wdzięczna.

– Nie ma sprawy. – Podeszedł do kominka i wziął do ręki oprawione w ramki zdjęcie Ellen i Simona. Popatrzył na nie przez kilka chwil, po czym odstawił je na miejsce. – Mam nadzieję, że zostawi cię teraz w spokoju. A tak z ciekawości, ile mu dałaś?

Odwróciła się zawstydzona.

– Posłuchaj, Ellen, nie chcę się wtrącać, ale gdy stałem pod drzwiami, ułyszałem, jak mówiłaś, że nie dasz mi już więcej pieniędzy. To znaczy, że dałaś mu się zaszantażować. Na litość boską, dlaczego?

– Nie wiedziałam, co począć.

– Czemu nie powiedziałaś o tym Duncanowi? Jest prawnikiem, załatwiłby to.
– Nie chciałam, by Duncan się dowiedział o... no, wiesz. My nie... my nie rozmawiamy o takich rzeczach.

Skrzypięcie deski w podłodze nad ich głowami przypomniało im o tym, że na podeście siedzi Jo-Jo i pewnie podsłuchuje ich rozmowę.

– Chyba powinniśmy porozmawiać na osobności. – Matthew wziął Ellen za łokieć i wyprowadził ją na zewnątrz, nad strumień, gdzie posadził ją na ziemi. – A teraz wytłumacz mi dokładnie, dlaczego nie powiedziałaś Duncanowi o listach od Rogera?

– Matthew, musisz być takim despotą? Jestem ci ogromnie wdzięczna za pomoc w załatwieniu sprawy z Rogerem, ale to naprawdę nie twoja rzecz.

– Nie zgadzam się.

– Jak to?

– Ellen, każdy, komu leży na sercu twoje dobro, chciałby ci pomóc.

– Och, błagam, nie zaczynaj znowu.

– Nie zaczynaj czego?

– Dobrze wiesz.

– Nie, nie wiem. Lepiej mi to wytłumacz.

– Nie zgrywaj idioty.

Uśmiechnął się.

– Naprawdę tak ci to przeszkadza, że mi na tobie zależy?

Urwała długie źdźbło trawy i zaczęła je żuć.

– Mam to potraktować jak odpowiedź twierdzącą?

Siedzieli w milczeniu. Ellen przypomniał się dzień, gdy poznała Matthew i gdy siedzieli jedno obok drugiego w milczeniu, oparci o mur. Tylko, że teraz nie czuła się już niezręcznie w jego towarzystwie. Zaczynała nawet z wolna czerpać pewną przyjemność z ich rozmów, które były niczym słowny ping-pong, w którym w roli pałek występował dowcip i to przy jego pomocy zdobywało się punkty. Zebrała się w sobie do nowej próby sił i puściła piłkę rozpoczynającą kolejną rozgrywkę.

– Obiecałeś, że będziesz się zachowywać.

– Obiecałem. A jeśli obiecuję, że postaram się ze wszystkich sił zapanować nad sobą, to czy rozmawiasz ze mną jak... jak z przyjacielem?

– Myślałam, że nie chcesz, byśmy zostali przyjaciółmi.

– Zmieniłem zdanie.

– O jakiej przyjaźni mówimy?

– Zapomnij po prostu o tym, że chętnie rzuciłbym się pod kopyta rozpędzonego stada, jeśli dzięki temu miałbym szansę zdobyć twoje serce. Porozmawiaj ze mną tak, jak... jak rozmawiałabyś z Hermione.

Uśmiechnęła się.

– Nie masz pojęcia, o co mnie prosisz. Rozmowa z Hermione jest jak taniec z wężem.

Oboje parsknęli śmiechem. Ellen przekręciła się na brzuch i wyciągnęła na trawie.

Matthew położył się obok niej. Kilka chwil później zapytał:

– Co miałaś na myśli, gdy powiedziałaś, że nie rozmawiacie o takich rzeczach?

Przechyliła głowę w jego stronę, ale nie odpowiedziała.

– Czy seks jest dla was problemem? No, wiesz, sam akt...

Uśmiechnęła się.

– Co cię tak bawi?

– Sama nie wiem.

- Wiesz, wiesz. No, mów.
- Chyba rozbawiło mnie, że interesuje cię moje i Duncana życie erotyczne.
- Cóż, gdybym miał wybór, wolałbym rozmawiać o naszym życiu erotycznym.

Znowu się uśmiechnęła.

- Nie wątpię.
- Mogę cię o coś zapytać?
- Nic innego nie robisz.
- No, to jeszcze jedno pytanie?

Kiwnęła głową.

- Dlaczego płakałaś, gdy się kochaliśmy?

– Wcale nie płakałam.

Wyciągnął rękę i pogłaskał ją po ramieniu.

- Płakałaś. Chcę wiedzieć dlaczego.

Odsunęła się od niego.

- Pewnie dlatego, że wiedziałam, że popełniamy błąd.

Prawda wyglądała nieco inaczej. Rozpłakała się wtedy, bo to, co między nimi zaszło, było takie wspaniałe. Nigdy w życiu nie doświadczyła podobnego spełnienia. Uświadomiła sobie wtedy, że przez długie lata swojego małżeństwa poprzestawała na czymś, co było bardzo podrzędne.

- Pewnie tak... jeśli naprawdę kochasz Duncana.

– Oczywiście.

– To mi to udowodnij. Odkąd się poznaliśmy, nie dostrzegłem u ciebie żadnych dowodów na to, że kochasz tego człowieka.

– Nie wiem, jak ty się zachowujesz, gdy jesteś zakochany, ale nie każdy związek musi być pełny wzniosłych gestów i wywołującego mdłości, przesłodzonego sentymentalizmu.

– Zgadzam się. Tylko, że ja wcale nie miałem na myśli rysuneków z napisem „Kocham cię” ani liścików zostawianych na lodówce. Mogę zadać jeszcze jedno pytanie?

Westchnęła.

– Dobrze.

– Jest dość osobiste.

– A pozostałe nie były?

– Czy kiedykolwiek miałaś udane życie erotyczne z Rogerem?

– Na Boga, ty masz obsesję!

– I? – naciskał Matthew.

– To ten obiektywny przyjaciel chce wiedzieć, czy też ciało rozpląszczone kopytami stada zwierząt?

– Obiektywny przyjaciel – skłamał.

– W takim razie odpowiedź brzmi „nie” – odpowiedziała po prostu. – Nie miałam. To chyba oczywiste, nie? Czy nie dlatego wszyscy mężczyźni są niewierni? Jeśli w domu nie dostają tego, co chcą, to szukają tego gdzie indziej.

– Nie mam pojęcia. Nigdy nie byłem niewierny.

– Roger był. Odszedł ode mnie, bo znalazł sobie kogoś, kto umiał go zaspokoić, gdy ja tego nie potrafiłam. Ja... ja mu chyba nie wystarczałam. Nie przepadałam za seksem z przebierankami, gdy musiałam udawać kogoś, kim nie jestem. To było nie dla mnie. – Podniosła na niego wzrok. – Czulałam się przy nim taka nieudolna.

– Ellen, uwierz mi, nie ma w tobie nic nieudolnego. Problem leżał w całości po stronie Rogera, a nie twojej.

Zastanowiła się nad tym. Jak łatwo jest wziąć winę na siebie, gdy druga strona to ochoczo sugeruje? Ani razu nie postawiła pod znakiem zapytania łózkowych umiejętności Rogera, kwestionowała tylko swoje własne.

– Chyba właśnie zacznę to sobie uświadamiać.

– I dobrze, bo cokolwiek czuł do ciebie Roger, nie była to miłość. Jak mogłaby być? Gdy ci na kimś zależy, to przecież nie chcesz tej osoby skrzywdzić ani upokorzyć. A teraz odpowiedz mi na kolejne pytanie, i odpowiedz szczerze. Czy wychodzisz za męża za Duncana, bo dla niego seks nie jest taki ważny i myślisz, że w ten sposób oszczędzone ci zostanie kolejne poniżenie?

Uniosła głowę.

– Na Boga, czemu miałabym odpowiedzieć na to pytanie?

– Spróbuj i sama się przekonaj.

– Ależ z ciebie arogancka świnią.

Uśmiechnął się.

– Przecież właśnie uratowałem cię przed losem gorszym od śmierci.

Pokręciła głowę. Do licha, czemu niby nie miałaby powiedzieć mu prawdy? Ostatecznie nie ma się czego wstydzić.

– No, dobrze. Przyznaję się. Wyjdę za męża za Duncana, bo on nie ma obsesji na punkcie seksu i nigdy w życiu nie skrzywdziłby mnie tak, jak skrzywdził mnie Roger. Zadowolony?

– Czyli Duncan jest dla ciebie bezpiecznym wyjściem, czy tak?

– Owszem – potwierdziła. – On mi zapewnia cudowne poczucie bezpieczeństwa... w przeciwieństwie do ciebie.

Uniósł brew.

– Jeśli poczucie bezpieczeństwa to dla ciebie zero pasji, chłód i brak ochoty, by kochać się z ukochaną kobietą, to się zgadzam, ja taki nie jestem. – Wyciągnął rękę i musnął lekko policzek Ellen. – Ellen, doskonale wiesz, co do ciebie czuję, więc nie będę się powtarzał. Gdyby na horyzoncie nie było Duncana i gdybym poprosił cię o rękę, zgodziłabyś się?

– Nie.

Chyba go uraziła

– Jestem aż taki zły?

Zasnurowała usta i odwróciła się od niego.

– Złamałeś obietnicę. Przestałeś się zachowywać. – Wstała. – Zresztą muszę iść do pracy. Pora otworzyć sklep.

On również podniósł się z trawy.

– W takim razie lepiej przekażę ci niedobłą wiadomość, z jaką tu rano przyjechałem. Wczoraj w nocy zmarł Bernie. Liczyłem na to, że razem z Jo-Jo będziecie mogły spędzić trochę czasu z Hermione. Jest bardziej wytracona z równowagi, niż się przyznaje.

Susie była zachwycona perspektywą samodzielnego poprowadzenia sklepu.

– Jejku! Ja, sama, wyobraźcie sobie tylko – powiedziała radośnie. – Oczywiście, że musi pani iść i zająć się tą biedaczką, panią Rowlands. Ja tu sobie poradzę.

Ellen miała taką nadzieję. W niedzielę zwykle ruch był największy.

O wpół do dwunastej było już gorąco, lepko i duszno. Ellen z Jo-Jo wolnym krokiem szły pod stromą górkę na Beggarman's Lane. Przecięły ruchliwą drogę do Crantsford i ruszyły wzdłuż Crescent w cieniu kasztanowców. Upały panowały od tak wielu tygodni, że liście zaczęły już opadać. Leżały na chodniku, krusze i poźółkłe.

– Miałam szczęście – powiedziała Ellen. – Tego roku, gdy byłam w ciąży z Simonem, lato było kiepskie. Te upały muszą być dla ciebie koszmarnie.

– Racja – wydyszała Jo-Jo. – Nie mieści mi się w głowie, że kobiety sobie coś takiego fundują, i to wielokrotnie. Doskonale rozumiem, dlaczego nie miałaś więcej dzieci.

Przechodząc obok Sadowego Domu zobaczyły Wariatuńcia, który pakował Floss i Millie do samochodu. Pomachał do Ellen i upuścił kluczyki.

Drzwi od tyłu do Domu Pod Złotokapem były otwarte. Hermione pakowała stertę startych gazet do dużego kosza.

– Pora zacząć czyścić teren dla ciebie i Duncana – oświadczyła beznamiętnie, gdy Ellen z Jo-Jo weszły do oranżerii. Szybko otarła łzy. – Boże, Jo-Jo – powiedziała z troską. – Wyglądasz na wycieńczoną. Chodź zaraz do kuchni i usiądź.

– Niech pani nie robi szumu – ostrzegła ją Jo-Jo, ocierając sobie pot z czoła. – Nic mi nie jest. To tylko ten koszmarny upał. Czuję się tak, jakby mnie ktoś gotował żywcem.

Mimo protestów Jo-Jo Hermione zmusiła ją, by poszła do kuchni, gdzie było odrobinę chłodniej, i usiadła. Przyniosła jej szklanekę wody.

– A teraz siedź tu i się stąd nie ruszaj, aż nie powiem, że ci wolno. Na pewno mam trochę lodu w zamrażarce.

– Może ja się tym zajmę? – zapytała łagodnie Ellen.

– Bernie nie żyje, a ja jestem rozstrojona, ale to nie znaczy, że już do niczego się nie nadaję – warknęła Hermione. Schowała twarz w dłoniach. – Przepraszam – powiedziała. – Ja tylko...

Ellen podeszła do niej.

– Już dobrze – powiedziała i wzięła Hermione w ramiona. – Wiem, jaką miałaś do niego słabość. Był uroczym człowiekiem i masz prawo czuć smutek.

Hermione wtuliła się w Ellen.

– Był głupi, grubiański i opowiadał same głupoty, ale już się stęskniłam za tym starym draniem. Potrafił mnie rozśmieszyć... Dodawał mi odwagi, uczył kwestionować rzeczy, które dawno zaakceptowałam. Och, Ellen, będzie mi go tak brakowało. On był jeden na milion. Naprawdę.

Duncan zareagował na informacje z mieszaniną rozdrażnienia i radości.

– Dzięki, Howard – rzucił do słuchawki. – Jestem ci ogromnie wdzięczny za tak szybkie przeprowadzenie oględzin. No i za to, że dałeś mi od razu znać, i to przy niedzieli.

– Nie ma sprawy. Dostaniesz kopię raportu najpóźniej we wtorek. Powodzenia. A teraz idę zagrać w golfa.

– W taki upał? Zwariowałeś.

– Ale pomyśl tylko, jak się opalę. Cześć.

Po odłożeniu słuchawki Duncan spojrział na notatki przed sobą. Zastanowił się nad pierwszymi czterema punktami: wymiana dachu, wymiana hydrauliki, wymiana instalacji elektrycznej, wynajęcie specjalistycznej firmy do usunięcia wilgoci i próchna. Na liście miał jeszcze kolejne dziesięć punktów, ale te były mniejszej wagi. Zdaniem Howarda na naprawy będzie trzeba wyłożyć ponad czterdzieści tysięcy funtów.

Rozsiadł się wygodniej na fotelu i okręcił go, by być przodem do okna. Nie pamiętał, by trawniki w Cransford kiedykolwiek wyglądały tak kiepsko – zniknęły już prawie ostatnie resztki zieleni. Ciekawe ile czasu zakurzona trawa będzie potrzebowała, by odżyć po suszy? Na dziś zapowiadano deszcz i silne burze na większości terytorium kraju, które miały zakończyć trwającą od ponad tygodnia duchotę. Jeśli wierzyć Maurice'owi, z którym widział się wczoraj w klubie golfowym, istniało nawet niebezpieczeństwo nagłych podtopień.

Teraz jednak liczyły się dwie kwestie: uporządkować sprawy związane z Domem Pod Złotokapem i z matką.

Cóż za upiorny człowieczek z tego Nigela Wade'a. I jaki oportunistą. Pytanie tylko, w jakiej pozycji znalazłby się Duncan, gdyby Nadia okazała się na tyle głupia, by wyjść za tego człowieka?

Wkrótce po śmierci Donalda Nadia spisała testament, choć nigdy nie ujawniła jego treści. Spisano go w innej kancelarii prawniczej. Duncan mógł się tylko domyślać, co matka postanowiła zrobić z domem i swoimi pieniędzmi. Lecz teraz, gdy na scenie pojawił się Nigel, wszystko mogło ulec zmianie.

Nie bardzo wiedział, jakie podjąć działania w tej konkretnej sprawie, więc postanowił na razie odłożyć ją na bok, aż coś wymyśli. Zawsze wierzył, że brak informacji uniemożliwia znalezienie dobrego wyjścia z sytuacji.

Zamiast tego postanowił więc zająć się Domem Pod Złotokapem. Nie poprosił agentki nieruchomości, by poinformowała Hermione Rowlands o tym, że obniża ofertę. Zadzwoił do niej sam.

Wykręcił numer. Słuchawkę podniósł Matthew.

– Halo, mówi Duncan Carter. Czy zastałem panią Rowlands?

Matthew od razu rozpoznał głos Duncana.

– Tak, ale obawiam się, że nie może teraz podejść do telefonu.

Prawda była nieco inna, Matthew nie chciał, by Duncan zawracał teraz Hermione głowę.

– Och.

– Może ja mogę pomóc? Mówi Matthew.

Duncan przez chwilę się zastanawiał. Zawsze najlepiej jest prowadzić negocjacje bezpośrednio, ale naprawdę nie miał czasu. Wszystko zostało już ustalone, mieli się pobrać z Ellen dwunastego września, czyli dokładnie za trzy i pół tygodnia. Data ślubu datą ślubu, nie miał jednak zamiaru ucierpieć finansowo. Liczył na to, że tej Rowlands bardziej zależy na sprzedaży, niż jemu na kupnie.

– Chodzi o dom? – popędził go Matthew.

Duncan postanowił zaryzykować.

– W rzeczy samej. Może mógłby pan przekazać pani Rowlands wiadomość. Obawiam się, że jest niedobra. Raport rzeczoznawcy z oględzin wypadł bardzo źle, lista napraw jest długa i będą one kosztowały kilkadziesiąt tysięcy funtów, w związku z czym... w związku z czym muszę obniżyć swoją ofertę.

– Kilkadziesiąt tysięcy, to znaczy ile?

– Około sześćdziesięciu – skłamał Duncan.

– Aha, około – powtórzył Matthew kpiąco. – A dokładnie?

– Sześćdziesiąt pięć – oświadczył chłodno Duncan, zajęty gryzmoleniem obrazka domu na dole kartki, którą miał przed sobą.

– Idźże pan do diabła!

W słuchawce zapadła cisza. Pióro Duncana wpadło w poślizg na kartce i przecięło dom na pół.

– Kto to był?

– Myślałem, że jesteś w ogrodzie, Hermione – odparł Matthew i poprawił słuchawkę na widelkach.

– Byłam. Przyszłam po szklankę wody dla Jo-Jo. To był Duncan?

– Skąd wiesz?

Uśmiechnęła się.

– Pewnie przez to przyjacielskie pożegnanie na koniec. Czego chciał? Poza kobietą, którą kochasz?

Matthew wsadził sobie ręce do kieszeni spodni.

– A niech cię, Hermione, musisz tak walić między oczy?

– Przepraszam.

– Och, daj spokój. Uroczy narzeczony Ellen próbuje obniżyć ofertę o sześćdziesiąt pięć tysięcy.

Hermione zagwizdała.

– Doprawdy?

– Dobrze zrobiłem?

– Pewnie. A teraz chodź do nas na zewnątrz. Siedzimy w cieniu w altanie. – Wzięła go pod ramię. – Chciałam ci podziękować za sprowadzenie kawalerii na odsiecz. Ellen powiedziała mi o wizycie Rogera dziś rano. Śmieszne, że udawałeś, że jesteś Duncanem. Wygląda na to, że gładko wszedłeś w rolę pana domu.

Rozdział trzydziesty siódmy

Późnym popołudniem powietrze było gęste jak melasa. Chmury burzowe zebrały się nad głowami. W ogrodzie Domu Pod Złotokapem panowała złowroga ciemność.

Wcześniejszy przyływ energii i przytomność umysłu Hermione gdzieś wyparowały. Teraz ogarnęło ją zmęczenie oraz przemożny smutek. Ellen kilka razy wspomniała, że powinna wracać do sklepu w stodole zmienić Susie, ale Hermione za każdym razem upierała się, by przyjaciółka została jeszcze chwilę.

– Proszę cię, nie idź jeszcze – powiedziała ponuro. Siedziała w swoim wiklinowym fotelu w altanie. – Jest jak za starych, dobrych czasów. Jak kiedyś, zanim... – urwała.

– Zanim co? – zapytała delikatnie Ellen.

– Przed tym wszystkim, przed Rogerem i Duncanem... I przed Berniem. Może zadzwonisz do Susie i zapytasz, czy nie dałaby sobie rady bez ciebie jeszcze przez godzinę?

– Mam lepszy pomysł – oświadczyła Jo-Jo. – Pójdę do domu pani Ellen wziąć prysznic, a przy okazji sprawdzę, czy u pani Susie wszystko jest w porządku. Jeśli nie jest, to powiem, żeby do pani zadzwoniła.

Hermione najchętniej wszystkich by przy sobie zatrzymała, ale rozumiała, że jeśli puści Jo-Jo, przynajmniej Ellen jeszcze zostanie.

– Podwieźć cię? – zapytał Matthew zza sztalug ustawionych kilka metrów dalej. Pracował nad obrazem przedstawiającym altanę.

– Niech pan się nie wygłupia – odparła Jo-Jo, z trudem dźwigając się na równe nogi i poprawiając bawełniane ogrodniczki, które podjechały jej do góry. – Przecież to tylko kilka minut stąd.

– Ale jest gorąco – powiedziała błagalnie Hermione. – Pozwól Matthew...

– Wolę się przejść. Mam wrażenie, że moje ciało za moment przestanie funkcjonować. Ellen odprowadziła ją do domu Hermione.

– Powiedz Susie, żeby zamknęła sklep, dobrze? – poprosiła, przekazując dziewczynie klucze do swojego domku. Przystanęły na moment na podwórku. – Strasznie mi głupio, że ją zostawiłam zupełnie samą przez praktycznie cały dzień. Poproś ją, żeby tylko zamknęła, a ja się wszystkim zajmę jutro rano. Na pewno nic ci nie jest?

Jo-Jo prychnęła z dezaprobatą.

– Niech pani przestanie robić tyle szumu. Zobaczymy się później.

Jo-Jo dotarła do stodoły porządnie spocona. Czowała krople potu spływające między jej nabrzmiałymi piersiami. Była też świadoma upartego, tępego bólu w dole pleców, który doskwierał jej już od śniadania. To pewnie dziecko układa się w odpowiedniej pozycji przed wielkim dniem, który miał nadejść już wkrótce. Nie przyszło jej nawet do głowy, że poród jest tuż-tuż.

Przekazała Susie wiadomość od Ellen, po czym podreptała zadyszana do domku. Z wdzięcznością weszła do środka i wolno wspięła się na górę. Puściła wodę pod prysznicem i się rozebrała, gdy rozległ się głośny huk pioruna. Małe okienko w spróchniałej ramie zadźwięczało. Otworzyła je. Na końcu nosa poczuła dużą kroplę deszczu. Przynajmniej powietrze się oczyści. Nagle posępne niebo przecięła jasna błyskawica, niczym jakieś magiczne graffiti. Kilka sekund później znowu uderzył piorun, aż zadudniło nad głową.

Jo-Jo weszła pod prysznic. Woda była chłodna i ożywcza. Jednak wraz z przybieraniem burzy na sile, rósł też ból w jej plecach.

Wyjeżdżając przez bramę Crantsford Hall, Duncan pomyślał, że powinien trafić idealnie.

Ellen pewnie właśnie zamyka stodołę, więc będzie miał szansę porozmawiać z nią o Domu Pod Złotokapem. Musiał jej uświadomić, że ma zadanie: trzeba przekonać Hermione Rowlands, że proponowana przez Duncana cena za dom jest uczciwa. Nikt przy zdrowych zmysłach nie kupiłby tego domu za więcej. Problem w tym – o czym sam doskonale wiedział – że za bardzo mu na tej nieruchomości zależało. Była po prostu idealna dla niego i Ellen, kiedy już znikną zaniedbania oraz aktualna właścicielka. A to oczywiście oznaczało, że przystępował do negocjacji z niekorzystnej pozycji. Sytuacja byłaby dużo prostsza, gdyby mógł tak po prostu zrezygnować. Ale nie mógł. Podjął decyzję i nie zamierzał pozwolić, by ktokolwiek, a już na pewno nie jakaś starsza pani, uniemożliwił mu realizację planów. Przechytrzy Hermione, nawet jeśli to będzie ostatnia rzecz w życiu, jaką zrobi.

Nad jego głową uderzył kolejny piorun, a deszcz przybrał na sile. Duncan ustawił wycieraczki na maksymalne obroty. Pracowały gorączkowo na przedniej szybie w daremnych próbach usunięcia wody. Samochód przed nim włókł się w żółwym tempie i, gdyby nie tylne światła, które paliły się słabo niczym rozgrzane do czerwoności węgielki, byłby zupełnie niewidoczny w strugach ulewnego deszczu. Kosztowne auto Duncana produkowało teraz odgłosy, które mogły się kojarzyć z jakąś koszmarną puszką.

Zjechał z głównej drogi do Crantsford i skręcił w dziurawą Berggarman's Lane. Z zaskoczeniem stwierdził, że praktycznie przestała ona przypominać drogę, a przemieniła się raczej w rzekę. Z niewysokiego wzgórza płynęła błotnista lawina, która wpadała do strumienia poniżej, przez ostatnie parę tygodni wysuszonego prawie na wiór. Podskakując na wybojach i rozpryskując wodę, dotarł do miejsc do parkowania. W stodole było ciemno i nie widział, by ktoś się tam kręcił, więc pobiegł w stronę domku. Przeklął go w myślach za to, że nie ma werandy. Załomotał do drzwi.

– Ellen! – zawołał. – To ja, Duncan. Wpuść mnie.

Walił w drzwi i krzyczał, ale jego głos zniknął w trzasku kolejnego pioruna. Kilka sekund wystarczyło, by przemókł do suchej nitki. Schylił się i pchnął klapkę skrzynki na listy.

– Ellen! – wrzasnął. – Jesteś tam?

Zobaczył sylwetkę owiniętą w ręcznik, która zbliżała się do drzwi. Westchnął z ulgą. Pewnie była w wannie albo pod prysznicem i dlatego go nie słyszała. Lecz gdy drzwi się otworzyły, zorientował się, że popełnił błąd.

– Och – powiedział na widok Jo-Jo przytrzymującej na sobie ręcznik. – No cóż, wpuść mnie – ciągnął. – Leje mi się za kołnierz, jak tu stoję. – Przepchnął się obok niej. – Gdzie Ellen?

– Nie ma jej tutaj.

Jo-Jo zatrzasnęła za nim drzwi.

Obrócił się na pięcie.

– To gdzie jest?

– U Hermione.

– I?

– I co?

– Kiedy wróci? – dopytywał się.

– Nie mam pojęcia.

– Poczekam.

– Raczej nie.

– Słucham?

– Słyszał pan.

Duncan wbił wzrok w Jo-Jo, po czym się od niej odwrócił. Podeszedł i stanął koło kominka. Przejechał dłonią po mokrej twarzy.

– Nie wiem, jak zdołałaś wygrzyźć sobie miejsce w życiu Ellen, ale coś sobie wyjaśnijmy. W przyszłym miesiącu żenię się z Ellen. Potem nigdy więcej się już nie spotkacie. Czy to jasne?

– To chyba zależy od pani Ellen, nie?

– Nie – odparł, a jego oczy pociemniały niczym stal. – Ellen jest zbyt dobrodusznna. Nie rozumie, co z ciebie za gagatek. A teraz przynieś mi ręcznik. Jestem cały mokry. – Zaczął szarpać się za koszulę i rozpinąć guziki. – No, już! Na co jeszcze czekasz?

Zrobiła krok w jego stronę.

– Dwie sprawy. Po pierwsze, nie mów mi, co mam robić. Nigdy, dobra? A po drugie, może byś przestał traktować mnie jakbym była kupą gówna, co?

Parsknął śmiechem.

– Ale przecież dokładnie tym jesteś.

– Akurat!

Chciała go uderzyć otwartą dłonią, ale złapał ją za nadgarstek. Przez chwilę stał bez ruchu i się jej przyglądał. Jej otwarta wrogość zmusiła go do zadania sobie pytania. Czemu by nie dać upustu złości? Czemu choć raz nie powiedzieć i nie zrobić tego, co naprawdę czuł? Czemu miał znowu walczyć nad zapanowaniem nad sobą?

– Puszczaj mnie, bękarci pomioście!

W pierwszej chwili jej nie usłyszał, ale potem, bardzo wolno, jej słowa do niego dotarły.

– Coś ty powiedziała?

– Sam słyszałeś, bękarci pomioście, puść mnie.

Złapał jej nadgarstek jeszcze mocniej.

– Przepróż!

– Nie!

Kopnęła go i jakimś sposobem udało jej się wyswobodzić. Przecięła pokój, kurczowo podtrzymując sobie ręcznik. Stała za jednym z foteli. Bała się, co on może teraz zrobić. Widziała, że obie dłonie miał zaciśnięte ciasno w pięści. Ruszył w jej stronę.

– Przepróż za to, jak mnie nazwałaś – powiedział groźnie niskim głosem.

– Dobrze, dobrze – odparła zdenerwowana. – Przepraszam.

Zamarł. Lecz jej przeprosiny nie wystarczyły, by powstrzymać to, co czuł w środku. Rozgoryczenie, jakiego doświadczył jako dziecko, bo był inny – niechciany – w końcu się uwolniło i nagle to ono miało nad nim kontrolę. Przed oczami stanęły mu pełne cierpienia dni, gdy znęcano się nad nim w szkole. To był ogromny ciężar i chciał się go pozbyć raz na zawsze. Zrobił krok w stronę Jo-Jo.

– Jesteś dziwką, co, Jo-Jo?

Zacisnęła ręce na oparciu fotela.

– Odpowiadaj.

– Nie, nie jestem.

– Owszem, jesteś. Do niczego się nie nadajesz. – Stał teraz obok niej. – Sama tylko na siebie popatrz... Dziecko, a już w ciąży. Założę się, że nie wiesz nawet, kto jest ojcem, co?

Szturchnęła ją w ramię.

Chciała przed nim uciec, ale był za blisko. Znalazła się w pułapce. Znowu ją szturchnął. Jego dotknięcie wywołało ostry ból, który przeszył jej ciało. Zapało jej dech w piersiach i złapała się za brzuch.

– Z iloma spałaś, co? Jakie to uczucie wiedzieć, że urodzisz dziecko, które nie ma przed sobą żadnej przyszłości, co?

– Ono ma przyszłość! – wrzasnęła.

Równocześnie z jej krzykiem pokój rozświetlił ostry blask błyskawicy, po którym

nastąpiło uderzenie pioruna. Jej ciało spięło się od potwornego bólu. To był taki koszmar, że chciała tylko osunąć się na podłogę i zwinąć w maleńki, ciasny kłębek. Lecz nie mogła pozwolić, by Duncan był świadkiem jej słabości. Musiała być silna.

Przysunął swoją twarz bardzo blisko i zaśmiał się szyderczo.

– Tak? A powiedz mi, jaką przyszłość ty możesz temu dziecku zaoferować, co?

– Oddaję dziecko do adopcji – udało jej się wydusić. Zaraz potem ból zniknął równie nagle, jak się pojawił, co dodało jej sił do walki z Duncanem. – Ciebie też adoptowano, prawda? – zapytała wyważonym, całkiem spokojnym głosem.

Odsunął się od niej, ale nic nie powiedział.

– No, tak – ciągnęła dalej, wyczuwając, że w ten sposób może dopiec swojemu prześladowcy. – Wyleciało mi z głowy, że ty też zostałeś adoptowany. I wygląda na to, że nie jesteś z tego specjalnie dumny, co? A może twoja biologiczna matka była taka, jak ci się wydaje, że ja jestem? A wtedy kim ty jesteś? Powiem ci, specjalisto od fochów i pieprzonych fanaberii. To znaczy, że jesteś bękartem!

Zdała sobie sprawę ze swojej pomyłki, gdy było już za późno. Zamiast zmusić Duncana do rejterady, jej słowa odniosły dokładnie odwrotny skutek. Źle go oszacowała.

Poczuła mocne uderzenie dłoni na policzku, a potem już nic więcej.

Duncan wyszedł z domku Ellen na chwiejnych nogach i rzucił się przez deszcz do samochodu. Szybko przerzucił biegi i odjechał, podskakując na wybojach. Samochód utknął jednak na najbardziej stromym i najwyższym odcinku uliczki. Duncan zaklął i przekręcił kluczyk w stacyjce. Nic, tylko żalosne rżenie silnika próbującego zaskoczyć. Ze szczytu uliczki płynęła rzeka wody, która zaczęła spychać auto do tyłu. Zaciągnął hamulec ręczny i jeszcze raz spróbował odpalić silnik. Bez skutku. Kilka razy uderzył pięścią w kierownicę, po czym spojrzał w stronę domku i zaczął się trząść.

Na Boga, co ja zrobiłem?

Był przerażony gniewem, jaki się w nim obudził w tym małym pokoju. Przerażony, że kto jak kto, ale on nie był w stanie nad sobą zapanować. To było doświadczenie z gatunku doktora Jekylla i pana Hyde'a. W jednej chwili miał wszystko pod kontrolą, by zaraz zupełnie ją utracić. Ogarnął go wstyd. Położył głowę na kierownicy i załkał.

Gdy w końcu wziął się w garść, dotarło do niego, że nie może tu zostać. Musi się jakoś wydostać.

Porzucił auto, wdrapał się na wzgórze i dotarł do głównej drogi, a potem do Church Walk Mews. Gdy wchodził do biura, miał już w głowie inną wersję wydarzeń tego wieczora.

Dziewczyna go sprowokowała.

Doszło do wymiany zdań.

Zaatakowała go.

On się tylko bronił.

Nic jej nie było, gdy wychodził.

Oczy Hermione zamigotały.

– W życiu nie widziałam takiej burzy – powiedziała, wyglądając przez okno z dużego pokoju na smagany deszczem ogród.

Ellen nie podzielała entuzjastycznego stosunku Hermione do pogody. Martwiła się o Jo-Jo. Próbowali dzwonić do niej do domku, żeby się upewnić, że wszystko jest w porządku, ale telefon nie działał.

– Pójdę sprawdzić, czy z Jo-Jo wszystko jest okej.

Hermione porzuciła okno.

– Dobry pomysł, Ellen. Pójdę z tobą.

– Nie wygłupiaj się, Hermione – wtrącił się Matthew. – Nie wypuszczę cię na dwór w taką pogodę. Ja pójdę z Ellen.

Hermione się skrzywiła.

– Zawsze omija mnie najlepsza zabawa.

– Ja bym tego nie nazwał dobrą zabawą – stwierdził Matthew, otwierając drzwi z oranżerii.

Wyszedł na zewnątrz dokładnie w chwili, gdy stara, żeliwna rynna puściła i poleciał na niego ocean wody.

Ellen się zaśmiała, ale Matthew złapał ją za rękę i wciągnął pod pękniętą rynnę, by ona też została przemoczona do suchej nitki.

– Ty draniu! – prychnęła, odgarniając z twarzy mokre włosy.

Uśmiechnął się.

– To się nazywa chrzest ogniowy. Teraz już nie ma znaczenia, jak mocno pada, bo bardziej przemoknąć już nie możemy.

Na szczycie Beggarman's Lane natknęli się na porzucone auto Duncana. Poszli dalej i zapukali do drzwi domku. Cisza. Próbowali pchnąć drzwi, ale były zamknięte.

– Jeśli nam nie otworzy, to nie dostaniemy się do środka – powiedziała Ellen przekrzykując huk kolejnego pioruna. – Dałam jej swoje klucze. Zapasowe wiszą w kuchni. – Załomotała znowu do drzwi. – Może poszła spać.

Matthew zajrzał do środka przez okno w dużym pokoju.

– Nie, nie poszła spać, Ellen. Leży na podłodze!

Wybili jedną z małych szybek w oknie i weszli do środka.

Jo-Jo była nieprzytomna. Jej prawy policzek był spuchnięty i posiniaczony. W kącie ust powoli zastygała krew.

– Jo-Jo – powiedziała głośno Ellen, przyklękając koło dziewczyny. – Jo-Jo, słyszysz mnie?

Jo-Jo złowiła uchem swoje imię. Dochodziło z daleka. To był głos, którego nie słyszała od lat. Ledwie go rejestrowała z miejsca na tyłach ogrodu, gdzie się bawiła. O, znowu. To babcia woła ją na herbatę. Stała na schodku z tyłu domu i czekała z otwartymi ramionami, aż przybiegnie do niej jej ukochana wnuczka. Biegła więc ile sił w nogach, lecz gdy dotarła do domu, czekała na nią Hermione.

– No, jesteś – powiedziała Hermione. – Chodź do środka i umyj ręce. Herbata czeka.

Lecz teraz wołał ją ktoś inny. Raz za razem.

– Jo-Jo... Jo-Jo... Jo-Jo...

Zmusiła się do otwarcia oczu. Przed nimi zatańczyła jej jakaś różowa plama.

– Pani Hermione?

– Nie, to ja, Ellen.

– Ellen?

– Tak. Jest też ze mną Matthew. Możesz nam powiedzieć, co się stało?

– Nie... nie wiem. Byłam w ogrodzie z babcią. Nie, wcale nie. Byłam tutaj... I Duncan tu też był. On...

Przerwała i skrzywiła się z bólu. Krzyknęła głośno i podciągnęła kolana pod brodę, po czym wolno je opuściła. Oddychała szybko i płytko.

– Niewiarygodne – wymamrotał Matthew, który stał za Ellen. – Ona rodzi!

Skurcz minął i na twarzy Jo-Jo pojawił się słaby uśmiech.

– Dzięki za informację. Sama nigdy bym na to nie wpadła.

– No, dobra – powiedziała rzeczowo Ellen, która ze wszystkich sił starała się nie okazać

ogarniającej ją paniki. – Myślisz, że dasz radę ruszyć się z miejsca?

– Pewnie – odparła Jo-Jo. – Nie ma sprawy. – Uniosła głowę i pokój zawirował dookoła niej. – Eee... właściwie to chyba nie bardzo.

– Dobrze – powiedziała Ellen. – Zostań tu i nic nie rób. – Wstała i gestem kazała Matthew iść za sobą do kuchni. – Chyba powinniśmy zadzwonić po karetkę.

– Zapomniałaś, że telefony nie działają.

Zdjęła słuchawkę z widełek na ścianie. Głucha cisza.

– A niech to! Co robimy?

– Zawieziemy ją do szpitala twoim samochodem.

Pokręciła głową.

– Nie da rady. Auto Duncana blokuje drogę. Och, Matthew, co my poczniemy?

– Zastanówmy się – powiedział, wciągając głęboko powietrze do płuc i starając się zachować spokój. – Musi być jakiś sposób. – Przeczesał włosy rękami i zaczął krążyć po maleńkiej kuchni. – Okej, oto co zrobimy. Ty tu zostaniesz i zajmiesz się Jo-Jo, a ja pójdę zobaczyć, czy uda mi się dostać do samochodu Duncana i zwolnić hamulec ręczny. Przy odrobinie szczęścia zepchnę go w dół uliczki, a potem pojedziemy do szpitala.

Na zewnątrz, w ulewnym deszczu, okazało się jednak, że bmw jest zamknięte na klucz. Matthew niespecjalnie się tym przejął, znalazł spory kamień w błocie i wybił szybę po stronie kierowcy. Sprawilo mu to nawet pewną przyjemność. Sięgnął do środka, żeby otworzyć drzwi. Natychmiast zawył alarm, głośno i przeszywająco. Matthew wsiadł do środka, zwolnił hamulec ręczny i próbował poruszyć kierownicą. Na niewiele się to jednak zdało, bo kierownica się zablokowała, a koła zostały ustawione pod takim kątem, że auto można było przesunąć zaledwie kilka centymetrów, po czym uderzyłyby w drzewo. A droga nadal byłaby nieprzejezdna.

Pobiegł z powrotem do domu.

– Nie da rady – powiedział szeptem do Ellen w kuchni. – Nie mogę ruszyć bmw z miejsca. Jak myślisz, ile mamy czasu? Poród potrafi się ciągnąć godzinami, prawda?

Ellen zagryzła wargę.

– Nie wiem, skurcze są całkiem częste.

Matthew jęknął.

– Już wiem! – rozpromieniła się. – Wariatuńcio! Leć do Sadowego Domu i ściągnij go tutaj.

– A co ten idiota może nam pomóc?

– Och, nie bądź kretyńcem, Matthew. On jest ginekologiem. Wie więcej o porodach niż my się kiedykolwiek dowiemy. Idź po niego. Tylko się pośpieszcie.

Rozdział trzydziesty ósmy

Gdy w drzwiach do Sadowego Domu stanął Wariatuńcio, Matthew poczuł ogromną ulgę. Nigdy by nie pomyślał, że może się tak ucieszyć na widok człowieka, którego wcześniej spisał na straty jako durnia i bufona.

Musiła minąć chwila, niż był w stanie się odezwać – dni intensywnego biegania miał już dawno za sobą. Stał więc w przedpokoju Sadowego Domu i próbował odzyskać oddech, a tymczasem kapąła z niego woda wprost na kremową wykładzinę. Wariatuńcio gapił się z niepokojem na rosnącą kałużę.

– Potrzebujemy pomocy – w końcu wydusił z siebie Matthew. – Chodzi o Jo-Jo, znajomą Ellen. Zaczęła rodzić. Nie możemy zawieźć jej do szpitala i... nie wiemy, co robić. Pójdzie pan ze mną?

W jego głosie pobrzmiwała desperacja, sam to słyszał. Jednak jak za dotknięciem magicznej różdżki, stojący przed nim mężczyzna przeistoczył się w kogoś zupełnie innego. Superman nie dałby rady tak prędko wskoczyć w swój kostium.

Szybko wyjaśniono sytuację Susie, która była z dziewczynkami w kuchni, gdzie gromadziły świece na wypadek, gdyby wysiadł prąd. Korzystając z jej komórki udało się zadzwonić po pomoc. Kilka minut później wyszli z domu. Matthew nie mógł nadążyć za Wariatuńciem, który biegł bez wysiłku w stronę Beggarman's Lane ze swoją medyczną torbą w ręce. Gdy Matthew udało się z nim zrównać, Wariatuńcio nie był nawet zadyszany.

– Może mi pan opowiedzieć, co się dokładnie wydarzyło?

Matthew nie był w stanie teraz niczego opowiedzieć.

– Ellen wszystko wytłumaczy, jak dotrzemy na miejsce – wysapał.

Ellen wpuściła ich do środka. Wariatuńcio podszedł prosto do Jo-Jo i przyklęknął na podłodze koło niej. Jej głowa spoczywała na poduszce. Dziewczyna była przykryta kocem przyniesionym z góry.

– Co się stało?

– Chyba ma wstrząs mózgu. Skarży się, że kręci jej się w głowie i kilka razy wymiotowała.

– A skurcze?

– Co kilka minut.

Otworzył swoją torbę.

– Za ciemno tu. Potrzeba mi więcej światła.

Ellen i Matthew zerwali się na równe nogi. Kręcili się po pokoju, włączając lampy i co chwilę na siebie wpadali.

– Jo-Jo – powiedział Wariatuńcio lżejszym tonem. – Myślisz, że mógłbym zajrzeć i sprawdzić, jak się rozwija sytuacja?

Kiwnęła głową i się skrzywiła.

– Skurcz?

Zacisnęła mocno powieki.

– W takim razie chwilę poczekamy, dobrze? Weź mnie za rękę i ściskaj tak mocno, jak tylko dasz radę. Tak, Jo-Jo, dobra robota. Oddychaj równo i powoli, świetnie sobie radzisz. O, proszę, byłaś rewelacyjna. – Wysunął dłoń z jej rozluźnionego uchwytu. – Jesteś pewna, że nie masz w tym żadnego doświadczenia? Nie? A to ci niespodzianka. No, ale skoro mamy chwilę przerwy, to szybko zajrzę, dobrze?

Ellen z Matthew patrzyli na niego jak zaczarowani. Wariatuńcio był rewelacyjny. Jego

słowa miały w sobie coś cudownie hipnotycznego. Dzięki temu Jo-Jo się rozluźniła, oni zresztą też. Matthew pomyślał, że w nie tak znowu odległej przyszłości być może nawet przeprosi Wariatuńcia za to, że źle go ocenił.

Jo-Jo urodziła kwilącą dziewczynkę, a kilka minut później rozległo się stukanie. Karetka czekała na górze ulicy. Do domku wniesiono nosze. Matthew, Ellen i Wariatuńcio towarzyszyli Jo-Jo do ambulansu i dopiero wtedy zauważyli, że burza minęła.

– Mocno padało? – zapytała Jo-Jo sennym głosem, gdy sanitariusze walczyli o utrzymanie równowagi na błotnistym stoku drogi, którą nadal tarasowało auto Duncana.

– Nie zauważyłem – odparł Matthew ze śmiechem. – A ty, Ellen?

Ale Ellen nie słuchała. Była zatopiona w myślach. Zastanawiała się nad Duncanem i nad tym, co powiedziała jej Jo-Jo, gdy Matthew poszedł po Wariatuńcia.

Później tego samego wieczora Ellen pojechała do Crantsford Hall.

– Obawiam się, że Duncana nie ma – poinformowała ją Nadia. – Myślałam, że jest z panią – dodała. – Wyszedł parę godzin temu, na samym początku burzy.

Ellen powiedziała jej o porzuconym aucie Duncana na Beggarman's Lane.

– Jest coś jeszcze, o czym chciałabym z panią porozmawiać.

– W takim razie proszę wejść.

Ellen szła za Nadią przez dom, aż do niewielkiego, jasnego pokoju wychodzącego na zalany ogród różany, gdzie zaledwie wczoraj wieczorem siedziała z Duncanem pijąc dżin z tonikiem – to wspomnienie budziło w niej teraz obrzydzenie. Przez okna balkonowe widać było róże, którym nieźle się oberwało w ulewnym deszczu. Nietknięte pozostały tylko najbardziej nierozwinięte pączki. Reszta płatków tworzyła teraz szkarłatny dywan na nasiąkniętej wodą ziemi. Na płatkach potworzyły się maleńkie kałuże wody, które lśniły teraz w promieniach niskiego, wieczornego słońca przebijającego się przez ostatki burzowych chmur.

– Proszę usiąść – powiedziała Nadia. – Co takiego chce mi pani powiedzieć?

Ellen chętnie by się czegoś napiła, ale skoro nie zaproponowano jej nic dla kurażu, musiała polegać na sobie samej.

– Czy zna pani mroczną stronę charakteru swojego syna?

W świetle tego, co powiedziała jej w domu Jo-Jo, było to absurdalne pytanie. Ellen musiała się powstrzymać, by nie zastosować przemocy w stosunku do Nadii, tak jak jej syn postąpił w stosunku do Jo-Jo.

Nadia przechyliła głowę na bok i zastanowiła się nad słowami Ellen, czujnie się jej przy tym przyglądając. Bardzo wolno opadła na oparcie fotela.

– Proszę przejść do rzeczy.

Ellen tak właśnie zrobiła. Opowiedziała jej, co Duncan zrobił Jo-Jo.

– Zostawił ją na podłodze, pani Carter. Nieprzytomną i krwawiącą.

Na twarzy Nadii nie malowało się żadne uczucie.

– Jest pani jego matką, więc zakładam, że będzie go pani bronić. Być może nawet przekona pani samą siebie, że Jo-Jo kłamie. Coś pani jednak powiem. – Ellen wstała. – Pracownicy szpitala potwierdzą obrażenia, jakie jej zadał.

Nadia odchrząknęła.

– Mogę coś wyjaśnić?

– A co tu mówić? To prawdopodobnie pani wina, że on jest, jaki jest. Gdyby go pani tak nie tyranizowała...

– Niech mi się pani da odezwać – rzuciła rozkazującym tonem Nadia. – Nie jestem winna zachowania Duncana. Rozumie pani? Nie ponoszę odpowiedzialności za wady jego charakteru.

– No, to kto, do cholery, ponosi?

– On sam, oczywiście. Oraz jego rodzice biologiczni.

– Jego rodzice biologiczni? Chyba pani nie mówi serio.

Nadia wychyliła się do przodu.

– Donald i ja daliśmy Duncanowi wszystko, co mogliśmy. Na niczym mu nie zbywało...

– Może poza miłością – rzuciła Ellen.

Nadia zbyła ten komentarz machnięciem dużej dłoni.

– Właśnie tego rodzaju przewidywalnych, powierzchownych wniosków spodziewałabym się po kimś takim, jak pani. Pozwoli pani, że ją o coś zapytam. A czy pani chciała dać Duncanowi miłość?

Ellen się zawahała.

– Ja... ja bym mu dała to, czego on potrzebuje.

Nadia zaśmiała się nieprzyjemnie.

– Tak myślałam. A teraz pewnie chce pani zerwać zaręczyny. Tak to właśnie bywa z miłością taką, jak pani. Łatwo przyszło, łatwo poszło. Czy ta dziewczyna pójdzie na policję?

– Decyzja należy do niej – odparła chłodno Ellen.

– Ale mogłaby ją pani od tego odwieść?

– Za nic w świecie! Duncan zasługuje na karę.

– Jeśli ta sprawa trafi do sądu, Duncan uruchomi swoje kontakty. Jest szanowanym człowiekiem, ma pozycję w mieście. Nikt jej nie uwierzy.

Ellen zerwała się na równe nogi.

– On jest zwyczajnym tyranem, tak samo, jak pani! Nie potrafię zrozumieć, co też w pani widzi taki miły człowiek, jak Nigel.

Nadia także wstała. Na jej twarzy pojawił się dziwny uśmiech.

– Chyba całkiem zręcznie odegrałam swoją rolę z tym żalonym człowieczkiem. Wszyscy się na to nabraliście. Cynthia, Phyllis, ty i Duncan. Zwłaszcza Duncan.

– Nie rozumiem.

– Wykorzystałam Nigela Wade'a, żeby coś udowodnić synowi.

Ellen zmarszczyła brwi.

– Chciała pani wzbudzić w nim zazdrość?

– Nie. Chciałam mu pokazać, jak łatwo jest skupić na sobie uwagę niestosownego wielbiciela.

Spojrzała znacząco na Ellen.

Przez ułamek sekundy Ellen zrobiło się Duncana żal. Gdyby dorastała pod jednym dachem z tak pokręconą, odrażającą kobietą, której zdolność do uczuć i ciepła stawiała ją w równym rzędzie z Medeą, to pewnie już wiele lat temu zaczęłaby stosować przemoc.

– Chyba już pójdę – oznajmiła.

– Dobry pomysł. Odprowadzę panią.

Zatrzymały się przy drzwiach wejściowych, gdzie było ciemno i ponuro. Ellen chciała jak najszybciej wydostać się z tego domu. Sama otworzyła sobie drzwi.

– Jeszcze tylko jedno – powiedziała Nadia. – Przyszła tu pani dzisiaj zadufana w sobie, ale proszę nie zapominać, że ja wiem, co dokładnie zaszło u pani w domu tamtego dnia w kwietniu. Udało się pani nabrać Duncana, ale nie mnie. Chciałam, by to pani wiedziała.

CZEŚĆ TRZECIA

Wrzesień

Pieśń Elfa Głogu

Ten ciernisty krzew zakwitł już w maju,

tyle miesięcy temu, jak to ma w zwyczaju.

Gdy płatki niczym ciężkie brzemię

opadły i jak śnieg przykryły ziemię,

„To już koniec” – myślałaś, że wiesz doskonale;

lecz nie, ta historia toczy się dalej!

Bo, widzisz, teraz mam głogu owoce

Co głodnym ptakom dadzą nowe moce

Gdy chłodne nadejdą noce.

Cicely Mary Barker

Rozdział trzydziesty dziewiąty

Ellen zamknęła stodołę i zeszła nad strumień. Tak właśnie zwykle robiła o tej porze dnia, by w relaksujący sposób zakończyć dzień pracy. Nastął już schyłek lata i chciała wykorzystać każdą okazję, by posiedzieć na zewnątrz.

Od burzy i związanych z nią dramatów minęły prawie cztery tygodnie. Przez ten czas Duncan nie próbował się z nią spotkać. W ogóle o nim nie słyszała. Sama również nie próbowała się z nim skontaktować. Odesłała mu tylko pierścionek. Nie załączyła listu.

Następnego dnia po burzy wycofała domek oraz firmę z oferty rynku nieruchomości i rzuciła się w wir pracy. Wszystko, byle nie mieć czasu na myślenie o związku z Duncanem. Przez pierwsze kilka dni pracowała non stop. Wydłużyła godziny otwarcia sklepu, aż do wczesnych godzin porannych układała różne aranżacje kwiatowe. Chciała mieć pewność, że gdy w końcu padnie do łóżka, będzie zbyt zmęczona na dręczenie się pytaniami. Działało. Zmęczenie fizyczne i psychiczne skutecznie trzymało mentalną policję na odległość.

Aż do dnia pogrzebu Berniego. Wtedy, w cichym kościele, nie była w stanie uniknąć listy pytań, na które musiała znaleźć odpowiedź.

Jo-Jo wyszła już ze szpitala, wróciła do Sheffield i niedługo potem oddała córkę do adopcji. Rozmawiały przez telefon kilka godzin po tym, jak młoda matka pożegnała się z przepelnioną wdzięcznością parą. Ellen wcale się nie zdziwiła, gdy wyłapała nutę napięcia i tęsknoty w głosie Jo-Jo.

– Dali jej na imię Emily – powiedziała. – Będą mi przysyłać jej zdjęcia co roku na jej urodziny. Chcą, aby o mnie wiedziała.

– A jak ty się z tym czujesz? – zapytała Ellen.

– Szczerze mówiąc, sama nie wiem – przyznała. – Ale nadal jestem przekonana, że ci ludzie mogą dać jej więcej niż ja, przynajmniej teraz.

Jakie to wszystko było proste dla Jo-Jo.

Ellen zaczęła widzieć sprawę jasno właśnie siedząc obok Hermione w kościele parafialnym w Crantsford. Tylko kilka ławek zostało wolnych. Bernie był bardzo lubiany i na jego pogrzeb przyjechali ludzie z całego kraju. Pożegnać się i wyrazić swoją sympatię dla starego drania przyszli też wszyscy mieszkańcy Domku Myśliwskiego oraz jego kierownictwo.

Większość padających podczas pogrzebu słów nie dochodziła jednak do Ellen. Z roztargnieniem kartkowała śpiewnik. Myślała o Duncanie.

Jak mogła być tak ślepa? To pytanie w kółko do niej powracało, a odpowiedź wydawał się boleśnie oczywista. Ze wszystkich sił starała się widzieć Duncana w jednym tylko wymiarze – w roli jej wybawiciela. A to, w połączeniu z poczuciem winy w związku z tym, co zaszło między nią a Matthew, sprawiło, że niczego w nim nie poddawała w wątpliwość. Przez swoją własną słabość i głupotę postawiła Duncana na piedestale. Ileż to razy go broniła: przed Jo-Jo, przed Hermione, przed Simonem i przed Matthew. A wszystko dlatego, że tak bardzo chciała widzieć w nim swojego księcia na białym koniu. Co za żenada.

Było jej okropnie wstyd za siebie.

Matthew zapytał ją kiedyś, dlaczego szuka ucieczki. Nie chciała go wtedy słuchać, ale, do cholery, miał rację. Teraz widziała to jasno jak na dłoni.

Odwróciła głowę i spojrzała z dumą na swój mały domek i stodołę – na swój dom oraz firmę. Westchnęła. Była tak zajęta narzekaniem i manipulowaniem rzeczywistością, że zupełnie zignorowała to, co ma.

Na pogrzebie Berniego jeden z jego najstarszych przyjaciół wstał, żeby powiedzieć kilka

słów o człowieku, którego znał od wczesnego dzieciństwa. Zacytował *Boską Komedię* Dantego:

– Nie ma dotkliwszej bolesti, niżli dni szczęścia wspominać w niedoli.

Była to jedyna część ceremonii pogrzebowej, która zapadła jej w pamięć, bo stanowiła idealne echo tego, przez co przeszła od rozstania z Rogerem. Całą swoją energię skupiła na próbach odzyskania dawnego życia. Jej gniew i żal do Rogera tak ją zaślepił, że zaczęła myśleć, iż inne życie musi oznaczać gorsze życie.

Uśmiechnęła się. Była zadowolona, że udało jej się rozwikłać choć jeden fragment składający się na tę wielką mistyfikację, którą sama zbudowała. Jej życie niewątpliwie wyglądało inaczej, niż to sobie kiedyś wyobrażała, ale w sumie musiała przyznać, że ma z niego teraz dużo więcej satysfakcji. Miała też plany na przyszłość. Długo się zastanawiała nad sugestią Susie o podawaniu klientom napojów i przekąsek. Będzie musiała złożyć wniosek o pozwolenie na rozbudowę stodoły i zwrócić się do banku o pożyczkę oraz uporać się z niewiadomo jakimi jeszcze przeszkodami, ale to było bez znaczenia. Była przekonana, że warto zainwestować w firmę trochę wysiłku. Tak samo, jak warto było przyjąć kogoś do pomocy w sklepie. Teraz zastanawiała się nawet nad zatrudnieniem kilku osób do pomocy w przygotowywaniu aranżacji kwiatowych.

Susie okazała się darem niebios, zwłaszcza teraz, gdy dziewczynki wróciły już do szkoły. Ellen nie potrafiła zrozumieć, jak sobie wcześniej bez niej radziła.

Susie poratowała też Hermione i wzięła do siebie Giotta oraz Botticellego.

Ellen zadygotała i dotarło do niej, że słońce już dawno zaszło. Wstała i ruszyła w stronę domku. Przyglądała mu się z czułością. Wiciokrzew wspinał się już ponad okno jej sypialni i teraz płóżył się wzdłuż rynien. Powoli tracił już swój aromat, ale zostało go jeszcze w kwiatkach dość, by otulił ją słodki zapach, gdy otwierała drzwi do domu.

Zaparzyła sobie filiżankę herbaty i usiadła na siedzisku przy oknie z powieścią, którą zaczęła w zeszłym tygodniu. Gdy tylko otworzyła książkę i znalazła odpowiednią stronę, zadzwonił telefon. To była Hermione.

– Mamy dziś na kolację potrawkę z jagnięciny. Dasz się skusić?

Ellen wiedziała, że propozycja wcale nie wynika z poczucia osamotnienia przyjaciółki. Od przeprowadzki do Domku Myśliwskiego Hermione zawarła mnóstwo nowych znajomości.

– Tylko spróbuj mnie powstrzymać. O której godzinie?

– Tej samej, co zwykle. Gdzieś koło siódmej.

W Domku Myśliwskim przed posiłkami zawsze uderzano w gong – nie z jakiegoś zadęcia, lecz z czysto praktycznych powodów. Ellen zjawiała się w samą porę. Hermione czekała już na nią w holu wejściowym, skąd przeszły do jadalni. Miały stolik tylko dla siebie, choć zwykle Hermione dzieliła większy stół z kilkoma innymi rezydentami.

– Nie muszę pytać, jak się masz – Hermione się uśmiechnęła, strzepnęła swoją serwetkę i położyła ją sobie na kolanach. – Świetnie wyglądasz.

– Ty też – odparła Ellen. – Widziałam cię zaledwie kilka dni temu, a mogłabym przysiąc, że przytyłaś.

– Kilo czy dwa – przyznała Hermione.

– Dobrze ci z tym.

Kelner przyniósł im zupę.

– Krem z kurczaka – oświadczył pogodnie, po czym zostawił je same.

– Jo-Jo dzwoniła dzisiaj rano – powiedziała Hermione, potrząsając elegancką, srebrną pieprzniczką nad swoją miseczką z zupą.

– Jak się miewa?

– Nie może się doczekać, aż pójdzie na studia. Cała się niecierpliwi. Jeszcze przed

początkiem semestru ma się zobaczyć z Simonem. Coś mi się zdaje, że on stał się dla niej kimś w rodzaju guru.

Ellen się roześmiała.

– A co u jej matki?

– Coraz lepiej.

– A u ojczyma?

– Nie wspomniała o nim. Wspomniała za to o Duncanie.

– Tak?

Ellen podniosła wzrok znad zupy.

– Postanowiła nie wnosić przeciwko niemu oskarżenia.

Ellen zmarszczyła brwi.

– Ale przecież powinna!

Hermione pokręciła głową.

– Spójrz na to z jej perspektywy. Ona chce puścić cały ubiegły rok w niepamięć. Jeśli pójdzie z tym na policję, wszystko zostanie wywleczone na światło dzienne. Musiało jej być niełatwo, z jednej strony matka, a z drugiej ta ciąża. Szanuję jej decyzję. Przynajmniej nie jest rozgoryczona. Ma dość odwagi, by wziąć się w garść i przeć do przodu, nie oglądając się za siebie.

– Czy coś próbujesz mi w ten sposób powiedzieć? – zapytała z uśmiechem Ellen.

Hermione wyskrobała resztkę zupy z miseczki.

– Być może.

– Być może? Akurat! A tak dla twojej informacji, już doszłam do tego samego wniosku.

– Co ty powiesz, zupełnie sama? A niech mnie, Ellen, wyrabiasz się!

– Nie bądź sarkastyczna. Nadal jednak nie podoba mi się, że Duncanowi się upieczę.

– A co ci się najbardziej w tym wszystkim nie podoba? To, że Jo-Jo stała się krzywdą czy też to, że pomyliłaś się w jego ocenie?

– Jak możesz coś takiego mówić.

– No, jak mogę? Przecież ja nigdy nie zgrywałam świętej, choć rzeczywiście oczekuję tego od innych.

– Ach, nasze oczekiwania są często źródłem naszych rozczarowań.

Hermione otarła usta serwetką.

– Prawda. Mówisz teraz ogólnie czy o konkretach?

Ellen napiła się wina.

– Moje oczekiwania względem Duncana były kompletnie chybione, co?

– Na początku wszyscy daliśmy mu się podejść.

– A kiedy go rozgryzłaś?

– To nie był jeden konkretny moment, raczej kombinacja różnych elementów. Pamiętam, jak sobie pomyślałam, że nie chcę, żebyś za niego wyszła, bo wtedy utracę naszą przyjaźń. Myślę, że to mocno wpłynęło na mój stosunek do niego. A naprawdę zaczęłam się martwić, gdy przyszedł obejrzeć dom.

– Co? Wtedy, gdy udawałaś, że ci odbiło?

Hermione się uśmiechnęła.

– Tak. Byliśmy na górze. Naciskał, bym sprzedała mu dom. Miał taką minę... Zdałam sobie sprawę z tego, że pod tą całą otoczką grzecznego zachowania kryje się coś jeszcze, o czym nikt z nas nie ma pojęcia.

Ellen przez chwilę się zastanowiła.

– Ja dostrzegałam przebliski porywczego temperamentu, ale je bagatelizowałam. Ze

wszystkich sił starałam się ignorować jego wady, choć mnie one martwiły. Cały czas go usprawiedliwiałam. – Pokręciła głową. – Ten sam błąd popełniłam z Rogerem. Sygnały ostrzegawcze pojawiały się od lat, ale ja postanowiłam je bagatelizować. Do cholery, dlaczego tak postępujemy?

– Bo boimy się konsekwencji powiedzenia na głos, że coś jest nie tak.

– To nie wszystko. Czemu nie słuchamy dobrych przyjaciół, którzy widzą, co się dzieje?

– Czyżby to był komplement, Ellen?

– Nie wygłupiaj się – odpowiedziała Ellen z uśmiechem. – Ale poważnie, gdy myślę teraz o Duncanie, widzę tykającą bombę zegarową, gotową w każdej chwili wybuchnąć... Biedna Jo-Jo miała pecha, że to ona nacisnęła na detonator.

– Zaryzykowałabym stwierdzenie, że przyczyn należy szukać w jego wychowaniu.

– Uważasz, że Nadia jest winna?

– Częściowo.

– Nigdy mi nie powiedziałaś, skąd znasz La Carter. Co cię z nią łączy?

– Raczej z jej zmarłym mężem, Donaldem. Zastanawiałaś się kiedyś nad tym, jak Carterowie dorobili się majątku?

Ellen pokręciła głową.

– Duncan nigdy mi o tym nie wspomniał.

– Nie, oczywiście, że nie. Duncan wolałby, by jego ojciec zrobił pieniądze na czymś konkretnym i szanowanym, na przykład na niewolnictwie. W rzeczywistości zbił majątek na przemyśle jedwabniczym. Miał kilka małych fabryk w Macclesfield, gdzie szyto suknie, chusteczki, szale i bieliznę. Zdaniem niektórych Donald Carter był biznesmenem z głową na karku. Inni uważali go za wredne ścierwo, które zarobiło nieprzyzwoitą kupę kasy podczas wojny na produkcji jedwabnych spadochronów.

Ellen zastanowiła się nad jej słowami.

– Zaraz, zaraz, czy ty mi kiedyś nie mówiłaś, że razem z Arthurem pracowaliście w przemyśle jedwabniczym?

– Zaimponowałaś mi, Ellen. Okazuje się, że czasem mnie nawet słuchasz. Masz rację. Po śmierci Arthura musiałam sama prowadzić rodzinną firmę. Podobnie jak wielu innym fabrykom w tym czasie, brakowało nam zamówień i przegrywaliśmy z zagraniczną konkurencją. Szarpałam się przez parę lat, aż Donald Carter zaproponował, że kupi ode mnie firmę i się poddałam. Miałam dość.

– Myślisz, że Duncan wie o twoich powiązaniach z jego ojcem?

– Mało prawdopodobne. Wkrótce potem Donald wycofał się z branży i żył jak na zamożnego rentiera przystało. Duncan był wtedy mały.

– Musiało cię to nieźle wyprowadzić z równowagi, gdy młodszy Carter zaczął ci wymachiwać plikiem banknotów przed nosem, żeby kupić od ciebie Dom Pod Złotokapem.

Hermione się uśmiechnęła.

– Przyznaję, że był w tym element *deja vu*.

– Dlaczego mi tego wszystkiego nie powiedziałaś, gdy się z nim zaręczyłam?

– A to by coś zmieniło? Czy w ten sposób udałoby ci się wyperswadować ten pomysł Duncanowi?

– Pewnie nie. – Ellen wzruszyła ramionami.

– Wyszłabym po prostu na małostkową, starą babę, która chce się odegrać. Zresztą to wszystko przeszłość, nie ma sensu się jej trzymać. Właśnie dlatego jestem teraz, gdzie jestem.

– To była słuszna decyzja? Wyprowadzka z Domu Pod Złotokapem?

– Nawet sobie nie wyobrażasz, jakie to cudowne uczucie budzić się rano ze

świadomością, że dzień należy do mnie. Jakbym miała spędzić resztę życia na wakacjach.

Do ich stolika podszedł kelner i zabrał puste miseczki po zupie. Kilka minut później wrócił z daniem głównym.

– Budowlańcy zabrali się już za Dom Pod Złotokapem? – zapytała Ellen, nakładając Hermione warzyw.

Tego samego dnia, gdy Ellen wycofała Domek Nad Strumieniem z rynku, Duncan wycofał swoją ofertę kupna Domu Pod Złotokapem, co nikogo zresztą nie zdziwiło. Zaskoczeniem okazała się natomiast oferta Kierownictwa Domku Myśliwskiego, którzy skontaktowali się z Hermione i nim minął tydzień dogadali się z nią co do sumy i podpisali umowę.

– Nie uwierzyłabyś, jak szybko zaczęli działać – wyjaśniła Hermione. – Kierownik budowy wczoraj mnie oprowadził. Dom jest nie do rozpoznania. Wyburzone ściany, wielkie dziury tu i tam.

– Pewnie jest też większy porządek – zakpiła Ellen.

Hermione się obruszyła.

– Może i tak. No, a teraz, gdy mnie obraziłaś, poproszę cię o przysługę.

– Od początku wiedziałam, że coś się za tą kolacją kryje. No, mów, co mam zrobić?

– Jest szansa, żebyś się na parę dni wyrwała ze sklepu?

– Porozmawiam z Susie. Czemu?

* * *

Johnny Zagranicznik z trudem wspinał się na wzgórze.

– No, dalej – Ellen popędzała auto. – To nie Kilimandżaro.

– Może powinnaś zwracać się do niego po francusku – zasugerowała Hermione.

– Uważaj, bo będziesz musiała wysiąść i pchać – odparła Ellen, przekrzykując zawodzenie silnika.

– Czy to ładnie tak się zwracać do wątłej, starszej pani?

– Nie pleć bzdur, babuleńko. Lepiej popatrz na mapę i powiedz mi, gdzie jesteśmy.

Hermione cmoknęła z dezaprobatą.

– Coś ty taka awanturnicza? Denerwujesz się?

Ellen patrzyła na drogę przed sobą.

– O, patrz – powiedziała. – Tam jest jakiś znak. Co jest na nim napisane?

– A593 do Coniston w lewo.

– A tam właśnie chcemy jechać?

Hermione trzymała w rękach kartkę papieru, którą teraz przewróciła na drugą stronę.

– Owszem – odpowiedziała. – Półtora mili dalej mamy skręcić w wąską drogę w lewo.

Znalazły ją i zaczęły się wolno wspinać w górę. Johnny Zagranicznik znowu zaczął protestować.

– Samochód jest chyba nie mniej zdenerwowany, niż ty – Hermione znowu próbowała pociągnąć ją za język.

– Uważaj, bo zaraz zawrócę i pojedę z powrotem do Crantsford.

– Nie dałabyś rady zawrócić – oświadczyła Hermione zerkając na kamienny mur ciągnący się blisko po obu stronach auta. – Zresztą przecież nie pozbawisz starszej pani tych kilku dni spędzonych z chrześniakiem, co?

Elen przełożyła dźwignię skrzyni biegów i wrzuciła jedynekę. Sama nie potrafiła powiedzieć, jak dała się namówić na ten wyjazd do Coniston.

– Od dwunastu lat nie byłam na wakacjach – zagaiła sprytnie Hermione podczas kolacji tamtego wieczora w Domku Myśliwskim. – Mogłabym pojechać pociągiem, ale to tyle przesadek, że bym się pewnie zgubiła i ktoś by mnie jeszcze obrabował.

Oczywiście Ellen mogła odmówić i powiedzieć, że nie zawiezie Hermione, ale wtedy jej przebiegła przyjaciółka by się na nią obraziła i, co gorsza, chciałaby wiedzieć, dlaczego Ellen wzbrania się przed wizytą u Matthew.

Matthew skończył mural u Susie i Wariatuńcia wkrótce po pogrzebie Berniego. Wyjechał, nim jeszcze farba dobrze wyschła. Wariatuńcio był tak zadowolony z efektów, że koniec końców sam zapłacił artyście, czego zresztą Ellen od początku się spodziewała.

– O, to jego domek – zawołała podekscytowana Hermione.

Ellen zaparkowała Johnny’ego Zagranicznika obok starego grata Matthew i obeszczała samochód, by pomóc Hermione wysiąść. Za plecami usłyszała otwierające się drzwi, ale skupiła całą uwagę na przyjaciółce. Nie chciała spojrzeć Matthew prosto w oczy i dostrzec w nich, jasno i wyraźnie, słów: „A nie mówiłem?”

Nikt jej nie musiał mówić, że zrobiła z siebie kompletną idiotkę. Jeśli Matthew choć przez chwilę wydaje się, że ona będzie tolerować z jego strony jakieś triumfalne przechwałki, to zostawi tu Hermione i wróci prosto do domu. Ostatnie parę miesięcy nauczyło ją jednego – że trzeba stanąć na własnych nogach i przejąć kontrolę nad życiem. To obejmowało również nieprzejmowanie się tym, co zdaniem innych powinna, a czego nie powinna robić. To ona teraz podejmuje decyzje!

Doprawdy?, w jej głowie odezwał się zadufany głosik. I dlatego właśnie dałaś się Hermione namówić na przyjazd tutaj, co?

Przyglądała się Matthew, jak ucałował Hermione na powitanie. Przeszła na tył auta i zajęła się wyciąganiem bagaży. Jeśli zbierze mu się znowu na jakieś romantyczne porywy, to ona to też zdusi.

Akurat! Już ci wierzę.

– Witaj, Ellen – powiedział, podchodząc do niej. – Pozwól, pomogę ci.

– Dam sobie radę.

Posłał jej ten swój cholernie atrakcyjny, krzywy uśmiezek, na widok którego kolana się pod nią ugięły. A niech go jasna cholera! Nie mógłby przynajmniej nie wyglądać tak... tak piekielnie pociągająco?

O, proszę! Nie mówiłam? Jesteś jak plastelina w jego rękach.

– Wiem, że sama dałabyś sobie radę – powiedział. – Po prostu chcę pomóc.

– Żeby mnie o tym przekonać będziesz musiał zrobić więcej, niż tylko przenieść kilka walizek.

Ją samą zaskoczył ostry ton własnego głosu. Głosik w głowie też się zdziwił.

Nieźle. Prawie można by się na to nabrać.

Matthew uniósł brew.

– Źle się jechało?

– Owszem. W takim towarzystwie?

Hermione parsknęła śmiechem.

– Matthew, Ellen potrzebny jest teraz duży kieliszek wina oraz dobry lunch i od razu jej się humor poprawi. Jest dziś w koszmarnym nastroju. Nie mam pojęcia dlaczego.

A ja mam.

Mimo połowy września, pogoda była na tyle ciepła, że mogli zjeść na dworze. Usiedli przy dużym, drewnianym stole z bezpośrednim widokiem na jezioro i ogromne wzgórze, które Matthew nazywał Old Man of Coniston. Ellen zauważyła, że jest bardzo zrelaksowany i jowialny. Nigdy go takim nie widziała. Podał im kieliszki z winem schłodzonym do idealnej temperatury, zaserwował różne sery i pasztet oraz chrupiące bułki. Ellen nie potrafiła powiedzieć, czy to efekt wina wypitego na pusty żołądek czy też tego, że tak ciężko ostatnio pracowała, ale teraz, gdy nie miała nic do roboty, tylko siedzieć i odpoczywać, poczuła, że się mentalnie odpręża. Przysłuchiwała się rozmowie Matthew i Hermione o Domku Myśliwskim i patrzyła na jezioro. Było jak w raju.

Po lunchu wybrali się na krótki spacer nad brzeg jeziora. Hermione szybko się jednak zmęczyła i chciała iść się zdrzemnąć, wrócili więc do domu. Matthew poszedł z Hermione do pokoju gościnnego, by o wszystko zadbać, a Ellen postanowiła zajrzeć do jego pracowni.

Panował tam niewiarygodny porządek. Wszystko było równiutko poukładane, miejsce na półkach oznakowane: na słoje z węglem, pudełka ze szpachelkami, butelki z terpentyną, setki tubek z farbą i nie mniej pędzli. Na kilku sztalugach stały nieukończone płótna, a pod oknem wychodzącym na miejsce, gdzie właśnie zjedli lunch, stała masywna ława. Na niej, z dala od całej reszty, leżała duża teka. Zajrzała do niej z ciekawości. Trawiła właśnie to, co w niej znalazła, gdy zorientowała się, że za jej plecami stoi Matthew.

– Masz ochotę przepłynąć się łódką po jeziorze? – zapytał, ignorując jej oszołomioną minę.

Zdjęli buty, podwinęli spodnie do kolan i zepchnęli łódkę z pokrytego kamyczkami brzegu na odpowiednią głębokość.

– Wsiadaj – powiedział. – Ja popchnę.

Woda była spokojna, wokół panowała cisza.

– Zawsze tu tak pięknie? – zapytała, zanurzając dłoń w wodzie, podczas gdy Matthew wiosłował.

– Trafiaś na najlepszy moment – odparł. – Większość turystów już wyjechała.

Niedługo później byli już na środku jeziora. Domek należący do Matthew małał w oddali, częściowo zasłonięty kępą drzew. Wyglądało na to, że są zupełnie sami.

– To jest Brantwood. – Matthew przerwał wiosłowanie i wskazał na duży, biały budynek.

– Mieszkał tam Ruskin. A tam David Campbell...

– Nie jestem pewna, czy mam ochotę na wycieczkę z oprowadzaniem – przerwała mu Ellen, której myśli nadal zajęte były teczką znalezioną w pracowni Matthew.

Czyżby naprawdę ją aż tak bardzo kochał? Czy ona sama może dalej udawać, że nic do niego nie czuje? Gdy była jeszcze zaręczona z Duncanem, próbowała sobie wmówić, że Matthew nic dla niej nie znaczy, ale teraz mogła się już przyznać do swoich uczuć. Wiedziała, że od początku czuli do siebie pociąg.

Pomijając oczywiście drobną kwestię głosiku w jej głowie, który nazywał się Duma.

Duma jej podpowiadała, że fakt, iż Duncan zniknął z horyzontu nie oznacza, że może automatycznie rzucić się teraz Matthew w ramiona. To by było zbyt oczywiste. Pomyślałby, że chce go wykorzystać, wyśmiałby ją i oskarżył o całe mnóstwo niemiłych rzeczy. Och, to wszystko bez sensu. Padła ofiarą swojego własnego działania.

Podniosła głowę i zorientowała się, że on się na nią gapi.

– Skoro nie chcesz wycieczki z oprowadzaniem, to na co masz ochotę, Ellen?

Spojrzała mu prosto w oczy. Przez chwilę milczeli.

Tylko spróbuj!, syknęła Duma.

– Chciałabym usiąść przy wiosłach – odparła i spuściła wzrok.

Następnego dnia po lunchu Matthew znowu zabrał Ellen na łódkę. Było jeszcze cieplej niż wczoraj. Ellen czuła na skórze przyjemne grzanie jesiennego słońca. Zwróciła twarz do słońca i westchnęła z zadowoleniem.

– Podoba ci się tutaj? – zapytał Matthew.

– Tak – odparła. – Czemu pytasz?

Przerwał wiosłowanie.

– Bez powodu.

Uśmiechnęła się.

– Nigdy o nic nie pytasz bez powodu. No, dalej, powiedz mi.

– Może później. Jak się miewasz odkąd...?

– Odkąd co?

– Odkąd ten... Odkąd ten tchórzliwy palant zniknął z twojego życia?

Przechyliła się nad burtą i zanurzyła dłoń w chłodnej wodzie.

– O którego ci chodzi? Rogera czy Duncana?

– A jak myślisz?

Parsknęła śmiechem. Znowu grali w słownego ping-ponga.

– Och, Matthew, zapomniałam już jaką przyjemność sprawiają mi nasze rozmowy. Ale jeśli zamierzasz mi teraz powiedzieć: „A nie mówiłem”, to bardzo się rozżłoszczę.

– Nie będę na coś takiego marnował energii. Zresztą jesteś na to zbyt inteligentna.

– I dobrze. – Opryskała go wodą. – A ty jak się miewasz od powrotu z Crantsford?

Wzruszył ramionami.

– No, wiesz. Nadal czekam na to pędzące stado zwierząt.

Nie spuszczał oczu z jej twarzy, choć na jego twarzy nie malowało się żadne uczucie.

– Nie na wiele byś mi się przydał, gdyby rozniosło cię to stado – oświadczyła z uśmiechem.

Tego było już dla Dumy za wiele. Zaczęła podskakiwać jej w głowie jak szalona.

Widzisz? A nie mówiłam? Od początku miałam rację. Flirtujesz z nim. Nie masz wstydu!

– A na co miałbym ci się przydać?

To nie do zniesienia. Zaraz mu powiesz coś wybitnie głupiego, co?

– Pozwolisz mi trochę znowu powiosłować?

Och, nie dość, że jesteś bezwstydną latawicą, to jeszcze się z nim droczysz!

Zamienili się miejscami. Gdy łódź przestała się chybotać, Ellen złapała za wiosła.

– Świetnie sobie radzisz – pochwalił ją.

– A czemu miałabym sobie nie radzić?

– Prawda. A tak a propos, nadal nie odpowiedziałas na moje pytanie.

– Które?

– Boże, Ellen! Brałaś korepetycje u Hermione? Pytałem, na co miałbym ci się przydać?

Zignorowała jego pytanie. Oraz głos Dumy. Zmiażdżyła ją szczerością oraz pożądaniem.

– Kochałeś się kiedyś w tej łodzi? Myślisz, że się wywróci, gdybyśmy spróbowali?

Gapił się na nią jak sroka w gnat, nie do końca pewny, czy może wierzyć własnym uszom. Ale ona nie uciekła wzrokiem. W końcu pokręcił głową i parsknął śmiechem.

– Nie przyszło mi do głowy, żeby zabrać ze sobą kamizelki ratunkowe i prezerwatywy!

Nagle nachylił się do niej i ją pocałował.

Odpowiedziała na jego pocałunek, tak jak pierwszego dnia, gdy się dopiero poznali.

Gdy się od siebie odsunęli, Matthew złapał za wiosła i zabrał ich do osłoniętego miejsca w innej części jeziora. Leżeli w słońcu, wtuleni w siebie. Rozmawiali. Całowali się. Potem znowu rozmawiali. Tyle mieli sobie do powiedzenia.

– Nie zabijam klina klinem – wyznała Ellen. – Tak mi się w każdym razie wydaje.

– Wiem, że nie.

– Nie jesteś dla mnie po prostu zamiennikiem.

– To też wiem.

Uniosła się na łokciu i spojrzała mu prosto w oczy.

– Jak możesz być tego taki pewny?

– Bo jestem arogancką świnią. Sama mi to powiedziałaś.

– Ale poważnie.

– Ja zawsze jestem poważny.

– Posłuchaj, nie pora teraz na jedną z tych twoich słownych gier. Powiedz mi, skąd wiesz, że to, co do ciebie czuję, to miłość? Może to tylko pożądanie? Może chcę tylko twojego ciała?

Uniósł brew.

– Mam nadzieję, że i jedno, i drugie.

– Matthew, muszę mieć pewność, że ty masz pewność. Wiesz, o czym mówię...

– No, dobrze – odparł. – Wiem to, bo się rozplakałaś tamtego dnia, gdy się kochaliśmy u ciebie w domu. Nie byłaś wtedy w stanie ukryć swoich prawdziwych uczuć. Były też inne momenty, choćby podczas krokietowego przyjęcia. Już wtedy podejrzewałem, że nie jestem ci obojętny, ale ponieważ nie byłaś wtedy taka bezbronna, lepiej udało ci się zamaskować swoje emocje. Ale wtedy, u ciebie w domku, to byłaś prawdziwa ty.

Zastanowiła się nad tym, a potem, leżąc w jego objęciach, roześmiała się:

– Wiesz, co? Wtedy, w altanie też niewiele brakowało. Gdybyś dalej całował moją rękę to nie wiem, co by się wydarzyło.

– To może teraz spróbuję?

Było już późne popołudnie, gdy wrócili na brzeg i przycumowali łódź.

– Jakieś wątpliwości, Ellen?

Ścisnęła jego dłoń.

– Kilka. Ale mam je w nosie. Zaryzykuję. Nie mam pojęcia, jak to będzie wyglądało w praktyce, skoro ty mieszkasz tutaj, a ja w Cheshire.

– Brzmi to tak, jakbyśmy mieszkali w dwóch różnych krajach. Przecież dzieli nas niewiele ponad dwie godziny drogi. Chcę, żebyś wiedziała, że nie mam zamiaru zmuszać cię do zrobienia czegoś, czego sama nie chcesz. Ciężko pracowałaś na stworzenie swojej firmy. Nikt nie ma prawa ci tego odebrać.

– Naczytałaś się za dużo kolorowych magazynów – odpowiedziała z uśmiechem. – Za gładki jesteś w słowach. No, i jest coś jeszcze...

– Boże, czy ty kiedykolwiek odpuszczasz?

– Prawie się nie znamy. Spędziliśmy ze sobą raptem kilka dni.

Roześmiał się i mocniej ją przytulił.

– Wiem o tobie to, co niezbędne. A teraz chodź. Przestań się martwić. To nie będzie konwencjonalne małżeństwo, bo mamy dwa domy, ale będzie cudownie...

Wyplątała się z jego objęć.

– Nie było mowy o małżeństwie.

– Och, wiem, wiem – przyznał. – Czeka nas teraz żmudne dreptanie do przodu dzień po dniu. – Pocałował ją czule. – Ale nadziei mi przecież nie odbierzesz.

Szli pod rękę w stronę jego domku.

– Myślisz, że Hermione się zdziwi, jak jej powiemy? – zapytała Ellen.

– No, coś ty! Jednego można być pewnym: Hermione jest zawsze o krok do przodu.

Hermione wyjrzała przez okno pokoju gościnnego. Jak to dobrze, że przywiozła ze sobą lornetkę. Na jej twarzy wykwitł pełen zadowolenia uśmiech. Pośpiesznie, ale ostrożnie włożyła lornetkę do skórzanego futerału i zeszła na dół złożyć serdeczne gratulacje.

¹ Frederick John Perry (1909-1995) – jeden z najsłynniejszych tenisistów świata, ostatni brytyjski zwycięzca Wimbledonu z 1936 r. Dopiero po 77 latach jego sukces powtórzył w 2013 r. następny Brytyjczyk, Andy Murray (przyp. red.)

² Porcelana Wedgwooda, znana porcelana królów, najsłynniejsza angielska porcelana. Jej twórca, Josiah Wedgwood (1730-1795) był dziadkiem Karola Darwina, któremu zgromadzona fortuna znacznie ułatwiła prowadzenie własnych badań medycznych (przyp. red.).

³ Marmite – tradycyjny brytyjski produkt spożywczy wykorzystywany głównie jako smarowidło do chleba, ma konsystencję ciemnobrązowej pasty, w smaku przypomina sos sojowy (przyp. red.).

